

Nie zadzieraj z Molly Murphy!

RHYS BOWEN

Do grobowej deski



NOIR SUR BLANC

Rhys Bowen

DO GROBOWEJ DESKI

Przełożyła
Joanna Orłoś-Supeł

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Podziękowania

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

Tytuł oryginału: FOR THE LOVE OF MIKE

W powieści występują postaci historyczne, lecz jej fabuła jest jedynie fikcją literacką.

Opracowanie redakcyjne: MIROSŁAW GRABOWSKI

Korekta: JANINA ZGRZEMBSKA, ELŻBIETA JAROSZUK

Projekt okładki: WITOLD SIEMASZKIEWICZ

Skład i łamanie: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Copyright © 2003 by Rhys Bowen

For the Polish edition

Copyright © 2014, Noir sur Blanc, Warszawa

Wydanie I elektroniczne

Warszawa 2014

ISBN 978-83-7392-478-9

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

e-mail: nsb@wl.net.pl

Księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Książkę tę dedykuję pamięci mojej ciotecznej babki Sary, która miała podobny charakter jak Molly i w młodości była szwaczką. Później została nauczycielką i intelektualistką.

Podziękowania

Dziękuję nowojorczykom – S.J. Rozan oraz Annette i Marty Meyerom – za to, że wierzyli w moją książkę. Dziękuję również Rochelle Krich za konsultacje dotyczące zwyczajów i religii żydowskiej. Jak zawsze wielkie podziękowania dla Johna, Clare i Jane za cenne wskazówki i motywację do pracy.

1

J.P. Riley i Partnerzy,

Notatki M. Murphy:

Pon., 14 X 1901

JBT wychodzi z biura przy Wall Street 38. Około 19.40 wchodzi do budynku nr 135 na 12 Wsch.

Tak naprawdę nie byłam pewna godziny. Zgadywałam. Słyszałam, jak zegar na rogu Dziesiątej i Broadwayu wybija wpół do ósmej. Od tamtej chwili minęło dobrych kilka minut, ale jeszcze nie zaanonsował kolejnego kwadransa. W mojej profesji zgadywanie to nie najlepsza technika. Powinnam sprawić sobie zegarek – pomyślałam. Mama pewnie przewróciłaby się w grobie, słysząc takie fanaberie. W Ballykillin nikt nie nosił zegarka... no, może z wyjątkiem właściciela ziemskiego i członków jego rodziny, ale oni się nie liczą. To Anglicy, nie Irlandczycy. Trzeba było w odpowiednim momencie zaopiekować się kieszonkowym zegarkiem mojego zmarłego pracodawcy, Paddy'ego Rileya. Mogłam to zrobić, zanim policjanci wynieśli z biura jego ciało. Zegarek służy teraz pewnie jakiemuś sierżantowi, a ja nie mogę sobie pozwolić na kupno nowego. Prawdę powiedziawszy, na nic sobie nie mogę pozwolić.

Parę miesięcy temu, w lecie, mój pracodawca został zamordowany. Postanowiłam wówczas samodzielnie poprowadzić jego firmę – J.P. Riley i Partnerzy – i zająć się sprawami rozwodowymi, które rozpoczął mój nieżyjący przełożony. Pierwsza sprawa rozwiązała się właściwie sama, kiedy jej główni bohaterowie pogodzili się podczas romantycznej wycieczki do Newport na Rhode Island. Poinformowała mnie o tym pani Pfitzer, przysyłając czek na dziesięć dolarów jako zapłatę za „czas i fatywę”. Przeszłam pół miasta, by zlokalizować aktoreczki i burdele, które odwiedzał jej mąż, więc trudno powiedzieć, by te dziesięć dolarów pokryło moje wydatki i zadośćuczyniło stratom moralnym, ale cóż więcej mogłam zrobić... W Nowym Jorku wszyscy się znają. Gdybym zaczęła narzekać, nie zgłosiłby się już do mnie żaden klient. Mimo wszystko czułam się, jakby ktoś wymierzył mi policzek. Ciekawe, czy w podobny sposób ta pani potraktowałaby lekarza, który poświęcił jej swoją uwagę i zalecił terapię?

Ponieważ od jakiegoś czasu uczę się trzymać język za zębami, grzecznie wysłałam pokwitowanie. Pozostałe sprawy wciąż jeszcze nie były zamknięte i dlatego stałam teraz na chodniku Dwunastej Wschodniej, pomiędzy University Place i Broadwayem, obserwując kamienicę naprzeciwko. Nie zdążyłam się dowiedzieć, kto w niej mieszka, ale wiedziałam, że jest to kobieta. Słyszałam, jak mężczyzna, którego śledzę, pan John Baker Tomlinson III, pyta służącą, czy jej pani jest w domu. Zwróciłam uwagę na formę, jakiej użył – pani, a nie państwo. Może tym razem szczęście mi dopisze

i wpadnę na jakiś trop. Przecież po zmroku żaden żonaty mężczyzna nie powinien odwiedzać samotnej kobiety!

Minęła jedenasta, ale podejrzany nie wychodził z budynku, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie zamierza zostać tu na noc. Nie byłoby to dobre rozwiązanie ani dla niego, ani dla mnie. On będzie musiał jutro rano tłumaczyć się rozwścieczonej małżonce, ja przemoknę do suchej nitki. Zaczęło padać już koło dziewiątej, a nie miałam ze sobą parasolki. Czułam, jak z minuty na minutę kapelusz coraz bardziej nasiąka wodą, a płaszcz zaczyna cuchnąć jak zmokły pies.

Ruszyłam się z miejsca i zrobiłam parę kroków tam i z powrotem, ale zaraz przypomniałam sobie, że przecież nikt nie może mnie zobaczyć. Mój pracodawca, Panie świeć nad jego duszą, potrafił nieruchomo tkwić w ukryciu całymi godzinami. Nigdy nie nauczę się takiej cierpliwości – pomyślałam. W ogóle zaczynałam wątpić, czy praca detektywa jest dla mnie. Owszem, trzeba przyznać, że była znacznie ciekawsza niż osiemnaście godzin w szwalni albo na targu przy Fulton Street, gdzie kiedyś patroszyłam ryby. Dziewczyna, która dopiero co przyплыnęła z Irlandii, nie może liczyć na zbyt wiele. Ja miałam szczęście, bo przez chwilę udało mi się pracować w roli damy do towarzystwa. Po jakimś czasie zrezygnowałam jednak z tej posady, ale nie chcę się teraz rozwodzić nad przyczynami swojej decyzji. Są zbyt bolesne. Minęły już trzy miesiące, a ja ciągle nie mogę o tej całej sytuacji zapomnieć. Jedno jest pewne – kiedy wszyscy smacznie śpią, ja stoję tu, marznąc i moknąc, tylko po to, by przekonać samą siebie i resztę świata, że dam sobie w życiu radę bez Daniela Sullivana.

W pokoju na piętrze pojawiło się światło – był to słaby płomień lampy naftowej, a nie ostry blask żarówki elektrycznej, którą niedawno wynaleziono. Ktoś, niestety, zaciągnął zasłony. Tak bardzo chciałam zobaczyć cień tej pary w miłosnym uścisku! Czy oczekuję zbyt wiele? Nie przyłapałam jeszcze pana Tomlinsona na niczym, co mogłoby stanowić podstawę do rozwodu. Snułam się pod jego biurkiem, chodziłam za nim do klubów i do restauracji, ale nie wpadłam na nic, co sugerowałoby, że podejrzania żony o zdradę mają jakiegokolwiek uzasadnienie.

A jeśli teraz uda mi się dowieść, że mąż klientki jednak z kimś romansuje? Odbiorę od żony porządną czekę, a biedny John Baker Tomlinson III popadnie w kłopoty. Szkoda. Polubiłam go – zauważyłam, że jest miły, szarmancki i ma poczucie humoru. Znów zadałam sobie pytanie, czy praca prywatnego detektywa jest aby na pewno dla mnie. Marzyłam, by zająć się innymi sprawami, nie tylko rozwodowymi. Paddy przyjmował zlecenia tego typu, bo dzięki nim zarabiał na chleb. A właśnie chleba bardzo mi teraz brakowało.

Deszcz zacinał od strony East River, więc schowałam się pod schodami. Oparłam się o ścianę i starałam skupić myśli na pozytywnych aspektach całej tej sytuacji – nie głoduję, mieszkam we wspaniałym miejscu i na dodatek samodzielnie podejmuję wszystkie decyzje. Gdybym tylko potrafiła zaakceptować warunki swojej pracy!

Zauważyłam, że w pokoju na górze zgasło światło, ale zasłony wciąż były zaciągnięte. Czekałam i obserwowałam. Nic się jednak nie wydarzyło, drzwi się nie otworzyły i żaden niewierny mąż nie wyszedł z kamienicy. Nie byłam pewna, co teraz powinnam zrobić. Czy naprawdę muszę obserwować ten dom aż do rana? Perspektywa niezbyt przyjemna, zwłaszcza że pogoda pogarszała się z minuty na minutę.

Szczęśliwym trafem pan Tomlinson wybrał na miłosne schadzki okolice, którą dobrze znam. Mój pokój znajdował się zaledwie o dziesięć minut spacerem Piątą Aleją. Teoretycznie więc mogłabym pobiec do domu, przebrać się, wykapać, a nawet chwilę się zdrzemnąć i wrócić na posterunek tuż przed świtem. Oczywiście tym razem nie zapomniałabym o parasolce. Prawdopodobnie jednak, gdybym rzeczywiście tak zrobiła, pan Tomlinson wyszedłby niepostrzeżenie od kochanki. Wtedy musiałabym całe to nocne śledztwo zaczynać od początku. Poza tym Paddy nigdy nie opuszczał stanowiska obserwacyjnego, a ja przecież staram się go naśladować.

Postanowiłam jeszcze chwilę wytrzymać. Kto jak kto, ale ja jestem przyzwyczajona do okropnej pogody – pomyślałam. Wychowałam się na zachodnim wybrzeżu Irlandii, gdzie deszcz zacinął prawie poziomo, a wiatr przywiewał krople z taką prędkością, że przypominały stado rozwścieczonych os. I nie miałam wtedy niczego poza szalem, który musiał mi wystarczać nawet w najchłodniejsze dni. O długim, porządnym płaszczu, takim jak ten, który odziedziczyłam po Paddym, mogłam jedynie marzyć. Podniosłam kołnierz, a dłonie wsadziłam do kieszeni.

Po drugiej stronie kamienicy, na Broadwayu, wciąż było gwarno. Słyszałam, jak gdzieś przejeżdża powóz, brzęczą dzwonki tramwaju, ktoś się śmieje. Docierały do mnie nawoływania i odgłos biegnących stóp. To miasto nigdy nie zasypia – pomyślałam – tętni życiem od rana do nocy, czego nie można powiedzieć o hrabstwie Mayo, z którego pochodzę.

Zamarłam, kiedy doszedł mnie dźwięk policyjnego gwizdka. Po chwili silny powiew wiatru skierował wszystkie odgłosy gdzieś daleko, ale zaraz potem zobaczyłam, że Dwunastą Ulicą idą w moją stronę dwie postacie. Szybko ukryłam się znów pod schodami, mając nadzieję, że przejdą obok i mnie nie zauważą. Zwłaszcza w takich chwilach zdawałam sobie sprawę, że samotna kobieta narażona jest w tym mieście na wiele niebezpieczeństw. Dzielnica, w której teraz przebywałam, uchodziła za bardzo porządną. Od Piątej Alei dzieliło mnie przecież zaledwie parę kroków. Jednak tuż obok był Broadway, po którym o tej porze nie chciałam przechadzać się samotnie. Nieznajomi byli coraz bliżej, słyszałam równy odgłos kroków. Przywarłam całym ciałem do balustrady schodów i wstrzymałam oddech. Kiedy już mnie mijali, jeden nagle się odwrócił. Zanim zorientowałam się, o co chodzi, wielkie łapsko chwyciło moje ramię.

– Zobacz, kogo my tu mamy, Brendan – odezwał się jeden z mężczyzn do swojego kolegi. Miał silny irlandzki akcent. – Komuś udało się uciec! Pewnej małej zwinnej kotce – dodał, kiedy próbowałam wyrwać się z uścisku i wymierzyć mu kopniaka w goleń.

– Proszę natychmiast mnie puścić! – Głos miałam opanowany, choć w środku cała się trzęsłam. – Zawołam policję. Wiem, że są gdzieś w pobliżu, bo słyszałam gwizdek. Zjawią się w kilka sekund.

– „Zawołam policję”, niezłe, co, Brendan?

Gruby mężczyzna, który trzymał mnie za nadgarstki, wybuchnął śmiechem. Jego wyższy, szczupły towarzysz też rechotał – najpierw śmiał się piskliwie „hi, hi”, a potem głośno wciągał nosem powietrze, co wydało mi się szczególnie irytujące.

– Chyba nie sądzisz, kotku, że nowojorska policja przyjdzie ci na ratunek?

Postanowiłam, że będę stanowcza i wyniosła.

– Natychmiast proszę mnie puścić!

– Niezły z ciebie numer. W dodatku z Irlandii – powiedział grubas, próbując odciągnąć mi rękę do tyłu, kiedy ja usiłowałam nastąpić mu na stopę. – Jesteśmy policjantami. Dobrze o tym wiesz.

Ulżyło mi. Dopiero teraz pod pelerynami dojrzałam znajome mundury.

– Robicie wielki błąd, panowie. Nie popełniłam żadnego przestępstwa. Jestem szanowaną obywatelką.

Moje słowa jeszcze bardziej ich rozbawiły.

– Ha, ha! Szanowana obywatelka! A mój tatuś jest papieżem w Rzymie! Uciekłaś przez okno z tawerny Toma Sharkeya, kiedy przed chwilą zrobiliśmy tam nalot. A gdzie się podział twój kochaś? Rzucił cię na pożarcie lwom, co?

Zrozumiałam, że biorą mnie za kobietę lekkich obyczajów.

– Jezusie, Mario i Józefie święty! Załóżcie okulary – powiedziałam ze złością. – Czy naprawdę wyglądam jak ulicznica?

– Rzeczywiście. Jest ubrana byle jak i nie ma makijażu – zwrócił się Brendan do swojego kolegi. – Może jednak nie mamy racji.

Postanowiłam nie komentować uwag na temat swojego wyglądu.

– Oczywiście, że nie macie racji. Ale przyjmę przeprosiny; przy takiej pogodzie nietrudno się pomylić – odparłam.

– To może jednak nie ona uciekała z domu schadzek? – Wyższy oficer miał wątpliwości. – Ale co z tego? Żadna przyzwoita kobieta nie kręci się samotnie nocą po takiej okolicy.

– Dobrze, powiem wam, skoro koniecznie musicie wiedzieć. Jestem prywatnym detektywem. Obserwuję ten dom naprzeciwko – wytłumaczyłam.

Od początku byli w dobrych humorach, ale teraz po prostu zaczęli ryczeć ze śmiechu. Szturchali jeden drugiego łokciem, zataczali się rozbawieni do łez, a ja stałam niczym słup soli i patrzyłam na nich z obojętnością godną królowej Wiktorii.

– Proszę, oto moja wizytówka, jeśli mi nie wierzycie – powiedziałam spokojnie. – Pracuję w firmie Paddy Riley i Partnerzy. Na pewno znaliście Paddy’ego.

– Paddy’ego Rileya? – Gruby policjant obdarzył mnie pobłażliwym spojrzeniem. – Chyba nie sądzisz, że damy się nabrać. On nigdy nie pracował z kobietami. Nienawidził kobiet. Nawet nie mógł na nie patrzeć. Poza tym Paddy Riley nie żyje.

– Wiem, że nie żyje. Prowadzę jego firmę i sprawy, których nie zdążył dokończyć. Byłoby mi łatwiej pracować, gdybyście dali mi wreszcie święty spokój.

Wciąż trzymali mnie mocno za rękę. Staralam się wyrwać.

– O nie, moja droga. Pójdiesz z nami. Wszystko jedno, co tutaj robisz. Na pewno nic dobrego.

– No jak to co? Obserwowała dom naprzeciwko. Sama się przyznała – zauważył Brendan, bardzo

z siebie zadowolony. – Jak sądzisz, może pracuje dla gangu Dustersów i szuka w okolicy pustych domów, do których łatwo się włamać?

– Na litość boską! Nie szukam żadnych domów. Jeśli mnie puścicie, przyprowadzę dziesięciu porządnym obywateli, którzy za mnie poręczą. Prawdę powiedziawszy, jeśli zabierzecie mnie na posterunek, może się okazać, że wyjdziecie na głupków, bo jestem dobrą znajomą...

Ugryzłam się w język i nie dokończyłam zdania. Bardzo chciałam zobaczyć miny obu policjantów, jak usłyszą, że ich przełożony, kapitan Daniel Sullivan, jest moim przyjacielem. Nie zamierzałam jednak posiłkować się jego nazwiskiem za każdym razem, kiedy znajdę się w tarapatach. Daniel pewnie znów byłby zachwycony, mając okazję na mnie nakrzyczeć, i chętnie by mi przypomniał, że igrzm z ogniem. Dodałby jeszcze, że z pracy, która jest zarezerwowana dla mężczyzn, nic dobrego dla kobiety nie wyniknie.

– Czyją dobrą znajomą, skarbie? – zapytał grubas. – Burmistrza? Gubernatora? Ach, pewnie naszego nowego prezydenta Teddy’ego, co? – Uśmiechnął się do kolegi i mrugnął doń porozumiewawczo.

– Sami zobaczycie – odparłam, przekonana, że jeszcze im pokażę. Potem, kiedy już prowadzili mnie pod ramię, dodałam: – I proszę mnie puścić. Nie jestem workiem kartofli. Mam dwie nogi i potrafię sama chodzić.

– Dobrze, tylko nawet nie próbuj nam uciekać – ostrzegł grubas.

– Czy dla Dustersów pracują kobiety? – zapytał go Brendan. – Pamiętam, że u Gophersów mieli jakieś niewiasty, ale nie wiem, jak to jest u Dustersów.

– Niewykluczone. Wszystkiego można się po nich spodziewać. Nawet tego, że zatrudniają kobiety – odparł tamten.

Deszcz przestał padać, światła lamp odbijały się w kałużach.

– Kim są Dustersi? – zapytałam.

– Dustersi z Hudson? Nie słyszałaś o nich? – Brendan był najwyraźniej zdziwiony. – To ich rejon. Na zachód od Broadwayu aż do samej rzeki Hudson.

– Jakiś gang?

– Jeden z większych. Tak samo jak Eastmansi i Five-Pointersi, ma się rozumieć.

– Wystarczy, Brendan. Na pewno doskonale wie, kim są Dustersi. Idę o zakład, że ktoś nam jutro rano powie, kim jest ta panna.

Usłyszałam, jak gdzieś daleko za nami zatraskują się drzwi. Obejrzałam się szybko i dostrzegłam wysoką postać w kapeluszu. Czyżby pan Tomlinson? Szkoda, że nie udało mi się zobaczyć, jak wychodzi z domu pod numerem 135. Ponieważ jeden z policjantów wydał mi się bardzo rozmowny, postanowiłam zadać mu pytanie.

– Nie wie pan przypadkiem, do kogo należy dom, który obserwowałam? Ten z dużymi donicami przed wejściem?

Brendan natychmiast połknął haczyk.

– To jest dom pani Tomlinson, prawda, Brian?

– Trzymaj gębę na kłódkę – odparł starszy policjant. – Co ty sobie wyobrażasz! Następnym razem pewnie oddasz jej swoją pałkę, żeby mogła nią wybić szybę.

– Ale ja wcale nie chciałem...

Nie słuchałam ich kłótni. Starłam się zrozumieć to, co usłyszałam przed chwilą.

– Pani Tomlinson? – Spojrzałam na Brendana z niewinnym uśmiechem. – Chyba nie ma pan na myśli żony Johna Bakera Tomlinsona? Byłam kiedyś w jej rezydencji przy Pięćdziesiątej Drugiej na East Side.

– Nie, tutaj mieszka taka starsza pani, wdowa. Pewnie matka tego Johna.

Cudownie! – rozmyślałam, kiedy maszerowaliśmy Szóstą Aleją w kierunku posterunku przy Jefferson Market. Dałam się aresztować i omal nie dostałam zapalenia płuc! Wszystko dlatego, że zachciało mi się obserwować, jak pan John Baker Tomlinson III odwiedza swoją matkę! Jeśli mam zostać detektywem, czeka mnie jeszcze naprawdę sporo pracy.

Posterunek policji przy Jefferson Market mieścił się w trójkątnym kompleksie budynków, obok straży pożarnej i więzienia; tuż przy placu targowym. Zaledwie rzut beretem stąd był mój dom. Kiedy przechodziliśmy przez Dziesiątą Ulicę, spojrzałam tęsknie w znajomym kierunku.

– Panowie, proszę, mieszkam blisko – powiedziałam. – Odprowadźcie mnie do domu, przyjaciółki za mnie poręczą.

– Zostaniesz na posterunku aż do rana – odparł grubas, na potwierdzenie swoich słów ściskając mi mocniej ramię. – Polecono nam, że mamy przyprowadzić każdego, kto zachowuje się podejrzanie, a młoda kobieta, która bez męskiego towarzystwa szwenda się po nocy, jest w moim mniemaniu bardzo podejrzaną osobą.

– Ale przecież wszystko wam wytłumaczyłam.

– Tłumaczyć to ty się będziesz przed naszym przełożonym – odparł Brendan, wprowadzając mnie na posterunek. – Jak tylko zjawi się tu z samego rana – dodał.

– To znaczy, że zatrzymujecie mnie na całą noc? – Dopiero teraz dotarło do mnie, w co się wpakowałam. Kiedyś spędziłam już noc w areszcie i wcale nie miałam ochoty na powtórkę. – Nie można więzić nikogo bez powodu.

– Albo wreszcie się zamkniesz, albo oskarżę cię o utrudnianie nam pracy – odparł oficer. – No, ruszaj. Do celi.

Bardzo mnie kusiło, by powołać się na kapitana Daniela Sullivana i zobaczyć, jak rzedną im miny. To by wynagrodziło reprimendę, której Daniel i tak pewnie mi udzieli. Ale, jak to zawsze powtarzała moja matka, byłam zbyt dumna. Zacisnęłam usta i nie powiedziałam ani słowa.

Poprowadzili mnie wilgotnym korytarzem, w którym cuchnęło moczem i starym piwem. Nasze kroki odbijały się od ścian głośnym echem. Minęliśmy celę pełną cieni. Z bliska zauważyłam, że siedzą tam sami mężczyźni. Ożywili się natychmiast i zaczęli kierować pod moim adresem sprośne komentarze.

– Zamknąć gęby! – Policjant przejechał pałką po kratkach.

Zatrzymaliśmy się przed kolejną celą. W niej również zamiast drzwi były tylko pręty; w głębi dojrzałam kilka osób. Przeraziłam się, że zamierzają mnie zamknąć razem z takimi typkami jak ci obok. Zanim jednak głośno wyraziłam swoje obawy, policjant wielkim kluczem otworzył kratę i wepchnął mnie do środka. Omal się nie przewróciłam. Na szczęście przed sobą dojrzałam delikatną stopę i kawałek sukienki.

– Tutaj, skarbie – powiedział ktoś w ciemności chrypiącym głosem. – Rusz tyłek, Flossie. Ta biedaczka chyba zaraz zemdleje.

Nie należę do kobiet, które mdleją, ale nie zamierzałam protestować i zgrywać chojraczki. Podziękowałam uśmiechem i zajęłam wolne miejsce na drewnianej ławce. Kiedy oczy przyzwyczyły się

do ciemności i mogłam już odróżnić to i owo, zauważyłam, że moje towarzyszki niedoli rzeczywiście są przedstawicielkami najstarszego zawodu świata. Było ich pięć. Wszystkie umalowane i upudrowane, z ustami w krwistym czerwonym kolorze i włosami upiętymi wysoko w paradne koki. Jedna z nich miała na sobie czarny gorset, unoszący w górę jej piersi jak dwa przejrzałe melony. Oprócz gorsetu miała na sobie jedynie błyszczącą czarną spódnicę, spod której wystawały czarne kabaretki i botki na wysokim obcasie. Flossie, ta obok mnie, była ubrana w czerwoną sukienkę z dużym dekoltem. Jeszcze inna lokatorka celi okryła się szalem i próbowała zasnąć. W porównaniu z pozostałymi wyglądała młodo i niewinnie, choć również miała czerwone placki różu na policzkach i jaskrawo pomalowane wargi. Walczyłam ze sobą, by nie gapić się na nie zbyt nachalnie.

– Za co cię tu wsadzili, kotku? – usłyszałam znowu ten sam chrypiący głos. Należał do jejmości, która siedziała w kącie na podłodze, z nogami rozłożonymi na boki, w najmniej kobiecej pozie, jaką można sobie wyobrazić. Z koka na głowie wystawało strusie pióro, a na szyi wisiało boa z piór.

Postanowiłam nie ujawniać swojej profesji. Mogłyby mnie uznać za wroga, a przecież całą noc mamy spędzić w swoim towarzystwie. Odkąd przyplłynęłam z Irlandii do Nowego Jorku, nauczyłam się kłamać bez mrugnięcia okiem. Dzisiaj, kiedy złapali mnie policjanci, po raz pierwszy od dawna mówiłam prawdę – i proszę, dokąd mnie to zaprowadziło.

– Panowie policjanci wsadzili mnie tu przez pomyłkę – zaszczebiotałam niewinnie. – W drodze do domu, kiedy wracałam ze schadzki z ukochanym, schowałam się przed deszczem, a oni stwierdzili, że jestem... jedną z was.

Moje słowa wywołały ogólną radość.

– Stwierdzili, że jesteś jedną z nas?! A to dopiero! – roześmiała się grubaska, a jej wielki biust zafalował. – W takim stroju nie znalazłabyś wielu amatorów.

– Powinni zbadać sobie wzrok – dodała jejmość w gorsecie. – Na pierwszy rzut oka widać, że jesteś porządną panią.

– Tym gliniarzom w głowach się poprzewracało, tyle wam powiem – odezwała się Flossie w czerwonej sukience. – Co z tego, że płacimy za ochronę, skoro wcale nie jesteśmy bezpieczne? Tylko dlatego, że w ratuszu siedzi człowiek z Tammany, te cholerne gliny myślą, że wszystko im wolno?

– Nie wyrażaj się. Panią słucho – upomniała ją biuściasta. Pochyliła się w moją stronę i pogładziła po kolanie. – Nie martw się, skarbie. Rano cię wypuszczą i cała ta sytuacja wyda ci się tylko złym snem.

Kiedy rozejrzałam się jeszcze raz po celi, zobaczyłam, że młoda dziewczyna nie zasnęła, tylko uważnie mi się przygląda. Wielkie ciemne oczy wpatrywały się we mnie z taką żalnością, że aż serce się kroilo. Miałam wrażenie, iż chce mi powiedzieć, że dla niej, inaczej niż dla mnie, ta noc nigdy się nie skończy.

Zamknęłam powieki, oparłam się o zimny mur i próbowałam zasnąć. Przestałam się już bać, za to czułam ogromną złość. Co za niesprawiedliwość! Gdybym była mężczyzną, nic podobnego by mnie nie spotkało! Oni o każdej porze mogą sobie chodzić po całym mieście. Gdzie tylko chcą! A kobietę od razu traktuje się jak podejrzaną. Zdałam sobie sprawę, że pewne rzeczy, które dla Paddy'ego Rileya nie stanowiły żadnego problemu, dla mnie będą po prostu niemożliwe. On miał kontakty i w gangach,

i w policji. Chodził do barów i tawern. Mógł sobie odwiedzać dzielnice o złej sławie, kiedy tylko go nasza ochota, a jeśli to było konieczne – zmieniać wygląd, przyklejając sobie brodę i wąsy. Kiedyś i ja się przebrałam za chłopca. Byłam zaskoczona, ile swobody zyskałam dzięki temu. Paddy oczywiście od razu mnie rozpoznał, ale może powinnam częściej udawać kogoś innego? Zwłaszcza jeśli chcę unikać kolejnych nieprzyjemnych spotkań z policją.

A może po prostu należy zrezygnować z pomysłu samodzielnego prowadzenia agencji detektywistycznej? Paddy zarabiał na chleb głównie dzięki sprawom rozwodowym, ale ja już zdążyłam się zorientować, że nie jest to praca dla mnie. Brzydziłam się zleceniami od zazdrosnych żon. Jeśli mam utrzymać firmę, muszę raczej zacząć realizować swój stary plan, polegający na odnajdywaniu imigrantów, którzy stracili kontakt z rodziną w Europie. Z takiej pracy byłby pożytek.

Nie powinnam kierować myśli na te tory. Wróciły nieprzyjemne wspomnienia z Ellis Island, a potem stały mi przed oczami dzieci, które podróżowały pod moją opieką do Ameryki, ponieważ ich matka z powodu choroby nie mogła wejść na statek. Niepotrzebnie zaczęłam o tym myśleć. Kiedy dzieci bezpiecznie dotarły do ojca, byłam pewna, że moje zadanie się skończyło. Niestety, nie miałam racji. Wkrótce potem ojciec maluchów, Seamus, ledwie uszedł z życiem podczas pracy, gdy zawalił się tunel nowej kolejki podziemnej. Od tego czasu nie był w stanie utrzymać rodziny. Potem całą trójkę wyrzucono z pokoju, który dla nich znalazłam, a ostatnio doszły mnie wieści, że znów mieszkają u swoich krewnych przy Lower East Side. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia, ponieważ krewni ci byli najmniej sympatycznymi ludźmi, jakich kiedykolwiek poznałam, a poza tym bardzo martwił mnie los małej Bridie i jej brata. Wiedziałam, że powinnam coś zrobić, by ocalić dzieci, ale zdawałam sobie również sprawę, że oznaczałoby to rezygnację z wygodnego życia, które obecnie prowadziłam. Pokój w domu moich przyjaciółek przy Patchin Place stał się dla mnie oazą spokoju i dobrobytu. Wiodłam tu beztrudne życie i poznawałam bohemę Nowego Jorku, ponieważ artyści, pisarze i intelektualiści często gościli na organizowanych przez nas przyjęciach.

Przez pewien czas odkładałam podjęcie jakiegokolwiek decyzji, łudząc się, że stan Seamusa ulegnie poprawie i że on sam będzie mógł wkrótce wrócić do pracy, a potem znaleźć nowe lokum dla siebie i dzieci. Prawda była jednak inna – po wypadku Seamus nie nadawał się do ciężkich zajęć fizycznych. A to znaczyło, że tylko ja mogłam uratować dzieci i wyciągnąć je z tego piekła przy Lower East Side, gdzie teraz opiekowała się nimi straszna ciotka Nuala. Westchnęłam. Przyszło mi do głowy, że życie jest jak jazda na diabelskim młynie – przez chwilę pędzisz do góry, by zaraz potem jechać ostro w dół.

O diabelskim młynie też raczej nie powinnam była myśleć. Przypomniałam sobie, jak kapitan Daniel Sullivan zabierał mnie w niedziele na wycieczki. Uśmiechnęłam się sama do siebie. Często jeździliśmy na Coney Island. Kiedy wagonik z zawrotną prędkością zjeżdżał na dół, Daniel myślał, że będę piszczała, mdlała albo kurczowo trzymała się jego ramienia. A ja po prostu śmiałam się z radości. Pewnego razu zaczęliśmy się całować i nie zauważyliśmy, że kolejka jest już na ziemi... Przepędziłam te obrazki z myśli. Z roztrząsania przeszłości nic dobrego nie wyniknie! Zresztą wspomnienia tamtych czasów powoli się zacierały i nieraz miałam wrażenie, że są tylko snem albo historią przeczytaną w jakiejś książce.

Rozejrzałam się po celi. Było cicho i spokojnie. Młoda dziewczyna spała jak dziecko. Z podłogi dobiegało chrapanie kobiety z dużym biustem. Zamknęłam znowu oczy i zapadłam w płytki sen.

Obudził mnie dźwięk metalowych naczyń dobiegający gdzieś zza krat. Przez umieszczone wysoko okienko wpadało pierwsze szare światło dnia. W celi było zimno i wilgotno. Na chwilę otworzyły się drzwi i do środka wsunięto tacę z metalowymi kubkami wypełnionymi po brzegi ciemnym gorącym płynem. Wzięłam jeden taki kubek do ręki. W środku była chyba kawa. Już miałam pociągnąć pierwszy łyk, kiedy mój wzrok padł na wiadro w kącie celi. Akurat korzystała z niego jedna z kobiet, wydając przy tym dosyć szczególne odgłosy. O nie, nie pójdę w jej ślady – zdecydowałam i odstawiłam kubek. Zastanawiałam się, kiedy wreszcie pojawi się jakiś policjant i wypuści mnie na wolność. Otworzyłam torebkę, którą przez całą noc trzymałam mocno w rękach, i wyjęłam grzebień. Przynajmniej postaram się dobrze wyglądać, kiedy po mnie przyjdą – pomyślałam.

Po chwili na korytarzu rozległy się ciężkie kroki. Słysząc było tubalne głosy policjantów.

– Dom na tyłach tawerny Toma Sharkeya, powiadasz, Harry? To znaczy, że pracują tam dla Dustersów, tak? – usłyszałam.

– Ciężko powiedzieć, proszę pana. Nikt ich jeszcze nie przesłuchał. Może pan którąś z nich rozpozna. To tutaj, na lewo.

Kroki były coraz bliżej. Przed naszą celą stanął łysiejący sierżant w mundurze, a za nim wyższy mężczyzna. Czarne niesforne loki wymykały mu się spod kapelusza. Gdybym miała czas, przykryłabym się całą płaszczem. Spojrzał na mnie akurat wtedy, gdy przytulałam się do zimnej ściany, marząc, żeby w tej chwili znajdować się gdzie indziej.

– A ona co tutaj robi, Harry? Jak się tu znalazła?

– Nie jestem pewien, proszę pana. Podobno szwendała się sama po nocy i nie potrafiła wytłumaczyć w jakim celu. Moi chłopcy podejrzewali, że mogła być szpiegiem wysłanym przez Dustersów. Kręciła się w pobliżu.

– Coś podobnego! Bardzo interesujące. – Mężczyzna wydawał się rozbawiony. – Wyprowadź ją, Harry. Sam ją przesłucham.

– Ruszaj się. – Sierżant popchnął mnie w stronę drzwi. – Reszta, spokojnie! Siedźcie tutaj cicho, bo jak nie, moja pałka porachuje wam kości.

– Trzymaj, się skarbie! Nie daj się zastraszyć! – usłyszałam za sobą wołania kobiet.

Posłusznie szłam korytarzem. Sierżant otworzył kolejne drzwi i wprowadził mnie do środka.

– Zachowuj się grzecznie i odpowiadaj kapitanowi na pytania – przykazał – a krzywda ci się nie stanie.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Spojrzałam na Daniela.

– Słyszałaś? – powiedział, świdrując mnie oczami. – Nie stanie ci się krzywda, jeśli będziesz mi posłuszna.

– Bardzo śmieszne, Danielu – odparłam. – Bawi cię to, że spędziłam noc w celi z kobietami lekkich obyczajów?

Z trudem zachowywał powagę.

– Wiem, że tobie pewnie nie jest do śmiechu. Wplątujesz się w bardzo dziwne historie, moja droga. Co się stało tym razem?

– Pracowałam. Obserwowałam dom na Dwunastej Wschodniej, kiedy tych twoich dwóch głupków się do mnie przyczepiło. Uznali, że jestem zbiegłą prostytutką.

Tym razem Daniel Sullivan nie wytrzymał i roześmiał się głośno.

– Gdybym chociaż wyglądała jak ładaczniczka! – prychnęłam. – Powiedziałam im, że jestem detektywem i obserwuję dom, ale nie chcieli uwierzyć. Śmiali mi się prosto w twarz. Wyobraź sobie, że podejrzewali również, iż mogę pracować dla gangu, wyszukując domy, które można okraść. Nikt mnie jeszcze nigdy tak nie potraktował.

Daniel podszedł do mnie i położył mi ręce na ramionach.

– Spokojnie, Molly. Prawdę powiedziawszy, mieli do tego prawo. Dostali rozkaz, by przyprowadzać każdego, kto wyda im się podejrzany. Dla nich niewątpliwie byłaś podejrzana.

– Gdyby zamiast mnie stał tam Paddy, pewnie w ogóle nie zwróciliby na niego uwagi i spokojnie przeszli obok.

– Oczywiście. Dobrze znali Paddy’ego.

– Poza tym on był mężczyzną.

– To też ma znaczenie. – Ciężkie, pewne dłonie ścisnęły mocno moje ramię. – Molly, kiedy wreszcie dasz sobie spokój z tym głupim pomysłem? Kobiety nie nadają się na detektywów. Sama widzisz. Tylko wstydu się najadłaś zeszłej nocy. Następnym razem może być jeszcze gorzej. Słyszałem, że plotki o białym niewolnictwie wcale nie są przesadzone. Życie prostytutki jest krótkie, a brakuje chętnych, które dobrowolnie zajmą wolne miejsce. Młoda samotna kobieta jest bardzo łatwym łupem. Chodząc w nocy samotnie po mieście, kuszysz los.

Przypomniałam sobie smutny, błagający wzrok, którym patrzyła na mnie młoda dziewczyna w celi. Wzdrygnęłam się.

– No i są jeszcze gangi – kontynuował Daniel. Zawiesił głos, wpatrując się we mnie ponuro i wciąż trzymając ręce na moich ramionach. – W tej chwili trwa wojna pomiędzy dwiema największymi grupami w mieście. Dustersi i Eastmansci walczą o wpływy i kontrolę nad handlem kokainą. A trzeci gang, Five-Pointersi, ma zamiar powiększyć swój rejon, zgodnie z zasadą, że gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta. Źle to wygląda. Wczoraj w nocy w uliczce za tawerną Toma Sharkeya znaleźliśmy dwa trupy. Żaden gang nie przyznał się, że to jego ludzie. Ofiary nie miały przy sobie dokumentów, więc jeśli rodzina nie upomni się o zaginionych, będziemy musieli ich pochować w bezimiennym grobie i nigdy nie dowiemy się, kim byli. Być może należeli do gangu, ale równie dobrze mogli być niewinnymi obywatelami, którzy w niewłaściwej chwili znaleźli się na linii ognia. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Przekonujesz mnie, że nie powinnam samotnie chodzić po mieście w środku nocy.

– Dokładnie tak. A dlaczego, na miłość boską, nie powołałaś się na mnie? Przecież natychmiast bym tu przyjechał i nie musiałabyś zostawać na noc w więzieniu.

– Mam swoją dumę – odparłam. – Przewidywałam, że będziesz się zachowywał dokładnie tak jak teraz. – Wzięłam głęboki wdech i dodałam: – Przecież i tak nic dla ciebie nie znaczę.

– Nic nie znaczysz? Jak możesz tak mówić?

Całą noc dzielnie się trzymałam. Teraz strach minął, czułam się spokojniejsza, ale bardzo zmęczona, a ręce Daniela na moich ramionach zaczęły działać mi na nerwy. Miałam przeczucie, że w każdej chwili mogę wybuchnąć płaczem. Starłam się opanować.

– Jeszcze nie widziałam w „Timesie” anonsu z informacją, że panna Norton zerwała zaręczyny – odparłam chłodno.

– Jeszcze nie.

– W takim razie nic dla ciebie nie znaczę, Danielu. Już o tym rozmawialiśmy. A teraz pozwól mi odejść. Chcę wreszcie wrócić do domu.

– Nie mogę cię stracić, Molly – powiedział Daniel, patrząc na mnie w szczególny sposób, który zawsze sprawiał, że zaczynałam się czuć niezręcznie. – Przecież wiesz, że proszę cię o cierpliwość. Muszę uporządkować swoje sprawy – dodał.

– Nigdy nie zerwiesz tych zaręczyn – odparłam lodowatym tonem. – Przynajmniej dopóki twoja kariera jest od nich uzależniona.

– Daj mi jeszcze trochę czasu, Molly. Błagam. Kocham cię, przecież o tym wiesz.

Popatrzyłam mu prosto w oczy.

– Chyba niewystarczająco mocno, Danielu.

Zabrał ręce z moich ramion.

– Jesteś wolna – powiedział.

Wyszłam z pokoju, nie oglądając się za siebie.

Zamknawszy za sobą drzwi domu przy Patchin Place 9, usłyszałam donośny krzyk:

– Wróciła! Gus, ona wróciła!

Sid biegła do mnie szybko po schodach. Miała na sobie piżamę w kanarkowym kolorze. Tuż za nią pędziła Gus w obszernej jedwabnej czerwonej podomce. Na twarzach miały wypisane radość i ulgę.

– Molly, gdzieś ty się podziewała? Odchodziłyśmy od zmysłów! – krzyknęła Gus zza ramienia Sid. – Pół nocy nie spałyśmy, szukałyśmy cię wszędzie.

– Przepraszam, że przysporzyłam wam tyle kłopotu – odparłam. – Gdybym tylko mogła się z wami skontaktować, dałabym znać, że wszystko w porządku. Spędziłam noc w areszcie, parę kroków stąd, na posterunku przy Jefferson Market.

– W areszcie? – zapytała Sid. Była zdziwiona, ale nie zgorzozona. Trudno było czymkolwiek zgorzyc Sid. – Co zrobiłaś, Molly, kochanie?

– Nic. I to jest w tym wszystkim najgorsze. Stałam na ulicy i obserwowałam pewien dom. Po prostu byłam zajęta swoimi sprawami. Policjanci zabrali mnie na posterunek tylko dlatego, że ich zdaniem przyzwoita młoda kobieta nie chodzi nocą po mieście.

– Kretyni – powiedziała Sid. Pomogła mi zdjąć mokry, cuchnący psią sierścią płaszcz. – Masz zupełnie przemoczone ubrania – dodała. – Poproś lepiej Gus, żeby przygotowała ci gorącą kąpiel. Ja idę do kuchni zrobić nam wszystkim mocnej kawy. Tak się denerwowałyśmy, że nawet jeszcze nie poszłam do piekarni po bułki, ale jak tylko zaparzę kawę, nadrobię zaległości.

– Dalej, Molly. Raz-dwa na górę. – Gus zaprowadziła mnie na piętro.

Ledwie zdążyłam zdjąć mokre rzeczy i przebrać się w podomkę, a z ogromnej wanny na lwich nóżkach, która była ozdobą naszej łazienki, zaczęła unosić się para.

– Wyjątkowo pozwalam ci użyć mojego francuskiego mydła. Poczujesz się po nim jak nowo narodzona – powiedziała Gus na odchodnym.

Z rozkoszą wyciągnęłam się w wannie i pomyślałam, jakie to szczęście mieć tak wspaniałe przyjaciółki. Nie nazywały się oczywiście Sid i Gus. Rodzice nadali im bardziej tradycyjne imiona: Elena Miriam Goldfarb i Augusta Mary Walcott, ale w naszym otoczeniu, czyli w Greenwich Village i okolicy, mówiono na nie Sid i Gus. Mieszkały razem i były parą w pełnym znaczeniu tego słowa, co dla mnie – dziewczyny wychowanej na irlandzkiej prowincji – stanowiło rzecz zupełnie nową. W moich rodzinnych stronach zostałyby wykluczone z lokalnej społeczności, odsądzone od czci i wiary, wytknięte palcami. W tutejszych kręgach sztywne zasady moralne nie obowiązywały. Bardzo polubiłam Sid i Gus, a to, co je łączyło, uznałam za niezwykle nowoczesne. One natomiast otoczyły mnie opieką iście rodzicielską i traktowały jak dziecko, które należy chronić.

Kiedy woda zaczęła stygnąć, stwierdziłam, że czas zakończyć relaks i stawić czoło nowym

wyzwaniom. Zeszłam na dół. Na stole w kuchni czekały świeże bułeczki z francuskiej piekarni, a w całym domu unosił się aromat parzonej właśnie kawy po turecku. Nie mogę powiedzieć, by przygotowywana w ten sposób kawa podbiła moje serce, ale teraz poczułam, że jest po prostu symbolem domu, a jej zapach daje poczucie bezpieczeństwa.

– Zamieniamy się w słuch, Molly. Opowiedz nam wszystko po kolei – powiedziała Sid, przysuwając się do mnie z krzesłem i biorąc ze stołu bułkę. Nie miała już na sobie piżamy, tylko ciemnoszare spodnie i męską marynarkę smokingową w szmaragdowym kolorze, który wspaniale podkreślał ciemny odcień jej krótkich włosów.

– Niech lepiej najpierw coś zje, Sid. Bidulka sporo w nocy przeszła – zauważyła Gus, zabrała Sid koszyk z bułkami i popchnęła go w moją stronę. – Są jeszcze ciepłe. I jak pachną! – zachęcała. Nadal była w czerwonej podomce; brązowe loki luźno opadały jej na ramiona, okalając drobną, śliczną twarz.

Pociągnęłam głęboki łyk gęstego płynu i poczęstowałam się świeżuteńką bułką. Posmarowałam ją masłem i dżemem morelowym. Poczułam, że wracam do życia.

– Nie zgadniecie, od czego to wszystko się zaczęło. Wiecie, za kogo mnie wzięli? – zapytałam z uśmiechem. – Za kobietę lekkich obyczajów.

– Ciebie? Musieli być ślepi! – stwierdziła Sid.

– Było ciemno, a oni właśnie zrobili nalot na jakiś dom schadzek w pobliżu.

– Ale dlaczego nie puścili cię wolno, kiedy zorientowali się, że to pomyłka? – zapytała Gus.

– Stwierdzili, że i tak jestem podejrzana, bo szwendam się samotnie w środku nocy. Zastanawiali się też, czy przypadkiem nie jestem szpiegiem wysłanym przez gang.

– A to dobre! Molly gangster! – zaśmiała się Sid.

– Biednej Molly pewnie wcale nie było do śmiechu. – Gus pogładziła mnie po dłoni. – Cała noc w areszcie. To straszne. Moje biedactwo!

– Mogło być gorzej. Trafiłam do celi pełnej prostytutek, ale one traktowały mnie bardzo przyjaźnie. Od razu zauważyły, że zostałam zatrzymana przez pomyłkę.

– Rozumiem, że dzisiaj rano pojawił się wreszcie ktoś rozsądny i odkrył, że popełniono straszny błąd.

Sid bez pytania dołąła mi kawy.

– Tą osobą był oczywiście Daniel Sullivan, czyli ktoś, kogo najmniej chciałam spotkać w takich okolicznościach – powiedziałam z wymowną miną.

– Wiarołomny Daniel? Jego masz na myśli? – zapytała Gus. Znały doskonale moją historię i nie miały o Danielu najlepszego zdania.

– A dlaczego wcześniej nikomu nie pisnęłaś słowem, że go znasz? Pewnie od razu by cię puścili... Przynajmniej tyle mógłby dla ciebie zrobić, skoro wcześniej zadrwił z twoich uczuć.

– Nie mam zamiaru o nic go prosić. Duma mi na to nie pozwala. Poza tym wiedziałam, że powie: „A nie mówiłem?”. I oczywiście to zrobił.

– Rozumiem, że nie zerwał jeszcze swoich zaręczyn?

– Proszę, nie rozmawiajmy o tym. – Wzięłam kolejną bułkę. – Chcecie usłyszeć, co jest w tym wszystkim najgorsze? Kiedy policjanci prowadzili mnie do aresztu, okazało się, że mężczyznę, którego wcześniej śledziłam, przyłapałam w domu matki, a nie kochanki.

Obydwie parsknęły śmiechem.

– Spędziłaś cały wieczór, śledząc go w drodze do mamusi? A to dobre!

Też musiałam się roześmiać.

– A skąd miałam wiedzieć? Wiedziałam tylko, że odwiedza jakąś kobietę. Do głowy mi nie przyszło, że to matka.

– Biedna, słodka Molly. – Gus uśmiechnęła się szeroko. – Bardzo bym chciała, żebyś wreszcie zrezygnowała z tej niebezpiecznej pracy i zabrała się do czegoś sensownego, na przykład pisanie albo malowania.

– Właśnie tej nocy podjęłam taką decyzję – odparłam. – A już na pewno nigdy więcej nie będę się zajmowała sprawami rozwodowymi. Brzydzę się taką pracą. Wiem, że Paddy dzięki rozwodom zarabiał na chleb...

– Ale przecież nie samym chlebem człowiek żyje – skończyła za mnie Sid, zadowolona z trafnego doboru słów.

– Otóż to. Zamierzam realizować swój stary pomysł i pomagać rodzinom odnajdywać zaginionych krewnych. Postanowiłam na próbę dać ogłoszenie w irlandzkiej gazecie, żeby zobaczyć, czy w ogóle zgłoszą się jacyś klienci. Jeśli nie, zacznę się zastanawiać nad zmianą profesji.

Sid aż podskoczyła, kiedy usłyszałyśmy, że listonosz wrzuca listy przez szparę w drzwiach. Wybiegła z kuchni i po chwili wróciła z uśmiechem na twarzy.

– Patrzcie tylko! Poczta od Ryana.

Ryan to nasz przyjaciel, dramaturg z Irlandii. Niezwykła, barwna postać, czasem lekko irytująca.

– Gdzie teraz jest? – Gus podniosła się i zajrzała Sid przez ramię. – Znaczek jest z Pittsburgha.

– No właśnie. Posłuchajcie. „Pozdrowienia z ziemi dymu i ognia. Dzisiaj mamy premierę, więc ciekaw jestem, co sobie pomyślą o mojej miejskiej satyrze tutejsi obywatele. Pobyt w Clevelandzie tylko potwierdził wcześniejsze przypuszczenia: Nowy Jork wyznacza granice cywilizacji. Nie da się oddychać tutejszym powietrzem. Kaszlę gorzej niż Dama Kameliowa, obawiam się, że mogę wrócić śmiertelnie chory. Wasz cierpiący i udręczony Ryan O’Hare, wybitny dramaturg”.

Sid i Gus popatrzyły po sobie wesoło.

– Cały Ryan. Uwielbia dramatyzować – powiedziała Gus. – A to zabawne! Teraz będzie konał na śmiertelną chorobę.

– Trochę mu współczuję – odparła Sid. – To nie jego wina, że prezydent McKinley zmarł tuż przed premierą. Teatry zamknięto na czas żałoby, a ta trwała przecież cały miesiąc. Dobrze zrobił, jadąc ze sztuką na prowincję, nawet jeśli trasa zahaczała o Pittsburgh.

– Miejmy nadzieję, że po tym wszystkim przyjdzie jeszcze czas na sukces w teatrze Daly, tak jak

planował Ryan – dodała Gus. – Kochanie, jest jeszcze trochę kawy w dzbanku?

Słuchałam jednym uchem ich beztroskiej pogawędki, ale moje myśli powędrowały już gdzie indziej. Coś w liście od Ryana przykuło moją uwagę i wzbudziło niepokój. Tylko co? Nie mogłam sobie przypomnieć. Kiedy postrzelono prezydenta, ja i Ryan byliśmy razem w Buffalo. Te wydarzenia na zawsze zostaną w mojej pamięci. Ale miały miejsce już jakiś czas temu, biedny prezydent dawno został pochowany, a życie wróciło na swoje tory. Po chwili uświadomiłam sobie, co takiego mnie zaniepokoiło – wzmianka Ryana na temat śmiertelnej choroby. Znowu poczułam straszne wyrzuty sumienia. Biedna Kathleen O'Connor umiera pewnie teraz na gruźlicę, a ja zaniedbuję jej dzieci tak jak nigdy przedtem. Postanowiłam jeszcze tego samego ranka złożyć im wizytę. Jeśli uznam, że warunki, w jakich żyją, są nie do przyjęcia, zrobię coś w tej sprawie, nawet gdybym miała zrezygnować z mieszkania u Sid i Gus.

Wstałam od stołu.

– Muszę na chwilę wyjść – oznajmiłam.

Natychmiast zapomniały o Ryanie i zerwały się na równe nogi.

– Wykluczone – powiedziała Gus. Sprawiała wrażenie delikatnej, ale potrafiła postawić na swoim. – Spędziłaś całą noc w areszcie, w mokrych ubraniach. Powinnaś teraz porządnie się wyspać.

Już miałam zaprotestować, ale Sid wzięła mnie pod ramię.

– Nie waż się z nami kłócić. Marsz na górę! Zbudzimy cię w porze obiadu.

Stwierdziłam, że lepiej będzie nie dyskutować. Weszłam po schodach na drugie piętro, otworzyłam szeroko okno w swoim pokoju i położyłam się na łóżku. Do środka wpadały ciepłe promienie jesiennego słońca, a z krzaków pod domem dobiegało ćwierkanie wróbli. Wydawało się, że to cudowne miejsce jest gdzieś na prowincji, a nie w samym centrum miasta. Jak mogłabym je opuścić? Próbowałam zasnąć, ale w głowie kłębiło się od myśli. W końcu dałam za wygraną, włożyłam kostium biznesowy – ciemna spódnica, którą miałam na sobie w nocy, wciąż była mokra na dole – i po cichutku wymknęłam się z domu jak niegrzeczne dziecko. Z Patchin Place skierowałam się w stronę Washington Square, a potem poszłam do Lower East Side, gdzie mieszkał Seamus i jego dzieci.

Zatrzymałam się u rzeźnika i kupiłam kurę, potem na straganie z warzywami wybrałam trochę winogron, bo pamiętałam, jak bardzo się z nich cieszył Seamus ostatnim razem. Na kolejnym straganie kupiłam jeszcze dwa lizaki. Skąd miałam na to wszystko, skoro wciąż nie zarabiałam? Otóż wypłacałam sobie skromną pensję z funduszy, które Paddy zostawił w firmie. Mówiąc wprost, były to pieniądze, które znalazłam w jednej z szuflad biurka. Nie zachowałam się na szczęście jak ostatnia naiwna i nie oddałam ich policji, ale otworzyłam rachunek w banku i postanowiłam, że poczekają tam sobie, aż zgłosi się po nie ktoś ze spadkobierców. Dotychczas nikt się jeszcze o żadne pieniądze nie upomniał.

Kiedy tak szłam i szłam, ulice robiły się bardziej gwarne i brudniejsze, a z otwartych okien dolatywały coraz gorsze zapachy. Budynki były wyższe, ściśnięte jeden obok drugiego, bez dostępu światła. Poczułam się jak w potrzasku; wróciły przykre wspomnienia pierwszych dni w Nowym Jorku, zaraz po zejściu ze statku na Ellis Island. Wydawało się to tak dawno temu! W rzeczywistości nie minął nawet rok od czasu, gdy przemierzałam te ulice bez grosza przy duszy, zastanawiając się, co ze sobą począć. Tak

wiele zmieniło się w moim życiu w ciągu zaledwie kilku miesięcy! Ta myśl od razu poprawiła mi humor.

Kiedy opuściłam dzielnicę żydowską, przecięłam Hester Street, a potem Rivington i Delancey, nagle zrobiło się bardzo tłoczno. Mijali mnie uliczni sprzedawcy pchający wózki z towarami z całego świata. Zachwalali je we wszystkich możliwych językach. Ktoś sprzedawał gęsie i kacze korpusy, ktoś inny na polowej kuchni gotował dziwne, egzotyczne potrawy, których aromat unosił się w powietrzu. Zatrzymałam się, zainteresowana stoiskiem z piklami. Sprzedawca wyjmował z beczki pękate ogórki. Wyglądał jak magik, który wyciąga królika z kapelusza. Zastanawiałam się, jaki smak mają takie ogórki w zalewie. Na chwilę ogarnęła mnie pokusa, by kupić i spróbować. Jest tyle rzeczy na świecie, których jeszcze nie poznałam! Któregoś dnia powinnam tutaj przyjść i spokojnie wszystkiego skosztować. Ale czułam na sobie podejrzliwe spojrzenia brodatych mężczyzn w wysokich kapeluszach i kobiet, które mnie mijaly, niosąc kosze na ramionach i ciągnąc za sobą dzieci o poważnych, smutnych twarzach. Przechodnie wzrokiem dawali mi do zrozumienia, że nie jestem tu mile widziana. Po raz kolejny uświadomiłam sobie, że rude włosy i jasna cera utrudniają pracę detektywa. Paddy'emu łatwiej było wtopić się w tłum. A jak jest ze mną? Wystarczy jedno spojrzenie, a od razu widać, że jestem z Irlandii.

Podobnie poczułam się we włoskiej dzielnicy. Tutaj słychać było podniesione męskie głosy; nad moją głową ktoś rozwieszał pranie, starsze kobiety ubrane na czarno siedziały na stopniach domów w porannym słońcu, niemowlęta płakały, dzieci bawiły się na ulicach, sprzedawcy pchali swoje wózki z oliwkami, oliwą w dzbankach oraz z dziwnymi patyczkami, które, jak się domyśliłam, były suszonym makaronem spaghetti. Tutaj też czułam się bardzo obco. Nagle tuż obok przebiegła grupka urwisów. Mieli ciemne, zmierzwiłone czupryny, a na bruku zadźwięczały metalowe czubki ich butów. Na mój widok zatrzymali się na moment, a jeden z nich pociągnął mnie za włosy.

– Hej, proszę pani, pali się! – krzyknął z wyraźnym akcentem i zerwał mi z włosów wstążkę.

Nie wiedział, że dorastałam ze starszymi braćmi. Zaatakowałam znieczeka i odzyskałam wstążkę. Już więcej mnie nie zaczepiali.

Nie można pomylić Fulton Street z żadnym innym miejscem. Już z daleka dochodziły mnie zapachy targu rybnego. Cuchnęło tak strasznie, że musiałam wyjąć chusteczkę i przyłożyć ją do nosa. Na ziemi i w rynsztokach leżały rybie wnętrzności, a wokoło uwijali się sprzedawcy z wózkami, na których stały skrzynki pełne ryb. Minęłam targ i z ulgą weszłam na South Street, gdzie silny powiew od East River znów pozwalał odetchnąć pełną piersią. Dlaczego w tym wielkim mieście krewni Seamusa upatrzyli sobie akurat to miejsce?

Jedno trzeba przyznać. Widok był imponujący. Ponad głowami pysznił się most Brookliński, zawieszony majestatycznie w powietrzu. Jego delikatna konstrukcja kończyła się hen daleko na drugim brzegu. Rzeka była upstrzona sylwetkami najrozmaitszych łodzi i statków – zarówno tych dużych, które właśnie pokonały ocean, jak i małych barek podążających w górę rzeki. Chętnie postębałabym jeszcze chwilę dłużej, zachwycając się tym pięknym obrazem, ale znów dopadł mnie smród z targu rybnego. Przecięłam South Street i minęłam otwarte sklepy oraz warsztaty stolarskie, których właściciele zachęcali, by wejść do środka. Potem znalazłam się na wąskiej uliczce i stanęłam u celu swojej wędrówki.

Była to czynszowa kamienica, jeszcze gorsza, jeśli to w ogóle możliwe, niż dom przy Cherry Street, w którym mieszkałam zaraz po przyjeździe z Irlandii. W ciemnej, wąskiej klatce schodowej pachniało moczem, gotowaną kapustą i rybami. Wspięłam się po schodach, minęłam wózki dziecięce i pudła ze śmieciami. Zza zamkniętych drzwi dochodził płacz niemowląt, krzyki i kobiece śpiewy. Zatrzymałam się gwałtownie, kiedy coś przemknęło mi pod nogami. Za duże na mysz, pewnie szczur – pomyślałam.

Kiedy wreszcie dotarłam na piąte piętro, brakowało mi tchu. Modliłam się, żeby Seamus był w domu. Jakim cudem pokonuje te wszystkie schody, skoro ma chore płuca? Zapukałam, prosząc w duchu Boga, by tym razem Nuali nie było w środku. Już nigdy więcej nie chciałam jej spotkać. Ale Bóg nie wysłuchał mojej modlitwy. To ona otworzyła mi drzwi i stanęła w nich, całkowicie zasłaniając światło z mieszkania.

– Jezusie kochany! – powiedziała na mój widok. – Patrzcie tylko, co nam tutaj kot podrzucił na wycieraczkę.

– Też się cieszę, że cię znów widzę, Nualo – odparłam i spróbowałam ją ominąć, by wejść do środka, ale skutecznie blokowała mi przejście swoim wielkim cielskiem.

– Proszę, proszę! W końcu cię ten twój kochaś wyrzucił z domu? Wiedziałam, że tak będzie. Zawsze to powtarzałam, prawda, Seamusie? Nie mówiłam, że jeszcze do nas wróci z podkulonym ogonem? Ale nie licz na to, że pozwolimy ci tu zamieszkać. Jesteśmy ściśnięci jak sardynki w puszcze.

– Nawet do głowy by mi nie przyszło, żeby znów z tobą zamieszkać, Nualo – odparłam. – Mieszkam z dwiema przyjaciółkami w wygodnym apartamencie i nie mam żadnego kochasia. Przyszłam zapytać o zdrowie Seamusa.

Niechętnie ustąpiła i pozwoliła mi wejść do środka. Pokój był ponurą klitką bez okien, rozjaśnioną tylko lichym światłem marnej lampy. Seamus siedział w fotelu i wyglądał jak własny cień.

– Molly, moja droga – powiedział i z trudem podniósł się na nogi. – Jak miło cię widzieć! Cieszę się, że nas odwiedzasz.

– Martwiłam się o ciebie, Seamusie. Słyszałam, że musieliście się wyprowadzić. Przyszłam zobaczyć, jak mieszkacie.

– Trudno to może nazwać domem, ale musimy tu jakiś czas pozostać. Dopóki nie wrócę do pracy.

– Ale dlaczego wybraliście tak okropne miejsce? – nie wytrzymałam, choć po chwili zdałam sobie sprawę, jak nietaktowne było moje pytanie.

– Biedacy nie wybierają, prawda, Seamus? – wtrąciła się Nuala. – Jestem teraz jedynym żywicielem całej rodziny, a do pracy stąd mam bardzo blisko. Przynajmniej nie muszę się denerwować, że czeka mnie samotna droga do domu. Jest tylu pijaków na ulicach. Kobieta w tym mieście nie może się czuć bezpiecznie.

W skrytości ducha pomyślałam, że nawet bardzo pijany mężczyzna nie mógłby mieć żadnych niecnych zamiarów w stosunku do Nuali, ale tylko pokiwałam ze zrozumieniem głową.

– Tak więc Finbar znowu nie pracuje?

– Ten leń patentowany? Oczywiście, że nie. A kto by go zatrudnił? Kiedy pracował w barze, i tak przepijał całą pensję. Próbowaliśmy mu załatwić posadę gońca na targu, ale nie mógł nawet udźwignąć paczki – prychnęła z pogardą. – Śpi w drugim pokoju.

– Wszystko słyszę – dobiegł nas głos Finbara, a wkrótce pojawił się i on we własnej osobie. Stał w drzwiach w jasnej nocnej koszuli i białej czapce na głowie. Wyglądał jak duch. Twarz miał bladoszara, dokładnie w kolorze swojego ubrania. – Ile razy mam ci, kobieto, powtarzać, że znalazłem sobie pracę przy wyborach?

Uśmiechnął się do mnie szeroko, pokazując szczyrby między zębami.

– Przy wyborach! – prychnęła Nuala. – Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę na własne oczy.

– Sama zapytaj chłopaków z Tammany – nalegał Finbar. – Obiecali, że zapłacą mi za każdego człowieka, którego doprowadzę do urny i który postawi krzyżyk przy Shepherdzie. Nie ma znaczenia, czy przyjdzie z własnej woli, czy trochę mu pomogę.

– Pewnie zapłacą ci wódką – zadrwiła Nuala. – A potem się upijesz i znów cię wywalą z roboty.

Zanosilo się na poważną awanturę.

Zwróciłam się do Seamusa:

– A gdzie są dzieci? W szkole?

– Nie, jeszcze ich nie zapisałem – odparł. – Bridie poszła na zakupy, a chłopcy... Prawdę mówiąc, nie wiem, gdzie są.

– À propos zakupów. Po drodze wstąpiłam do sklepu, żeby kupić kurczaka i trochę winogron.

Znalazłam miejsce na stole i położyłam produkty między brudnymi naczyniami, wczorajszą gazetą i skarpetkami przygotowanymi do cerowania.

– Pomyślałam, że przyda ci się trochę witamin.

– To miło z twojej strony – powiedział Seamus. – Masz dobre serce, Molly Murphy.

Widziałam, że Nuala walczy ze sobą, zastanawiając się, czy nie odrzucić mojej pomocy, ale w końcu chciwość wzięła górę.

– Masz jakieś wieści od Kathleen? – zapytałam, zabierając Nuali sprzed nosa winogrona i wręczając je Seamusowi.

– Mam tylko złe wieści. Jej stan się pogarsza. Próbuje trzymać fason, ale jest coraz słabsza. Szkoda, że nie mogę przy niej być. Serce mi pęka. Mówię ci, Molly, często myślę, żeby zaryzykować i pożyczyć od kogoś pieniądze na bilet do domu.

– Wiem, że jest ci ciężko – odparłam. – Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że jak tylko zejdziesz na ląd, od razu wsadzą cię za kratki albo powieszą. Pomyśl o dzieciach. Jaka przyszłość je czeka, jeśli będą miały ojca w więzieniu i śmiertelnie chorą matkę?

– A jaka przyszłość czeka je teraz? Przy ojcu, który nie jest w stanie pracować? – odparł. – Niczym nie różnię się od Finbara.

Naszą rozmowę przerwał hałas na schodach. Ktoś szybko wbiegał na górę. Po chwili drzwi się

otworzyły i stanęła w nich Bridie. Bardzo się ucieszyła na mój widok.

– Molly, wróciłaś! Modliłam się o to na mszy w niedzielę.

Mocno przytuliłam jej drobne ciało.

– Co słyhać? Jak się miewasz ty i twój brat?

Uśmiechnęła się do mnie szeroko.

– Został pomocnikiem u Eastmansów.

– Co?

– On i nasi kuzyni dołączyli do gangu. Są gońcami. Biegają po mieście i wykonują różne zadania, czasem nawet dla jakichś ważnych ludzi. Dostają za to po dwadzieścia pięć centów każdy.

– Seamus, wiedziałeś o tym? – zapytałam przerażona.

Wzruszył ramionami.

– Nic złego nie robią. Przechwalają się tylko. Chłopcy zawsze biegają po mieście. Jak żrebaki.

Ale ja nie potrafiłam przejść nad tym do porządku dziennego. Zbyt wiele się wczoraj nasłuchałam na temat przemocy i tej niby opieki, którą oferowały gangi. Nie potrafiłam uwierzyć, że to tylko chłopięce zabawy. Wiedziałam też, że to ja muszę wydostać małego Seamusa z gangu. Powinnam jak najszybciej znaleźć własne mieszkanie i sprowadzić do niego całą rodzinę, przynajmniej do czasu, kiedy ojciec dzieci znajdzie nową pracę. Na samą myśl o tym, że będę musiała opuścić swoje małe niebo przy Patchin Place, ogarnęło mnie przygnębienie, ale czułam, że to mój obowiązek. Żyłam tylko dlatego, że Kathleen O'Connor, matka tych maluchów, umożliwiła mi ucieczkę z Irlandii. Poświęcenie paru miesięcy przyjemnego życia to i tak mało w porównaniu z tym, co ona zrobiła dla mnie.

Do domu wracałam, powłócząc nogami, zatopiona w ponurych myślach. Czy mogę pozwolić sobie na własne mieszkanie, w dodatku tak duże, by zaprosić Seamusa i jego dzieci? Nie chciałam przenosić się do jakiejś okropnej dzielnicy, na przykład takiej jak ta, w której mieszka rodzina O’Connorów. Najlepiej byłoby zostać w Greenwich Village, gdzie miałam już wielu dobrych przyjaciół i gdzie życie było takie ciekawe. Powinnam jakoś zacząć zarabiać pieniądze – pomyślałam. Przecież to wcale nie jest trudne. Muszę tylko przełamać opory i kontynuować pracę nad sprawą Tomlinsonów. No, chyba że będą chcieli mnie aresztować za każdym razem, kiedy udam się śladami pana T.

Westchnęłam głęboko. Szkoda, że nie mam innego charakteru. Zasady nie pozwalały mi swobodnie rozporządzać pieniędzmi Paddy’ego, które odkryłam w szufladzie biurka. Czekają teraz w banku, aż zgłosi się po nie spadkobierca. Ponieważ nikt się do tej pory nie pojawił, prawdopodobnie mogłabym uznać te pieniądze za swoje. Mimo to nie byłam w stanie przeznaczyć ich na prywatne cele.

Odskoczyłam od krawężnika, bo obok mnie przejechał rozpędzony powóz. Spod kopyt i kół bryznęło błoto z rynsztoków. Chyba nie pozostaje mi nic innego, niż śledzić pana Tomlinsona – pomyślałam. Powinnam się tylko modlić, by nie miał zbyt dużo wiekowych ciotek w tym mieście. Następnym razem muszę szybciej się dowiedzieć, kto mieszka w domu, do którego poprowadzi mnie mąż mojej klientki. To wszystko jest takie bez sensu! Dlaczego po prostu nie da żonie rozwodu? Poczułam nagle silną pokusę, by złożyć mu wizytę i ubłagać o spełnienie woli pani Tomlinson. Tyle kłopotów bym sobie dzięki temu oszczędziła! Przystanąłam w pół kroku na chodniku. Dlaczegoż by nie? Nie jest nigdzie powiedziane, że sprawy tego typu zawsze trzeba załatwiać identycznie – ukradkiem i po cichu. W końcu wszyscy jesteśmy dorośli!

Podjąwszy decyzję, zawróciłam na pięcie i zamiast wsiąść do tramwaju na Broadwayu, skierowałam kroki na Wall Street. Wiedziałam, gdzie znajduje się biuro pana Tomlinsona. Nieraz przed nim wystawałam. Sąsiadowało z pięknym, zdobionym kolumnami budynkiem giełdy, przed którym o każdej porze panował niebywały rozgardiasz. Zawsze mogłam się tam wmieszać w tłum. Tym razem tego nie zrobiłam. Weszłam po schodach do środka, a potem udałam się na piętro. Przystanąłam i popatrzyłam na swoje odbicie w lustrze. Dobrze, że włożyłam strój biznesowy – pomyślałam. Garsonkę w kolorze beżowym uszyłam na zamówienie zaraz po tym, jak zdecydowałam się rozpocząć karierę prywatnego detektywa. Szkoda tylko, że nie upięłam włosów. Z kucykiem związanym z tyłu głowy zwykłą wstążką wyglądałam niepoważnie i zbyt dziewczęco. Przystanąłam we wnęce i spróbowałam upiąć włosy w kok. Przyszło mi do głowy, że gdybym, tak jak inne kobiety, zawsze nosiła kapelusz, nie byłoby problemu. Nie lubiłam jednak kapeluszy i wkładałam je tylko wtedy, gdy było to konieczne. Zawsze uważałam, że kapelusz i gorset ograniczają kobietę; kapelusz – głowę, a gorset – całe ciało.

Na drugim piętrze znalazłam drzwi, a na nich tabliczkę – J. BAKER TOMLINSON III, MAKLER GIEŁDOWY. Przywitał mnie młody człowiek o pustym spojrzeniu, który bardzo chciał poznać cel mojej wizyty.

Dyplomatycznie uniknęłam odpowiedzi i wkrótce zostałam wprowadzona do eleganckiego pokoju. Stało w nim biurko z mahonią, a podłogę przykrywał gruby dywan.

– Panna Murphy? – Pan Tomlinson wskazał mi obite skórą krzesło. – Mój sekretarz nie powiedział dokładnie, co panią sprowadza. Czy chodzi o poradę finansową?

Zobaczyłam, że wzrokiem ocenia jakość mojego stroju. Popatrzył również na włosy, które prawdopodobnie zaczęły wymykać się z upiętego naprędce koka.

– Jestem tu w zupełnie innej sprawie, panie Tomlinson – odparłam. – Sprawie, o której jest mi dość niezręcznie mówić.

– Doprawdy? – Wydawał się zainteresowany i wcale niespeszony. – Proszę kontynuować. To intrygujące.

Wręczyłam mu swoją wizytówkę.

– Pańska żona jest klientką mojej firmy – powiedziałam, patrząc mu prosto w oczy. – Chciała, byśmy znaleźli dowody potrzebne do przeprowadzenia rozwodu.

Pan Tomlinson z impetem opadł na krzesło.

– Boże świąty! – westchnął i nawet nie zauważył, że bluźni w towarzystwie damy. – Lillian chce rozwodu? Nie wierzę! Dlaczego przyszła pani do mnie, skoro pracuje dla mojej żony? – zapytał podejrzliwie.

– Bo nie podoba mi się to wszystko – odrzekłam. – Nie lubię podglądać, kompromitowanie innych ludzi nie sprawia mi przyjemności. Obserwuję pana od kilku tygodni i wydaje się pan prawdziwym dżentelmenem. Nie tak jak pewien mężczyzna, którego kiedyś śledziłam. Ten zmieniał kochanki jak rękawiczki. Dlatego uznałam, że powinnam być z panem szczerą. Skoro żona pragnie rozwodu, może trzeba zachować się honorowo. Tym samym i pan, i ja unikniemy niezręcznych sytuacji.

Jeszcze przez chwilę patrzył na mnie ze zmarszczonym czołem, a potem nagle parsknął śmiechem.

– Ależ mnie pani zaskoczyła, panno Murphy! Zupełnie się tego nie spodziewałem. Nie przypuszczałem, że Lillian chce rozwodu. Od jakiegoś czasu rzeczywiście nie jesteśmy ze sobą zbyt szczęśliwi. Choroba żony ma duży wpływ na nasze pożycie.

– Pani Tomlinson jest chora?

Zaczerpnął głęboko powietrza i po namyśle odparł:

– Tak uważa. Pod byle pretekstem kładzie się do łóżka i wzywa na ratunek kolejnych lekarzy. Twierdzi, że nie mam serca i wcale jej nie współczuję, ale proszę mi wierzyć, próbowałem. Skarży się, że ciągle nie ma mnie w domu, ale kto by chciał wracać do żony uzależnionej od lekarstw, która chodzi spać o ósmej wieczorem?

Przerwał niespodziewanie, jakby zorientował się, że powiedział zbyt wiele.

– Wytrzymałem to wszystko, bo tak mnie wychowano, ale, na litość boską, jeśli ona chce rozwodu, chętnie jej go dam.

– A czy jest w pana życiu ktoś inny? – Już od dłuższego czasu korciło mnie, by zadać to pytanie. –

Śledzę pana od paru tygodni i nie trafiłam na żaden ślad.

– A teraz mam pani ułatwić zadanie? – Cień zdenerwowania przemknął przez jego twarz, ale po chwili pan Tomlinson ponownie się uśmiechnął. – Zabawna z pani kobieta, panno Murphy. Widzę, iż nie na darmo mówi się o Irlandczykach, że mają tupet.

Wyglądził ręką dokumenty na biurku, a potem znów podniósł wzrok.

– Skoro pani pyta... Jest pewna młoda dama, względem której mógłbym mieć jakieś zamiary, ale nie pozwalały mi na to okoliczności. Jak już mówiłem, wychowano mnie w duchu konkretnych wartości, więc rzuciłem się w wir pracy, a myśli o kobietach odłożyłem na bok.

Wysłałam z biura Johna Bakera Tomlinsona z przyjemnym uczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Teraz i ona, i on dostaną to, czego chcieli. Lillian pozbedzie się męża, który nie zwraca na nią uwagi, a John będzie mógł związać się z kimś innym. Zawsze wiedziałam, że szczerść popłaca. Ileż czasu zmarnował Paddy, stojąc w ciemnych alejkach i pstrykając kompromitujące zdjęcia! A ja swoją pierwszą sprawę rozwodową zakończyłam pomyślnie bez żadnego wysiłku!

W drodze do domu zatrzymałam się na poczcie i kupiłam znaczek na list do Dublina. Już miałam wychodzić, gdy wesoły wąsaty urzędnik zawołał za mną:

– Czy to nie pani pracowała przypadkiem dla Paddy’ego Rileya?!

– Tak, to ja.

– Właśnie przyszedł list adresowany do firmy Riley i Partnerzy – powiedział i wręczył mi kopertę.

Podziękowałam i włożyłam list do torebki, mimo że strasznie chciałam od razu zobaczyć, co jest w środku. Kiedy znalazłam się na ulicy, szybko rozerwałam papier.

List był napisany na maszynie: *Pan Max Mostel prosi, by w miarę możliwości złożyć mu szybko wizytę. Chodzi o sprawę poufną i delikatną.* W adresie nadawcy podano: Canal Street. To dzielnica fabryczna. Pamiętałam, że jest tam też trochę sklepików i tawern. Czyżby kolejna sprawa rozwodowa? Jeśli tak, adres wydaje się dość dziwny. Jednocześnie klient prosi o dyskrecję... Ciekawe, że tym razem nadawcą jest mężczyzna. We wszystkich wcześniejszych sprawach rozwodowych, które rozwiązywał Paddy, zleciennodawcą była kobieta. Interesujące! Najbardziej jednak spodobała mi się perspektywa zarobienia pieniędzy i wynajęcia własnego mieszkania.

Kiedy wróciłam do domu, nie było w nim jeszcze moich przyjaciółek. Prawdopodobnie robiły zakupy na pobliskim targu. Z ulgą pobiegłam na górę. Usiadłam za biurkiem i napisałam ogłoszenie do gazety „Dublin Times”. *Straciłeś kontakt z bliskimi, którzy wyjechali do Ameryki? Prywatny detektyw dyskretnie ich odszuka. Łączenie rodzin to nasza specjalność.* Pomięłam płęć detektywa, nie wspomniałam też, że dotychczas żadnej rodziny nie udało mu się połączyć. W załączonym liście zapytałam redakcję o cenę stałej współpracy i zobowiązałam się do uiszczenia opłaty, jak tylko uzyskam odpowiedź. Potem wysłałam z domu, by wrzucić list do skrzynki pocztowej, która znajdowała się na końcu ulicy. Wracając, ujrzałam Sid i Gus. Szły w moją stronę. Gus niosła naręczę kwiatów, a Sid – pełne kosze zakupów.

– Spójrz, Gus! Nasze dziewczę obudziło się i wygląda znacznie lepiej. Nie uwierzysz, Molly. Gus

chciała wykupić cały targ.

– Wcale nie! Miałam ochotę tylko na ostrygi, ale Sid mi nie pozwoliła, choć przecież mamy „r” w miesiącu. Powinny być dobre.

– Nie wyglądały najlepiej. Śmiałam twierdzić, że były nieświeże – odparła Sid. – Mój wujek zmarł po zjedzeniu ostrygi. Nie pozwolę ci ryzykować.

– W tej sytuacji musiałam ograniczyć się do homarów. Są bardzo świeże; jeszcze przed chwilą pływały sobie spokojnie w wodzie, więc Sid nie może narzekać. Wieczorem zamierzam przygotować prawdziwą bostońską ucztę z homarami w roli głównej. Kogo zaprosimy?

– Kogoś, kto nie będzie się brzydził i wsadzi te potwory do wrzątku – odparła Sid.

Śmiejąc się bez troski, powędrowałyśmy w stronę domu. Po raz kolejny zdałam sobie sprawę, że bardzo trudno mi będzie zostawić przyjaciółki i przenieść się do własnego mieszkania.

Po południu, kiedy Sid i Gus były zajęte przygotowywaniem uczyty homarowej, upięłam starannie włosy, poświęcając na ten cel chyba ze dwadzieścia szpilek, potem włożyłam jedyny porządny kapelusz, jaki znalazłam w szafie, i starając się wyglądać profesjonalnie i poważnie, wyruszyłam na spotkanie z panem Maxem Mostelem. Idąc Bowery na południe, a potem skręcając w Canal Street, czułam coraz większe podekscytowanie i ciekawość. Z całą pewnością nie była to szanowana dzielnica domów mieszkalnych – znajdowały się tu przede wszystkim warsztaty, podupadłe bary i gdzieś tam obskurne pensjonaty. Do głowy by mi nie przyszło, żeby szukać klientów w takiej okolicy. Pod numerem 438 nie było żadnych mieszkań. Drzwi na parterze stały otworem, a ze środka dobiegały dźwięki młotków i maszyn do szycia. Jakiś człowiek nakładał bejcę na świeżo zrobione krzesło. Zapytałam go o pana Mostela i zostałam skierowana do drugiego wejścia za rogiem, a potem na górę. Wiedziałam już, że idę do biura, nie do mieszkania. Wspięłam się ciemnymi, wąskimi schodami najpierw na pierwsze, potem na drugie piętro; w końcu na trzecim stanęłam przed drzwiami z tabliczką: MOSTEL I KLEIN, MODA DAMSKA. Zapukałam i weszłam do korytarza, w którym przygotowywano paczki z ubraniami. W pomieszczeniu kręcili się pracownicy, nosząc wielkie pudła. Układali je na prymitywnej platformie przy oknie, po czym spuszczali na ulicę. Zapytałam o pana Mostela.

– Jest w biurze. Dwa piętra wyżej. Proszę przejść przez halę główną i znaleźć schody na samym końcu – powiedział jakiś starszy mężczyzna, ocierając pot z twarzy.

Pokonałam więc jeszcze dwie kondygnacje i zatrzymałam się przed zamkniętymi drzwiami. Zapukałam, a kiedy pozwolono mi wejść, ujrzałam przed sobą ciemną salę pełną ciasno ustawionych stanowisk z maszynami do szycia. W równych rzędach siedziały młode dziewczyny i pochylały się każda nad swoim kawałkiem materiału. Widok nie był mi zupełnie obcy. Kiedyś, gdy miałam się każdego zajęcia, jakie wpadło mi w ręce, pracowałam w podobnym miejscu. Nie podobało mi się ani tam, ani tutaj. W pokoju huczało od maszyn. Sto par nóg naciskało na pedały, sto igieł wędrowało w górę i w dół. Przy ścianach jedna na drugiej leżały bele materiałów. Panowała tu straszna duchota, a podłogę pokrywała gruba warstwa kurzu. Kiedy kichnęłam, kilka dziewcząt odwróciło się w moją stronę, popatrzyło przez chwilę,

a następnie wróciło do swojej pracy. Odniosłam wrażenie, iż żałują, że oderwały się od swoich zajęć. Nikt nie odezwał się ani słowem, gdy szłam przez salę, ale w końcu usłyszałam za sobą męski głos:

– Hej, a ty dokąd?

Właściciel każdej szwalni na świecie zatrudnia przynajmniej jednego wrednego kierownika, który ma za zadanie siać postrach wśród szwaczek. Ten był blady i wątki, a w oczach miał coś, co bardzo mnie zaniepokoiło. Wydawał się zdecydowanie gorszy niż mój przełożony w szwalni, w której kiedyś pracowałam. Na szczęście nic mi nie mógł zrobić. Spojrzałam wyniośle.

– Zmierzam do biura pana Mostela. Może pan zapytać, czy mnie teraz przyjmie?

– Do biura pana Mostela? Widzę, że panna Ważniacka. Jeśli chodzi o pracę, to ja tu rządzę. Szef nie życzy sobie spotkań ze śmierdziuchami.

– Wykąpałam się dzisiaj rano, więc nie jestem śmierdziuchem – odparłam i usłyszałam, jak dziewczęta, które rozumiały angielski, chichoczą.

– Dzisiaj rano otrzymałam list od pana Mostela. Prosił w nim, bym czym prędzej złożyła mu wizytę.

Już miałam mu wręczyć swoją wizytówkę, ale przypomniałam sobie, że sprawa jest poufna i delikatna. Nie ma potrzeby informować tego obrzydliwego typka i jego podopiecznych, w jakiej sprawie odwiedzam ich szefa.

– Chodź za mną – powiedział. – Ale jeśli będzie wściekły, to nie moja wina.

Poprowadził mnie kolejnymi schodami, omijając slalomem stojące niemal na każdym schodku pudełka z nićmi i tasiemkami. Zapukał do drzwi, a potem otworzył je ostrożnie.

– Panienska do szefa. Podobno dostała od pana list.

Minęłam mężczyznę i weszłam do środka. Biuro było malutkie i zagracone. Na podłodze znów leżały bele materiału. W rogu stał manekin w bluzce z falbanami i czarnej spódnicy. Pan Mostel siedział przy biurku, na którym panował niewyobrażalny bałagan. Był mężczyzną przy kości, o pokaźnych szczękach. Wyraźnie pocił się w trzyczęściowym garniturze. W kąciku ust trzymał cygaro.

– Tak. O co chodzi?

Wręczyłam mu wizytówkę.

– Napisał pan do mnie, więc przyszedłam.

Spojrzał na wizytówkę, potem na pomocnika.

– No i czego jeszcze tu stoisz?! – krzyknął z silnym akcentem. – Biegiem na dół, zanim któraś z dziewczyn znów schowa sobie parę metrów mojej wstążki pod spódnicę. Dalej, szybko! *Raus!* I zamknij za sobą drzwi.

Pomocnik uczynił to z wielkim hałasem. Kiedy zniknął, Max Mostel zmarszczył brwi i bacznie mi się przyjrzał.

– Rzeczywiście napisałem do pani?

Przytaknęłam.

– Panna Murphy. Młodszy partner w firmie Paddy’ego Rileya. Przykro mi, jeśli spodziewał się pan

mężczyzny, ale zapewniam, że jestem bardzo skuteczna.

– Nie, nie spodziewałem się mężczyzny – odparł. – Do tego zlecenia potrzebuję kobiety. Pytałem trochę na mieście. Ptaszki ćwierkały, że właśnie pani zajmuje się takimi sprawami. Mam rację?

– Nie wiem, o co konkretnie chodzi, panie Mostel.

– Potrzebuję szpiega. Szpiega, który czegoś się dowie.

– Rozumiem. A czego konkretnie, jeśli mogę wiedzieć?

Pochylił się konfidencjonalnie w moją stronę, mimo że drzwi były zamknięte i nikt nie przysłuchiwał się naszej rozmowie.

– Mamy tu wtyczkę.

Rozejrzałam się po pokoju, niepewna, o czym mówi.

– Wtyczkę? – powtórzyłam.

– Mamy w naszych szeregach zdrajcę, panno Murphy. Sprzedawczyka. Proszę spojrzeć na te projekty. – Wręczył mi katalog otwarty na stronie z rysunkiem długiej gładkiej sukni z wysokim kołnierzem i rozkloszowanym dołem.

– Bardzo ładna – zauważyłam.

– I była w sprzedaży we wszystkich dobrych sklepach już tydzień wcześniej, nim my ukończyliśmy pierwszą partię. Z naszytą metką Lowensteina. Mój wzór! Moja sukienka! Ale cholerna metka jego.

– Jest pan pewien, że to nie pechowy zbieg okoliczności?

Potrząsnął głową tak gwałtownie, że aż zadrgały mu policzki.

– Ukradziono mi ten wzór sprzed nosa! I to nie po raz pierwszy. Panno Murphy, mam wśród pracowników zdrajcę, który jednocześnie pracuje dla Lowensteina. Zdrajcę z lepkiemi łapskami, co kradnie moje projekty i potajemnie przekazuje konkurencji, a ta w pośpiechu je kopiuje.

– I chce pan, żebym się dowiedziała, kim jest ta osoba?

– Właśnie tak. Czy kiedykolwiek miała pani do czynienia z przemysłem włókienniczym, panno Murphy?

– Bardzo krótko.

– Ale będzie pani potrafiła obsłużyć maszynę do szycia?

– Jako tako.

– To i tak bez znaczenia. Przyjmiemy panią do nas, przeszkolimy, a kiedy nabierze pani wprawy, poproszę, by podjęła pani pracę u Lowensteina. Będzie pani mieć oko na pracowników w obydwu firmach. Zobaczymy, kto da się złapać na gorącym uczynku.

Kiwnęłam głową.

– Dobrze, niech tak będzie. Kto ma dostęp do pańskich wzorów?

– Niewiele osób. Krawcowe i krojczy widzą je w całości, ale dziewczęta na dole szyją tylko po kawałku, to, co akurat im przydzielimy. Martwią się albo o rękaw, albo o kieszeń czy kołnierzyk. Nigdy

nie widzą projektów w całości.

Dotknął czubka nosa.

– Co oczywiście nie znaczy, że jakaś bystra dziewczyna nie mogłaby węszyć, gdyby się postarała. Tylko nie wiem w jaki sposób. Przez większość dnia jestem w biurze. Projekty trzymam w tej szufladzie. A kiedy wychodzę, zawsze zamykam drzwi na klucz.

– Czy na tym piętrze znajduje się tylko pańskie biuro? A pan Klein?

– Pan Klein? – Mostel wydawał się zaskoczony. – Nie żyje, panno Murphy. Nie ma go z nami już dwa lata. Panie świeć nad jego duszą!

– Bardzo mi przykro. Kto w takim razie może zaglądać do pańskiego gabinetu w ciągu dnia?

– Mój zastępca, prawa ręka, ale proszę mi wierzyć, mam do niego całkowite zaufanie. Wzory wykonujemy na zapleczu, w małym pokoiku za biurem, więc nikt nie może strojów zobaczyć, dopóki nie są gotowe. A poza tym jeśli jest problem z pracownicą na dole, to zawsze ja schodzę na salę, dziewczęta nie zagląдают tutaj do biura.

– A kupcy?

– Też ja się do nich fatyguję. Przecież nie mogę im kazać wchodzić na piąte piętro.

– To może ktoś podkrada projekty, gdy wszyscy inni idą do domu?

– Zabieram rysunki ze sobą.

– W takim razie złodziejem jest ktoś, kto przebywa tu za dnia.

Kiwnął głową.

– Taka drobna zagadka, prawda? Panno Murphy, podejmie się pani tego zadania? Postaram się to pani wynagrodzić.

– Ta praca może mi zająć ładnych parę tygodni – odparłam. – Oczekuję wynagrodzenia w wysokości stu dolarów oraz pensji, jaką bym tutaj dostawała za pracę szwaczki.

Położył rękę na piersi.

– Sto dolarów? Panno Murphy, pani ma mi pomóc, a nie doprowadzić mnie do ruiny.

– Zapewniam pana, panie Mostel, że jest to suma, z którą muszą się liczyć moi klienci. Jeśli sądzi pan, że znajdzie się ktoś, kto wykona tę pracę za mniejsze pieniądze... – Wstałam, nie kończąc zdania.

Pan Mostel wzruszył ramionami.

– Cóż, jeśli jest to cena, którą muszę zapłacić, by spać spokojnie, pewnie nie mam wyjścia. Dzieci będą musiały przez parę miesięcy zadowolić się kapuśniakiem i ciemnym chlebem.

– Słyszałam, że kapuśniak to bardzo zdrowa zupa, jeśli się ją odpowiednio doprawi – zauważyłam.

Pan Mostel uśmiechnął się, a cygaro w jego ustach podskoczyło z góry na dół.

– W takim razie umowa stoi, panno Murphy. – Wyciągnął do mnie tłustą dłoń.

Podaliśmy mu swoją.

– Miło mi, panie Mostel. Zabieram się do pracy.

W drodze powrotnej do domu czułam, jak rozpiera mnie radość. Mam wreszcie prawdziwą detektywistyczną zagadkę do rozwiązania! Mogę się w nią zaangażować i zapomnieć o polowaniu na niewiernych kochanków – rozmyślałam. Nie powinnam mieć problemu z wtopieniem się w tłum dziewcząt pracujących w szwalni, bo przecież tak naprawdę jestem jedną z nich. Może w porównaniu z pozostałymi pracownicami znajduję się w ciut lepszej sytuacji, ale wciąż przecież walczę o przeżycie w nowej ojczyźnie. Będę musiała co prawda nabrać wprawy w szyciu, co może okazać się dość trudne, bo robótki ręczne nigdy nie były moją mocną stroną, sądzą jednak, że dam sobie radę.

Drzwi do domu przy Patchin Place 9 stały otworem, a ze środka dochodził wesoły gwar. W korytarzu unosiły się wspaniałe zapachy. Gus studiowała ogromną książkę kucharską, a Sid wieszała w ogrodzie papierowe lampiony. W zlewie kłębiły się homary. Nawet nie zdążyłam opowiedzieć o nowym zleceniu, bo Gus od razu przydzieliła mi zadanie.

– Molly, jesteś w samą porę. Potrzebuję pomocy przy krojeniu cebuli.

Dała mi fartuch i zaangażowała w szaleńcze przygotowania. O ósmej wieczorem wszystko było naszykowane, a dom zaczął się zapełniać gośćmi: pisarzami, malarzami, poetami i wolnomyślicielami. Homarów nie starczyło dla wszystkich, ale nie miało to znaczenia. Grunt, że było wino i piwo. Wszyscy świetnie się bawili. Jeśli chodzi o mnie, siedziałam z boku i obserwowałam. W świecie artystów i intelektualistów wciąż byłam nowicjuszem, więc nie czułam się swobodnie w rozmowach. Za to chętnie przysłuchiwałam się dyskusjom na różne tematy i chłonełam klimat przyjęcia. Dyskutowano najpierw o prawach kobiet, potem o kontroli urodzeń, następnie o anarchistach. Na koniec rozmowa zeszła na nowojorskich polityków i zbliżające się wybory burmistrza.

– Rzeczywiście, wydaje się, że Tammany trochę traci wpływy – zauważył Lennie, znajomy malarz, wymachując kolbą słodkiej kukurydzy, nowym, bardzo popularnym przysmakiem. – Ten Shepherd nie ma zbyt dużego poparcia. Wszyscy mówią, że tylko Seth Low zdoła uporać się z korupcją, którą zaprowadził Charlie Murphy.

– Nie rozumiem, dlaczego w ogóle rozmawiamy o wyborach, w których połowa z nas nie może wziąć udziału – powiedziała Sid ze złością. – Nie ma znaczenia, kto wygra. I tak nic się nie zmieni, rządzić będzie zasada „ręka rękę myje”.

– A jakie jest pana zdanie, panie Clemens? – Gus zwróciła się do starszego mężczyzny z bujną siwą czupryną i długimi wąsami. Był najstarszy ze wszystkich i nie wyglądał na osobę z artystycznego środowiska. Zastanawiałam się, jakim cudem w ogóle został zaproszony.

Zagadnięty, uśmiechnął się szeroko.

– Uważam, że kobiety powinny otrzymać prawa wyborcze. To natychmiast ograniczy tyranów i dyktatorów. Kobiety zawsze wybiorą sensowne i dobre dla wszystkich rozwiązanie, a nie korupcję

i walkę o władzę.

Wszyscy w pokoju zaczęliśmy bić brawo. Zastanawiałam się przez chwilę, czy to przypadkiem nie jest jakiś polityk. Szturchnęłam Gus, która stała obok.

– Kim jest ten człowiek?

Spojrzała zdziwiona.

– Nie słyszałaś o Samuelu Clemensie^[1]?

Pokręciłam głową.

– To jeden z najznakomitszych pisarzy. Właśnie wrócił z Europy i postanowił zamieszkać w naszej wiosce zabitej deskami. Fascynujący, prawda?

Musiałam się z nią zgodzić. Postanowiłam, że w najbliższym czasie kupię sobie jakąś jego książkę. Autor, który postuluje prawo wyborcze dla kobiet, z pewnością zasługuje na to, by czytać jego dzieła.

Rozmowy przeciągnęły się aż do późnej nocy, a i moje rozmyślenia stawały się coraz bardziej filozoficzne. Goście Sid i Gus oraz dziewczęta ze szwalni, które poznałam zaledwie parę godzin temu, to dwa zupełnie odrębne światy – myślałam. Zdawałam sobie sprawę, że wśród obecnych są również tacy, co ledwo wiążą koniec z końcem. Znajomy malarz, grubasek, jadł tylko wtedy, gdy udało mu się sprzedać jakiś obraz. Ale sprawy przyziemne nie były dla tych ludzi najważniejsze. Jeśli musieli wybrać między nową farbą a jedzeniem, wybierali farbę. Dziewczęta ze szwalni poświęcały swoje najlepsze lata, pracując w strasznych warunkach, i zarabiałały jedynie na chleb oraz mieszkanie. Pewnie myślały, że nie mają w życiu innego wyjścia. Ale czy przypadkiem nie jest tak, że każdy z nas ma jednak jakiś wybór?

W końcu stwierdziłam, że te dziwne myśli chodzą mi po głowie tylko od nadmiaru wina.

Ostatni goście wyszli dopiero o świcie. Padłyśmy do łóżek, ale po chwili obudziło nas głośnie walenie do drzwi. Usłyszałam, jak Sid schodzi na dół, szurając kapciami, z kimś rozmawia, a potem wraca na górę i woła cichutko:

– Molly, śpisz?! Jakiś człowiek ma dla ciebie wiadomość.

Głowa pękała mi od alkoholu. Zarzuciłam na siebie szlafrok i zeszłam na parter.

Młody goniec zdziwił się, gdy zobaczył mnie w domowym stroju.

– Przesyłka od pani Tomlinson – powiedział i wręczył mi list.

Musiałam zawrócić do sypialni i znaleźć parę drobnych, by wręczyć je chłopcu za fatygę. Potem otworzyłam kopertę. Miałam nadzieję, że znajdę w niej czek i podziękowanie. Zamiast tego przeczytałam, że pani Tomlinson wzywa mnie do siebie tak szybko, jak to tylko możliwe. Prawdopodobnie jest dobrze wychowana i pragnie podziękować mi osobiście – pomyślałam.

Zaraz po śniadaniu, odpowiednio ubrana, wyruszyłam na East Side. Zostałam zaproszona do salonu, w którym pani Tomlinson odpoczywała na szezlongu. Wyglądała blado i mizernie, ale jak tylko weszłam, podniosła się gwałtownie.

– Panno Murphy... – zaczęła.

– Przyszłam natychmiast.

– Wczoraj odwiedziła pani mojego męża...

– Zdecydowałam, że tak będzie lepiej dla wszystkich. Pani mąż wydaje się prawdziwym dżentelmenem. Czułam się niezręcznie, starając się go nakryć z inną kobietą. Postanowił zachować się elegancko. Pewnie czuje pani ogromną ulgę?

– Ulgę? Głupia dziewczyno, prosiłam o dowody, a nie o to, żebyś wtrącała się w moje życie. Spójrz, do czego doprowadziłaś!

– Mąż nie chce dać rozwodu? – Byłam skonfundowana.

– Oczywiście, że da mi rozwód – podniosła głos. – Przyszedł wczoraj do mnie do pokoju i powiedział, że z przyjemnością odda mi wolność, skoro czuję się w tym małżeństwie jak w więzieniu.

– Czyż nie o to pani chodziło?

Obrzuciła mnie lodowatym spojrzeniem.

– Zupełnie nie o to mi chodziło. Wcale nie chciałam się rozwodzić. Miałam nadzieję, że moje działania sprawią, iż mąż zacznie mi poświęcać więcej uwagi i zda sobie sprawę z tego, jak haniebnie mnie zaniedbuje. Ale teraz... – przerwała i przyłożyła do ust chusteczkę, by stłumić szloch – teraz uważa, że rozwód da nam obojgu upragnioną wolność. Straciłam męża, panno Murphy. Wszystko przez panią i jej mieszanie się w nie swoje sprawy.

– Tak mi przykro, pani Tomlinson – powiedziałam. – Ale przecież prosiła mnie pani o znalezienie dowodów potrzebnych do rozwodu. Tak na marginesie, nie znalazłam żadnej rysy na charakterze pani męża.

Moje słowa wywołały jeszcze większą rozpacz.

– Może jeśli opowie mu pani o prawdziwych motywach swojego postępowania, uda się państwu naprawić małżeństwo – zasugerowałam, ale ona milczała.

Postanowiłam, że najbezpieczniej będzie się oddalić, ale nie miałam sumienia prosić o wynagrodzenie. Trudno – zdecydowałam. To i tak ostatnia sprawa rozwodowa. Zajmę się teraz prawdziwym śledztwem, które z pewnością pójdzie mi znacznie lepiej.

Zbudził mnie przeraźliwy dźwięk dzwonka. Usiadłam w ciemności, a serce biło mi jak szalone. Pożar, to na pewno dzwonki wozu strażackiego – pomyślałam. Ale potem moja stopa dotknęła zimnej podłogi i uświadomiłam sobie, że poprzedniego wieczoru pożyczyłam od Sid budzik, żeby wstać o szóstej i na siódmą zdążyć do szwalni Mostela i Kleina. Idąc na dół do łazienki, przypominałam sobie, że śnił mi się pożar.

Po toalecie, trzęsąc się z zimna, wróciłam do pokoju, włożyłam starą białą bluzkę i spódnicę w kratkę, którą miałam na sobie podczas podróży z Irlandii. Zamiast upiąć włosy, związałam je skromnie z tyłu. Powinnam wyglądać jak imigrantka, która właśnie przyплыnęła do Ameryki. I oczywiście będę musiała uważać na słowa. Poprzednio, kiedy pracowałam jako szwaczka, powiedziałam kierownikowi, co o nim myślę, i oczywiście po tygodniu zostałam zwolniona. Nie tylko zresztą mój niewyparzony język zawinił – dużą partię rękawów wszyłam na lewą stronę.

Cichutko, na paluszkach, by nie obudzić Sid i Gus, zesłam do kuchni i poczęstowałam się kromką czerstwego chleba z dżemem. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, jaka codzienność mnie od dzisiaj czeka. Czy wczorajszy entuzjazm był uzasadniony? Stary chleb i dwanaście godzin pracy w zamkniętym pomieszczeniu zamiast spokojnego śniadania, świeżego pieczywa i filiżanki mocnej kawy przygotowanej przez Sid? Jeśli tak ma wyglądać życie detektywa, może jednak powinnam się rozejrzeć za inną, bardziej konkretną pracą?

Wyszłam na zimny, szary poranek. Na targu panował już gwar, ale Washington Square był wciąż jeszcze wyludniony. Za wcześnie na studentów i artystów! Jednak na Bowery miasto zaczynało żyć. Tramwaje dzwoniły, kiedy spieszący do fabryk robotnicy przebiegali przez ulicę. Pojazdy pocztowe sunęły ciągnięte przez wielkie, krępe konie. Na Canal Street znalazłam się dziesięć minut przed czasem, więc zanim weszłam do budynku, miałam chwilę, by zebrać myśli. Pan Mostel dał mi dokładne instrukcje. Nikt nie może się dowiedzieć, że nie jestem zwyczajną pracownicą. Mam wmieszać się w tłum i obserwować. Ale nie kosztem pracy. I nikt nie może zauważyć, że wsadzam nos w nie swoje sprawy. Poza tym będą mnie tu traktować jak każdą inną dziewczynę, co – kiedy przypomniałam sobie wrzeszczącego kierownika – nie wydawało się przyjemną perspektywą. Ale to przecież tylko parę tygodni – pocieszałam się. Tyle chyba wytrzymam, prawda?

Grupa dziewcząt kierowała się w stronę schodów. Dołączyłam do nich. Niektóre patrzyły na mnie z zaciekawieniem. Przysłuchiwałam się rozmowom, jakie prowadziły, ale po chwili zdałam sobie sprawę, że nie rozumiem ani słowa. Dziewczęta przede mną rozmawiały w jidysz, a te za mną – po włosku. Pomyślałam, że to zlecenie wcale nie będzie takie łatwe. Jeśli jakieś pracownice są w zмовie, trudno mi będzie podsłuchać, o czym szepczą. Muszę przede wszystkim polegać na swoim zmyśle obserwacji i na intuicji.

Kiedy dziewczęta weszły na górę, powiesiły na kołkach swoje kapelusze i szale, a potem zajęły miejsca przy maszynach. Rozglądałam się dookoła, nie wiedząc, co dalej robić.

– Jesteś nowa, tak? – zapytała jedna z nich łamaną angielszczyzną.

Przytaknęłam nieśmiało.

– Musisz poczekać, aż przyjdzie Obłeśny Sam – dodała druga. Była wysoka, szczupła i bardzo ładna, w eleganckiej białej bluzce z kołnierzykiem spiętym kameą. – On ci powie, gdzie masz usiąść.

– Obłeśny Sam? – zapytałam z niewinną miną.

Uśmiechnęła się.

– Tak nazwałyśmy naszego kierownika, Sama Waltersa. Tylko uważaj, żeby nie usłyszał tego przezwiska. Inaczej od razu wylecisz. – Przyjrzała mi się z zainteresowaniem. – Nie jesteś ani Żydówką, ani Włoszką. Angielka?

– Nie. Jestem z Irlandii.

– Bardzo zabawne.

– Co zabawne? Że jestem z Irlandii? – Wysunęłam podbródek i zacisnęłam ręce w pięści. Nikt nie ma prawa żartować sobie z Irlandczyków!

– Przepraszam. Nie o to mi chodziło. To dziwne. Po prostu dziwne. Dziewczęta, które dobrze mówią po angielsku, nie zostają tu zbyt długo. Potrafią pyskować. Dlatego Sam najchętniej zatrudnia takie niemoty jak my. Nie umiemy się kłócić. Mam na imię Sadie. Sadie Blum.

– Molly Murphy – odparłam, grzecznie podając jej rękę. – Miło cię poznać, Sadie. Świetnie mówisz po angielsku.

– Jestem tutaj już dwa lata. Uczę się dość szybko.

Kilka innych dziewcząt stanęło obok, przysłuchując się naszej rozmowie. Jedna z nich dotknęła mojego ramienia i zapytała:

– Czy to nie ty byłaś tutaj wczoraj? Z wizytą u szefa?

Patrzyła na mnie podejrzliwie.

– Tak, to ja. Przyniosłam mu wiadomość od dawnego znajomego z Europy. Potem pomyślałam, że przy okazji zapytam o pracę.

Zobaczyłam, że wymieniają między sobą spojrzenia.

– Nie, nie martwcie się – powiedziałam. – Szef dał mi wyraźnie do zrozumienia, że nie mogę liczyć na specjalne traktowanie tylko dlatego, że poznał kiedyś mojego wujka.

– Co się tu dzieje! Czy dzisiaj jest jakieś święto, o którym nic nie wiem? – usłyszałyśmy nagle gruby męski głos. Należał oczywiście do Obleśnego Sama.

– Nawet gdyby tak było, nie dałby nam wolnego – szepnęła mi Sadie na ucho.

– Do roboty! Jest już minuta po siódmej. Do maszyn i bez gadania! Znacnie zasady.

Dopiero teraz mnie zauważył.

– Co tu robisz?

– Nazywam się Molly Murphy. Pan Mostel powiedział mi, że mogę dzisiaj zacząć pracę.

– Dobrze cię pamiętam – prychnął Sam. – Te bzdury o jakichś wiadomościach dla szefa. Tak naprawdę chodziło ci tylko o pracę!

– Nie kłamałam – odparłam. – Przekazałam panu Mostelowi list od dawnego znajomego. Podczas rozmowy postanowiłam, że zapytam o pracę.

– Tylko nie licz na to, że będę cię traktował inaczej niż resztę dziewczyn – powiedział Sam z obrzydliwym uśmiechem.

– Nawet mi to do głowy nie przyszło. Nic oprócz jednego listu nie łączy mnie z pańskim szefem. To w końcu gdzie mam usiąść?

– A co potrafisz? Umiesz szyć na maszynie?

– Potrafię obsługiwać maszynę, ale dawno nic nie szyłam. Pan Mostel zasugerował, żebym dla wprawy zaczęła od czegoś prostego.

– W takim razie zaczniesz od kołnierzyków. Siadaj obok Gołdy. Odpowiada za nowe pracownice. Pokaże ci, co robić.

Postawna kobieta w średnim wieku, w czarnej sukni zapiętej pod szyją, podsunęła mi stołek i ruchem ręki zachęciła, bym usiadła obok niej.

– Posadź tu, skarbie, pupcię i zaczynamy – powiedziała, miło się do mnie uśmiechając. – Przyniosłaś igłę?

– Igłę?

– Tak. Wszystkie dziewczęta przychodzą ze swoją igłą. Nici też musisz mieć. Teraz możesz popracować na moich, ale w przerwie wyskocz, proszę, do sklepu bławatnego i kup sobie igłę średniej grubości, a także szpulkę białych nici.

– Musimy kupować własne igły i nici? – zdenerwowałam się, zanim przypomniałam sobie, że mam być cicha, nieśmiała i nie zwracać na siebie uwagi.

Gołda była zaskoczona.

– Tak jest we wszystkich szwalniach. Gdzie ostatnio pracowałaś?

– W niewielkim zakładzie w Irlandii – skłamałam. – Tam było inaczej. Tylko parę dziewcząt i przyjemna atmosfera.

– Zazdroszczę – odparła smutno. – Tutaj atmosfera raczej nie wyda ci się przyjemna. To przede wszystkim zasługa Oblesnego Sama. Pilnuje, byśmy były nieszczęśliwe. W ogóle nie wolno nam rozmawiać. Jeśli kogoś złapie na gadaniu, zabierze mu z pensji pięć centów. Teraz się nas nie czepia, bo uczę cię, jak masz szyć. Patrz uważnie.

Wzięła do ręki dwa kawałki kołnierzyka, starannie je połączyła, a potem przejechała płynnie maszyną po trzech krawędziach.

– Gładką stroną na wierzchu. Rozumiesz?

Przytaknęłam i w odpowiedzi zrobiłam to samo, tylko znacznie, znacznie wolniej.

– Dobrze. Poradzisz sobie – powiedziała chwilę później. – Szybko się uczy, Sam. Może już zacząć pracować.

Sam zaprowadził mnie do pustego miejsca obok Sadie, która uśmiechnęła się życzliwie. Po prawej stronie maszyny czekała na mnie sarta kołnierzyków do szycia. Zaczęłam pracować. Kiedy kończyłam kolejną sztukę, podchodziła do mnie drobna dziewczyna z wielkimi nożycami i obcinała końcówki nici. Jak tylko sarta się wyczerpywała, Sam przynosił następną partię. Myślałam, że szybko mi idzie, ale po chwili usłyszałam:

– Jeśli będziesz pracować w takim tempie, zostaniesz tu na noc. Pospiesz się lepiej.

Przyjrzałam się innym dziewczętom. Ich igły poruszały się z zawrotną prędkością. Jakim cudem mam obserwować, czy ktoś zachowuje się podejrzanie, skoro nie mam chwili, by odetchnąć? Poranek ciągnął się niemiłosiernie. Nikt nie rozmawiał, chyba że Sam wychodził z pomieszczenia. Wtedy zaczynały się szepty. W pewnej chwili jedna z dziewcząt wstała i ruszyła w stronę drzwi.

– A ty gdzie? – zapytał Sam.

– Do łazienki – odparła. – Za potrzebą.

– Wczoraj tam co chwila chodziłaś – zauważył Sam. – Myślisz, że znalazłaś sobie sposób, by nie pracować? Potrącam ci z pensji dziesięć centów. To cię powinno nauczyć.

– Daj jej przerwę, Sam – powiedziała Sadie. – Jest przy nadziei. Wszyscy wiemy, że wtedy częściej się chodzi za potrzebą.

– Powinnyście zająć się raczej swoimi obowiązkami wobec szefa, a nie zaludnianiem świata śmierdzącymi bachorami – odparł Sam. – Dobrze, idź do łazienki, ale będziesz musiała zostać dłużej, jeśli nie wyrobisz dzisiejszej normy. Twój bachor mnie w ogóle nie obchodzi.

Sadie popatrzyła na mnie i z niedowierzaniem pokręciła głową. W końcu rozległ się dzwonek i wszystkie zerwałyśmy się na równe nogi.

– Tylko pół godziny, pamiętajcie! – wrzasnął Sam. – Żadne trzydzieści pięć minut. Nie płacimy wam porządnie za to, żebyście marnowały czas naszego szefa.

– To akurat prawda, że nie płacicie nam porządnie – mruknęła Sadie.

– Sadie Blum, znowu masz coś do powiedzenia? – Donośny głos Sama odbił się echem od ścian. – Lepiej zamknij się wreszcie, bo może się okazać, że pod koniec tygodnia jesteś mi winna więcej, niż zarobiłaś. W porządku, proszę się ustawić w rzędzie, jeśli chcecie wyjść.

– A co to? Wojsko? – szepnęłam do Sadie.

– Musi sprawdzić nasze torby i kieszenie, żeby upewnić się, że nie wynosimy tasiemek – odparła. – Czasami, kiedy pracujemy na drogich materiałach, potrafią zamykać drzwi na klucz.

– Niektóre z was niczego nie są w stanie zapamiętać, prawda? I jeszcze na dodatek dają zły przykład nowej pracownicy. Każdej potrącę z wypłaty po dziesięć centów za gadanie. A jeśli jeszcze raz usłyszę, że rozmawiacie, potrącę piętnaście. To wasze zadzieranie nosa na mnie nie działa – mówił Sam, przeszukując nam torebki. Potem położył mi dłonie na talii i przesunął nimi niżej, wzdłuż bioder.

– Ej, co robisz?! – krzyknęłam, bijąc go po rękach. – Możesz dotykać mojej torebki, ale wara ode mnie!

– Ja tylko sprawdzam ci kieszenie, skarbie. O co tyle krzyku? – Popatrzył na mnie z tym swoim obrzydliwym uśmiechem. – Gdybym chciał cię obmacywać, zrobiłbym to porządniej.

W końcu otworzył drzwi i mogliśmy wyjść na zewnątrz.

– Ten człowiek jest straszny – powiedziałam, kiedy znalazłyśmy się na schodach. – Dlaczego nic z tym nie można zrobić?

– Ale co zrobić? Zwolnią nas, jeśli zaczniemy się skarżyć. Pana Mostela nie obchodzi, jak Sam nas traktuje. Zależy mu tylko na tym, żeby praca szła do przodu. Co dzień przyplływają do Ameryki nowe imigrantki. W każdej chwili mogą zająć nasze miejsce.

Kiedy znalazłyśmy się na świeżym powietrzu, dołączyła do nas jeszcze jedna dziewczyna.

– I tak mamy lepiej niż gdzie indziej – zauważyła. – Moja siostra dostaje najwyżej pięć dolarów tygodniowo. Potrącają jej za światło i za to, że używa lustra i ręcznika w łazience. Całe pięć centów. Podobno lustro jest tak małe, że ciężko nawet przypudrować sobie nos. Próbowала przynosić własny

ręcznik z domu, ale i tak zabierali jej te pięć centów.

– Żaden z przełożonych w warsztacie nie dba o swoich pracowników, Saro. Im tylko chodzi o pieniądze – stwierdziła Sadie. Odwróciła się w moją stronę. – Nie pozwalają nam otwierać okna, nawet w lecie. A dziewczętom robi się niedobrze, w sali brakuje powietrza, jesteśmy tam przecież strasznie ściśnięte.

– To dlaczego nie zmienicie pracy? – zapytałam.

– A co innego mogłybyśmy robić? – Sara, ta druga dziewczyna, wzruszyła ramionami. W odróżnieniu od Sadie, wysokiej i pełnej gracji, była drobna i blada. Pomyślałam, że może za mało je i niedostatecznie dużo przebywa na świeżym powietrzu. – Dziewczyny takie jak my znajdują pracę tylko w szwalniach.

– Ja mam wykształcenie. Ale to i tak bez znaczenia – powiedziała Sadie. – W domu miałam dobrze. Uczyłam się francuskiego i gry na pianinie. Swoją drogą szkoda, że to nie był angielski. Teraz mam do czynienia tylko ze slangiem. – Dotknęła mojego ramienia. – Ty ładnie mówisz. Pomożesz mi w nauce?

– Dlaczego jesteś tutaj, skoro w domu miałaś lepsze życie? – zapytałam.

Sadie i Sara spojrzały na mnie jak na idiotkę.

– Podczas pogromu nie ma znaczenia, który Żyd jest bogaty, a który biedny. Zniszczyli i spalili nasz dom. Pianino wyrzucili przez okno z pierwszego piętra – odparła Sadie.

Zacisnęła usta, a potem odwróciła twarz w drugą stronę.

– Najgorzej postąpili z moją starszą siostrą. Nie mogę o tym zapomnieć. Mama dziękowała Bogu, że siostra po tym wszystkim zmarła. Schowałam się wtedy pod słomą w kurniku, ale słyszałam jej wołanie o pomoc.

– Mnie zamordowali ojca – powiedziała Sara. – Przebili go bagnetem, a my musiałyśmy na to patrzeć. Kiedy płynęłyśmy do Ameryki, mama schowała pieniądze w halce pod spódnicą, w zaszytej kieszeni.

Nie miałam pojęcia, że podobne rzeczy dzieją się na świecie. Spoglądałam na wysoką Sadie i delikatną, drobną Sarę i byłam poruszona, że opowiadają mi o wszystkim tak spokojnie. Nic dziwnego, że te dziewczęta potrafią pracować w Ameryce w strasznych warunkach – pomyślałam. To pestka w porównaniu z nieustannym strachem o własne życie.

Przyszło mi do głowy, że powinnam im jakoś pomóc. Mówię po angielsku. Może szef mnie wysłucha? Potem przypomniałam sobie, że nie po to pracuję w szwalni. Jestem tutaj tylko szpiegiem. Za parę tygodni będę już przecież gdzie indziej.

Nie upłynął jeszcze pierwszy tydzień mojej pracy w warsztacie krawieckim, a już zaczęłam wierzyć, że naprawdę jestem szwaczką i że w życiu czeka mnie jedynie okropna harówka. Stopy bolały od naciskania na pedały. Skórę na palcach miałam zdartą, bo zbyt mocno trzymałam w rękach materiał. Modliłam się, żeby jak najszybciej skończyć to zlecenie, ale moje umiejętności wciąż były niewielkie, a przecież powinnam mieć stuprocentową pewność, że Lowenstein mnie zatrudni. Na dodatek nowe projekty wiosennych ubrań miały być gotowe dopiero w połowie października, więc czekały mnie jeszcze długie trzy tygodnie mordęgi. Plan, który ułożyliśmy z Maxem Mostelem, wyglądał następująco: popracuję u niego i nabiorę wprawy w szyciu. Przy okazji poobserwuję pracowników. Następnie ten tydzień przed planowaną premierą wiosennej kolekcji zatrudnię się u Lowensteina. Wykorzystam ten czas, by poznać zwyczaje w nowym miejscu i dowiedzieć się, kto jest kim. Wszystko to oznaczało, że przede mną długie tygodnie ciężkiej fizycznej pracy.

Najbardziej przeszkadzała mi duchota. I jeszcze brak światła. Kiedy minęły słoneczne jesienne dni i nastąpiła szarówka, trudno było zobaczyć, co szyjemy. Rząd dziewcząt tuż przy oknie miał trochę lepiej, ale znów nie aż tak bardzo, bo szyby były strasznie brudne. Trzy rzędy dalej anemicznie migąły płomyki lamp naftowych. Nic dziwnego, że niektóre szwaczki mimo młodego wieku nosiły okulary, a prawie wszystkie pochylały się nisko nad swoimi kawałkami materiału.

Dla mnie jednak najtrudniejsze było trzymanie języka za zębami i codzienna walka o to, by Sam nie wyrzucił mnie za drzwi. Pozostałe dziewczęta były tak grzeczne i posłuszne, że ja – znana zadziora – ledwie to wytrzymałam. Zawsze, kiedy którejś z nas potrącano z wypłaty za to, że zbyt często chodziła do łazienki albo o minutę później wróciła z przerwy obiadowej, już prawie wstawałam ze swojego miejsca, by powiedzieć temu wstrętnemu Samowi, co o nim sędzę. Długie godziny przy maszynie mijały mi na wymyślaniu obelg, którymi będę mogła go obrzucić, kiedy wreszcie skończę pracę u Maxa Mostela.

Pod koniec tygodnia otrzymałam pierwszą wypłatę w wysokości czterech dolarów i dziewięćdziesięciu centów. Brakowało dolara i pięciu centów, które stanowiły karę za różne przewinienia: dwa razy spóźniłam się po przerwie, raz rozmawiałam, raz upuściłam kołnierzyk na podłogę, a raz wstałam, by wyprostować plecy. W drodze do domu stwierdziłam ze smutkiem, że nawet nie przypuszczałam, jak ciężka to będzie praca. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, żeby którakolwiek z tych dziewcząt mogła wślizgnąć się do biura Mostela i ukraść mu sprzed nosa projekty. Jak niby miałyby przechytrzyć Sama?

Minął cały tydzień, a nawet nie zaczęłam śledztwa. Jeśli będę pracować w takim tempie, nowa kolekcja trafi do sklepów, podczas gdy ja wciąż będę szyć kołnierzyki! Powinnam przynajmniej zadać tym dziewczętom parę sprytnych pytań. Gdyby tylko był przy mnie Paddy! Z pewnością wiedziałby, od czego zacząć. Dlaczego umarł, zanim zdążyłam się czegokolwiek nauczyć? Jest tyle rzeczy, o których nie mam pojęcia! Prawdę mówiąc, czułam się jak samotny podróżnik, który w zamieci próbuje odnaleźć

drogę.

Jedyna okazja, by porozmawiać z dziewczętami, nadarzała się podczas przerwy obiadowej, kiedy większość z nich szła do maleńkiej kawiarenki. Kupowały tam miskę zupy lub kawę i jadły przyniesioną z domu kanapkę.

– Powiedzcie mi, co my tak naprawdę tu szyjemy – zapytałam, tak jak pewnie zapytałaby nowa pracownica. – Ja na okrągło oglądam same kołnierzyki.

– Teraz szyjemy damskie sukienki; modne fasony do dużych sklepów – odparła jedna z dziewcząt.

– Modne fasony... Brzmi ciekawie – odparłam. – To znaczy, że jeśli zobaczę te ubrania w całości, jak opuszczają szwalnię, będę wiedziała, co się nosi w danym sezonie?

– Nie zobaczysz żadnego ubrania w całości – powiedziała Sadie. – To nie my robimy ostatnie poprawki.

– A kto to wszystko projektuje? Wzory przychodzą z Paryża czy jak?

– Dobrze sobie! Z Paryża! Słyszałyście?

Zaśmiałam się.

– Nie znam się na modzie. Jestem nowa. Zawsze myślałam, że trendy przychodzą z Francji.

Dziewczęta popatrzyły po sobie.

– Mostel chyba sam projektuje.

– Tak. I w dodatku myśli, że jest najmądrzejszy na świecie.

– Trudno mi sobie wyobrazić, że projektuje damskie sukienki – skrzywiłam się. – Nie wygląda mi na modnisiaka.

– Powinnaś zobaczyć jego rodzinę – powiedziała Gołda i przysunęła się w moją stronę. – Ajwaj! Istne królewicze. Tatuś siedzi tutaj całymi dniami, pilnując, by żadna z nas nie ukradła cennej wstążeczki, a żona i dzieci chodzą po sklepach i wydają pieniądze szybciej, niż on je zarabia. Gdybyś ich widziała! Zadzierają nosa, jakby byli nie wiadomo kim, a przecież tak jak my przyjechali znikąd.

– Też są imigrantami?

Gołda przytaknęła.

– Tyle że mieszkają tutaj już dwadzieścia lat. Na początku nie mieli nic oprócz maszyny do szycia z warsztatu ojca pana Mostela. I patrzcie, jak daleko zaszli! To trzeba im przyznać.

– Ale na czyich plecach, co, Gołda? – zapytała Sadie. – Tylko dzięki naszej ciężkiej pracy.

– Ciszej, Sadie. Nie powinnaś tak mówić. Nigdy nie wiadomo, kto słucha – zauważyła Gołda.

– Myślisz, że mają jakichś szpiegów? – zapytałam niewinnie, rozglądając się wokół i szukając wzrokiem twarzy, która mogłaby zdradzić zawstydzenie lub zmieszanie. – Kapusiów, którzy donoszą szefowi?

Gołda dotknęła czubka nosa.

– Nigdy nie wiadomo – powiedziała.

W drodze powrotnej do szwalni zadawałam sobie w duchu pytanie, co mogły oznaczać jej słowa. Czy wie, że Mostel ma wśród załogi wtyczkę, i czy w takim razie się domyśla, że któraś z dziewcząt może też szpiegować dla kogoś innego? Jeśli tak, powinnam zaprzyjaźnić się z Gołdą i spróbować się przekonać, czy nie wyjawiałaby mi swoich tajemnic.

Wieczorem, w domu, zrobiłam listę zadań na najbliższe dni: zacieśnić więź z Gołdą i poznać krawcowe, które robią wzory i ostateczne poprawki. To przecież one pierwsze widzą gotowe ubrania. Ale czemu miałyby kraść projekty? Może mają reumatyzm i potrzebują pieniędzy na lekarstwa? Wiedziałam też, że jedna z nich jest kuzynką Mostela.

Prawda jest taka, że kradzież wzorów wymagała odwagi i brawury. Nie wyobrażałam sobie, by któraś z tych nieśmiałych dziewcząt chciała tak strasznie ryzykować. Oczywiście największym podejrzanym był nasz kierownik, Obleśny Sam. Wyglądał mi na typka spod ciemnej gwiazdy, poza tym miał nieograniczony dostęp do biura właściciela. Może powinnam przez jakiś czas nie wychodzić na przerwy i jadać kanapki przy maszynie? Dzięki temu będę miała na niego oko.

Misja w szwalni wciągnęła mnie do tego stopnia, że omal nie zapomniałam o ogłoszeniu wysłanym do irlandzkiej gazety. Bardzo się więc zdziwiłam, kiedy w środku drugiego tygodnia pracy u Maxa Mostela przyszedł do mnie list z Irlandii.

Collingwood Hall

Castlebridge

hrabstwo Wexford, Irlandia

Szanowny Panie,

Przeczytałem Pańskie ogłoszenie w „Dublin Timesie”. Staram się odnaleźć swoją jedyną córkę Katherine. Naiwne dziecko uciekło z jednym z naszych parobków, wielce podejrzaną kreaturą. Człowiek ten nazywa się Michael Kelly. Z tego, co mi wiadomo, dotarli statkiem do Nowego Jorku. Zależy mi na tym, by córka jak najszybciej wróciła do domu, choć obawiam się, że jej reputacja jest już i tak nadszarpnięta. Pewnie się Pan domyśla, co przeżywa moja żona. Pragnę dodać, że jest osobą wątłego zdrowia i nie wstaje z łóżka. Dlatego też nie mogę jej opuścić i samemu wyruszyć na poszukiwanie córki. Proszę o odpowiedź, czy podejmie się Pan takiego zlecenia, oraz o informację dotyczącą wysokości Pańskiego honorarium.

Z poważaniem

T.W. Faversham, major w stanie spoczynku

To była praca, o jakiej marzyłam! Dokładnie o takich zleceniach myślałam, podejmując tę absurdalną decyzję, by zostać prywatnym detektywem. Natychmiast odpisałam majorowi Favershamowi, że

z radością odnajdę jego córkę. Poprosiłam o zdjęcie dziewczyny i o jak najwięcej szczegółów dotyczących jej ucieczki. Napisałam też, że potrzebne mi będą imiona i nazwiska osób, z którymi mogła się kontaktować w Nowym Jorku, a także informacja, czy para miała przy sobie jakieś pieniądze. W odpowiedzi na pytanie dotyczące mojego honorarium zaproponowałam wynagrodzenie w wysokości stu dolarów oraz pokrycie wszystkich dodatkowych kosztów. Po chwili uświadomiłam sobie na szczęście coś jeszcze i dodałam: *Do spraw delikatnej natury, takich jak odszukanie Pańskiej córki, zwykle delegujemy pannę Murphy, młodszego partnera w naszej firmie. Panna Murphy potrafi jak nikt inny działać wyjątkowo dyskretnie i taktownie.*

Dopiero gdy wrzuciłam list do skrzynki, przestałam zastanawiać się nad tym, w jaki sposób pogodzę te dwa zlecenia. W szwalni spędzam codziennie dwanaście godzin z wyjątkiem niedziel, więc nie zostanie mi wiele czasu na szukanie zaginionej dziedziczki – pomyślałam. Nie wiedziałam oczywiście, czy panna jest w rzeczywistości dziedziczką, ale Anglicy mieszkający w Irlandii byli na ogół dobrze sytuowani, w przeciwieństwie do Irlandczyków, którzy albo przymierali głodem, albo zostali wypędzeni przez głód z własnego kraju^[2].

Zdecydowałam, że nie zaszkodzi od razu popytać tu i ówdzie. Powinnam z łatwością ustalić, kiedy państwo Kelly przyплыnęli do Nowego Jorku. Prawdopodobnie podali się za małżeństwo. W takim razie należy sprawdzić, czy ich imiona widnieją w rejestrze na Ellis Island, jeśli oczywiście będę w stanie do niego dotrzeć. Po chwili zaświtała mi w głowie jeszcze jedna myśl. Jeśli Katherine Faversham ma jakieś koneksje w nowojorskim towarzystwie, moja znajoma, panna Van Woekem, z pewnością będzie o nich wiedziała. Postanowiłam odwiedzić ją w najbliższą niedzielę, przedtem oczywiście wysławszy liścik. Starsza pani lubiła, gdy pamiętało się o zasadach dobrego wychowania.

W niedzielny poranek – w porze, kiedy wszyscy dobrzy chrześcijanie wychodzą z kościoła, a ci mniej sumienni, tacy jak ja, kończą właśnie śniadanie, składające się z kawy i ciastek, w cukierni wiedeńskiej Fleishmana – wsiadłam na Broadwayu do tramwaju. Dojechałam do Dwudziestej Ulicy, a potem spacerem przeszłam do okazałego domu przy South Gramercy Park. Jeśli komuś wydaje się dziwne, że imigrantka z Irlandii ma znajomych mieszkających w tak ekskluzywnej dzielnicy, już tłumaczę. Przez krótki czas pracowałam u panny Van Woekem jako dama do towarzystwa. Nie zostałam zwolniona, ale z powodów osobistych zmuszona byłam zrezygnować z tej posady. Często miewaliśmy odmienne zdanie na pewne sprawy, ale rozstałyśmy się w przyjaźni. Podziwiała moją decyzję, by stanąć na własnych nogach, i prosiła, żebym od czasu do czasu złożyła jej wizytę.

Służąca zaprowadziła mnie do salonu na pierwszym piętrze, z którego okien roztaczał się piękny widok na park. Panna Van Woekem siedziała w wysokim fotelu przy kominku.

– Panna Molly Murphy, cóż za wspaniała niespodzianka! – Wyciągnęła do mnie rękę. – Czemu zawdzięczam tę miłą wizytę? Czyżbyś przyszła, by ponownie ubiegać się o pracę? Panna, którą aktualnie zatrudniam, jest przestraszona drobna osobką. Cała drży, gdy zwracam jej uwagę. Wcale mnie to nie bawi.

Na pomarszczonej, starej twarzy panny Van Woekem zagościł chytry uśmiech.

– Proszę, siadaj. Ada zaraz przyniesie nam kawę. A może wolisz herbatę?

Przysunęłam sobie krzesło stojące po drugiej stronie kominka.

– Chętnie napiję się kawy. Dziękuję.

Przypatrywała mi się uważnie w charakterystycznej dla siebie ptasiej pozie, z głową przechyloną na bok.

– Wspaniale wyglądasz – powiedziała. – Chyba czujesz się już w Ameryce jak w domu. Kiedy widziałam cię po raz ostatni, byłeś mniej pewna siebie. Powiedz, proszę, czy twoje detektywistyczne interesy dobrze idą?

– Jeszcze za wcześnie, by tak to ująć, ale obecnie mam dwie interesujące sprawy.

Słuchała uważnie mojej opowieści o szwalni, a kiedy opisywałam, w jakich warunkach się tam pracuje, cmokała z niedowierzaniem.

– Jeśli ktokolwiek miałby z tym coś zrobić, to tylko ty – zauważyła. – Teraz opowiedz o tej zaginionej dziewczynie.

– Nazywa się Katherine Faversham. Favershamowie to angielska szlachta zamieszkała w Irlandii. Pomyślałam, że jeśli ta panienka zatrzymała się u jakichś znajomych z towarzystwa, mogłaby pani coś o niej słyszeć.

Wniesiono kawę, służąca napełniła nasze filiżanki.

Panna Van Woekem pociągnęła łyk, a potem uniosła głowę.

– Faversham... – powtórzyła z namysłem. – Nic mi to nie mówi. Pamiętaj, moja droga, że jeśli poślubiła parobka bez grosza, być może nie chce tu wcale spotkać rodziny ani znajomych. Zresztą rodzina i tak już nie ma na nią wpływu, skoro wyszła za mąż.

– Muszę ją odnaleźć – powiedziałam. – W jaki sposób nakłonią ją do powrotu, to już nie moja sprawa. Wkrótce mi napiszą, czy ma przy sobie jakiegokolwiek pieniądze, i wtedy będę wiedziała, gdzie zacząć poszukiwania. Na razie zdecydowałam, że nie zaszkodzi rozpuścić wici i poprosić, by moi szpiedzy zaczęli pytać tu i tam.

Panna Van Woekem zaśmiała się.

– Szpiedzy! A to dobre! Zawsze marzyłam, by zostać szpiegiem. Gdybym nie urodziła się kobietą, chętnie pracowałabym dla wywiadu. Obiecuję, że będę miała oczy i uszy otwarte. Jak tylko się czegoś dowiem, dam ci znać.

– Dziękuję bardzo – odparłam. – Wiedziałam, że mogę na panią liczyć. Cieszę się, że...

Przerwałam na dźwięk jakichś głosów w przedpokoju. Zanim dokończyłam zdanie, otworzyły się drzwi i do środka wparowała młoda kobieta, szeleszcząc jedwabną suknią.

– Jak cudownie, że zastaję cię w domu, cioteczko!

Otworzyła ramiona w geście powitania. Uosobienie słodyczy w kolorze lilaróż. Z ramion niedbale zwisał biały futrzany szal, idealnie dobrany do niewielkiego kapelusika z takąż lamówką.

– Wcale nie planowałam wizyty w mieście w tym tygodniu, ale Alicja Martin wyciągnęła mnie na

koncert do Carnegie Hall i jestem szczęśliwa, że dałam się namówić. Występował włoski tenor. Wiesz, jak ich uwielbiam, bo przecież obiecałaś mi, że gdy tylko pan Caruso przyjedzie do Nowego Jorku, zabierzesz mnie na jego koncert. Potem spędziłyśmy wieczór z ciotką Alicji, w jej wspaniałym apartamencie w tej kamienicy Dakota. Zawsze myślałam, że tylko biedacy mieszkają w kamienicach, ale ciotka Alicji wcale nie jest biedna i na dodatek lato zawsze spędza w Paryżu. Dzisiaj rano chcieliśmy pospacerować po Central Parku, ale powiedziałam, że najpierw muszę koniecznie odwiedzić swoją ukochaną mamusię chrestną i zrobić jej niespodziankę. Czy mi się udało? Powiedz, proszę, cioteczko.

– Ależ oczywiście – odparła panna Van Woekem. – Sprawiałaś mi niespodziankę.

– Nie wydajesz się szczególnie zaskoczona i uradowana moją wizytą – młoda piękność nie dawała za wygraną.

– Bardzo się cieszę, Arabello, że przyszedłaś mnie odwiedzić, ale, jak widzisz, mam gościa.

– Ach! – Usta ślicznotki ułożyły się w doskonałe kółeczko. Sprawiała wrażenie, że rzeczywiście dopiero teraz mnie dostrzegła. Widziałam, jak wzrokiem ocenia moje ubranie. – Ach, nie zauważyłam. Przeszkadzam w rozmowie dotyczącej pracy? Zatrudniasz, cioteczko, kogoś nowego do pomocy? Przepraszam najmocniej.

– Nie. Pijemy sobie kawę – spokojnie odpowiedziała panna Van Woekem. – Pozwólcie, że was sobie przedstawię. Panno Murphy, to moja chrestna córka Arabella Norton. Arabello, to jest panna Molly Murphy, znany w Nowym Jorku prywatny detektyw. To właśnie panna Murphy pomagała policji złapać tego szaleńca, który zabił prezydenta McKinleya.

– Naprawdę? Ależ ekscytujące! Wydaje mi się, że już gdzieś się widziałyśmy.

– Być może – odparłam, choć doskonale pamiętałam okoliczności naszego spotkania. Nic więcej jednak nie dodałam, w obawie, że powiem o jedno słowo za dużo.

Na szczęście cały czas paplała.

– Kobieta detektyw! Cóż za śmiałość i odwaga! Musi pani poznać mojego narzeczonego. Z całą pewnością znajdziecie wspólny język, choć przyznam, nie wiem, jakie będzie miał zdanie o kobiecie, która wybrała sobie taki zawód.

A potem, ku mojemu przerażeniu, odwróciła się w stronę drzwi.

– Danielu, proszę, przestań się tam chować. Wejdz i przywitaj się. Wiem, że obiecałam, iż wstąpimy tu tylko na chwilę, ale musisz poznać fascynującą panią detektyw.

Kiedy Daniel Sullivan wchodził do pokoju, starałam się spokojnie oddychać. Miał na sobie elegancki garnitur w pepitkę, którego wcześniej nie widziałam, a w butonierce białą chusteczkę. Niesforne włosy były gładko zaczesane z przedziałkiem. W rękach ścisnął kapelusz. Z jego miny można było wywnioskować, że podobnie jak ja pragnął być teraz gdziekolwiek, byle nie tu.

– Panno Van Woekem – powiedział z delikatnym ukłonem. – Mam nadzieję, że odnajdę panią w dobrym zdrowiu.

– Czuję się pewnie znacznie lepiej niż ty w tej chwili.

Nigdy nic starszej pani nie opowiadałam, mimo to doskonale rozumiała powody, dla których zrezygnowałam z posady damy do towarzystwa.

– Poznaj pannę Murphy.

– Panno Murphy. – Daniel nie spojrział na mnie, tylko lekko się uklonił.

– Pomyśl tylko, Danielu, że ta pani jest detektywem, uwierzysz? – Arabella przysunęła się do Daniela i wsunęła mu rękę pod ramię. – Pewnie znaleźlibyście dużo wspólnych tematów.

– Arabello, przeszkadzamy paniom w rozmowie – odparł Daniel. – Powinniśmy już iść.

Wstałam.

– Ależ nie. To ja sobie pójdę. Siedzę tutaj ponad godzinę. W restauracji czekają na mnie przyjaciele. Proszę mi wybaczyć.

Wzięłam starszą panią za rękę.

– Bardzo dziękuję za kawę i urocze spotkanie.

– Odwiedź mnie, proszę, skarbie. – Poglądziła moją dłoń, co było gestem doprawdy nie w jej stylu. – Mam nadzieję, że uda mi się czegoś dowiedzieć.

Na miękkich nogach opuściłam pokój, potem zeszłam na dół i zanim znalazłam się przed domem, usłyszałam za sobą wysoki głos Arabelli:

– Ciociu Marto, gdzie wyście się, na litość boską, poznały? Cóż za dziwaczne stroje nosi ta panna!

Szłam bardzo szybko aż do Park Avenue. Potem skręciłam na południe. Na twarzy czułam ostry wiatr, ale nie chciałam się zatrzymać. Wiedziałam, że jak tylko przystanę, zacznę rozmyślać, a wtedy dojdę do wniosków, które wcale nie będą przyjemne. Od dawna zdawałam sobie sprawę, że Daniel jest zaręczony z inną kobietą, ale przysięgał, że kocha tylko mnie i zerwie zaręczyny tak szybko, jak to będzie możliwe. Miałam nadzieję, że mówi prawdę. Teraz, kiedy zobaczyłam ich razem, musiałam jednak przyznać, że nadzieje moje były płonne.

Kiedy weszłam do domu przy Patchin Place, ze zdziwieniem zobaczyłam, że w przedpokoju stoi ogromny wieszak na kapelusze zrobiony z rogów jakiegoś tajemniczego zwierzęcia.

– A co to, u licha, jest? – zapytałam.

Sid wyjrzała z salonu.

– Nie podoba ci się? Pani Herman, ta z naprzeciwka, przeprowadza się do siostry w Karolinie Południowej i pozbywa przedmiotów, których nie może przewieźć. Ten wieszak jest tak brzydki, że aż ładny. Postanowiliśmy z Gus, że musi u nas zostać. Gus będzie na nim wieszala swoje obrazy w pracowni.

– Z naprzeciwka, powiadasz?

– Tak. Spod dziesiątki. Mieszka tam starsza pani. Ma koty i wyobraź sobie, że przewiezie je do Karoliny w koszykach.

– Więc ten dom będzie pusty? Wystawi go na sprzedaż? Wiesz coś na ten temat?

– Moim zdaniem nie należy do niej. Gus będzie wiedziała. Zna wszystkich sąsiadów. Pomóż mi zanieść tego potwora do pracowni, a od razu będziesz mogła ją wypytać.

Podniosłyśmy wspólnie wieszak i zataszczyłyśmy po schodach na górę.

– Spójrz, co ci przynoszą unізone służki – powiedziała Sid, otwierając drzwi do pracowni. – Ryzykowałyśmy życie i zdrowie, żeby wnieść tutaj to straszidło. Mamy nadzieję, że jesteś nam dozgonnie wdzięczna.

Gus oderwała się od malowania. Na moje oko obraz przedstawiał jedynie czerwone paski i czarne kropki. Wciąż nie rozumiałam zasad dotyczących współczesnego malarstwa.

Sid podeszła i objęła przyjaciółkę.

– To chyba będzie twój najlepszy obraz, kochanie. Prawdziwie poruszający. Wyraźnie widać na nim chaos wywołany przez wojnę.

Uśmiechnęłam się i kiwnęłam głową. Na szczęście nie musiałam nic mówić.

– Wiesz może, co się stanie z tym domem naprzeciwko, kiedy wyprowadzi się z niego pani Herman? – zapytałam szybko, zanim przyjaciółki rozpoczęły dyskusję na temat malarstwa.

– Pewnie znajdzie się nowy najemca – powiedziała Gus, rzucając na obraz kolejną porcję czerwonej farby.

– A znasz może właściciela?

– Co to ma znaczyć? – zaśmiała się Gus. – Znudziło ci się nasze towarzystwo i planujesz przeprowadzkę?

– Nie znudziło mi się wasze towarzystwo – odparłam. – Nigdy mi się nie znudzi. Ale mam wyrzuty

sumienia, że zostawiłam na pastwę losu dzieci, które podróżowały ze mną z Irlandii. Nie mogę pozwolić, by dłużej mieszkaly w slumsach. Teraz, kiedy wreszcie jestem na dobrej drodze, by odnieść sukces w interesach i mogę liczyć na honoraria z dwóch zleceń, powinnam rozważyć wynajęcie własnego lokum, o ile czynsz nie będzie za wysoki.

– Nie chcemy cię stracić, Molly – powiedziała Sid. – Ale przynajmniej byłabyś blisko. To już coś. I muszę przyznać, że imponuje mi twoja filantropia.

– Dom naprzeciwno to idealne rozwiązanie – zauważyłam. – Mogłabym machać do ciebie Gus, kiedy malujesz w pracowni, i wpadać do Sid na kawę po turecku.

– Oczywiście. Poza tym mogłybyśmy ci pomóc w opiece nad dziećmi.

Z każdą chwilą coraz bardziej podobał mi się ten plan. Postanowiłam natychmiast napisać do właściciela. Wprawdzie nie mam jeszcze własnych pieniędzy oprócz tych nędznych groszy, które zarabiam w szwalni – pomyślałam – ale w banku leży spora sumka należąca do firmy J.P. Riley i Partnerzy, więc mogę przecież udzielić sobie pożyczki a conto przyszłych wpływów. To dość duże ryzyko wynajmować cały dom w sytuacji, kiedy nie mam regularnych dochodów, ale jeśli rzeczywiście będzie bardzo źle, zawsze mogę podnająć kilka pokoi albo zorganizować w nich prywatną szkołę. Nic ani nikt nie ogranicza moich talentów i pomysłów! Już nie muszę się liczyć ze zdaniem Daniela Sullivana. Zobaczymy, co przyniesie mi nowy rozdział życia!

Idąc do pracy w poniedziałek rano, wrzuciłam list do skrzynki, a już następnego dnia po południu dostałam odpowiedź. Właściciel zaproponował wynajem całego domu za czterdzieści dolarów miesięcznie. Czterdzieści dolarów to dokładnie dwa razy więcej, niż wynoszą moje zarobki w szwalni – pomyślałam. Miałam wprawdzie w perspektywie wynagrodzenie od Maxa Mostela, ale zdawałam sobie sprawę, że nie każde zlecenie musi skończyć się sukcesem i że czasem klienci po prostu nie płacą. Nie trzeba daleko szukać przykładów – mnie jeszcze nikt nie zapłacił. Czteryście osiemdziesiąt dolarów rocznie! Na samą myśl oblał mnie zimny pot. Moja rodzina nigdy nie miała takiej sumy. Nie byłam pewna, czy rzeczywiście uda mi się ją zebrać w ciągu roku, ale nie mogłam pozwolić, by okazja przeszła mi koło nosa. Drżącą ręką wypisałam czek na kwotę zaliczki. W życiu wielokrotnie podejmowałam ryzyko, zwłaszcza gdy nie miałam innego wyjścia, jednak wynajęcie całego domu w Greenwich Village było wyjątkowym przedsięwzięciem. Jeśli mam pomóc Seamusowi i jego dzieciom, to tylko w ten sposób – stwierdziłam. Byłam tą całą sytuacją tak podekscytowana, że postanowiłam od razu pójść na Fulton Street i przekazać dobre wieści.

Nuala niechętnie wpuściła mnie do środka, patrząc uważnie, czy przypadkiem znów nie niosę mięsa i winogron. Dzieci już przyszykowały się do snu i leżały zwinięte jak szczenięta na skrzynkach z targu rybnego. W powietrzu unosił się nieprzyjemny mulisty zapach. Wszystkie maluchy natychmiast podniosły się na mój widok, a Bridie zerwała się i szybko do mnie podbiegła.

– Greenwich Village – prychnęła Nuala, kiedy powiedziałam, z czym przychodzę. – Nikt porządny nie chciałby tam zamieszkać. Sami studenci, chuligani, czarnuchy i anarchiści, z tego, co słyszałam.

– Bardzo się cieszę, że tak myślisz. Rozumiem, że nie będziesz nas tam odwiedzać. Ani ty, ani twoje

dzieci.

Tak długo czekałam, by wypowiedzieć te słowa! Poczułam ogromną satysfakcję. Spojrzałam na Seamusa, który siedział blady w swoim fotelu.

– Wszystko zależy od ciebie, Seamusie. Jeśli chcesz się wprowadzić do własnego pokoju w domu, w którym jest woda i ogrzewanie, zapraszam. Ale żadnych krewnych. To mój warunek. Wybieraj!

– Ja chcę zamieszkać z panną Molly – poprosiła Bridie i chwyciła się mojej spódnicy.

Seamus uśmiechnął się niewyraźnie.

– To dla nas zaszczyt – powiedział, a potem zwrócił się do kuzynki. – Bez urazy, Nuala. Muszę robić to, co najlepsze dla dzieci.

Nuala wygładziła fartuch na swoich obfitych biodrach.

– Przecież widzisz chyba, że nie płaczę. Mieszkamy tu słoczeni jak sardynki w puszcze. Będę szczęśliwa, zamykając za wami drzwi. Bóg mi świadkiem!

Zdecydowałam, że lepiej sobie pójść, zanim jej wyrzuty popłyną szeroką rzeką.

Ustaliłam z właścicielem domu, że wprowadzimy się pod koniec tygodnia. Do tego czasu pracowałam jak szalona, przesiadując w szwalni dwanaście godzin dziennie i jednocześnie próbując zrobić pierwsze rozeznanie w sprawie Katherine Faversham. Byłam naprawdę zła, że dałam się namówić na czasochłonne i wymagające zlecenie w szwalni, podczas gdy poszukiwanie zaginionej Angielki było tym, o czym zawsze marzyłam.

Nie miałam jeszcze żadnych wiadomości od panny Van Woekem, więc postanowiłam, że przede wszystkim należy ustalić, czy Katherine i Michael Kelly w ogóle dotarli do Nowego Jorku. Jeśli mieli pieniądze, prawdopodobnie podróżowali klasą drugą lub trzecią, a to oznacza, że wpuszczono ich na ląd bez żadnych formalności. W takiej sytuacji równie dobrze mogli się znajdować już poza miastem. Gdyby jednak nie mieli pieniędzy, musieliby dostać się do Nowego Jorku od strony Ellis Island^[3], a wtedy powinnam z łatwością znaleźć informacje na ich temat.

Nie byłam jednak pewna, jak się do tego zabrać. Wiedziałam, że na Ellis Island są przechowywane księgi z zapisami dotyczącymi każdego statku i jego pasażerów, ale wątpiłam, by ktokolwiek pokazał mi te dokumenty. Osoby niezatrudnione na wyspie nie miały przecież na nią wstępu. Rodziny, które przychodziły po swoich najbliższych, musiały czekać w porcie. Gdybym była w dobrych relacjach z Danielem, mogłabym jego poprosić o pomoc, ale w obecnej sytuacji nie powinnam nawet o tym myśleć.

Potem przypomniałam sobie, że na wyspie panoszy się korupcja. Na własne oczy widziałam, jak imigranci wręczali urzędnikom łapówki. Jakiś inspektor lub strażnik prawdopodobnie odda mi przysługę, jeśli odwdzięczę mu się za fatygę.

Właśnie dlatego stałam teraz bladym świtem w porcie, czekając na łódź, która zwykle przypląwała tutaj z wyspy o szóstej, przywożąc do miasta urzędników i strażników nocnej zmiany, a zabierając na wyspę tych, którzy rano rozpoczynali pracę. Tuż obok mnie stała grupka strażników w eleganckich mundurach. Ale nie chciałam do nich podchodzić. Im mniej osób zna moje zamiary, tym lepiej. Po chwili zauważyłam młodego urzędnika w ciemnym garniturze i białej koszuli ze starannie wykrochmalonym

kołnierzykiem. Spieszył w kierunku łodzi.

Podbiegłam do niego.

– Przepraszam pana. Mogę zamienić słówko?

Zatrzymał się i obrzucił mnie nerwowym spojrzeniem. Przez chwilę zastanawiał się, kim jestem – złodziejką czy może ulicznicą.

Uśmiechnęłam się przyjaźnie.

– Nazywam się Molly Murphy. Właśnie przyплыnęłam z Irlandii i staram się odnaleźć swoją kuzynkę Katherine. Wiem, że jest pan inspektorem, więc pewnie ma pan dostęp do rejestrów i może mi powiedzieć, czy Katherine w ogóle dotarła na wyspę.

– Trzeba napisać list do administratora i poprosić o taką informację – odparł chłodno.

Świetnie – pomyślałam. Na Ellis Island jest cała masa skorumpowanych urzędników, a ja akurat musiałam trafić na jedyne go porządnego.

– Domyślałam się, że to oficjalna droga. Zajmie dużo czasu – zauważyłam. – A ja martwię się o kuzynkę, bidulkę. Być może bez grosza przy duszy mieszka w jakichś slumsach, podczas gdy ja mogłabym zapewnić jej znacznie lepszy byt.

Spojrzałam na niego zalotnie.

– Jeśli może mi pan pomóc, postaram się to jakoś wynagrodzić. Nie jestem zamożna, ale odłożyłam pewną sumkę. Kuzynka jest mi bardzo droga.

Zauważyłam, że jabłko Adama porusza mu się w górę i w dół.

– Co konkretnie miałbym zrobić?

– Nic, co jest niezgodne z prawem. Będę zobowiązana, jeśli sprawdzi pan, czy na liście osób, które w ciągu ostatnich paru miesięcy przyплыnęły do Nowego Jorku, jest pan Michael Kelly z hrabstwa Wexford oraz jego małżonka. To właśnie moja kuzynka. Widzi pan, ona uciekła z Irlandii z panem Kellym i rodzina podejrzewa, że popłynęli do Ameryki.

Delikatnie dotknęłam jego ręki.

– Jeśli mógłby pan to dla mnie zrobić, chętnie oddałabym panu za fatygę odłożone pięć dolarów.

Rozejrzał się wokół. Inni urzędnicy obojętnie przechodzili obok. Na pokładzie rozległ się gong oznajmiający, że łódź za chwilę odpłynie.

– Muszę już iść – powiedział. – Kiedy się znów spotkamy?

– Będę tu na pana czekać, powiedzmy w piątek rano. To dopiero za parę dni. Nie musi się pan spieszyć. Przyniosę pieniądze.

Spojrzał na kolegów wchodzących na pokład.

– No, nie wiem..

– Proszę zrobić co w pana mocy. Zrozumiem, jeśli nie będzie pan miał dla mnie żadnych informacji, ale jeśli trafi pan na ślad mojej drogiej kuzynki, będę dozgonnie wdzięczna. Proszę zapamiętać, Michael

i Katherine Kelly. Prawdopodobnie wypłynęli z Queenstown.

Pokiwał głową, po czym w ostatniej chwili dobiegł do łódki. Właśnie podnoszono mostek.

W piątek rano, znów bladym świtem, czekałam w gęstej mgle na młodego inspektora. Wyrzucałam sobie, że nie zapytałam o jego imię. Jeśli nie zdobył dla mnie żadnych informacji, trzeba będzie poszukać kogoś innego albo napisać do administratora i odczekać swoje w biurokratycznej kolejce – rozmyślałam. Ale w końcu zobaczyłam, jak mój znajomy zbliża się szybkim krokiem.

– Panna Murphy? – Lekko się uklonił i wręczył mi kopertę. – To dla pani.

– Pięknie dziękuję. A to dla pana – odparłam.

Rozeszliśmy się każde w swoim kierunku, ale żadne z nas nie sprawdziło zawartości swojej koperty. Dopiero za rogiem niecierpliwie rozerwałam papier.

Michael i Katherine Kelly przyплыли do Ameryki na statku S.S. Britannic z Queenstown. Zeszli na ląd 18 sierpnia 1901.

Uśmiechnęłam się szeroko sama do siebie. Przekupiłam urzędnika, przekazałam mu pieniądze i zdobyłam informację, na której mi zależało. Powoli zamieniam się w prawdziwego detektywa!

W sobotę przeniosłam swoje rzeczy do nowego domu przy Patchin Place 10. Mimo że z zewnątrz przypominał dom Sid i Gus, w środku zdecydowanie brakowało artystycznej atmosfery i wygód. Nie było tam pięknej wanny na lwich nóżkach, a toaleta znajdowała się w małym pomieszczeniu na tyłach budynku. Pani Herman mieszkała tu przez trzydzieści lat i nigdy nawet nie pomalowała ścian ani nie zrobiła przyzwoitych porządków. Tak więc całą niedzielę spędziłam z zakasnymi rękawami, szorując w pocie czoła linoleum, na którym w końcu pokazał się wzorek w róże, wcześniej pokryty grubą warstwą brudu. Seamus i dzieci zjawili się wcześniej rano i próbowali mi pomóc w sprzątaniu, ale jeśli mam być szczerą, wolałam pracować w pojedynkę. Seamus był zmęczony po długim marszu z Lower East Side, zwłaszcza że musiał pchać na wózku cały swój dobytek, dzieci natomiast, zamiast pomagać, najchętniej bawiłyby się wodą. Kiedy już przenieśliśmy moje rzeczy z domu naprzeciwko, Sid i Gus zorganizowały naprędce małe przyjęcie. Przyniosły jedzenie i wino i przy kuchennym stole oświetlonym świecami – gaz został wyłączony, kiedy pani Herman się wyprowadziła – zjedliśmy wszyscy kolację.

– Wypijmy za Molly i jej plany. Za to, by wszystko dobrze się skończyło, a Molly pozostała wśród żywych – powiedziała Sid, wznosząc toast.

Ochoczo podniosłam swój kieliszek. Jeśli nie zrealizuję swoich planów, nie będę w stanie zapłacić za czynsz. Wiedziałam już wprawdzie, że Katherine i Michael Kelly przypłynęli do Nowego Jorku, ale nie miałam pojęcia, jak ich mam odnaleźć. To przecież szukanie igły w stogu siana! Tylko w Lower East Side mieszka masa Irlandczyków. A Hell's Kitchen albo pozostałe dzielnice? Jak mam znaleźć tę parę, skoro jestem wolna jedynie po zmroku? Dostałam już nauczkę i wiedziałam, że nie mogę wieczorami chodzić sama po mieście. To nierozsądne. A gdybym jeszcze w szemranych tawernach i podupadłych pensjonatach zaczęła pytać o Michaela i Katherine, toby znaczyło, że naprawdę szukam guza. Kłopoty to co prawda moja specjalność, ale jeszcze nigdy o nie sama się nie prosiłam.

Uznałam, że powinnam raczej spokojnie poczekać, aż dotrze dokładny opis Katherine i będę wiedziała, kogo szukać. W takim razie należy się skoncentrować na konkretach, czyli na sprawie Mostela.

We wtorek w Nowym Jorku odbyły się wybory. Do pracy szłam przez miasto obwieszane plakatami i flagami. Mężczyźni, którzy mnie mijali, mieli w klapach rozety z podobizną Edwarda Shepherda^[4] lub Seta Lowa, kandydata Partii Fuzji. Nie bardzo wiedziałam, o co w tych wyborach chodzi, i prawdę powiedziawszy, niewiele mnie one obchodziły. Skoro i tak nie mogę decydować, który z kandydatów zostanie wybrany, nie ma to dla mnie większego znaczenia – pomyślałam.

Kiedy wychodziłam ze szwalni po dwunastu godzinach pracy, na ulicach pełno było pijanych mężczyzn, którzy śpiewali, śmiali się i wdawali w bójki. Najwyraźniej obaj kandydaci kusili potencjalnych wyborców obietnicą piwa lub dolara, którego można było od razu wydać w najbliższym barze. Minęłam lokal wyborczy, wciąż otwarty. Udekorowany amerykańskimi flagami, wyglądał bardzo przyjemnie, ale porządku pilnowała tu banda najgorszych oprychów, jakich można sobie wyobrazić.

Przechadzali się przed wejściem, wymachując pałkami i zaczepiając każdego mężczyznę.

– Już pan zagłosował?! – usłyszałam, jak jeden z nich woła do drobnego człowieczka w kapeluszu.

– Nie mówić po angielsku – odparł mężczyzna, bezradnie rozkładając ręce.

– Nieważne. Pójdzie do lokalu i postawi krzyżyk przy nazwisku Shepherd. Zrozumiano? Przy tym, które zaczyna się na „S”. Jak to zrobisz, dostaniesz całego dolara. Ale jeśli zagłosujesz na kogoś innego, rozwalę ci łeb. Zrozumiano?

Drobny mężczyzna potulnie wszedł do środka. Minęłam lokal, nie oglądając się za siebie. Byłam kobietą, więc ich nie obchodziłam. Pod warunkiem że nie mieli akurat potrzeb innego rodzaju. Kilka razy w drodze na przystanek tramwajowy musiałam sobie poradzić z nachalnymi zalotami.

Następnego ranka w „New York Timesie” przeczytałam, że kandydat popierany przez Tammany Hall przegrał. Na nic się zdały przekupstwa i łobuzerka! Redaktorzy gazety wyrazili nadzieję na lepszą przyszłość pod rządami wolnymi od korupcji. Moim zdaniem nadzieje te były płonne. Tak mogłoby się stać jedynie wtedy, gdy burmistrzem zostałby święty Patryk. Na chodnikach leżały rozety i zmięte plakaty wyborcze.

Życie wróciło do normalności. W firmie Mostel i Klein praca ruszyła pełną parą, a dni stały się podobne jeden do drugiego. Codziennie wieczorem wracałam do domu, zadając sobie pytanie, jak długo jeszcze wytrzymam i w imię czego sama skazałam się na tę gehennę. A potem, w kolejny poniedziałek, przyszedł drugi list od majora (w stanie spoczynku) Favershama. Koperta była gruba; najpierw wyjęłam z niej barwione zdjęcie ślicznej młodej szatynki w bładoniebieskiej balowej sukni z głębokim dekoltem. Szyję dziewczyny ozdabiał medalion zawieszony na aksamitnej wstążce. Katherine trzymała w ręku wachlarz i w każdym calu wyglądała na panienkę z zamożnego, dobrego domu. W liście znalazłam jeszcze jedno zdjęcie, tym razem przedstawiające Katherine w stroju do jazdy konnej. Obok wierzchowca, na którym siedziała dziewczyna, stał wpatrzony w nią młodzieniec i trzymał uzdę. Był trochę w typie Daniela. Tak samo jak on ciemny Irlandczyk. Co prawda młodszy, wyższy i trochę szczuplejszy, ale podobnie jak Daniel miał czarne kręcone włosy i wyraźnie zarysowany podbródek. Nietrudno było się domyślić, że to Michael Kelly.

Przeczytałam załączony list:

Wybrałem dwa zdjęcia córki. Mężczyzna na jednym z nich to oczywiście ten nicpoń Michael Kelly. Wyjątkowo podły typ. Był jeszcze dzieckiem, kiedy znalazłem go na terenie naszej posiadłości. Przygarnąłem i nauczyłem, jak obchodzić się z końmi. Był pojętnym uczniem i mógłby wyjść na ludzi, gdyby nie zżerała go ambicja. Wolał zająć się wszczynganiem bójek i tym, co niektórzy nazywają walką o wolność. Kiedyś aresztowano go nawet za próbę podpalenia pomnika królowej Wiktorii w Dublinie. Odbyliśmy długą rozmowę i miałem nadzieję, że moja nauka nie pójdzie w las. Ale myliłem się. Wkrótce znów wszedł w konflikt z prawem. Nie uśmiechała mu się samotna ucieczka z kraju, więc namówił moją młodziutką i naiwną córkę, by mu towarzyszyła. Bóg jeden wie, czy ma wobec niej dobre zamiary, czy raczej na wieki zniszczy jej reputację.

Łatwo zrozumieć moją desperację. Gdyby udało się sprowadzić Katherine do domu i zatuszować całe to zdarzenie, miałyby jeszcze szansę na normalne życie w towarzystwie. Ma dopiero dziewiętnaście lat.

Mogę się tylko domyślać, że prawdziwym motywem jego postępowania jest chęć zdobycia majątku mojej córki. Rzeczywiście w dniu swoich dwudziestych pierwszych urodzin odziedziczy ona sporą sumkę, ale w chwili obecnej nie ma przy sobie ani grosza, podobnie zresztą jak on. Jedyne pieniądze, jakie mogą posiadać, pochodzą pewnie ze sprzedaży biżuterii, którą córka zabrała z domu.

Jeśli chodzi o znajomych lub krewnych, w Ameryce nie mamy nikogo. Katherine spędziła znaczną część swojego życia w Indiach, gdzie miałem zaszczyt służyć królowej w bengalskiej kawalerii. Moja córka nie potrafi jeszcze sama o siebie zadbać. Bardzo się o nią boję. Błagam, by zaangażował Pan cały swój czas i siły w tę sprawę i jak najszybciej odnalazł nasze dziecko.

*Z poważaniem
Faversham*

Przeczytałam list kilka razy. Wreszcie miałam jakieś szczegóły. Katherine przybyła do Nowego Jorku bez grosza. W takim razie istnieje duże prawdopodobieństwo, że wciąż jest w mieście. Wiem, jak wygląda, mogę próbować odnaleźć ją i Michaela. Tylko kiedy? Jak mam szukać Katherine Faversham, skoro całe dni spędzam w szwalni i nie widać końca mojej pracy? Max Mostel nawet nie przygotował jeszcze projektów. Moja frustracja związana z warunkami pracy rosła z dnia na dzień i czułam, że za chwilę wybuchnę. Nie byłam pewna, jak długo jeszcze zdołam utrzymać język za zębami.

Któregoś dnia młoda kobieta w ciąży, Paula Martino, podniosła się ze swojego miejsca. Obłeśny Sam natychmiast to zauważył.

– A dokąd to się wybierasz? – zapytał.

Uśmiechnęła się przeprasząco i wzruszyła ramionami.

– Muszę wyjść na chwilkę. Przepraszam.

– Skoro musisz wyjść, w porządku. Zabieraj swoje rzeczy. Wynocha. Szef nie będzie płacił śmierdziuchom za to, że pudrują sobie noski.

– Nie, proszę – błagała blada i przerażona Paula. – Przepraszam. To dlatego, że dziecko uciska. Muszę częściej do toalety, trudno jest wytrzymać.

– Posłuchaj, skarbie – powiedział Sam. – Zrobię ci przysługę. I tak nie będziesz tu przychodzić z niemowlakiem. Kup sobie maszynę do szycia i pracuj w domu.

– Mam sobie kupić maszynę? – zapytała Paula, teraz już czerwona ze złości. – Za co niby mam sobie kupić maszynę, co? Myśli pan, że chowam złoto pod łóżkiem? Mam dwójkę dzieci do wykarmienia i męża, który nie może znaleźć pracy, a pan mi mówi, że mam sobie kupić maszynę?!

Nie mogłam tego dłużej słuchać. Wstałam, podbiegłam do Sama i chwyciłam go za rękaw.

– Nie wolno jej wyrzucić tylko z tego powodu, że częściej chodzi w ustronne miejsce. To

niesprawiedliwe. Przecież nie płacicie nam za godziny; nikt czasu nie marnuje. Dostajemy pieniądze za zsyte kawałki, więc jeśli wolniej pracujemy, możemy zostać wieczorem i dokończyć.

Sam wyrwał rękę z mojego uścisku i spojrzał na mnie z obrzydliwym uśmiechem.

– Właśnie sobie przypominałem, dlaczego nie wolno zatrudniać brudasów z Irlandii. Same z nimi kłopoty. Czego się, do cholery, wtrącasz?! Wracaj na swoje miejsce i pracuj, chyba że chcesz wylecieć razem z nią.

Cała ta scena mogła się dla mnie skończyć tragicznie, ale akurat do sali wszedł młody mężczyzna w wysokim kapeluszu i pelerynie z lamówką. W rękę trzymał laseczkę zakończoną srebrną kulką. Popatrzył na nas z zainteresowaniem.

– Znowu kogoś gnębisz, Sam? – zapytał. – Co zrobiła ta biedaczka? Kichnęła może, bo trochę kurzu dostało jej się do nosa?

Sam uśmiechnął się niewyraźnie.

– Staram się tylko utrzymać tu porządek, panie Benjaminie. Dbam o to, by te dziewczuchy nie marnowały czasu i pieniędzy pańskiego ojca.

– Ojciec jest u siebie? – zapytał młodzieniec, błędząc wzrokiem po sali, aż jego spojrzenie padło na mnie.

Dostrzegłam w jego oczach zdziwienie na widok moich rudych włosów i piegów. Kiedy nie spuściłam wzroku, tak jak zrobiłaby na moim miejscu każda inna dziewczyna, mrugnął do mnie. Na szczęście byłam na to przygotowana. Wcale nie oblałam się rumieńcem, ale uprzejmie się uśmiechnęłam i skłoniłam grzecznie głowę. Widziałam, że idąc w kierunku schodów, odwrócił się jeszcze w moją stronę.

– Mam nadzieję, że jest w dobrym humorze – powiedział do Sama. – Samochód miał właśnie nieprzyjemne spotkanie z tramwajem. Odpadł cały błotnik.

Sam popatrzył na nas.

– A wy na co czekacie? Szef nie zatrudnił was po to, żebyście się gapiły.

Podbródkiem wskazał na Paulę.

– No dalej, wynocha.

Wróciłam na swoje miejsce i zastanawiałam się, co robić. Chyba spodobałam się synowi szefa. Może mogłabym z nim porozmawiać i sprawić, że kierownik zmieni swoją decyzję w sprawie Pauli? Ale natychmiast sobie przypominałam, po co tu jestem. Mam zagadkę do rozwiązania. Nikomu nie pomogę, jeśli wyrzucą mnie z pracy.

Po chwili syn właściciela zszedł na dół, ale minął nas bez słowa, jakbyśmy w ogóle nie istniały.

– Pewnie oberwał od ojca za zniszczenie samochodu – zauważyła szeptem Sadie.

– To syn pana Mostela? Też tutaj pracuje? – zapytałam.

Pokręciła głową.

– Uczy się na doktora. Na jakimś dobrym uniwersytecie. – Przewróciła oczami. – Popatrz tylko, są tu niecałe dwadzieścia lat, a synalek zaraz będzie lekarzem. Może nam też się tak poszczęści?

Z drugiego końca sali rozległ się głos:

– Sadie Blum i Molly Murphy, zabieram wam po pięć centów za gadanie.

Siedziałam wściekła i zawzięcie naciskałam na pedały. Ktoś powinien się wstawić za tymi dziewczętami! Nie zasługują na takie życie. Pod koniec dnia wzięłam z kołka w ścianie swoje rzeczy i razem z Sadie i Sarą ruszyłam schodami na dół.

– Nie mogłam się doczekać, aż wybije siódma. – Sara mówiła szeptem, mimo że wolno nam już było rozmawiać normalnie, bo dzień pracy się skończył. – Prawie nie wytrzymałam, ale bałam się pójść do toalety po tym, co przytrafiło się Pauli. Jutro nie będę piła podczas przerwy.

– Tobie nic nie powie, Saro – zauważyła Sadie. – Jesteś spokojna i nieśmiała, zawsze robisz, co ci każą. Na dodatek dobrze pracujesz. Oni lubią dziewczęta takie jak ty.

– Chcę taka być – odparła Sara cicho. – Chcę być niewidzialna, codziennie modłę się, by przetrwać kolejny dzień.

Na samą myśl o tej młodziutkiej dziewczynie, która boi się wyjść do ubikacji, znowu się we mnie zagotowało.

– To niedopuszczalne – powiedziałam. – Dlaczego ktoś z tym nie zrobi porządku? Gdybyście działały razem, pokazałybyście swoją siłę.

Spojrzały na mnie z politowaniem.

– Uważasz, że nie próbowałyśmy? – zapytała Sadie. – Były tu dziewczęta, które myślały tak jak ty i starały się poprawić nasz los. I co się z nimi stało? Zniknęły. Jednego dnia siedziały tu z nami przy maszynach, następnego już nie. Jeśli wszystkie byśmy się zbuntowały i domagały lepszych warunków pracy, pan Mostel zwolniłby całą załogę i wysłał Sama do portu po nową siłę roboczą, która właśnie przyплыnęła do Nowego Jorku. Nie mamy wyboru, Molly. Ani nikogo, kto by się za nami ujął. Nie tracimy jednak nadziei, że pewnego dnia nasz los się odmieni.

Pomyślałam, że powinnam jednak coś z tym zrobić. Może trzeba zabrać głos w obronie tych dziewcząt? Ale czy prawdziwi detektywi angażują się emocjonalnie w prowadzone przez siebie sprawy? Zostałam wynajęta, by znaleźć w tej firmie szpiega, i za to mi płacą. Im prędzej zakończę swoje dochodzenie, tym lepiej. Z różnych powodów chciałam jak najszybciej mieć to śledztwo za sobą, przede wszystkim jednak dlatego, że praca u Mostela budziła we mnie odrazę.

Marzyłam, by wreszcie zająć się drugim zleceniem. Tylko jak mam znaleźć Katherine Faversham i tego jej nicponia, skoro brakuje mi czasu i sił na poszukiwania? Jedynie niedziele mam wolne – pomyślałam. A jeśli szybko nie wpadnę na ślad Michaela i Katherine, może się okazać, że wyjadą z miasta i wszelki śluch po nich zaginie.

Stałam na zimnej, wilgotnej ulicy i rozmyślałam, podczas gdy inne dziewczęta owijały się chustami i niknęły w mroku. Co tu począć? Ależ byłam naiwna, sądząc, że tak łatwo zostaje się detektywem! Ale zaraz... Mam się poddać tylko dlatego, że całymi dniami zszywam kołnierzyki? Muszę zaryzykować i zebrać siły, by szukać tej dwójki wieczorami. Poprawiłam szal i udałam się w kierunku portu.

Nie doszłam dalej niż do pierwszej gospody, a moje silne postanowienie nieco osłabło. Dwóch

pijanych mężczyzn próbowało mnie złapać. Z łatwością stawiałam im opór i przeszłam na drugą stronę ulicy, wciąż słysząc, jak obrzucają mnie sprośnymi wyzwiskami. Ich rubaszny śmiech dźwięczał mi jeszcze długo w uszach. Kolejna ulica w ogóle nie była oświetlona i bałam się w nią wejść. Ciężko mi było przyznać się przed samą sobą, że to po prostu nie ma sensu. Wreszcie dałam za wygraną. Niechętnie zawróciłam i poszłam w stronę przystanku tramwajowego na Broadwayu, starając się opanować galopujące myśli. Za jakie grzechy pracuję jak niewolnica? Nabrałam już przecież odpowiedniej wprawy w obsłudze maszyny do szycia, więc na co jeszcze czekam? Niczego więcej się już nie nauczę, a nowe projekty Mostela wciąż nie są gotowe. Podczas spaceru na przystanek podjęłam ostateczną decyzję. Nie będę już dłużej marnować swojego cennego czasu u Mostela. Biorę sobie wolne.

Kiedy tylko dotarłam do domu, usiadłam przy stole i napisałam list.

Drogi Panie Mostel,

Pracuję u Pana w firmie już ponad trzy tygodnie. Udało mi się poczynić pewne obserwacje i nabrać wprawy w szyciu. Teraz mam zamiar zatrudnić się u Lowensteina i poznać jego załogę oraz zasady panujące w szwalni. Czekam na informacje od Pana i sygnał, że nowe projekty są gotowe. Proszę przesłać mi wzory przez posłańca. Jednocześnie informuję, że zmieniłam adres zamieszkania. Od teraz listy należy kierować na Patchin Place 10.

Kiedy pisałam, Bridie zerknęła mi przez ramię.

– Ładne literki kreślisz – powiedziała.

– Też się tak nauczysz – odparłam. – Pod warunkiem że będziesz się przykładać. Tata pewnie zapisze cię w tym tygodniu do nowej szkoły, tu blisko.

– Ja nie idę do żadnej szkoły – oznajmił Szelma, który stał w drzwiach i patrzył na mnie wyzywająco.

– Szkoła jest dla mięczaków.

– Pójdiesz, czy tego chcesz, czy nie – odrzekłam. – Wszyscy muszą nauczyć się czytać i pisać.

– Ja już umiem czytać i pisać – powiedział. – Moi kuzyni nie chodzą do żadnych głupich szkół, a zarabiają pieniądze.

– Jako chłopcy na posyłki w gangach, tak? Nie sądzę, żeby twojemu ojcu taka praca się spodobała.

Spojrzał na mnie zuchwale.

– Chcę zarabiać pieniądze, żeby opiekować się tatą i siostrą.

Popatrzyłam na niego uważnie i dostrzegłam w jego spojrzeniu strach, a nie tylko zuchwałość. Najwyraźniej zdecydował, że musi wziąć na siebie obowiązki głowy rodziny. Podeszłam i spróbowałam położyć mu rękę na ramieniu.

– To bardzo szlachetny zamiar – pochwaliłam. – Ale będziesz mógł znacznie lepiej się nimi zaopiekować, jeśli najpierw ukończysz jakąś szkołę.

– Nie mam na to czasu – odparł i strząsnął moją rękę. – Mogę jeszcze dzisiaj zatrudnić się jako

gazeciarz.

– Masz czas. Masz dom, masz jedzenie.

Popatrzył na mnie lekceważąco.

– Nuala mówi, że dostajemy od ciebie jałmużnę.

– Jałmużnę? To nie żadna jałmużna.

– Nie jesteś naszą krewną, a tylko krewni mogą pomagać sobie nawzajem. Tak mówi Nuala.

– Nuala mówi niemądre rzeczy. – Uśmiechnęłam się do chłopca. – Ale mam pewien pomysł. Jeśli już teraz potrzebujesz pieniędzy, mogę cię zatrudnić. Obiecuj mi, że pójdziesz do szkoły, a wtedy pozwolę, byś po lekcjach załatwiał dla mnie różne sprawy. Tak się składa, że już jutro rano potrzebny mi jest sprytny goniec.

– Naprawdę? Gdzie mam pójść?

– Trzeba zanieść ten list do szwalni na Canal Street.

– Wiem, gdzie to jest! – Szelma cały się rozpromienił.

– Dobrze. W takim razie daję ci tę pracę. Masz dopilnować, by list trafił do rąk pana Mostela. Powiedz, że to pilne. I jeszcze jedno. Nie mów, proszę, od kogo jest wiadomość.

Dokończyłam list i wpisałam nadawcę: J.P. Riley i Partnerzy. Kiedy następnego dnia rano wręczałam kopertę Seamusowi, czułam wielką ulgę i radość. Przez parę kolejnych dni – żadnego siedzenia przy maszynie. Pora odnaleźć zaginioną dziedziczkę.

Zacząłam swoje poszukiwania na samym szczycie Manhattanu – tam, gdzie cumuje łódź z imigrantami przyplływającymi na Ellis Island. Jeśli rzeczywiście Katherine i Michael byli bez grosza i nikogo tu nie znali, prawdopodobnie najpierw zajęli się szukaniem dachu nad głową. Miałam wciąż w pamięci swoje pierwsze chwile w Nowym Jorku. Byłam co prawda z Seamusem, który od razu zaprowadził nas do mieszkania Nuali i Finbara przy Cherry Street, ale zapamiętałam tłumy naganiaczy czekające na przybyszów z wyspy. Ci sami ludzie stali teraz w równym rzędzie, wypatrując pierwszej porannej łodzi. Niektórzy trzymali w ręku kawałek tektury, inni – większe tabliczki, na których wypisane mieli informacje po włosku, rosyjsku, w jidysz i chyba we wszystkich innych językach świata. Na jednej z takich tabliczek przeczytałam: PENSJONAT PANI O'BRIEN. CZYSTO I TANIO. POKOJE DO WYNAJĘCIA. BEZPIECZNA OKOLICA. Ogłaszały się tutaj nie tylko pensjonaty, ale również przybytki nieco innej proveniencji: LOMBARD PETERA PAWNA, BOWERY 38. DOBRE CENY ZA WARTOŚCIOWE PRZEDMIOTY. W tłumie zauważyłam wielu podejrzanych typków. Wsadzali głowy do pobliskich barów, obserwowali i czekali. Może liczyli na to, że spotkają młode dziewczęta bez opieki albo młodych chłopców? Wystarczyło tylko spojrzeć na tych ludzi, a już było wiadomo, że nie mają dobrych intencji i że czyhają na słabych i bezbronnych.

Przeszłam się i spisałam adresy różnych pensjonatów i pokoi do wynajęcia. Potem, zaczynając od najbliższej okolicy, odwiedziłam każde z tych miejsc. Założyłam, niestety błędnie, że jeśli przyplłynęli wieczorem i byli zmęczeni, prawdopodobnie zdecydowali się wybrać jakieś lokum w pobliżu.

Kilka godzin później byłam wyczerpana i bolały mnie nogi, a na dodatek niczego ciekawego się nie dowiedziałam. Sprawdziłam dziesięć pensjonatów i Bóg wie ile pokoi, ale nigdzie tam nie słyszeli o Katherine i Michaelu Kellych.

Irlandzkie slumsy znajdowały się nad samym morzem, przy East River. Rozciągały się od Cherry Street, gdzie mieszkałam zaraz po przyjeździe do Ameryki, aż po Fulton Street, przy której aktualnie wynajmowała pokój koszmarna rodzinka Nuali. Był jeszcze obszar po drugiej stronie wyspy, również tuż przy porcie, miejsce zamieszkania mojego nieżyjącego już pracodawcy, Paddy'ego Rileya. Wiedziałam też, że Irlandczycy chętnie zatrzymują się w Hell's Kitchen – ale tej dzielnicy wcale nie uśmiechało mi się odwiedzać. Postanowiłam zacząć na Lower East Side i systematycznie posuwać się naprzód. Znów sobie uświadomiłam, jak małe mam doświadczenie w pracy detektywa. Paddy prawdopodobnie natychmiast odnalazłby zaginioną parę, tylko dzięki temu, że potrafił zadawać ludziom odpowiednie pytania. Miał kontakty zarówno w policji, jak i w półświatku. Ja nie miałam żadnych znajomości, ani tu, ani tam. Mogłam jedynie działać na własną rękę, metodą prób i błędów.

Zacząłam na Cherry Street, przeczesując dokładnie całą okolicę. Było już południe, na ulicach rozstawiły się stragany i handel ruszał właśnie pełną parą. Drzwi do barów stały otworem, mężczyźni wchodzili albo wychodzili. Niewykluczone, że w jednym z takich barów gasi teraz pragnienie Michael

Kelly – pomyślałam. Ze zdjęcia jasno wynikało, że jest przystojnym mężczyzną, który potrafił oczarować zarówno majora Favershama, jak i jego córkę. Ktoś mógł go zapamiętać. Ale kobietom nie wolno przesiadywać w barach. Zawód, który wykonuję, jest znacznie łatwiejszy dla mężczyzn – pomyślałam nie po raz pierwszy i ostatni.

Musiałam zadowolić się rozmową z napotkanymi kobietami. Poprosiłam, by wskazały mi pensjonaty w pobliżu i podały adresy osób, które oferują tanie pokoje do wynajęcia. Potem w każdym z tych miejsc dawałam to samo wzruszające przedstawienie, opowiadając o zaginionej kuzynce Katherine i jej mężu Michaelu. Zawsze pytałam też o inne pensjonaty w pobliżu. Zwykle otrzymywałam następującą odpowiedź: „Pod numerem osiemdziesiątym dziewiątym jedna taka oferuje pokoje. Ale tam jest tak brudno, że nawet myszy się brzydzą”. Przeszukałam całą Cherry Street, potem Water Street, a następnie poszłam w głąb wyspy – obeszłam Monroe, Madison, Henry oraz ich przecznice. Ale wszystko na nic. W każdym budynku tej przeludnionej do granic możliwości dzielnicy były pokoje na wynajem, podnajem i podpodnajem. Połowa rodzin brała sobie sublokatora. Poza tym nazwisko Kelly było tak popularne, że kilka razy wpadłam na fałszywy trop.

W końcu dałam za wygraną i wróciłam do portu, zastanawiając się, czy nie pokazać naganiaczom zdjęcia zaginionej pary. A nuż któryś ją zapamiętał. Przecież państwo Kelly byli dość charakterystyczni. Na nabrzeżu odbywał się teraz prawdziwy cyrk. Właśnie przyplłynęła łódź i wysypywali się z niej ludzie. Dzieci płakały, naganiacze krzyczeli i próbowali zagarniać przybyszów w kierunku swoich pensjonatów; mali chłopcy oferowali pomoc przy noszeniu bagażu, ale przerażeni podróżni wyszarpywali pakunki z ich rąk. Wśród tego całego tłumu zauważyłam wielu rzezimieszków i wcale nie dziwiłam się obawom imigrantów. Kieszonkowcy czuli się tutaj jak w rajach, a inni bezczelnie po prostu zabierali tobołki pozostawione na chwilę bez opieki i oddalali się z nimi w boczne uliczki. Cóż za powitanie w tym demokratycznym kraju! A gdzie chluba Nowego Jorku, policjanci? Nie ma ich, kiedy są najbardziej potrzebni. Będę musiała wszystko opowiedzieć Danielowi! Natychmiast usłyszałam wewnętrzny głos: zapomnij o tym, Molly. Niczego już nie będziesz mu opowiadać.

Powoli zaczynałam żałować, że w ogóle tu przyszłam, ale w pewnym momencie moją uwagę przykuło ogłoszenie. Na samym końcu grupy naganiaczy chodził w tę i z powrotem smętny mężczyzna z dużą tablicą, na której przeczytałam: JAK U MAMUSI. PENSJONAT PANI KELLY. TANIO I PRZYJEMNIE. Adres: Division Street, tuż obok miejsca, gdzie przed chwilą zakończyłam swoje poszukiwania. A to heca!

Nie zdziwiłabym się, gdyby Katherine i jej mąż, ujrawszy tę tablicę, skierowali swoje kroki właśnie tam. Michael Kelly z pewnością nie przegapiłby takiej okazji, licząc, że pani Kelly okaże się jakąś daleką krewną. Szybko pobiegłam do przystanku elki na Trzeciej Alei i pojechałam na Canal Street, skąd było już tylko parę kroków do Division. Pensjonat mieścił się w okropnym miejscu. Wszystkie budynki w okolicy wyglądały podobnie – pięciopiętrowe, z obskurnej brązowej cegły. Zapukałam do drzwi wejściowych, które po chwili otworzyła ogromna kobieta w brudnym białym fartuchu na spranej czarnej sukience.

– Tak? – zapytała, zaplatając ręce na obfitym biuście.

– Szukam swojej kuzynki i jej świeżo poślubionego męża. Niedawno przyплыnęli z Irlandii. Zastanawiam się, czy może zatrzymali się u pani, bo na nazwisko mają również Kelly. – Uśmiechnęłam się przymilnie. – Michael i Katherine, młode małżeństwo.

Miałam nadzieję, że jej ponura mina nieco się zmieni na dźwięk irlandzkiego akcentu, ale jejmość wciąż patrzyła na mnie bez uśmiechu.

– Proszę mi nawet o nich nie przypominać. Darmozjady! – powiedziała w końcu.

– To znaczy, że tutaj mieszkali?

– A i owszem. Potraktowałam ich jak własne dzieci. On się strasznie podlizywał. Powtarzał, że jesteśmy spokrewnieni.

Wyprostowała się i prychnęła.

– Akurat! Spokrewnieni! Też coś...

– To znaczy, że już tu nie mieszkają? – spytałam ostrożnie.

– Wynieśli się bez słowa, żadnego do widzenia ani dziękuję. A niech ich szlag! – powiedziała. – Po prostu wróciłam raz z zakupami, a po nich ani śladu. Nie zapłacili mi za cały tydzień pobytu.

– Kiedy to było?

– Będzie z miesiąc. Co z oczu, to z serca.

– Ogromnie mi przykro, że tak panią potraktowali – powiedziałam. – Jestem spokrewniona z Katherine, nie z Michaelem. Rodzina w Irlandii uprzedzała mnie, że nieżył z niego gagatek.

– Mieli rację, jeśli o mnie chodzi. – Pochyliła się w moją stronę i dodała: – Obawiam się, że pani kuzynka poślubiła mężczyznę niższego stanu. Trzeba przyznać, że to dama pełną gębą. Miała nawet czelność skrytykować sposób, w jaki prowadzę ten pensjonat. Powiedziała, że psy u niej w domu nie chciałyby jeść z takiej podłogi jak moja. Wyobraża sobie pani? Co za tupet!

Powstrzymałam się od uśmiechu. Zdążyłam zauważyć zakurzone zasłony i poplamione linoleum na podłodze. Wygląda na to, że Katherine miała sporo racji. Współczująco pokiwałam głową.

– Rozpieszczona dziewczyna – skomentowałam. – Ale ma dobre serce i bardzo chciałabym jej pomóc. Nie wie pani przypadkiem, dokąd mogli się udać?

Pokręciła głową.

– Nie byli zbyt rozmowni. Ani towarzyscy.

– A jak spędzali czas? Siedzieli w domu? Mieli jakąś pracę?

– Ona tak. Znikała na cały dzień. Ale ten jej mąż bynajmniej. Leniuchował przez pół dnia, a wyłąził dopiero, jak pootwierali bary w okolicy. I nie było go aż do rana.

– Może po prostu pracował na nocną zmianę?

– Po pracy chyba nie wraca się na chwiejnych nogach, ciągnąc za sobą smród piwa, co?

– A wie pani może, gdzie pracowała Katherine? – spytałam. – Może w ten sposób trafię na jej ślad.

Mamusia Kelly znów westchnęła.

– Już mówiłam, że zbyt rozmowni to oni nie byli. Zwłaszcza ona. Ale podejrzewam, że z takimi talentami i pochodzeniem mogła znaleźć sobie jakąś porządną robotę.

Próbowałam wymyślić jeszcze parę pytań, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

– Bardzo mi przykro, pani Kelly, że zajmuję pani cenny czas. Jeśli przyszłyby do nich jakieś listy z domu, mogłaby pani przekazać je na mój adres? Patchin Place dziesięć, Greenwich Village. Proszę zaadresować na nazwisko Murphy. Molly Murphy.

– Dobrze – odparła. – Mam nadzieję, że odnajdzie pani kuzynkę. Tak jak powiedziałam, mnie tam ona nie przeszkadzała. Ale on...! Cały Kelly, taki sam jak mój zmarły mąż. Za grosz zaufania nie mam do takich mężczyzn. Chodzą i zawracają ludziom głowę.

Prychnęła lekceważąco na zakończenie.

– Jeśli jednak usłyszysz pani coś o Michaelu i Katherine, proszę dać mi znać – powiedziałam. – Odwdzięczę się za taką informację.

– Ale ja właśnie przekazałam informacje – odparła i oko jej zabłysło.

– To prawda. – Sięgnęłam do portmonetki. – Pięćdziesiąt centów za fatygę. Jeśli dowie się pani czegoś, dzięki czemu odnajdę biedną Katherine, oczywiście znów chętnie zapłacę.

– Będę mieć oczy i uszy otwarte, kochanieńka – odparła przymilnie.

Pożegnałam mamusię Kelly, nie mając pomysłu, co dalej robić. Katherine i Michael mieszkali tu do niedawna. Potem w pośpiechu się wyprowadzili. Czy to oznacza, że znaleźli lepsze lokum – na przykład własny pokój? Skoro dziewczyna pracowała, jest to całkiem możliwe. Ale jak mam ich odszukać w tym wielkim mieście? Przypomniałam sobie słowa Paddy’ego – zawsze zaczynaj od tego, co już wiesz, nawet jeśli wydaje ci się to mało ważne. To znaczy od czego? – zapytałam samą siebie. Spróbowałam podsumować wszystkie informacje, które do tej pory zdobyłam. Katherine znalazła pracę i według pani Kelly mogło to być zajęcie dla damy z wyższych sfer. Może w takim razie sklep z sukniami albo kapeluszniami? Wiedziałam, że czasem zatrudnia się tam kobiety, ale ile może być takich sklepów w całym mieście? Z pewnością zbyt wiele, by je wszystkie odwiedzić.

Wiedziałam też, że Michael nie przemęczał się w ciągu dnia i że często nad ranem wracał do domu pijany. Tak więc teraz powinnam się dowiedzieć, w których barach spędzał czas. Pewnie nie chodził gdzieś daleko. Uznałam, że zacznę od najbliższego przybytku, tego na rogu, a potem odwiedzę kolejne.

Wiedziałam, że proszę się o kłopoty, ale nie miałam wyboru. To był mój jedyny trop. Postanowiłam, że przybioreę wyniosły wyraz twarzy, a w pogotowiu będę cały czas trzymać spinkę do włosów. Wyjęłam ją, schowałam w dłoni i skierowałam kroki do O’Leary’s Tower na rogu Division i Market. Było około wpół do drugiej; sam szczyt pory obiadowej. Drzwi stały otworem, a przy barze dostrzegłam grupkę mężczyzn. Każdy pochylał się nad miską z ciepłym daniem, a w rękę trzymał bułkę. Posiłek wliczony był w cenę jednego piwa. Takie darmowe obiady stawały się coraz bardziej popularne, szczególnie wśród samotnych pracujących mężczyzn. Może nie będzie tak źle? – pomyślałam. Może nie ma się czego obawiać?

Ledwie weszłam za próg, od razu usłyszałam:

– Chłopaki, uważajcie, czyjaś stara tu przyszła, pewnie chce położyć łapę na wypłacie.

Właściciel wyszedł zza baru i szybko do mnie podszedł.

– Przykro mi, kobietom wstęp wzbroniony.

– Nie zamierzam tu zostać, proszę pana – odparłam. – Szukam kuzyna, który chyba często do was zaglądał. Zastanawiam się, czy widział go pan ostatnio.

– Pani droga, tutaj przychodzi jakaś setka ludzi dziennie. Nie znam ich, chyba że narobią zamieszania i poniszczą meble. Wtedy to co innego.

– Mam nadzieję, że ten młody mężczyzna rzucił się panu w oczy. Mieszkał obok, parę tygodni temu się wyprowadził. Nazywa się Michael Kelly. Wysoki, z ciemnymi włosami, przystojny. Podobno miał gadane.

Barman pokręcił głową, ale po chwili zmienił się na twarzy.

– Był jeden taki, co przez chwilę tu przychodził. Rzeczywiście miał gadane. Opowiadał niestworzone historie o różnych swoich rozróbach i o tym, jak uciekał sprzed nosa angielskiej policji.

– Tak, to pewnie on – odparłam. – Wie pan może, gdzie mogłabym go teraz znaleźć? Parę tygodni temu wyprowadził się z pensjonatu pani Kelly.

Potrząsnął głową.

– Chyba pani nie pomożę. Niektórzy z moich gości przychodzą tu regularnie. Może któryś z nich będzie wiedział – zauważył, a potem głośno zapytał zebranych: – Ta młoda dama szuka swojego kuzyna. Pamiętacie tego młodego Kelly’ego? Tego, co to opowiadał, że należy do fenian i że walczy o wolność? Ktoś wie, co się z nim stało?

Starszy mężczyzna w brudnym kombinezonie podniósł wzrok znad miski.

– Ostatni raz, kiedy go widziałem, rozmawiał z Monkiem.

– Z Monkiem? – spytałam.

– Z Monkiem Eastmanem – powiedział, ścisząc głos.

– A kto to jest?

Obecni popatrzyli po sobie.

– To szef lokalnego gangu, panienko – szepnął jeden z nich ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Sugeruje pan, że Michael może być powiązany z gangiem?

Wzruszył ramionami.

– A kto to może wiedzieć? Ja od takich jak Monk Eastman trzymam się z daleka. Mówię tylko, co widziałem, a widziałem, jak przed Walla Walla rozmawiał z Monkiem.

– Miejmy nadzieję, że była to przyjacielska rozmowa – rzucił ktoś z głębi sali – bo jak nie, to ten pani kuzyn może równie dobrze pływać sobie teraz w East River.

– A co to jest Walla Walla? – zapytałam.

– Tak się mówi na Walhalla Hall. To taki lokalny klub dla mężczyzn.

– Klub dla mężczyzn? A gdzie?

Znów widziałam, że wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

– Tu blisko. Na rogu Orchard Street, niedaleko Canal. Ale nie radziłbym panience tam chodzić. To jest miejsce dla gangsterów, a nie miłych młodych dziewcząt.

– Proszę się nie bać. Niczego głupiego nie zrobię – odparłam. – Dziękuję za pomoc, panowie.

– Nie ma za co, panienko – odparli, a niektórzy nawet zdjęli czapki.

Wychodząc, poczułam się jak królowa. Stałam chwilę na rogu, ciesząc się promieniami słońca, które właśnie wyjrzało zza chmur. Mężczyźni też zaczęli opuszczać bar, a jeden nawet wybiegł dość szybko. Pomyślałam, że może przeze mnie spóźnił się do pracy.

Rety, ten gulasz ładnie pachniał! Burczenie w brzuchu przypomniało mi, że od śniadania nic nie jadłam. Szkoda, że posiłek w cenie piwa mogli kupować tylko mężczyźni. Będę musiała poszukać jakiejś kawiarni – postanowiłam. Tylko czy powinnam robić sobie przerwę akurat teraz, kiedy trafiłam wreszcie na jakiś ślad zaginionych? Chyba nie. W końcu na ulicznym straganie kupiłam torebkę gorącej ciecierzycy. Nigdy wcześniej nie słyszałam o takim przysmaku. Ciecierzycy była słona i chrupiąca. Na jakiś czas mogłam zapomnieć o głodzie.

Ogarnęło mnie zwątpienie. Nie wiedziałam, co teraz począć. Zdawałam sobie sprawę, że odwiedzając siedzibę gangu, ryzykuję. Trzeba zachować ostrożność. Ale chyba nie zaszkodzi, jeśli tak po prostu przejdę się za dnia Orchard Street i rzucę okiem na to miejsce? Szwalnia Mostela znajdowała się zaraz za rogiem, na Canal Street, a przecież nigdy nie czułam się tam nieswojo, idąc do pracy od przystanku tramwajowego. Uniosłam spódnicę i ruszyłam, starając się wyglądać na bardzo pewną siebie.

Budynek Walhalla Hall sprawiał solidne wrażenie. Miał eleganckie drzwi wejściowe, na murach widniały ornamenty z marmuru. Niestety, o tej porze klub był zamknięty na cztery spusty. Przeszłam na drugą stronę ulicy i spojrzałam na niego z odległości. Wyglądał imponująco. Widok psuły jedynie okna na parterze zabite deskami. Na tablicy przy wejściu wisiały plakaty reklamujące wieczorki taneczne oraz inne nadchodzące wydarzenia. Na pierwszy rzut oka zwyczajne centrum kultury – pomyślałam.

I co dalej? – zapytałam sama siebie. Za dnia pewnie nic się tutaj nie dzieje, ale przecież nie powinnam przychodzić tu nocą, to zbyt niebezpieczne. Wcale nie miałam ochoty stanąć twarzą w twarz z Monkiem Eastmanem albo jednym z jego ludzi. Przespacerowałam się raz jeszcze w tę i z powrotem przed budynkiem, zastanawiając się, czy nie pokazać komuś w okolicy fotografii Michaela. W pewnym momencie usłyszałam za sobą odgłos kroków na kocich łbach. Kiedy się odwróciłam, dojrzałam trzy drobne postaci biegnące od strony Orchard Street. Skręciły w jedną z bocznych alejek na drugim końcu budynku. Wydawało mi się, że gdzieś daleko słyszę policyjny gwizdek. Zdecydowana na wszystko, poszłam za chłopcami. Można by pomyśleć, że znów zachowałam się nierozsądnie. Nie kierowałam się jednak tylko czystą ciekawością. Chodziło o coś więcej. Jednego z tych chłopców rozpoznałam. Sama wkładałam mu dzisiaj rano na głowę czarną czapkę z daszkiem.

Alejka była ciemna, wąska i bardzo zaśmiecona. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach. Szłam z bijącym sercem. Uniosłam spódnicę i starałam się uważnie stawiać kroki pomiędzy resztkami zgniłego jedzenia. Nagle usłyszałam jakieś szelesty i cichy głos: „Ktoś idzie”.

– Owszem, ktoś idzie – odezwałam się głośno. – Natychmiast do mnie, Seamusie O’Connor, albo przez miesiąc nie będziesz mógł usiąść.

– To ona – usłyszałam cienki głosik, a potem zza góry węgla wyjrzały trzy chłopięce buzie. Należały do Szelmy i jego dwóch kuzynów, Malachy’ego i Jamesa. Zanim Szelma zdołał uciec, chwyciłam go za kołnierz.

– Na litość boską! Byłam pewna, że mamy umowę – powiedziałam. – Wydawało mi się, że ustaliliśmy to i owo. Żadnego szwendania się z kuzynami, żadnych gangów. Obiecałeś, że zapiszesz się do szkoły.

– Ona nie jest twoją mamą – zauważył Malachy. – Nie może ci rozkazywać.

– Owszem, nie jestem twoją matką – odparłam. – Ale obydwójce dobrze wiemy, co twoja droga mama pomyślałaby o takim zachowaniu. Z pewnością chciałaby, żebyś o siebie zadbał. Złamiesz jej serce, jeśli dostanie wiadomość, że cię zamordowano albo wsadzono za kratki. Chcesz, żeby była smutna, kiedy usłyszy, że pakujesz się w kłopoty?

Buzia Szelmy ułożyła się w podkówkę.

– Nie. – Spuścił wzrok.

– No to na przyszłość pamiętaj, żeby dotrzymywać słowa – powiedziałam. – A teraz marsz ze mną do domu. A wy dwaj biegnijcie do swoich rodziców, jeśli macie choć trochę oleju w głowie.

Wzięłam Szelmę za rękę i poszliśmy.

– Przepraszam, Molly – szepnął, kiedy byliśmy już daleko od kuzynów. – Przyszedłem tutaj, bo miałem dostarczyć twój list. Spotkałem Malachy’ego i Jamesa. Przezywali mnie, potem powiedzieli, że jeden człowiek da nam całego dolara, jeśli przewrócimy stragan z owocami na Bowery. Całego dolara, Molly!

– Całego dolara? – powtórzyłam. – Czy to aby dobra cena za życie zmarnowane w więzieniu? Kto ci każe robić takie straszne rzeczy? Ktoś z gangu?

– Eastmansi. – Popatrzył na mnie dumnie i wyzywająco. – To oni pilnują tej części miasta. Kiedy pokonają Dustersów i Five-Pointersów, zdobędą panowanie nad całym miastem. Za parę lat i ja będę dla nich pracował. Będę juniorem u Eastmansów. Podobno dość dobrze biegam.

– Nie będziesz żadnym juniorem u Eastmansów, więc natychmiast wybij to sobie z głowy. Ludzie, którzy pracują dla gangu, źle kończą. Jeśli rzeczywiście chcesz pomóc swojej rodzinie, idź do szkoły, ucz się pilnie, a wyjdiesz na ludzi. W wolnych chwilach możesz zarobić parę groszy, pracując dla mnie jako goniec i moja prawa ręka.

To troszkę poprawiło mu humor.

– Dostarczyłem list, tak jak mi kazałaś – dodał. – Powiedziałem im, że muszę go przekazać na ręce szefa, bo to bardzo ważny list. Zabrali mnie na górę i wtedy oddałem kopertę takiemu starszemu panu.

– Powiedział coś, kiedy się zorientował, od kogo jest wiadomość?

– Nie, ale kiwnął głową i od razu włożył ją do kieszeni marynarki.

– Świetnie się spisałeś, Szelmo. Pewnie nieraz jeszcze cię o coś poproszę. Oczywiście tylko wtedy, kiedy będę ci mogła zaufać. Bo jeśli znów przyłapię cię w towarzystwie kuzynów, zapomnij o pracy u mnie.

– Będziesz mogła mi zaufać – odparł. – Naprawdę jesteś detektywem?

– Skąd wiesz?

– Nuala mi powiedziała. Podobno tak twierdzisz, ale ona ci nie wierzy. Mówiła też, że masz kochanka, który cię bije.

– A ja ci mówię, że Nuala często wygaduje głupoty.

Doszliśmy do Broadwayu i stanęliśmy w kolejce na przystanku tramwajowym.

– Jeśli naprawdę jesteś detektywem, mogę ci pomóc – szepnął Seamus. – Mógłbym poprosić w gangu o rzeczy, które cię interesują.

Pewna myśl zaświtała mi w głowie. Za wszelką cenę starałam się jej pozbyć, ale nie dałam rady. Seamus znał Eastmansów. Pracował dla nich. Czy bardzo narażę go na kłopoty, jeśli poproszę, by zadał im jedno proste pytanie? Wzięłam go za rękę i wyprowadziłam z kolejki. Schowaliśmy się pod markizą pobliskiego sklepu.

– Naprawdę chciałbyś dla mnie wykonać prawdziwą pracę? Nie chcę cię o to prosić, ale sama się nie dowiem. Chodzi o Eastmansów.

Oczy mu się zaświeciły.

– Znam wielu Eastmansów.

– Posłuchaj. Nie chcę, byś ryzykował w jakikolwiek sposób, ale muszę wiedzieć, czy mężczyzna, który nazywa się Michael Kelly, jest w ich szeregach. Dowiesz się? Powiedz im, że pyta o niego twoja kuzynka w Irlandii. To dla mnie ważne.

– Dobrze. To dziecinnie proste zadanie. Mam to zrobić teraz?

– Czy tam w ciągu dnia ktoś w ogóle jest? Drzwi były zamknięte.

– Już ja wiem, gdzie ich szukać. – Szelma był bardzo z siebie zadowolony. – W klubie znaleźć ich można tylko podczas wieczorków tanecznych albo jakichś innych okazji. Kiedy nie ma żadnej zabawy, siedzą zawsze w głównej bazie.

– To znaczy gdzie?

– Na Chrystie Street, zaraz za rogiem.

– Nie chcę, żebyś chodził do głównej bazy gangu – odparłam. – Proszę, zapomnij, że w ogóle o to pytałam.

– Niektórzy z Eastmansów mogą siedzieć teraz w barze – zasugerował Seamus po namyśle. – Już tam kiedyś byłem z kuzynami. Zanieśliśmy wiadomość.

– W takim razie pójdziemy razem. Nie pozwolę, byś bez opieki kręcił się po barach.

Szelma najwyraźniej się przeraził.

– Nic a nic mi nie powiedzą, jeśli zobaczą, że nie przyszedłem sam. Przecież to bar. Pełno w nim ludzi. Będę całkowicie bezpieczny.

– No dobrze – odparłam niechętnie. – W takim razie popytaj i od razu wracaj do domu. Masz – sięgnęłam do torebki – ćwierć dolara. Starczy ci na powrót tramwajem i może na coś do jedzenia.

– Jejku! – Oczy mu zabłyśły. – Dziękuję.

– Masz być w domu przed zmrokiem. I żadnej zabawy z kuzynami.

– Dobrze, Molly. Obiecuję.

Pomachał mi na pożegnanie i pobiegł w kierunku, z którego przed chwilą przyszliśmy.

Nagle ogarnęły mnie złe przeczucia. Właśnie poprosiłam niewinne dziecko, by zrobiło dla mnie coś, czego sama się bałam. To nie w porządku! Co tak naprawdę chciałam osiągnąć? Ruszyłam za nim pędem, ale było za późno. Zapadł się jak kamień w wodę.

Wróciłam do domu tramwajem i przygotowałam wielki talerz kiełbasek z purée ziemniaczanym – ulubione danie małego Seamusa. Kolacja była gotowa, ale chłopiec nie wracał. Potem zrobiło się ciemno.

Powtarzałam sobie w duchu, że przecież jest jeszcze wcześniej. Może musiał poczekać chwilę, aż ktoś z gangu się pojawi. Znają go i akceptują; załatwia dla nich różne rzeczy. Nie zrobią mu krzywdy. Ale mimo to czułam w dołku strach, że coś jednak jest nie w porządku.

– Ładnie pachnie – powiedział starszy Seamus wesoło. Już dawno nie widziałam go w tak dobrym humorze. – Chyba powoli odzyskuję apetyt. A gdzie chłopak? Znowu gdzieś lata?

– Powinien niedługo wrócić – odparłam. – Włożę jedzenie do piecyka, żeby nie wystygło.

Zapadła noc. Podałam kolację Seamusowi i Bridie, ale sama nie byłam w stanie nic przełknąć. W końcu nie wytrzymałam.

– Pójdę go poszukać – powiedziałam. – Ten urwis chyba w ogóle nie ma poczucia czasu – dodałam, starając się nie pokazywać po sobie, jak bardzo się denerwuję.

Znów pojechałam tramwajem, a potem poszłam wyludnioną Canal Street. W porównaniu z Broadwayem i Bowery było tu ciemno, pusto i przerażająco. Żadnego życia, żadnych straganów, żadnego ruchu. Od czasu do czasu przemknął jakiś cień lub trzasnęły drzwi baru. Czemu nie pomyślałam, żeby przebrać się za chłopca? Kiedyś tak zrobiłam i okazało się, że jestem prawie niewidzialna. A teraz? Teraz czułam się kompletnie bezsilna. Ogarnęła mnie ogromna złość na samą siebie. Czym w tej chwili różnię się od tych bezradnych damulek, którymi tak pogardzam? Jeśli nie wezmę się w garść, może czas pomyśleć o gorsecie i solach trzeźwiących? W końcu opanowałam się, wyjęłam z włosów spinkę i ścisnęłam ją mocno w dłoni. To moja jedyna broń – pomyślałam. Gotowa na wszystko, skrzyłam

w Orchard Street.

Drzwi wejściowe do Walhalla Hall były zamknięte, ale w środku dostrzegłam jakieś światło. Zawahałam się. Wcale nie miałam ochoty pukać. Przeszłam wzdłuż budynku w poszukiwaniu jakiegoś okna, ale wszystkie były za wysoko. Stałam na palcach po drugiej stronie ulicy, bo stamtąd łatwiej było zajrzeć do środka. Nie wypatrzyłam jednak niczego szczególnego. Poszłam dalej, wściekła na samą siebie, że nie zapytałam Seamusa, jak nazywa się ten bar, w którym bywają Eastmansi. Zupełnie nie miałam pojęcia, dokąd iść ani czego szukać. Stałam na rogu i zerknęłam na nazwę kolejnej ulicy. Chrystie Street. Brzmiało znajomo! Szelma mówił, że gdzieś tutaj Eastmansi mają swoją siedzibę. Już miałam skręcić i pójść szukać ich głównej kwatery, kiedy usłyszałam za sobą kroki.

Postanowiłam zachować spokój. Ukłoniłam się grzecznie i powiedziałam „dobry wieczór”, ale nieznamy, zamiast przejść obok, zatrzymał się i zapytał z silnym akcentem z Bowery.

– Czy potrzebuje pani pomocy? To nie jest dobre miejsce dla samotnych kobiet. Szuka pani kogoś?

Był młody, szczupły i wyglądał całkiem sympatycznie. Gładko ogolony, ubrany w ciemny porządny garnitur, z kapeluszem zawadiacko nasadzonym na głowę.

Odetchnęłam z ulgą.

– Bardzo panu dziękuję. Owszem, szukam małego chłopca. Przed zmrokiem wysłałam go tutaj, by załatwił dla mnie pewną sprawę, ale jeszcze nie wrócił. Ma dziewięć lat. Irlandczyk, tak jak ja. Drobny, ciemnowłosy. Może przypadkiem gdzieś go pan widział?

– A wie pani, że tak – odparł. – Widziałem. Ale już jakiś czas temu.

– Ojej, co za szczęście! Czy może mi pan powiedzieć, gdzie to było?

– Rozmawiał z jakimiś mężczyznami przed wejściem do Walhalla Hall. Chodźmy. Zobaczymy, może jeszcze tam jest.

Uśmiechnął się do mnie serdecznie. Razem przeszliśmy przez ulicę i skierowaliśmy kroki w stronę wejścia do Walhalla. Ale wokół nie było nikogo.

– Może weszli do środka – zasugerował mój wybawca. – Zapytajmy.

Pchnął drzwi. Zawahałam się.

– Jest pan pewien, że nic nam nie grozi? To znaczy, że nie natkniemy się tam na członków gangu?

Zaśmiał się.

– Przecież to tylko klub dla mieszkańców, panienko. Urządza się tu różne przyjęcia, wesela, rocznice i tym podobne. Nawet jakieś kościelne uroczystości. A ze mną nic paniencie nie grozi.

Weszłam do środka, a on zamknął za nami drzwi. Znaleźliśmy się w dużej, słabo oświetlonej sali. Przy wszystkich ścianach stały krzesła, odsłaniając pustą podłogę.

– Chyba dzisiaj nic się tutaj nie dzieje – zauważyłam. – Ciemno i głucho. Sprawdźmy, co jest w głębi.

Ruszył przed siebie. Odgłos butów na drewnianej podłodze dudnił echem. Białe skarpetki świeciły w ciemności. Za salą był długi ciemny korytarz, ale spod drzwi na samym jego końcu wydobywała się smuga światła. Mężczyzna szybko oddalił się w tamtą stronę i bez wahania zapukał do drzwi, potem

otworzył je i wszedł do środka. Ośmielona jego zachowaniem, poszłam w tym samym kierunku.

– Hej, Monk – usłyszałam po chwili. – Pamiętasz? Prosiłeś, by przyprowadzić ci tę damulkę. Oto i ona.

Wepchnął mnie do środka i zatrzasnął drzwi.

Mężczyzna, z którym stanęłam teraz twarzą w twarz, wyglądał zupełnie inaczej niż mój towarzysz. Też był młody, ale lepiej zbudowany, choć niezbyt wysoki, z okrągłą nalaną twarzą i gęstą czarną czupryną, zwieńczoną kapeluszem o dobrych parę numerów za małym. Młodzieniec, którego spotkałam na ulicy, był porządnie ubrany, a ten wyglądał byle jak. Miał na sobie koszulę z podwiniętymi rękawami i spodnie na szelkach. Do tego wszystkiego – nie mogłam uwierzyć własnym oczom – na ramieniu siedział mu żywy gołąb. Gdyby nie broń wetknięta w spodnie, człowiek ten wyglądałby dość komicznie.

– Co to za damulka, Kid? – zapytał mojego towarzysza.

– Pamiętasz, jak Bugsy nam powiedział, że pewna rudowłosa weszła dzisiaj w barze u O’Leary’ego? A potem zaglądała przez okna do klubu? Powiedziałeś wtedy, że mamy ją znaleźć. No to masz. Myślę, że to jest właśnie ona. Złapałem ją, jak znów kręciła się w okolicy. Tym razem mówi, że szuka jakiegoś dzieciaka.

Oprzytomniałam już na tyle, by zdać sobie sprawę, że stoję twarzą w twarz z samym Monkiem Eastmanem. Niezbyt przyjemne uczucie. Szkoda, że nie wygląda trochę sympatyczniej – pomyślałam. Łatwiej byłoby mi z nim rozmawiać.

– Tak, proszę pana. Po prostu szukam zaginionego bratanka. Nazywa się Seamus O’Connor. Wysłałam go dzisiaj w te okolice w pewnej sprawie i powinien był już dawno wrócić do domu. Problem jest taki, że on uwielbia pański gang i często tutaj biega ze swoimi kuzynami. – Wiedziałam, że paplam bez ładu i składu, ale chciałam, żeby trochę zmiękł. Uważnie przyglądałam się jego twarzy.

– Ale dzisiaj pytałaś też o Michaela Kelly’ego. Tak? To mi wszystko wygląda podejrzanie.

Podszedł, nie spuszczając ze mnie wzroku. Poczułam się niepewnie.

– W porządku. Gadaj, kto cię przysłał. Ktokolwiek to jest, musi wiedzieć, że pan Monk nie lubi, jak mu się depcze po piętach.

– Nikt mnie nie przysłał – powiedziałam.

– To znaczy, że nie masz się czego bać, prawda?

Otworzył okno i strząsnął z ramienia gołębia, który z głośnym trzepotaniem skrzydeł odleciał w ciemność. Coś błysnęło w ręku Monka. Może sygnety na palcach?

– I co mam z nią zrobić, Monk? – spytał Kid.

– Zabierz ją do mnie. Przyjdę, jak tylko Lefty wróci z miasta. Miał tam coś załatwić. – Monk uśmiechnął się nieprzyjemnie. Nie można było powiedzieć, że jest czarującym mężczyzną.

– W porządku, dziewczynko. Zbieramy się stąd i nie próbuj żadnych sztuczek.

Kid chwycił mnie za ramię. Nie potrafię być posłuszna i robić tego, co mi każą. Wyrwałam się z uścisku i ukłułam go spinką.

– Puszczaj! Nie tak się traktuje kobiety!

Kid krzyknął i podniósł rękę do ust. Na moment byłam wolna. Chwyciłam za klamkę u drzwi.

– Uważaj, ona ma nóż! – krzyknął Kid do Monka.

Zanim zdążyłam uciec, Monk ścisnął mi kark swoją wielką łapą.

– Masz szczęście, że nie jestem damskim bokserem, bo mógłbym cię zbić na kwaśne jabłko – powiedział miłutko.

– Nie mam noża, tylko spinkę do włosów. Każda dama by jej użyła w obronie własnej – zaprotestowałam. – Co z wami? Jeśli tak traktujecie kobiety, to bardzo współczuję waszym żonom albo narzeczonym.

Udawałam złość, ale tak naprawdę obleciał mnie potężny strach. Przypomniałam sobie uwagi Daniela na temat białego niewolnictwa. Postanowiłam jednak nie dawać im satysfakcji. Nie zobaczą, że się boję.

– Skoro nie umiecie odpowiedzieć na jedno proste pytanie dotyczące zaginionego chłopca, to, na litość boską, wypuście mnie stąd.

– Nigdzie nie pójdziesz – odparł Monk. – Powiesz nam najpierw, kto cię przysłał. Dla którego gangu pracujesz? Zaprowadź ją lepiej na górę, Kid. Za chwilę do was dołączę.

Przez moment rozważałam, jaką przyjąć postawę. Słabej i bezradnej kobietki czy raczej królowej Wiktorii, która złości się na swoich poddanych? Zdecydowałam, że druga opcja ma większe szanse powodzenia.

– Czy nie możecie pojąć, że nikt mnie tu nie przysłał? Popełniacie poważny błąd! – krzyczałam, kiedy Kid wykręcał mi ręce do tyłu i wypychał przez drzwi. – Jestem zwyczajną dziewczyną z Irlandii. Nazywam się Molly Murphy. A pytałam o Michaela Kelly’ego, bo jedna moja kuzynka wyszła za niego za mąż i słyszałam, że niedawno przyплыnęli razem do Nowego Jorku. Rodzina tego małego chłopca, Seamusa O’Connora, dzieli ze mną mieszkanie; on zaproponował, że popyta o Michaela w waszej okolicy. To wszystko. Takie skomplikowane, że nie możecie zrozumieć?

Właśnie byliśmy w połowie drogi ciemnym korytarzem, kiedy drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem. Usłyszeliśmy gwizdki i nagle korytarz zapełnił się niebieskimi mundurami.

– Policja! – ktoś zawołał.

Usłyszałam odgłos przewracanych krzesel, a potem tupot nóg.

Kid puścił moje ramię.

– A co wy sobie wyobrażacie? Nachodzić nas w taki sposób? – usłyszałam za sobą głos Monka. – To jest porządny klub.

– A ja jestem prezydentem! – zakpił jeden z policjantów. – Jeśli masz wolną chwilę, Monk, to szef chciałby zamienić z tobą słówko. Tak po przyjacielsku.

– Twój szef prosi się o kłopoty. – Monk wolno cedził słowa. – Dobrze wiecie, że mnie nie można ruszyć. Wsadzicie Monka za kratki, a o wszystkim usłyszy Tammany. Obiecuję. A wtedy zobaczymy, czyje głowy polecą.

– Przecież mówię, że chodzi tylko o przyjacielską pogawędkę. Nic więcej. Nie ma mowy o żadnym aresztowaniu.

– To zdejmijcie mi te kajdanki.

– Chcę mieć jedynie pewność, że nie wywiniesz żadnego numeru. Proszę grzecznie do furgonu, a obiecuję, że niedługo wrócisz do domu.

Policjanci wyprowadzili Monka frontowymi drzwiami. Kid strasznie się wściekał. Usłyszałam kroki na schodach, a potem zobaczyłam, że mundurowi sprowadzają z góry jeszcze kilku mężczyzn. Dopiero wtedy mnie dostrzegli.

– A ta pani? – zapytał jeden z nich.

– Ją też zabierzmy – zaproponował drugi.

– Nie należę do gangu – odparłam ze złością. – Prawdę powiedziawszy, właśnie mnie uratowaliście. Więzili mnie tutaj.

Popatrzyli po sobie, wymieniając uśmiešky.

– Idziesz z nami, panienko, i żadnych sztuczek.

Zaprowadzili mnie do czekającego przed budynkiem furgonu i wepchnęli do środka razem z piątką lub szóstką Eastmansów.

– Ten, komu to wszystko zawdzięczamy, jeszcze pożałuje – powiedział Monk, kiedy konie ruszyły z kopyta i zaczęło nami miotać po całym powozie. – Jak oni mogą mnie tak traktować? I ja im płacę za ochronę?

Na szczęście podróż nie trwała długo. Okazało się, że przywieziono nas na posterunek przy Mulberry Street. Weszliśmy po schodach do środka.

– Kogo my tu mamy? – zapytał wąsaty sierżant.

– Pięciu Eastmansów i jedną z panienek. Szef kazał ich przyprowadzić.

– Nie jestem żadną panienką – powiedziałam, występując z grupy. – Zaciągnęli mnie do budynku. Prawdę mówiąc, pana ludzie mnie ocalili. – Zastanowiłam się chwilę, czy powoływać się na Daniela, i stwierdziłam, że jest mi winny przysługę. – Może pan spytać kapitana Daniela Sullivana. Na pewno za mnie poręczy.

– A kapitan jest w budynku? – zapytał jeden z policjantów, którzy nas eskortowali.

– Chyba wyszedł coś przekąsić – odparł sierżant. – Wsadźcie ją do aresztu, dopóki nie przyjdzie. Ale, chwila... O diable mowa...

W drzwiach stanął Daniel Sullivan.

– Co tu się dzieje, O'Malley? – zapytał, a potem od razu zauważył Monka. – Czemu zawdzięczamy tę miłą wizytę, Monk? To dla nas zaszczyt.

– Idź do diabła, Sullivan. I powiedz swojemu szefowi, żeby lepiej tak pochopnie nie aresztował porządnych obywateli, bo jeszcze pożałuje. Następnym razem niech przyśle po mnie dorożkę. Siedzenia w tej waszej Czarnej Marii są wyjątkowo twarde. Poza tym muszę dbać o swoją reputację.

– Proszę zaprowadzić pana Eastmana i jego kompanów na górę i przekazać szefowi, że już tu są – zadysponował Daniel.

– A ta dziewczyna, proszę pana? Mówi, że się znacie.

Daniel na mój widok wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

– Molly, na litość boską, co tym razem zrobiłaś?

– Załatwiałam własne sprawy, kiedy ci panowie siłą zaciągnęli mnie do swojego klubu.

– Czyli rzeczywiście się znacie? – zapytał sierżant.

– Tak – odparł Daniel, patrząc na mnie ze złością. – Proszę posadzić pannę Murphy w moim gabinecie.

Później zamienię z nią słowo.

Próbowałam protestować, ale nic to nie dało. Sierżant zaprowadził mnie po schodach do małego gabinetu z przeszkloną szybą. Kazał usiąść na twardym krześle i czekać na Daniela. Przynajmniej Monk Eastman i jego kumple posiedzą sobie w areszcie – pomyślałam. Może uda się z nich wyciągnąć informacje, co zrobili Szelmie? Wyobrażnia podpowiadała mi różne straszne scenariusze. Przejycia z ostatnich godzin sprawiły, że cała zaczęłam się trząść.

W końcu usłyszałam, że Daniel idzie po schodach. Nigdy nie widziałam go tak zdenerwowanego.

– Co ty sobie wyobrażasz, kobieto?! – wrzasnął na mnie od progu. – Wiesz, kim są ci ludzie?

– Tak, wiem. To Monk Eastman i jego gang.

– Czyż nie ostrzegałem cię przed nimi? Nie mówiłem, że walczą o wpływy i starają się przejąć kontrolę nad handlem kokainą? Nie wspominałem o białym niewolnictwie? Co cię opętało? Masz szczęście, że jesteś cała i zdrowa!

– Wiem – przyznałam.

– Jeśli wreszcie nie wybijesz sobie z głowy tych durnych pomysłów, zaaresztuję cię i odeślę do Irlandii za zakłócanie porządku publicznego. Czy jasno się wyrażam?

Wiedziałam, że tylko mnie straszy, ale mimo to poczułam, jak serce staje mi w gardle. Nigdy w życiu nie mogę przecież wrócić do Irlandii! Tam czeka mnie tylko stryczek!

Wezmę go na litość – pomyślałam.

– Przepraszam, Danielu. Wiem, że sama się prosiłam o kłopoty, ale szukałam małego Seamusa O’Connora. Jest gońcem u Eastmansów i bardzo się o niego boję.

– Seamusa O’Connora? Tego chłopca, który przypłynął z tobą z Irlandii?

Przytaknęłam.

– Ci jego upiorni kuzyni namówili go, by przystąpił do gangu.

– A dzielna Molly wpadła na pomysł, by w pojedynkę wyciągnąć go z kłopotów. Sama się prosisz o nieszczęście.

– A co miałam robić? Musiałam działać, bo obawiałam się, że grozi mu niebezpieczeństwo.

– Trzeba było przyjść do mnie – powiedział spokojnie. Nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Kiedy wreszcie zrozumiesz, że nie mogę cię ciągle prosić o pomoc?

– A nie jesteśmy już przyjaciółmi? – zapytał. – Przyjaciele pomagają sobie w kłopotach.

– O tak, panna Arabella z pewnością by się ucieszyła, że masz taką przyjaciółkę – odrzekłam ze złością. – Nie wiem tylko, jak zareagowałyby na moje stroje.

Widziałam, że Daniel ma ochotę się uśmiechnąć.

– Tak mi przykro z powodu tego, co zaszło w ubiegłą niedzielę – powiedział. – To musiało być dla ciebie bardzo nieprzyjemne.

– Przypuszczam, że dla ciebie również – odparłam wesoło.

– Zachowałeś się jak należy. Jestem ci głęboko wdzięczny.

– A ty mogłeś skorzystać z okazji i powiedzieć Arabelli całą prawdę. „To jest kobieta, którą kocham. Przykro mi, ale nie mogę cię poślubić”. Nie zrobiłeś tego.

– Nie, i bardzo się wstydzę. Chyba masz rację. Kariera wiele dla mnie znaczy. Gdyby Arabella się o nas dowiedziała, mogłaby mnie całkowicie zniszczyć.

– I tylko dlatego chcesz się z nią ożenić? Wspaniała perspektywa wspólnego życia!

Wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

– Powiem jej, obiecuję. We właściwym czasie.

– To nie jest odpowiedni moment, by omawiać naszą sytuację – zauważyłam. – Seamus O’Connor być może jest w niebezpieczeństwie.

Wstałam z twardego krzesła.

– Muszę już iść, Danielu. Oczywiście jeśli jestem wolna i nie zamierzasz aresztować mnie jako dziewczyny gangsterów. Muszę iść i szukać chłopca.

Dotknął mojej ręki.

– Molly, przecież już o tym rozmawialiśmy.

– W porządku – powiedziałam. – Rzeczywiście jesteś mi winny przysługę za to, że w zeszłą niedzielę trzymałam buzię na kłódkę. W takim razie sam znajdź Seamusa, proszę.

– Dobrze. Gdzie go widziałaś po raz ostatni?

– Poszedł do Eastmansów wyciągnąć dla mnie pewne informacje.

– Posłałaś dzieciaka do Eastmansów?!

– Nie krzycz! Czuję się z tym podle, ale wtedy wydawało się to jedynym sensownym rozwiązaniem. Pracował dla nich jako goniec. Pomyślałam, że nic mu nie zrobią, a dowie się od nich znacznie więcej niż ja. Staram się trafić na ślad człowieka, który nazywa się Michael Kelly i niedawno przyplłynął z Irlandii. Mam powody przypuszczać, że dołączył do gangu. Szelma miał to sprawdzić.

Daniel westchnął głęboko, ale nic nie powiedział, tylko wyciągnął notes.

– Jak wygląda ten chłopiec?

Opisałam go ze szczegółami.

– A skoro już o tym mowa, mam tu zdjęcie Michaela Kelly. Czy mógłbyś również o niego poprosić?

Dowiedz się, proszę, czy Eastmansi go znają.

Sięgnęłam do torebki.

Daniel przyjrzał się zdjęciu.

– Trochę do mnie podobny – stwierdził. – Choć oczywiście nie aż tak przystojny.

Już chciałam go z czułością pogłaskać po policzku, ale w ostatniej chwili cofnęłam rękę.

– Dlaczego go szukasz?

– Dlatego, że zajmuję się zawodowo odnajdywaniem zaginionych – odparłam. – Uciekł z dziewczyną z dobrej angielskiej rodziny. Mam również jej zdjęcie. Spójrz. Nazywa się Katherine Faversham, a raczej tak się nazywała przed ślubem z Michaelem Kellym. Ojciec jej szuka.

– Nie dziwi mnie, że uciekła z gangsterem – powiedział, oglądając zdjęcie. Po chwili mi je oddał. – Ładna dziewczyna, chociaż trochę zbyt wyniosła jak na mój gust.

Miałam już złośliwie zauważyć, że Arabella Norton w ogóle nie jest wyniosła, ale uznałam, że są ważniejsze tematy do rozmowy.

– Udało mi się jedynie ustalić, że mieszkali na Division Street, lecz trzy tygodnie temu po cichu się stamtąd wyprowadzili, nie zapłaciwszy za cały tydzień najmu. Słyszałam plotki, że on dołączył do Eastmansów.

– A skąd te plotki?

– Z baru w sąsiedztwie – odparłam wesoło, a Daniel znowu westchnął.

– W porządku – powiedział. – Zrobię co w mojej mocy. Co się tyczy chłopca, nie sądzę, by Eastmansi mordowali dzieci... Chociaż kto wie? Ostatnio zrobili się dość brutalni. Do kostnicy prawie codziennie trafia jakiś trup. Zawsze są to mężczyźni. Dla kobiet szykują inny los.

Znowu się zdenerwował.

– Gdyby nie nalot policji, być może nie byłoby cię już wśród żywych, moja droga. Czy możesz mi obiecać, że nie będziesz się tak głupio zachowywać?

– Postaram się być rozsądna – powiedziałam, zmieszana jego gniewem.

– Nie darowałbym sobie, gdyby cokolwiek ci się stało. – Wyciągnął rękę i dotknął mojej twarzy.

Niepotrzebnie to zrobił. Zniosłabym każdy inny gest. Ale ten był tak pełen czułości, że łzy napłynęły mi do oczu. Zupełnie naturalnie przytrzymałam jego rękę. Potem się opanowałam i zdjęłam ją ze swojej twarzy.

– Muszę znaleźć to dziecko – powiedziałam.

Perspektywa powrotu na Patchin Place nie była wcale miła. Wiedziałam, że muszę poinformować Seamusa, iż jego syn zaginął przez moją głupotę. Ale przecież Bridie i jej tata pewnie bardzo się denerwują, że wciąż nie ma nas w domu.

Odwróciłam się w stronę Daniela, który towarzyszył mi w drodze do wyjścia.

– Zrobisz wszystko co w twojej mocy, prawda? To tylko mały chłopiec. Może mu się wydawać, że zna Nowy Jork, ale to nieprawda. Mieszka tu od niedawna i... – nie dokończyłam zdania.

Daniel położył mi ręce na ramionach.

– Jestem pewien, że nic mu się nie stanie. Wiesz, jakie są dzieci. Spotkał kolegę i poszli gdzieś razem. A może wrócił ze swoimi kuzynami do ich domu?

O tym wcześniej nie pomyślałam. Nuala z rodziną mieszkała niedaleko stąd. Jeśli Szelma miał jakieś kłopoty, mógł rzeczywiście pobiec do nich po ratunek. Szkoda, że wcześniej na to nie wpadłam.

– Sama tam pójde i sprawdzę – powiedziałam. – To akurat nie wiąże się z żadnym niebezpieczeństwem.

Daniel lekko się uśmiechnął.

– Mam nadzieję. Natychmiast wyślę patrol na ulicę i porozmawiam z Monkiem i jego ludźmi. Może nie wyjawili ci całej prawdy.

– Dziękuję.

– I proszę, Molly... – zaczął Daniel.

– Wiem, będę na siebie uważać – odparłam. – Muszę. Nie mam nikogo, kto by to za mnie zrobił.

W tej chwili doszły nas z sutereny jakieś krzyki.

– Jak możecie tak traktować małe dzieci?! Straszyc niewinnych chłopców?! To oburzające!

Natychmiast rozpoznałam znajomy głos. Wyrwałam się Danielowi i ruszyłam biegiem na dół po schodach. Słyszałam, jak strażnik woła za mną: „Hej, a panienka dokąd?“, ale nawet nie zamierzałam się zatrzymać.

Na samym końcu ciemnego korytarza stała Nuala i groźnie wymachiwała rękami tuż przy twarzy drobnego policjanta.

– Albo natychmiast ich stąd wypuście, albo, jak mi Bóg miły, nie ręczę za siebie! – Uniosła pięści jeszcze wyżej, gotowa w każdej chwili do ataku.

– Nuala! – krzyknęłam, po raz pierwszy szczęśliwa, że ją widzę. – Są tu dzieci? Jest z nimi Seamus?

– Zamknęli ich jak najgorszych przestępców. A wszystko z powodu niewinnych chłopięcych wygłupów.

Podbiegłam bliżej. Za kratami dojrzałam przerażoną buzię Szelmy.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zapytałam policjanta.

Popatrzył na mnie przerażony. Pewnie się bał, że teraz przyjdzie mu stawić czoło nie jednej, lecz dwóm wściekłym kobietom.

– Zostali zidentyfikowani jako gang, który dzisiaj rano przewrócił stragan z owocami – wymamrotał.

– Tych chłopców nazywa pan gangiem? – Potężne ręce Nuali znów się uniosły. – Przecież to tylko dziecięce żarty. Albo nie macie nic lepszego do roboty, albo po prostu boicie się ścigać prawdziwych przestępców, ot co.

Do naszej grupki dołączył Daniel.

– O co chodzi? – zapytał.

Wskazałam ręką na celę.

– Tam jest Szelma. Podobno pomagał kuzynom przewrócić stragan z owocami.

– Niczego złego nie chcieliśmy zrobić – odparł Malachy, najstarszy z chłopców.

– Naprawdę, kapitanie. To były tylko takie wygłupy – dodał James, drugi z synów Nuali.

– Właśnie, że chcieliście zrobić coś złego – powiedział Daniel lodowato. – Dostaliście za to pieniądze, prawda? Nie musicie odpowiadać. Wiem. Eastmansi lubią płacić dzieciom, które załatwią za nich brudną robotę. A potem to was łapie policja, nie ich. Chodzi o to, że właściciel tego straganu nie chciał płacić za ochronę, prawda? Dlatego musieliście go ukarać. Zgadza się?

Podszedł bliżej do chłopców.

– Rozejrzyjcie się dobrze wokół siebie – dodał. – Podoba się wam tutaj? A teraz wyobraźcie sobie dwa razy gorsze miejsce. Mówię o Katakumbach, najokropniejszym więzieniu, w którym spędzicie resztę życia, jeśli będziecie na tyle głupi, by pracować dla Eastmana. Oczywiście pod warunkiem, że wcześniej nie zabiją was członkowie wrogiego gangu. A może chcecie zajrzeć do kostnicy? Zobaczyć, ilu tam leży na marmurowej podłodze? Sami gangsterzy.

Skinieniem głowy poprosił strażnika o klucz.

– Tym razem puszczam was wolno, ale jeśli jeszcze raz tu traficie, gorzko pożałujecie.

Kiedy drzwi do celi się otworzyły, synowie Nuali rzucili się jej w ramiona.

– Mówili, że zostaniemy tu na zawsze – chlupał Malachy.

Nuala wzięła ich mocno w objęcia.

– Wracajmy do domu, chłopcy, zanim te łobuzy zmienią zdanie. Ale jeśli jeszcze raz usłyszę, że pracujecie dla gangu, spuszczę wam solidne lanie. Bóg mi świadkiem.

Poprowadziła chłopców przed sobą jak stado owieczek, a potem cała trójka weszła na górę po kamiennych schodach. Szelma stał przed celą, patrząc na mnie wielkimi przestraszonymi oczami.

– A jeśli o ciebie chodzi, Seamusie... – zwrócił się do niego Daniel. – Pamiętasz mnie, prawda?

Szelma skinął głową.

– Pewnie. Odwiedzał pan Molly w naszym poprzednim mieszkaniu.

– Jestem bardzo ważnym policjantem, Seamusie. Mam swoich szpiegów w całym mieście. Jeśli kiedyś się dowiem, że coś cię jednak łączy z jakimś gangiem, będziesz w porządnym tarapatkach. Mamy jeszcze gorsze więzienia. Już ci chyba mówiłem. To tutaj w porównaniu z Katakumbami jest jak Coney Island. Czy możesz dać mi słowo, że już nigdy Molly nie będzie się o ciebie martwić?

– To ona mnie poprosiła, żebym poszedł i porozmawiał z Eastmansami – powiedział Szelma, najwyraźniej czując się już nieco pewniej.

– Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest to niebezpieczne. Teraz już wie. Nigdy więcej nie poprosi cię o podobną przysługę, obiecuję. A teraz wracajcie oboje do domu. Muszę w spokoju zająć się swoją pracą.

– Chodź, Szelma. W piecu czekają kielbaski z ziemniakami.

Kiwnął głową. Aby oszczędzić mu kolejnych upokorzeń, nie wzięłam go za rękę, kiedy wchodziliśmy po schodach. Dopiero na samej górze odwróciłam się i spojrzałam na Daniela. Patrzył za mną z taką tęsknotą w oczach, że serce się kroilo. Przynajmniej choć raz to on cierpiał bardziej niż ja. Dobrze mu tak – pomyślałam.

Kiedy tylko znaleźliśmy się na zewnątrz, objęłam Szelmę.

– Pewnie nieźle się wystraszyłeś, co? – zapytałam. – Mam ogromne wyrzuty sumienia, że poprosiłam cię o coś, co było strasznie niebezpieczne. Nigdy więcej tego nie zrobię. Przepraszam.

– Policja przeszukiwała cały budynek i nas znaleźli – odparł. – Przykro mi, Molly, ale nie zdążyłem zapytać o tego faceta. – Po kilku krokach dodał: – Czy musimy o wszystkim mówić tatusiowi?

– Nie będziemy go niepotrzebnie denerwować – zaproponowałam. – Powiemy, że wróciłeś z kuzynami do ich domu i Nuala poczęstowała cię kolacją.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Jedzenie było takie smaczne, że aż zapomniałem wrócić na Patchin Place – dokończył i wybuchnął śmiechem.

Pomyślałam, że dzieci dość szybko odzyskują humor. Ja nie miałam dobrego nastroju. Lekkomyslnym zachowaniem zwróciłam na siebie uwagę Eastmansów. Już raz mnie szukali i być może jestem teraz na ich czarnej liście. Muszę uważać.

Następnego dnia rano zaprowadziłam dzieci do szkoły i osobiście zapisałam je na lekcje.

– A jeśli dowiem się o jakichś wagarach, przez tydzień będziecie o chlebie i wodzie – ostrzegłam, patrząc groźnie na Seamusa.

Wracając do domu, zastanawiałam się, co teraz zrobić. Miałam nadzieję, że Daniel dotrzyma słowa i dowie się czegoś o Michaelu i Katherine. Do tego czasu musiałam pozostać bezczynna. Po całych tygodniach spędzonych w szwalni było to dość dziwne uczucie. Poszłam do Sid i Gus na kawę i opowiedziałam o swoim spotkaniu z gangiem Monka Eastmana. Moja opowieść zrobiła odpowiednie wrażenie.

Kiedy zbliżał się koniec tygodnia, a od Daniela nie było żadnych wieści, postanowiłam, że nie będę dłużej czekać i w poniedziałek rano pójdę ubiegać się o pracę u Lowensteina. Jeśli tego nie zrobię, mogę przegapić właściwy moment, bo projekty pewnie zaraz będą gotowe. A jak Daniel nie dowie się niczego o Kellych, zrobię to sama, nawet gdyby trzeba było znów podjąć jakieś ryzyko.

W sobotę po południu szłam z dziećmi w kierunku Washington Square. Seamus dostał w prezencie od Sid nową zabawkę – bączka, i chcieliśmy sprawdzić, czy uda się nim dobrze zakręcić. Zauważyłam, że w naszą stronę maszeruje młody policjant.

– Panna Murphy? – Zatrzymał się i zasalutował. – Mam dla pani wiadomość od kapitana Daniela Sullivana. Przeprasza, że nie może jej doręczyć osobiście, ale pada ze zmęczenia. Prawie w ogóle nie śpi. Cały tydzień, bez chwili wytchnienia, rozpracowywał gangi.

Wręczył mi cienką kopertę, zasalutował, odwrócił się na pięcie i odszedł. Przez moment było mi przykro, że Daniel nie przekazał mi tego listu sam. Niby postanowiłam unikać z nim kontaktu i prosiłam, by zostawił mnie w spokoju, ale kiedy tak robił, czułam zawód i rozczarowanie! To się musi wreszcie zmienić!

Rozerwałam kopertę. W środku znalazłam list, nakreślony charakterystycznym dla Daniela pochyłym pismem. Widać było, że się spieszył.

Przykro mi, ale nie mam dobrych wiadomości: Michael Kelly był rzeczywiście przez chwilę związany z gangiem Eastmana. Ludzie Monka twierdzą, że nikt nie wie, gdzie się teraz podziewa ani co mu się mogło przydarzyć. Na jednej z bocznych uliczek kontrolowanych przez gang znaleźliśmy zwłoki, a te przypominają trochę mężczyznę z Twojego zdjęcia. Nie mam stuprocentowej pewności, ponieważ ktoś roztrzaskał mu głowę z wielką siłą, ale denat jest tej samej budowy i wzrostu oraz ma białą skórę. Nie muszę dodawać, że nie miał przy sobie żadnych dokumentów ani że nikt nie zgłosił się po ciało do kostnicy.

Obawiam się, że wieści dotyczące Katherine też nie są dobre. Trzy tygodnie temu młoda kobieta utopiła się w East River. Również nie miała przy sobie żadnych dokumentów, ale jej opis mówi sam za siebie – jasna cera, szatynka z niebieskimi oczami, nieco ponad metr sześćdziesiąt wzrostu. Była w ciąży. Czy coś wiesz na ten temat?

Wygląda na to, że Michael zginął, a Katherine utopiła się z żalu. Obydwa ciała pochowano w zbiorowym grobie, więc nie możemy już nic zrobić, by potwierdzić ich tożsamość.

Podpis brzmiał prosto: *Daniel*. Stałam i w osłupieniu wpatrywałam się w list, aż w końcu Szelma pociągnął mnie za rękaw.

– Molly, nie idziemy już na plac się pobawić? Miałaś mi pokazać, jak dobrze zakręcić bączkiem.

Otrząsnęłam się z odrętwienia.

– Tak, oczywiście. Idziemy.

Włożyłam list do kieszeni i przechodząc przez ulicę, wzięłam Bridie za rękę. Czyli sprawa jest

zamknięta. Jak mam przekazać ojcu Katherine tak straszne wieści?

Doszliśmy na plac i z wielką wprawą pokazałam dzieciom, jak należy się bawić prezentem od Sid.

– No, a teraz wy spróbujcie.

– Pobawmy się lepiej w berka, Molly! – zawołała Bridie. – Złap mnie!

– Nie teraz, kochanie – powiedziałam. – Molly nie ma dzisiaj humoru.

Stałam, patrząc, jak biegają wśród jesiennych liści, słysząc ich krzyki i śmiech, i w myślach zaczęłam pisać list do majora Favershama. *Z wielkim smutkiem donoszę, że Pańska córka najprawdopodobniej zakończyła swój żywot.*

Szkoda, że nie mogę potwierdzić tej strasznej wiadomości. Rodzice zawsze będą mieli nadzieję, że ich córka żyje. Ale jej śmierć wiele tłumaczy. Michael pewnie naraził się Eastmansom; może przeszedł na stronę ich przeciwników i dlatego skończył w ciemnej uliczce. Trudno mi było jednak uwierzyć, że Katherine utopiła się z rozpaczy. Dziewczyna na zdjęciu patrzyła odważnie przed siebie i miała dumnie wysunięty podbródek. Nie poddałaby się tak łatwo. W końcu odważyła się porzucić wygodne życie i uciec w nieznaną z parobkiem, którego kochała. To wymaga odwagi. Wprawdzie samotność w obcym mieście, ciąża, a do tego śmierć nowo poślubionego męża mogły ją doprowadzić do rozpaczy, nie potrafiłam jednak sobie wyobrazić, jak rzuca się do rzeki. Jeśli rzeczywiście to ciało Katherine wyłowiono z wody, może ktoś pomógł jej się utopić? Muszę uważnie przyjrzeć się całej sprawie – postanowiłam.

Wolnego – upomniałam samą siebie. Przecież miałam nie angażować się w sprawy kryminalne. To rola policji. Mogę jedynie podzielić się z Danielem swoimi przemyśleniami, a on zdecyduje, co dalej robić. Moja rola się tu kończy. Odnalazłam Michaela i Katherine i pozostało mi jedynie przekazać ojcu dziewczyny smutne wieści oraz pobrać honorarium. Zostanie mi niesmak, i tyle. Jutro rano udam się prosto do Lowensteina i rozpocznę kolejny etap ciężkiej harówki.

– Nie ma dzisiaj z tobą zabawy, Molly – powiedział Seamus, ciągnąc mnie za spódnicę.

O ile szwalnia Mostela i Kleina znajdowała się na najwyższych piętrach kamiennicy, warsztat Lowensteina ulokowany był w suterenie, tuż przy Hudson Street, koło granicy z dzielnicą żydowską. Z nieba do piekieł – pomyślałam, stojąc przed budynkiem w zimny wilgotny poranek i wpatrując się w wąskie zejście do piwnicy. W powietrzu czuć było już pierwsze oznaki zimy. Koniowi, który przeszedł obok, ciągnąc wóz z beczkami, buchała para z pyska. Trzęsłam się z zimna i żałowałam, że nie włożyłam tej ciepłej wełnianej peleryny po Paddym. Ale dziewcząt ze szwalni nie stać na peleryny. Chodzą w koszulach i spódnicach i okrywają się czymkolwiek, co może uchodzić za szal.

Ruszyłam w dół zniszczonymi schodami i pochyliwszy głowę, weszłam do środka. Znalazłam się w długim ciemnym pokoju z niskim sufitem. Światło wpadało tu z dwóch okien, które znajdowały się na poziomie ulicy i przez które widoczne były jedynie kraty i dolna część ulicznej lampy. Po suficie biegły rury ozdobione siatką pajęczyn. W głębi sali paliły się lampki gazowe, ale ich nędzne światło nie było w stanie rozjaśnić całego pomieszczenia. Terkot pięćdziesięciu maszyn do szycia odbijał się echem od ceglanych ścian. Było dopiero kilka minut po siódmej, a już wydawało się, że praca wre od paru ładnych godzin. To niezbyt dobry znak. Myślałam wcześniej, że w małej przestrzeni nie da się ustawić więcej maszyn, niż to zrobił Mostel. Teraz jednak zdałam sobie sprawę, jak bardzo się myliłam. Pracownice u Lowensteina siedziały tak ciasno jedna obok drugiej, że ledwo mogły się ruszyć, by nie trącić sąsiadki łokciem, a pomiędzy stolikami prawie nie było przejścia. Przemknęło mi przez myśl, że może wcale nie potrzebują tu dodatkowych rąk do pracy, chociaż Mostel zapewniał, że zatrudnienie u konkurencji nie będzie problemem.

Stałam w drzwiach, szukając wzrokiem przełożonego. Żadna ze szwaczek nie podniosła głowy, ale mała dziewczynka, może dziesięcioletnia, nie starsza, która prześlizgiwała się pomiędzy stanowiskami, obcinając wielkimi nożycami nitki z gotowych kawałków ubrań, zauważyła mnie i szturchnęła siedzącą najbliżej kobietę. Ta powiedziała coś w jidysz, a potem uderzyła dziecko po głowie. Dziewczynka, pokazując na mnie palcem, zaczęła płakać. Wszystkie szwaczki odwróciły się w moją stronę.

– Dzień dobry – powiedziałam rezolutnie. – Jestem tutaj w sprawie pracy. Do kogo mam się zwrócić?

Wcale nie musiałam pytać, bo z pokoju na samym końcu korytarza wyjrzał akurat jakiś mężczyzna, najwyraźniej zaniepokojony hałasem.

– Co się dzieje?! Nawet na pięć minut nie można was zostawić bez nadzoru? Chciałem tylko zrobić porządek w dokumentach! – wrzasnął.

Mówił po angielsku z silnym europejskim akcentem.

– Jakaś nowa w sprawie pracy – powiedział ktoś niedaleko mnie.

Mężczyzna torował sobie drogę w moją stronę. Młodszy od Obłeśnego Sama i szczuplejszy. Typ piękniejsia o wyzywającej urodzie i przenikliwym spojrzeniu głęboko osadzonych oczu. Miał niewielką,

starannie przyszytą czarną bródkę i coś w rodzaju wiecznego uśmiechu na pełnych ustach. Przy szyi lśnił białą kołnierzyk, a ciemny garnitur był pokryty kawałkami nici i kłaczkami z materiałów.

– Ach, tak – zwrócił się do mnie. – Młoda dama sądzi, że może bezkarnie przerywać pracę w naszym zakładzie? A dlaczego niby mam cię zatrudnić?

– Zrobiłam ogromne wrażenie na tej małej. Poza tym jestem dobrą pracownicą, a słyszałam, że szukacie pomocy przed świętami.

Wciąż przyglądał mi się podejrzliwie.

– A z jakim to akcentem się mówi? Irlandzkim? Dlaczego niby mam zatrudnić dziewczynę z Irlandii, podczas gdy większość moich pracowników to Żydówki?

– Skoro i tak nie wolno nam rozmawiać, jakie to ma znaczenie? – zapytałam, patrząc mu prosto w oczy. – Jeśli nie szuka pan pracowników, proszę po prostu powiedzieć, pójdę gdzie indziej – dodałam i odwróciłam się na pięcie.

– Poczekaj! – zawołał. – Nie powiedziałem, że nie szukamy pracowników. Zawsze przyda się dodatkowa para rąk. Gdzie poprzednio pracowałaś?

Zdecydowałam już wcześniej, że nie będę wspominała o Mostelu i Kleinie.

– Niedawno przyplłynęłam z Irlandii. W domu pracowałam dla ciotki, która miała szwalnię. Szyłyśmy wszystko, również najnowsze modele sukien ślubnych. Zawsze w pośpiechu. Nawykłam do ciężkiej pracy, proszę pana.

Ciężko było mi się zwracać per pan do tego obmierzłego typka, ale najwyraźniej zastosowałam dobrą taktykę, bo odparł:

– Możesz przyjść na próbę. Jeśli wyrobisz normę, zapłacę ci pięć dolarów tygodniowo. Przynies nici i igły.

Skinęłam głową.

– Mam je przy sobie.

Widać było, że irytuje go moja postawa.

– Za światło będziesz nam płacić dziesięć centów tygodniowo.

Za światło? Jakie światło? Ma na myśli te żaloszne lampki gazowe? – rozmyślałam. Nie czułam też, by pomieszczenie było w jakikolwiek sposób ogrzewane.

– I dodatkowo pięć centów za korzystanie z lustra i ręcznika w łazience.

To już chyba gdzieś słyszałam! Któraś z dziewcząt u Mostela wspominała mi o takich dziwnych obyczajach. Zastanawiałam się, czy to częsta praktyka w szwalniach.

– Reguły są proste – ciągnął mężczyzna. – Jeśli skończysz robotę na czas, na czas dostaniesz pieniądze. Bez pozwolenia nie opuszczasz swojego stanowiska. Nie rozmawiasz. Stosuj się do tych zasad, a niczego ci z wypłaty nie potrączę. Zrozumiano?

– Tak, proszę pana – odpowiedziałam posłusznie.

– W porządku. W takim razie zabieraj się do roboty. Lanie, nad czym teraz pracujesz?

– Szyję rękawy – odparł głosik ze środka sali.

– Pokaż tej nowej wszystko. Jak masz na imię?

– Molly, proszę pana.

– Siadaj obok Lanie. Pokaże ci, jak się u nas szyje. Cała reszta, wracać do roboty! Pan Lowenstein nie będzie zachwycony, jak przyjdzie i zobaczy, że jesteście w tyle. Jeśli nie skończycie szyć tych sukienek do piątku, obiecuję, że każdej z was zabiorę z wypłaty po dolarze. Zrozumiano?

Na wszelki wypadek powtórzył swoje groźby jeszcze w jidysz. A potem usłyszałam, że dziewczęta przekazują sobie tę informację po włosku, po rosyjsku lub po polsku, za każdym razem głośno wzdychając.

Przecisnęłam się między stanowiskami i usiadłam na wolnym miejscu obok pulchnej dziewczyny z bujną ciemną czupryną, smutnym spojrzeniem i twarzą bez wyrazu.

– Jestem Lanie – powiedziała. – Miło cię poznać.

Krzesło, na którym usiadłam, miało połamane oparcie i chwiejną nogę. Nie powiedziano mi, bym zdjęła szal, i teraz spostrzegłam, że większość dziewcząt też jest ciepło ubrana. Niektóre miały nawet rękawiczki bez palców. W sali było zdecydowanie za zimno i zbyt wilgotno. W głębi sali ktoś kaszłał.

– Pracowałeś już na takiej maszynie? – zapytała Lanie, przekrzykując turkotanie igieł.

Na szczęście pracowałam. Była taka sama jak maszyna u Mostela. Skinęłam głową.

– Szyjemy rękawy – powiedziała, wskazując na wielki zwój granatowego kretonu. – Musisz zrobić boczny szew i podać rękaw dalej, do Rose. Ona wszyje go w sukienkę.

Spojrzałam na dziewczynę po drugiej stronie. Była drobna, z rudymi lokami. Szeroko się do mnie uśmiechnęła.

– Wreszcie jakiś drugi rudzielec – powiedziała. – Już nie będę się czuła jak dziwoląg.

Odpowiedziałam uśmiechem.

– My, rudzielce, musimy trzymać się razem.

Zaczęłam szyć. Kiedy wskazówki zegara przesunęły się na porę obiadu, z zimna prawie nie czułam palców, a plecy bolały mnie od siedzenia na chwiejnym stołku bez porządnego oparcia. Zabrzęczał dzwonek i rozległo się szuranie odsuwanych krzesel.

– Przyniosłaś sobie coś do jedzenia, Molly? – zapytała Rose, kiedy wraz z resztą dziewcząt zmierzałyśmy do wyjścia.

– Dzisiaj nie. Nie byłam pewna, jakie są tutaj zwyczaje.

– Tak jak widzisz, wszystkie wychodzimy – odparła. – Nie chcemy wdychać tego zgniłego powietrza, kiedy nie jest to naprawdę konieczne. Jak jest ładna pogoda, jemy kanapki na dziedzińcu kościoła. Tylko proszę, nie mów mojemu ojcu. Jest rabinem. Byłby w szoku, gdyby się dowiedział, że jego porządna religijna córka kręci się w pobliżu kościoła.

Roześmiałam się.

– A kiedy jest brzydko? Tak jak dziś.

– Chodzimy do jadłodajni Samuela na rogu. Za parę groszy kupujemy zupę z pulpetami. Da się tym najeść.

Dołączyliśmy do kolejki dziewcząt czekających przy ladzie. Potem wzięliśmy swoje miski pełne czegoś, co wyglądało jak rosół z trzema małymi kulkami w środku, i poszliśmy w stronę blatu okalającego ścianę. Stało już przy nim mnóstwo innych szwaczek.

– Gołdo Weiss, ustąp miejsca dwóm głodomorom – powiedziała Rose i szturchnęła koleżankę.

– Nie ma miejsca, Rose. Brakuje nam powietrza.

– To nie oddychajcie. Jesteśmy głodne i nie mamy gdzie stanąć – odparła Rose i łokciem zrobiła miejsce dla nas dwóch.

Spojrzała na mnie z uśmiechem.

– I jak ci się u nas podoba? – zapytała. – Przyjemnie, co? Prawie jak na wakacjach. – Wzniosła oczy do nieba.

– Żebracy nie wybrzydzą – odparłam.

– Nieprawda. Powiem ci coś, Molly. Jeśli znajdę inną pracę, natychmiast stąd zmykam.

– A co innego mogą robić dziewczęta takie jak my? – zapytałam.

– Pracować na ulicy, z czego są większe pieniądze, i słyszałam również, że większa przyjemność.

– Rose Levy, ciesz się, że ojciec nie słyszy, co ty wygadujesz! – Dziewczyna, którą wcześniej szturchnęła Rose, odwróciła się w naszą stronę i spoglądała przerażona. – Prosisz się o kłopoty. Ty i twoja niewyparzona gęba.

– Przecież żartuję, Gołdo. Na litość boską, nawet pośmiać się nie wolno? – Rose znów podniosła oczy do nieba, a potem zwróciła się do mnie. – Zbyt poważnie podchodzą do życia. Większość z nich czeka tylko, aż rodzice znajdą im odpowiedniego kandydata na męża, który zadba o to, żeby nie musiały pracować.

– Rodzice wybierają im mężów? Same nie mogą?

– Takie mamy zwyczaje.

– Ty też wyjdiesz za kogoś, kogo wybiorą ci rodzice? – Zadrzałam na samą myśl o tym, kogo dla mnie wybrałaby moja matka.

– Nie, ja nie – powiedziała Rose i spojrzała hardo. – Tylko nie mów ojcu. Zamierzam zostać pisarką i sama się utrzymywać.

– Naprawdę? W takim razie musisz... – Już miałam powiedzieć, że musi mnie odwiedzić w Greenwich Village i poznać moich przyjaciół, ale w ostatniej chwili przypomniałam sobie, że nikomu nie wolno się dowiedzieć, kim naprawdę jestem.

– Co? – zapytała Rose z zaciekawieniem.

– Musisz nie dawać za wygraną – niezręcznie dokończyłam zdanie. – Napisałaś już coś?

– Sporo, ale tylko do szuflady. Marzę o tym, by regularnie pisywać do „Forward”. Na temat niesprawiedliwości, która dzieje się w tym mieście.

– Na przykład o złym traktowaniu pracownic w szwalniach?

Przyjrzała mi się ze zdziwieniem.

– Pracujesz tu zaledwie parę godzin, a już zauważyłaś, że jesteśmy źle traktowane?

– A czym jest płacenie za światło i ręcznik? – odparłam. – W sali jest zimno i wilgotno. Grzeją jakoś, kiedy robi się naprawdę zimno?

– Zeszłej zimy wstawili dwa piecyki olejowe, ale to za mało na salę tej wielkości. Toaleta zamrzła, tak było zimno. Poszłam się poskarżyć samemu panu Lowensteinowi, ale nie pomogło. Powiedział, że skoro jest za zimno, może zamknąć szwalnię i otworzyć ją z powrotem na wiosnę. Ale my wszystkie musimy pracować. – Wzięła kęs mięsa i żuła z satysfakcją. – W mojej rodzinie tylko ja zarabiam na życie – dodała.

– Twój ojciec jest chory?

– Nie. Bardzo religijny. – Znow uśmiechnęła się po swojemu. – Mówiłam ci, jest rabinem. W starym kraju wszyscy go poważali. Synagoga była zawsze pełna. Dobrze nam się żyło. Tutaj, po pierwsze, jest za dużo rabinów, a po drugie, wierni, którym udało się znaleźć pracę, nie zarabiają aż tyle, by przekazywać datki.

– Ojciec nie zamierza poszukać sobie pracy, żeby ci pomóc?

– Nie znasz mojego ojca. On uważa, że Bóg zawsze przyjdzie na ratunek człowiekowi, tak jak Mojżeszowi na pustyni. Mówię ci, Molly, gdybym nie pracowała, cała moja rodzina umarłaby z głodu, a Bóg wcale by się tym nie przejął.

Popatrzyłam na nią z podziwem. Z pewnością była młodsza ode mnie, może nawet jeszcze nie miała dwudziestu lat, a już wzięła na swoje barki ciężar utrzymania kilku osób!

– Jedyne problem tkwi w tym, że nie potrafię w odpowiedniej chwili ugryźć się w język – ciągnęła Rose. – To już trzecia szwalnia, w której pracuję. Nie umiem milczeć, kiedy kierownik krzyczy na inne dziewczyny albo kiedy nas oszukują.

Nie do wiary! Patrzyłam na nią w osłupieniu. Zupełnie jakbym przeglądała się w lustrze.

– O co chodzi? – zapytała. – Wylałam sobie zupę na bluzkę?

Roześmiałam się.

– Myślę, że my dwie świetnie się dogadamy.

Wracałyśmy do fabryki rozgrzane i najedzone. Musiałam upomnieć samą siebie, że nie powinnam zbyt spoufalać się z żadną z dziewcząt, nawet z Rose. Przede wszystkim z Rose. Wśród tych szwaczek może być przecież złodziejka, która kradnie Mostelowi projekty i przekazuje je konkurencji. Któregoś dnia będę ją musiała wydać.

Kiedy stromymi schodami zeszłyśmy do ciemnej sali, kierownik już na nas czekał. Stał z rękami na biodrach i kipiał ze złości.

– Znowu spóźnione! Czy wy się nigdy nie nauczycie? – Machnął ręką w stronę ściennego zegara, który pokazywał trzy minuty po wpół do pierwszej. – Dziesięć centów od każdej za spóźnienie. Jeśli tak dalej pójdzie, to wy będziecie mi płacić pod koniec tygodnia.

– Niemożliwe! – krzyknęłam. – W kawiarni patrzyłam na zegar. Miałyśmy całe pięć minut na przejście przez ulicę.

Poczułam, że Rose daje mi kuksańca w bok.

– Nie dość, że spóźniona pierwszego dnia swojej pracy, to jeszcze się wyklóca. Proszę, proszę, to niezbyt dobrze wróży, panno Murphy. Tobie potrącę dwadzieścia centów, żebyś zapamiętała, jakie tu obowiązują zasady. A teraz do pracy!

Kiedy przeciskałyśmy się do swoich stanowisk, Rose szepnęła:

– Powinnam była cię ostrzec. Nigdy mu się nie stawiaj; zawsze cię ukarze, a to się nie opłaca.

– Ale jestem pewna, że się nie spóźniłyśmy. Czy przejście przez ulicę mogło nam zająć aż osiem minut?

– Oczywiście, że nie. Przesuwa wskazówki do przodu. Zawsze tak robi. A kiedy nie widzimy, cofa je, więc wieczorem pracujemy zawsze dłużej.

– Jezusie, Maryjo i Józefie święty! Czy właściciel o tym wie?

– Oczywiście. Jestem pewna, że o wszystkim wie – odparła Rose. – Może nawet sam tak zarządził albo udaje, że nie widzi.

– To straszne. Trzeba coś z tym zrobić. Nie możemy pozwolić, by tak nas traktowano. To nie w porządku.

Rose uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Ty jesteś nowa – powiedziała. – Nauczysz się, że wiele rzeczy jest tutaj nie w porządku. – A potem, nachylając się nade mną, dodała: – I jeszcze jedno. Nie daj się Katzowi wciągnąć do jego gabinetu. Będzie próbował na wiele sposobów. A to ci powie, że coś jest nie tak z twoją pracą, a to, że musicie porozmawiać na osobności. Chodzi mu tylko o jedno. Próbował już z wieloma dziewczętami.

– Ciągłe słyszę jakieś rozmowy – zagrzmiał głos kierownika. – Któraś z was chyba nie chce żadnej wypłaty w tym tygodniu.

Zabrałyśmy się do szycia. Całe popołudnie co rusz zerkałam na zegar, upewniając się, czy pan Katz nie majstruje przy wskazówkach. Nie majstrował. Szkoda. Bardzo chciałam przyłapać go na gorącym uczynku.

Kiedy wreszcie o siódmej wyszłyśmy na dwór, padało i wiał przenikliwy, zimny wiatr.

– W takim razie do zobaczenia jutro o poranku – powiedziała Rose. – Musimy być już na miejscach o wpół do siódmej, chociaż oficjalnie zaczynamy pracę pół godziny później.

– Skoro tak wygląda jeden dzień, nie wiem, jak dam radę pracować tutaj cały tydzień – zauważyłam. – Plecy mnie bolą od tego połamanego krzesła. Kiedy poskarżyłam się Katzowi, powiedział, że mogę sobie przynieść stołek z domu.

Rose poczekała, aż przejdzie koło nas kolejna grupka dziewcząt, a potem gestem dłoni przywołała mnie pod zadaszenie.

– Jeśli rzeczywiście chcesz coś zmienić, dołącz do nas. Próbujemy założyć związek zawodowy. W środę wieczorem mamy zebranie.

Obiecałam sobie, że nie będę się angażować. Pokręciłam głową.

– Bardzo bym chciała, ale...

– Rozumiem. Wiem, że to duże ryzyko. Jeśli ktoś na nas doniesie i szef się dowie, nigdzie nie znajdziemy zatrudnienia. Ale ja jestem zdecydowana. Trudno. Mam wykształcenie. Potrafię myśleć i podejmować decyzje. Jeśli nikt nie zechce stanąć w obronie tych dziewcząt, nic się nie zmieni.

– Jesteś bardzo odważna.

Roześmiała się.

– A może raczej głupia. Z niewyparzoną gębą, co? Ale czuję, że muszę coś zrobić. Większość tych dziewcząt pochodzi ze wsi; niektóre nie potrafią czytać i pisać. Nie mówią nawet dobrze po angielsku. W ich rodzinach często brakuje pieniędzy, więc nie odzywają się i wszystko znoszą z pokorą. Musimy założyć związek, bo w pojedynkę nie da się działać. Mój brat w Polsce należał do Bundu.

– Bundu?

– To radykalne socjalistyczne ugrupowanie, które stara się wpłynąć na istniejący porządek rzeczy. Walczą o sprawiedliwość, wolność i równość. Wielu młodych Żydów było zaangażowanych w ten ruch, mimo że czasem oznaczało to więzienie lub nawet śmierć. Mój brat nie powiedział ojcu, że działał w Bundzie. Ojciec by tego nie pochwalał.

– A czym się teraz zajmuje twój brat?

– Nawet nie wiemy, gdzie jest pochowany. Jeden z kolegów był zdrajcą, wydał ich wszystkich tajnej policji. Mój brat został stracony.

Dotknęłam jej ramienia.

– Przepraszam. Tyle tragedii na świecie...

– Dlatego tak bardzo chcę założyć związek. Muszę zadbać o to, by śmierć Motla nie poszła na darmo. W tym kraju może być lepiej niż w poprzednim. – Zawiązała pod brodą chustkę. – Pomyśl o tym i daj mi znać, jeśli zmienisz zdanie. Przydałabyś się nam, świetnie mówisz po angielsku.

– Ty też.

– Tak, ale od razu słychać mój akcent. Nikt nie potraktuje mnie poważnie. Związkowcy uwielbiają dziewczyny z dobrym angielskim. Pamiętam pewną Angielkę, która parę razy przyszła na spotkania. Szkoda, że jej nie słyszałaś. Pięknie mówiła! Zupełnie jak królowa. „Już my pokażemy tym żalonym tyranom. Będą musieli nas wysłuchać”. – Rose wypowiedziała to zdanie, naśladując akcent angielskiej arystokracji. Potem się roześmiała. – Niezłe z niej było ziółko. Polubiłam ją.

– I co się z nią stało?

Rose pokręciła głową.

– Nie wiem. Przyszła parę razy, a potem już się nie pokazała. Pewnie ułożyła sobie życie; dziewczynie z dobrej rodziny jest znacznie łatwiej. W ogóle nie wiem, dlaczego pracowała w takim beznadziejnym miejscu.

Dreszcz mi przeszedł po plecach, i to wcale nie z powodu kropli deszczu, które spadały na nas z zadaszenia.

– Jak miała na imię?

– Kathy. Dobrze pamiętam, bo my, dziewczyny z Europy, nie potrafimy dobrze wymawiać tego imienia. Mówiliśmy na nią Katti, a ona ciągle nas poprawiała.

– A kiedy zniknęła?

Rose w zamyśleniu położyła dłoń na ustach.

– Już będzie ze trzy, cztery tygodnie.

– Zastanowiłam się – odparłam szybko. – Chyba pójdę z tobą na to zebranie.

W myślach powtarzałam sobie, że na świecie jest wiele dziewcząt o imieniu Kathy. Staralam się nie mieć złudzeń, ale podskórnie czułam, że może to być szczęśliwy zbieg okoliczności. Postanowiłam, że mimochodem zadam dziewczętom jeszcze parę pytań na temat wyglądu tajemniczej Angielki. Liczyłam też na to, że czegoś dowiem się na spotkaniu związkowym. Ciągle musiałam sobie jednak przypominać, że zostałam wynajęta, by zidentyfikować szpiega. Ktoś wkrótce przekaże skradzione projekty Lowensteinowi, więc muszę przede wszystkim zająć się pracą dla Maxa Mostela.

Do środy było jeszcze daleko, a ja już wiedziałam, że pójdę na zebranie. I nie tylko po to, żeby sprawdzić, czy Angielka Kathy to „moja” Katherine. U Lowensteina naoglądałam się takiej niesprawiedliwości, że nie mogłam już dłużej siedzieć beczynn timer. Wprawdzie obiecywałam sobie wcześniej, że się nie zaangażuję, ale nie udało mi się wytrwać w tym postanowieniu. Ktoś przecież musi zacząć działać! Najwyraźniej padło na mnie.

Można powiedzieć, że jeśli praca u Mostela była jak czyścić, to Lowenstein swoim pracownikom zgotował prawdziwe piekło. Wilgoć i zimno przenikały najpierw przez ubrania, potem przez kości, aż w końcu docierały do samej duszy. Dziewczeta siedziały zgięte w pól przy maszynach, z oczami utkwionymi w kawałku materiału, z szorstkimi od mrozu i zdrętwiałymi palcami, a w całej sali słychać było jedynie kaszel i stukot maszyn. Praca w takich warunkach mogła złamać nawet najtwardsze charaktery, a te dziewczeta przeszły już w swoim życiu bardzo wiele. Ich morale było solidnie nadwyreżone.

W piątkowe wieczory ten potwór Katz zawsze przestawiał wskazówki zegara o całe dwadzieścia minut, dzięki czemu nie musiał płacić za nadgodziny i mógł być pewien, że praca będzie skończona. Teraz też widziałam, jak to zrobił, zresztą nie ja jedna, ale żadna z nas nie pisnęła ani słowem. Wracając do biura, uśmiechnął się z satysfakcją. Siedziałam potulnie, modląc się w duchu, żeby kiedyś nadszedł dzień, gdy wyrównamy rachunki. Postanowiłam pomóc przy zakładaniu związku, nawet jeśli miałyby to być ostatnia rzecz, jaką zrobię.

W końcu zegar wybił siódmą, czyli tak naprawdę dwadzieścia po siódmej. Zmęczone dziewczeta wstały, rozprostowały kości, tupnęły zmarzniętymi nogami, zebrały swoje rzeczy i szybko skierowały się do wyjścia. Kiedy szłam za Rose w stronę drzwi, poczułam mocny uścisk czyjejś ręki na swoim ramieniu.

– Ty nie, Murphy. Muszę zamienić z tobą słowo.

Oczywiście był to Katz.

– Co takiego zrobiłam?

– Te rękawy – powiedział. – Uważasz, że potrafisz szyć? Nie wiem, jakie standardy obowiązywały w Irlandii, ale na moje oko musiały być bardzo niskie.

– Nie wiem, o co panu chodzi – odparłam ze złością. – Szew jest prosty, cała partia skończona.

– A ja widziałem zupełnie co innego – powiedział, odwrócił się i zniknął w pokoju biurowym. – To nazywasz prostym szwem? – Wziął rękaw i machał nim w moim kierunku.

Weszłam za nim do ciemnego pomieszczenia.

– To nie jest mój rękaw. Ja nigdy nie zaczynam w ten sposób. I proszę popatrzeć, tutaj wiszą nitki, a mała Becky obcięła je dzisiaj wszystkie przy moich rękawach.

Spojrzałam na Katza i zobaczyłam, że obleśnie się uśmiecha. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że dałam się wpuścić w maliny. Ze szwalni prawie wszyscy już wyszli.

– Podobają mi się takie zadziorne – powiedział, podchodząc coraz bliżej. – Podbój będzie słodszy, jeśli najpierw trochę się posprzeczamy. Wyglądasz mi na krzepką dziewczuchę, która lubi dobrą zabawę. Mam rację?

Byłam tak przerażona, że nie zdążyłam się obronić. Pchnął mnie na zimną ścianę i trzymając kolano między moimi nogami, zaczął napierać całym ciałem. Kiedy otworzyłam usta, by krzyknąć, szybko mi je zatkał obrzydliwym pocałunkiem. Wpychał język do moich ust i obmacywał mnie lepкими łapskami.

Nie wiedziałam, co począć. Nie do wiary, jaki był silny! Próbowałam uwolnić się z uścisku, ale czułam, że jestem jak motyl przypięty do tablicy. Kiedy był już bardzo podniecony i zaczął się niecierpliwić, postanowiłam zachować spokój. Przeszył mnie dreszcz obrzydzenia, kiedy uświadomiłam sobie, że za chwilę będzie pewnie sięgać mi pod spódnicę, ale uznałam, że wtedy nadejdzie dobry moment, by zaatakować w czułe miejsce. Brakowało mi powietrza. Potem poczułam, jak próbuje podnieść mnie do góry i przenieść na stertę materiałów. Jeśli mu się uda, pewnie położy się na mnie i przygniecie – pomyślałam. Do tego nie mogę dopuścić! Na szczęście zdołałam unieść ręce na wysokość jego twarzy. Mogłam wydrapać mu oczy, ale zamiast tego chwyciłam mocno za długie kręcone włosy i pociągnęłam z całej siły. Odkleił się ode mnie i wreszcie mogłam mu powiedzieć, co o tym wszystkim myślę.

– Puszczaj albo pożałujesz. Zabiłam kiedyś mężczyznę, który próbował mnie zgwałcić.

– Ze mną ci tak łatwo nie pójdzie – rzucił ze śmiechem. – Nie mówiłem ci, że podbój jest słodszy po kłótni?

– Molly? Jesteś gotowa? Czekam na ciebie... – usłyszeliśmy donośny, odbijający się echem w pustej sali głos Rose.

Katz natychmiast mnie puścił.

– Co, u diabła, tutaj robisz?! – wrzasnął.

– Pilnuję Molly. Ma wrócić do domu cała i zdrowa – powiedziała spokojnie Rose. Podeszła do mnie, wzięła za rękę i poprowadziła do drzwi. – Idziemy do domu, Molly.

Spokojnie przeszliśmy przez pustą salę.

– Dziękuję – wydukałam. – Nie wiem, co by się stało, gdybyś nie przyszła w porę.

– Pomyślałam, że poczekam – odparła. – Widziałam, jak na ciebie patrzy, i byłam pewna, że spróbuje

cię zwabić do biura. Poluje na każdą nową, ładną dziewczynę.

– Obrzydliwiec. – Powstrzymując odruch wymiotny, wytarłam usta ręką. – Powinniśmy donieść właścicielowi. To niedopuszczalne.

– Lowensteina nie obchodzi nic, co nie jest związane z pieniędzmi – zauważyła Rose. – Myślisz, że jak często tu przychodzi? Prawie nigdy. A Katz pilnuje, by robota się nie opóźniała. Dla Lowensteina to najważniejsze.

– Nie wyjdę z domu bez noża – powiedziałam. – Jeśli jeszcze raz spróbuje...

– Nie spróbuje – uspokoiła mnie Rose. – Upatrzy sobie teraz kogoś innego. Łatwiejszego. Jedno ma zagwarantowane: stały dopływ świeżej krwi.

– Chyba że założymy związek – weszłam jej w słowo.

Rose się roześmiała.

– Dwie rude wariatki. Urodzone buntowniczkę. Tak się cieszę, Molly, że się poznałyśmy. Już my im pokażemy, prawda?

– Pogonimy tego Katza!

Wzięłam Rose pod rękę i uśmiechnięte wyszłyśmy na ulicę.

W poniedziałek rano do szwalni wszedł starszy mężczyzna ze starannie przystrzyżoną bródką. Miał na sobie długi czarny płaszcz, wysoki kapelusz, a w ręku trzymał laseczkę. Przypominał czarodzieja z bajki.

– *Guten Morgen* – powiedział po niemiecku. – Widzę, że praca wre. To dobrze. Gdzie Katz?

Na dźwięk znajomego głosu Katz wyleciał ze swojego biura jak z procy.

– Panie Lowenstein, co za zaszczyt! – witał w ukłonach pracodawcę. – Wszystko w jak najlepszym porządku. Zamówienie będzie na dzisiaj gotowe, tak jak pan sobie życzył.

– *Gut, gut.* – Lowenstein zacierał ręce. – Proszę, zatrudnij jeszcze parę dziewcząt. Czeka nas coraz więcej pracy. Nowe fasony będą gotowe w przyszłym tygodniu i wtedy trzeba będzie się przyłożyć. *Ja?* Każdemu obiecuję premię, jeśli sukienki trafią do sklepów na dwa tygodnie przed świętami.

Znów zatarł ręce.

– Zimno tutaj, Katz. Nie wiem, czy w takich warunkach da się dobrze pracować. Wstaw grzejniki, człowieku.

– Idziesz, ojczu, czy nie?

Piękna, szczupła, ciemnowłosa dziewczyna stanęła na schodach i zajrzała do środka. Miała obszyty futrem kapelusik i niebieską pelerynę z futrzaną lamówką. Peleryna była rozpięta, więc dojrzałam na jej szyi aksamitną wstążkę z medalionem, który mienił się blaskiem drogocennych kamieni. Stanęła w drzwiach, świadoma, że wszystkie oczy w szwalni są zwrócone na nią.

– Marznę, czekając w powozie – powiedziała. – Pospiesz się, papciu, bo spóźnimy się na obiad.

– Już idę, kochanie. – Pan Lowenstein uśmiechnął się, posyłając jej spojrzenie. – Przepraszam, że wpadam jak po ogień. Pracujcie, dziewczęta, pracujcie. Do widzenia.

Pomachał nam, a potem dołączył do córki.

– Panie Katz, może pomóc przy noszeniu piecyków? – zapytała Rose, zanim właściciel zupełnie zniknął z pola widzenia. Najwyraźniej bała się, że Katz za chwilę zapomni o poleceniu szefa. – Chodźcie, dziewczyny, Molly, Gołda, Lanie. Pomożemy.

– Dobrze, chodźcie.

Katz wszedł do biura i wyjął ze schowka dwa gazowe piecyki. Jeden z nich chwyciłyśmy z Rose po obu stronach i poniosłyśmy go do sali.

– Czyli to był pan Lowenstein? – szepnęłam.

Rose kiwnęła głową.

– Może ci się wydawać sympatycznym staruszkiem, ale ma serce z kamienia. W zeszłym roku, tuż przed świętami, Gussie zmarła na suchoty. Mógłby chociaż wysłać rodzinie premię, która jej się należała, ale tego nie zrobił. Nie zdawał sobie sprawy, dlaczego zachorowała? Oczywiście, że od tej wilgoci.

– Ta dziewczyna to jego córka, tak?

– Tak. Ma na imię Letycja. Jedynaczka. Potwornie rozpieszczona – odparła Rose, krzywiąc się wymownie.

Postawiłyśmy piecyk na podłodze i czekałyśmy, aż Katz przyniesie puszkę z naftą. Cały czas miałam w oczach córkę Lowensteina. Było w niej coś, co nie dawało mi spokoju. Staralam się skupić i przypomnieć sobie, co takiego mnie w niej zaintrygowało, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

– Cieszcie się, że szef ma takie dobre serce – powiedział Katz, nalewając naftę i uruchamiając piecyki.

Pomiędzy rzędami nie było na nie miejsca, więc ustawił jeden przy schodach na ulicę, a drugi przy korytarzu prowadzącym do biura. Większość dziewcząt nie odczuła żadnej zmiany.

Wprost nie mogłam się doczekać zebrania związkowego w najbliższą środę. Zrobiłam sobie listę spraw, które zamierzałam na nim poruszyć. Może we dwie, wspólnie z Rose, zdołamy rozpałić żar w sercach tych dziewcząt i sprawimy, że zaczną walczyć o swoje prawa?

Tego dnia po pracy zjadłyśmy zupę w jadalni Samuela, a potem poszłyśmy na Essex Street. Siedziba związków również znajdowała się w piwnicy. Ta jednak okazała się zupełnie inna; jasno oświetlona, ogrzana, z ławkami pod ścianą. Większość miejsc była już zajęta.

– Rose, wreszcie jesteście! – przywitała nas młoda kobieta, kiedy nieśmiało stanęłyśmy w drzwiach. – A już myślałam, że dzisiaj będzie spokojnie.

– Zobacz, kogo ze sobą przyprowadziłam – odparła Rose, wciągając mnie do środka. – Nową wojowniczkę. Przedstawiam wam pannę Molly Murphy z Irlandii.

– Witaj, Molly. Proszę, rozgośćcie się.

Usiadłam w ostatnim rzędzie i rozejrzałam się dookoła. Zdziwiłam się, widząc, że w grupie jest tyle samo mężczyzn co kobiet. Wszyscy panowie sprawiali wrażenie poważnych – mieli ciemne brody i czarne oczy, ubrani byli w robocze kombinezony. Większość dziewcząt wyglądała tak jak my, w skromnych strojach i szalach zarzuconych na ramiona. Ale zauważyłam również kilka dam, których

ubrania, doskonale skrojone i z porządnymi materiałami, świadczyły o tym, że panie te nie są przedstawicielkami klasy robotniczej. Po co w takim razie tu przyszły?

Przy stoliku na środku sali siedziało trzech mężczyzn i dwie kobiety. Kobiety były lepiej ubrane niż my, a jedna z nich wydała mi się znajoma. Patrzyłam na nią, zastanawiając się, skąd ją mogę pamiętać. Może widziałam jej zdjęcie w gazecie? Szczupła, o ciemnej karnacji, z długim nosem i włosami starannie zaczesanymi do tyłu. Ubrana była w dopasowany płaszcz wykończony lamówkami z karakułów, a obok niej na stole leżał zgrabny aksamitny kapelusik przystrojony pawim piórem. Z pewnością nie była jedną z nas.

– W porządku. W takim razie zaczynamy – powiedział młody mężczyzna przy stole, uderzając młotkiem w blat. – Pozwólcie, że przedstawię się tym wszystkim, którzy mnie jeszcze nie znają. Nazywam się Jacob Singer i reprezentuję żydowskie związki zawodowe. Jesteśmy tu po to, by pomóc wam założyć kobiecy związek szwaczek.

Mówił z lekkim akcentem. Był szczupłym mężczyzną ze starannie przystrzyżoną brodą, o głębokim spojrzeniu piwnych oczu. Okrągłe druciane oprawki okularów nadawały mu chłopięcy wygląd.

Na te słowa wstała szczupła, ubrana na czarno dziewczyna, która siedziała obok mnie.

– Panie Singer, mamy taki związek już od roku.

– Tak, wiem o tym, panno Horowitz, ale z tego, co mi wiadomo, związek ten istnieje tylko na papierze. Nie ma na swoim koncie jeszcze żadnych akcji – uśmiechnął się Jacob Singer.

Zdziwiłam się, jak bardzo uśmiech zmienił jego poważną, zatroskaną twarz.

– Nie, ale wkrótce zaczniemy działać – powiedziała dziewczyna i wyzywająco wysunęła podbródek.

– W to nie wątpię, ale najpierw do związku musi dołączyć więcej osób. Ile członkiń ma pani w tej chwili na liście?

– Dwadzieścia pięć – powiedziała dziewczyna prawie szeptem.

Tu i ówdzie rozległ się śmiech.

– W takim razie, drogie panie, wygląda na to, że pierwszym waszym zadaniem jest dodatkowy nabór – odparł Jacob.

– Ale jak go przeprowadzić? – spytała Rose, wstając z miejsca. – Jak przekonać dziewczęta, by do nas dołączyły, skoro boją się stracić pracę? W szwalni, w której jestem zatrudniona, u Lowensteina, traktują nas gorzej niż zwierzęta. Nie mamy żadnych praw. Ciągłe jesteśmy zastraszane. Jeśli jakaś dziewczyna próbuje się przeciwstawić, natychmiast zostaje wyrzucona. W związku z tym wolimy milczeć i tym sposobem nic się nie zmienia.

Jacob smutno pokiwał głową, a całe prezydium zawtórowało mu w tym geście.

– Nic się nie zmieni, jeśli nie będziemy współpracować – odezwał się inny mężczyzna przy stole. Ze zmierzwioną brodą i w kaszkiecie na głowie wyglądał mi na studenta. – Reprezentuję związek przemysłu włókienniczego i muszę powiedzieć, że mamy na swoim koncie parę sukcesów, ale tylko dzięki temu, że strajkowali wszyscy bez wyjątku. Tu musi obowiązywać zasada „jeden za wszystkich, wszyscy za

jednego”. Inaczej nic nie osiągniemy. Jeśli trzeba opuścić stanowiska pracy, muszą to zrobić wszyscy razem.

– Ale jeśli my opuścimy stanowiska pracy, właściciel po prostu zatrudni nowe dziewczęta – zauważyła Rose.

– Tak, ale tylko wtedy, gdy akcja będzie miała miejsce w jednej szwalni – zgodził się mężczyzna. – Jeśli w tym samym czasie zastrajkują wszystkie szwaczki, właściciele warsztatów będą mieli z tym problem.

– Do tego nigdy nie dojdzie – usłyszałam za sobą jakiś głos.

– Musimy im udowodnić, że to możliwe – powiedziała szczupła kobieta przy stole. – Oczywiście bez poświęceń się nie uda, ale tylko w taki sposób udowodnimy właścicielom, że nie zgadzamy się na ich warunki i jesteśmy przygotowani na strajk, a nawet odejście z pracy.

– Najmocniej przepraszam – zaczęła dziewczyna z włosami ułożonymi wokół twarzy we wspaniałe pukle. Wstała i dokończyła: – Pani ciągle mówi „my” i „nam”. Ale to przecież nie pani straci pracę. Po spotkaniu wróci pani do pięknego domu w dobrej dzielnicy. Wiem, że ma pani szlachetne intencje, ale nie zdaje sobie pani sprawy, jak się czuje ktoś, kto mieszka w śmierdzącej i wilgotnej dziurze i komu często brakuje na chleb.

Kobieta przy stole oblała się rumieńcem, a potem smutno pokiwała głową.

– Masz rację. Może nie poznałam nigdy biedy, ale jestem sufrażystką i wiem, jak powinno obchodzić się z przeciwnikiem. Dwa razy siedziałam w więzieniu i, proszę mi wierzyć, nie traktowano mnie tam jak damy. Jest nas wiele, wszystkie pochodzimy z dobrych domów, ale jesteśmy gotowe pójść za kratki tylko dlatego, że zależy nam na prawie wyborczym dla kobiet.

Na widowni tu i ówdzie rozległy się brawa. Kobieta skłoniła głowę.

– Przyznaję, że wychodząc z więzienia, mam dokąd pójść, a na stole w domu czeka na mnie obiad. Wiem, że namawiamy was do ogromnych poświęceń, ale ktoś musi się na nie zdobyć. W przeciwnym razie nic nie osiągniemy. Każde kolejne pokolenie imigrantów, które przyplynie do Nowego Jorku, będzie musiało pracować w warunkach, których tak bardzo nienawidzicie.

– Co możemy zrobić? – zapytała Rose.

– Rekrutujcie nowych członków w swoich miejscach pracy – odparł Jacob. – Przekonujcie koleżanki, że wspólnymi siłami jesteście w stanie wiele zmienić i sprawić, że właściciele szwalni zaczną się z wami liczyć. Wiem, że w waszym przemyśle zaczyna się teraz gorący okres: wszyscy się spieszą, by zapełnić półki przed świętami, a potem przygotować nową wiosenną kolekcję, która znajdzie się w sklepach po styczniowych wyprzedażach. Dla właścicieli to czas żniw. Jeśli zbuntujecie się w dobrym momencie, nie będą mieli czasu na poszukanie i przeszkolenie nowych pracowników. Może będą skłonni negocjować.

Rose spojrzała na mnie błyszczącymi oczami.

– On ma rację, Molly. Jeśli zaprotestujemy, gdy Lowenstein zacznie szyć nową wiosenną kolekcję...

– Dobrze mówisz, Rose – powiedziała ciemna dziewczyna przy stole. – Masz kogoś do pomocy?

– Mam Molly – odparła Rose. – Właśnie przyплыnęła z Irlandii. Wstań, Molly, pokaż się.

Wstałam.

– Dwa rudzielce, aj-waj – zażartował ktoś obok. – Biedny pan Lowenstein.

Roześmieliśmy się głośno.

W dalszej części zebrania zdecydowaliśmy, że strajk u Lowensteina będzie swego rodzaju testem. Spróbujemy namówić wszystkie dziewczęta, by przystąpiły do związku, i rozpoczniemy protest, gdy Lowenstein ruszy z szyciem nowej kolekcji. Tylko ja wiedziałam, że jest coś jeszcze, co pomoże nam odnieść sukces. Lowenstein liczył przecież na to, że skradziona kolekcja znajdzie się w sklepach, zanim Mostel będzie gotów ze swoją. Lowenstein ma wiele do stracenia, jeśli jego plany spalą na panewce – pomyślałam.

Gdy spotkanie dobiegło końca, pojawił się poczęstunek – ciastka, gorąca herbata i wielki talerz z kanapkami. Dziewczęta zajadały z apetytem. Wzięłam kubek herbaty i podeszłam do grupki szwaczek.

– Jesteś z Irlandii, Molly?

Przytaknęłam i postanowiłam od razu działać.

– Słyszałam, że jakaś inna dziewczyna z Irlandii przychodziła kiedyś na zebrania. To ty mi o niej mówiłaś, Rose, prawda? Na imię miała Kathy?

– Kathy? Tak, ale ona była Angielką – zauważyła któraś z dziewcząt.

– Chodziły plotki, że to arystokratka z angielskiej rodziny, która mieszka w Irlandii – odezwała się inna.

– Nie pamiętam, żeby powiedziała nam dokładnie, skąd jest. – Dziewczęta popatrzyły na siebie pytająco.

– Zbyt wiele o sobie nie mówiła. Ale o związkach zawodowych potrafiła dyskutować godzinami. Pamiętam też, że miała niewyparzony język.

– Nawet jej to kiedyś powiedziałaś, Fanny. Roześmiała się i stwierdziła, że Irlandczycy już tak mają, cokolwiek to znaczy.

– Szkoda, że nie przychodzi na spotkania.

– Wyjechała? – zapytałam. – Wyprowadziła się z Nowego Jorku?

Znów popatrzyły jedna na drugą i wzruszyły ramionami.

– Nie wiem, co się z nią stało – odparła któraś.

– A gdzie dokładnie pracowała?

To samo wzruszenie ramion.

– Przyszła tylko parę razy. Potem już jej nie widziałyśmy. Wielka szkoda, bo chciałabym usłyszeć, jak mówi naszym szefom, co o nich myśli. Miała tupet, mówię ci. Ale widać było, że zadziera nosa.

– Czy była szatynką z burzą włosów i jasnymi oczami? – zapytałam.

– Owszem. Znasz ją?

– Chyba tak. Jeszcze z Irlandii – odparłam.

– Jesteś u nas pierwszy raz? Świeżo po podróży?

– Tak – odparłam i spojrzałam na osobę, która zadała mi to pytanie.

Przedemną stała ta sama elegancka kobieta, która wcześniej siedziała przy prezydialnym stole. Trzymała w ręku kanapkę i wpatrywała się we mnie uporczywie. Potem odstawiła talerz i podeszła ku naszej grupie szybkim krokiem.

– Już wiem, skąd się znamy – powiedziała zimno. – Co tu robisz?

– A o co konkretnie chodzi? – zapytałam.

– Nie jesteś jedną z nas – odparła. – Więc co tu robisz? Właściciele szwalni przysłali cię na przesłuchanie?

– Oczywiście, że nie – powiedziałam ze złością. – Co to za pomysły, na Boga? Pracuję u Lowensteina, z Rose! Ona potwierdzi.

I nagle przypomniałam sobie, skąd się znamy. Poznałyśmy się w kawiarni w Greenwich Village, na zebraniu anarchistów. Miała wtedy inną fryzurę, a światło w pomieszczeniu, w którym siedziałyśmy, było bardzo słabe. Ale to ta sama osoba! Dobrze pamiętam, bo przez wydarzenia tamtego wieczoru omal nie straciłam życia.

– Mogłabym zapytać cię o to samo – odparłam natychmiast. – Ostatni raz widziałyśmy się na spotkaniu anarchistów z Emmą Goldman.

– Nie, nie jestem anarchistką, tylko socjalistką, panno Murphy. Byłam tam, bo wspieram Emmę Goldman, która postuluje oddanie głosu robotnikom i kontrolę urodzeń. Walczy o równe prawa dla kobiet. Zupełnie jak ja.

– W takim razie nie mamy się o co kłócić – powiedziałam. – Ty znasz moje imię, ale ja nie znam twojego.

– Mam na imię Nell – odparła. – Nell Blankenship.

Wyciągnęłam rękę.

– Jesteśmy po tej samej stronie, panno Blankenship, obydwie walczymy z niesprawiedliwością.

Ociągając się, uścisnęła moją dłoń. Wciąż patrzyła na mnie podejrzliwie.

– I niby mam uwierzyć, że przed chwilą przyплыnęłaś z Irlandii? I że nazywasz się Molly Murphy?

Postanowiłam zaryzykować.

– Czy możemy porozmawiać na osobności? Wszystko wyjaśnię.

– Dobrze.

Odeszła od stołu, przy którym stało wiele osób, i przeszłyśmy do zacisznego kąta.

– Masz rację, nie jestem prawdziwą szwaczką – zaczęłam szeptem, mimo że zebrani nie zwracali na nas uwagi. – Jestem prywatnym detektywem.

– Detektywem? Czy to nie to samo co szpieg? – zapytała, patrząc na mnie lodowato. – Na spotkaniu z Emmą po prostu węszyłaś, co? Nie wyglądałaś mi na kogoś, kto z nami sympatyzuje.

– Na tamto spotkanie przyszedłam z Ryanem O'Hare – odparłam. – Nalegał, bym poznała Emmę.

– I to był jedyny powód?

– Nie, nie jedyny. Wtedy akurat szukałam zabójcy swojego pracodawcy. Znalazłam go w końcu, choć

niedocześnie za późno.

Patrzyła na mnie z powątpiewaniem.

– Kobieta detektyw... pierwsze słyszę. W takim razie ciekawi mnie, dla kogo teraz pracujesz. Dla właścicieli szwalni? Chcą poznać nasze plany?

– Oczywiście, że nie – powiedziałam ze złością.

– To dlaczego zajmujesz się czymś, co najwyraźniej cię nie dotyczy?

– Tobie też mogłabym zadać podobne pytanie. – Popatrzyłam jej prosto w oczy. – Nie pracujesz w szwalni. Po co marnujesz swój czas na spotkania z robotnikami, skoro mogłabyś teraz jeść kolację w Delmonico?

– Właśnie dlatego, że mam wybór – odparła. – Te dziewczyny nie wiedzą, jak się bronić. Jeśli przyczynię się do poprawy ich losu, moje życie nabierze sensu. Walczę również o prawa wyborcze dla kobiet. To są w moim życiu dwa główne cele.

– W takim razie chylę czoło, panno Blankenship – powiedziałam.

– A ja mam nadzieję, że równie szczegółowo opowiesz mi o sobie – odrzekła bez uśmiechu.

W tym momencie podszedł do nas z tacą herbatników ten młody mężczyzna w drucianych okularach, Jacob Singer.

– Czemu dokuczasz nowej dziewczynie, Nell? – zapytał i uśmiechnął się do mnie przyjaźnie. – Nazywam się Jacob Singer, chyba jeszcze się nie znamy.

– Bardzo mi miło, Molly Murphy – odparłam.

– Miło mi panią poznać, panno Murphy. – Stuknął obcasami i ukłonił się w śmieszny, nieco staroświecki sposób. – Mam nadzieję, że Nell pani nie zamęcza. Bardzo angażuje się w nasze sprawy, czasem nawet ciut za bardzo – zaśmiał się, ale Nell chłodno zareagowała na ten żart.

– Sprawdzam ją, Jacob – odpowiedziała. – Próbuję się dowiedzieć, po której jest stronie, bo wiem na pewno, że nie jest zwykłą szwaczką i nie przyплыnęła właśnie z Irlandii. Jest prywatnym detektywem, więc lepiej zważaj przy niej na słowa.

– Detektywem? – Popatrzył na mnie z przejęciem. – Nie robotnicą?

Rozejrzałam się, sprawdzając, czy ktoś nas może podsłuchiwać.

– Podjęłam pracę szwaczki, bo tego wymaga zagadka, którą muszę rozwiązać. Ale kiedy zaczęłam pracować w tych strasznych warunkach, zdecydowałam, że nie mogę siedzieć z założonymi rękami. To jeden z powodów, dla których tu jestem. Chcę pomóc.

– To wspaniale – powiedział Jacob. – Takich ludzi potrzebujemy. Prawda, Nell?

Nell spojrzała na niego, potem na mnie.

– No dobrze. Może powinnam cię przeprosić.

– Ale jest coś jeszcze. – Znów rozejrzałam się dookoła, a potem przysunęłam się bliżej. – Słyszeliście już, że próbowałam dowiedzieć się czegoś na temat pewnej Angielki, Kathy. Rodzina w Irlandii jej szuka.

– Chyba nikt nie wie, co się z nią stało – odparła Nell. – Przychodziła na spotkania regularnie przez parę tygodni i wydawała się pełna entuzjazmu. Pokładaliśmy w niej wielkie nadzieje, bo potrafiła pięknie mówić i nie bała się otwarcie wyrażać swoich poglądów. A potem nagle przestała przychodzić.

– Być może wiem, co się mogło stać – powiedziałam. – Jakiś czas temu wyłowiono z East River podobną do niej kobietę.

– Jakieś porachunki? Nie wierzę – odparła Nell.

– Policja uważa, że to samobójstwo.

Nell pokręciła głową.

– W takim razie to nie ona. Kathy nie poddałaby się tak łatwo. To nie ten typ, podobnie jak ty czy ja.

– To samo mi przyszło do głowy – odparłam. – Wprawdzie jej nie znałam, ale na fotografii od razu widać, że ma silny charakter.

– Mogę zobaczyć zdjęcie? Od razu powiem, czy to ta sama dziewczyna.

– Nie mam zdjęcia przy sobie, ale nie wiem, czy w ogóle warto się w to angażować. Skoro nie żyje...

– Nawet jeśli nie żyje, ktoś powinien sprawdzić, co się z nią stało, i zadbać o uczciwe śledztwo.

Dziwnie było słyszeć swoje własne myśli.

– Zgadzam się. Ale od tego jest policja. Ja nie mam żadnych dowodów.

– Ty możesz pomóc, Nell – powiedział Jacob. – Nell jest z zawodu reporterką. Pisuje artykuły do najważniejszych gazet, demaskując korupcję i przemoc. Nawiązała kontakty w różnych dziwnych zakątkach miasta. Przecież uwielbiasz takie wyzwania, prawda, Nell?

Wyczuwałam, że Nell wciąż nie ma do mnie zaufania i że wcale nie chce ze mną współpracować, ale w obecności Jacoba nie potrafi powiedzieć mi tego prosto w oczy.

– Tak, pewnie mogłabym się na coś przydać – odparła.

– Cudownie! – Jacob znów się do mnie uśmiechnął. – W takim razie musimy dokończyć tę rozmowę w innych okolicznościach. Gdzie pani mieszka, panno Murphy?

– Na Patchin Place.

Nell wreszcie się ożywiła.

– Na Patchin Place? Cóż za zbieg okoliczności! Tak samo jak moje znajome. Dwie przesympatyczne kobiety o imionach...

– Sid i Gus? – zapytałam. – Mieszkałam u nich aż do zeszłego tygodnia. Teraz wynajęłam dom naprzeciwko.

– A to historia! – zauważyła. – Dawno ich nie widziałam, a szkoda. Czy jutro możemy się spotkać?

Pokręciłam głową.

– Zapomniałaś, że od świtu do nocy jestem w szwalni. Po pracy nie mam siły na spotkania. Może w sobotę wieczorem? Przynajmniej w niedzielę nie muszę wcześniej wstawać.

– Dobrze, spotkajmy się w sobotę.

– Czy również mogę czuć się zaproszony? – zapytał Jacob. – Może i ja będę mógł pani pomóc w śledztwie.

– Oczywiście, jest pan bardzo mile widziany, panie Singer – odparłam.

Skłonił głowę.

– Dziękuję. Bardzo się cieszę na to spotkanie.

– Panno Blankenship? Pozwoli pani na chwilę? Bella ma pytanie – jedna z dziewcząt zwróciła się nieśmiało do Nell.

– Oczywiście. Przepraszam was na moment.

Zostałam sam na sam z Jacobem Singerem.

– Piła już pani herbatę, panno Murphy? Próbowwała pani ciastek? – Podsunął mi tacę, a ja poczęstowałam się herbatnikiem.

– Nigdy nie odmawiam sobie słodyczy – odparłam. – W Irlandii raczej mówimy „herbatniki”. Nie jadałam ich ot tak, oszczędzaliśmy na specjalne okazje.

– W Ameryce jest inaczej. Przyzna pani? W moim domu w Rosji w ogóle nie było takich luksusów. Cukier trzymaliśmy w małym brązowym pudełku, schowany na wyjątkowe święta.

Widziałam, jak błyszczą mu oczy ukryte za drucianymi oprawkami okularów. Miał przyjemną twarz. Całkiem przystojną.

– Cieszę się, że pani do nas dołączy – powiedział. – Bardzo potrzebujemy pomocy.

– Pracuje pan w przemyśle włókienniczym, panie Singer? – zapytałam.

– Jacob nie pracuje w żadnym konkretnym przemyśle – usłyszałam głos Nell. Wróciła do nas i wsunęła Jacobowi rękę pod ramię. – Jest z zawodu buntownikiem.

Jacob Singer roześmiał się.

– Zatrudniły mnie związki żydowskie. Wspieram nowo powstałe organizacje w Ameryce. W Rosji byłem w Bundzie, więc mam bogate doświadczenie w działalności społecznej. Przepraszam, pani może nie słyszała o Bundzie?

– Słyszałam – odparłam. – Brat Rose też należał do Bundu. Został stracony.

Jacob pokiwał głową.

– To się często zdarza, niestety. Egzekucje i wywózki na Sybir, które same w sobie są wyrokiem śmierci. Po mnie też przyszli. Musiałem uciekać, by ratować życie. Przepłynąłem lodowatą rzekę. Nic przyjemnego. Zapewniam panią.

– To straszne. Słyszałam tyle okropnych historii!

– Pani ojczyzna też była ciężko doświadczona – zauważył Jacob. – Trudno zliczyć tych, którzy umarli podczas wielkiego głodu.

– To prawda. W mojej wiosce nie było rodziny, która nie straciłaby kogoś bliskiego. Ja straciłam prawie wszystkich. Nie mam żadnych krewnych oprócz ojca i brata.

– W takim razie powinniśmy zjednoczyć się w walce o lepsze jutro. Prawda? – Uśmiechnął się do mnie i popatrzył mi głęboko w oczy.

Zarumieniłam się i odwróciłam wzrok.

– Jacob jest nie tylko buntownikiem z zawodu. Jest też fotografem – powiedziała Nell. – Pracujemy razem. Ja piszę artykuły, on robi zdjęcia. Byliśmy już w najgorszych dzielnicach tego miasta.

– Nasze spotkanie jest prawdziwym zrządzeniem losu – zauważyłam. – Bardzo nie chciałabym ustawać w poszukiwaniach Katherine.

– Miejmy nadzieję, że to nie będzie konieczne – odparł Jacob. – Jeśli Nell rozpozna ją na fotografii, możemy wspólnie się dowiedzieć, co przydarzyło się tej nieszczęsnej dziewczynie. Wszystko wyjaśnimy sobie w sobotę.

Ściszyłam głos.

– I bardzo proszę nie mówić nikomu, że nie jestem prawdziwą szwaczką. Całym sercem i duszą wspieram te dziewczęta w walce o lepszy los. Gdyby się dowiedziały, że tak naprawdę zajmuję się czymś innym, mogłyby przestać mi ufać.

– Nie piśniemy ani słówkiem – powiedział Jacob i popatrzył na Nell, szukając w jej oczach potwierdzenia.

Nie zmieniła wyrazu twarzy, ale spytała:

– O której mamy zjawić się w sobotę?

– O ósmej? W sobotę pozwalają nam łaskawie wyjść z pracy wcześniej.

Jacob roześmiał się.

– Ładnie powiedziane. Wy, Irlandczycy, potraficie nazwać rzeczy po imieniu. Tak się cieszę, że nasze drogi się spotkały, panno Murphy.

– W takim razie do zobaczenia w sobotę o ósmej – podsumowała Nell. – Wszystko się wspaniale składa, Jacob. Zdążymy przedtem pójść na otwarcie tej wystawy, o której ci mówiłam. Myślisz, że już możemy wyjść? Poczułam się nagle zmęczona i chciałabym, żebyś odprowadził mnie do domu. – Wzięła go pod ramię i poprowadziła w stronę drzwi.

Chyba są parą – pomyślałam i zdziwiłam się, czując ukłucie w sercu.

– Molly, obudź się! Próbowalaś tych małych ciasteczek? – spytała Rose i zaprowadziła mnie do grupy dziewcząt przy stole.

W sobotę Sid i Gus postanowiły urządzić przyjęcie.

– Tak dawno nie widziałam Nell! – powiedziała Gus, kiedy starałam się ją odwieść od tego pomysłu.

– Poza tym musimy poznać Jacoba Singera. Nie możesz być samolubna i mieć ich tylko dla siebie.

– No dobrze, skoro nalegacie... – odparłam. – Zrobiliście dla mnie tak wiele. Pozwólcie przynajmniej, że kupię jedzenie.

– Wykluczone. Wiesz dobrze, że uwielbiamy eksperymentować w kuchni – zauważyła Sid. – Właśnie skończyłyśmy czytać wspomnienia kobiety, która w przebraniu Beduina samotnie objechała Afrykę Północną. Czyż to nie brzmi wspaniale? Od razu zapragnęłam zrobić to samo, ale uznałyśmy, że nie możemy opuścić Nowego Jorku i Patchin Place. Pozwól nam przynajmniej ugotować coś afrykańskiego, na przykład kuskus i kebaby, choć pewnie trudno tu będzie dostać garb wielbłąda.

Roześmiałam się.

– Garb wielbłąda? Dobre sobie.

– Wśród Beduinów uchodzi za przysmak – odparła Sid, starając się zachować powagę. – Skoro tak ci zależy, przynieś wino i winogrona.

W sobotę, kiedy wreszcie po wpół do siódmej wypuszczono nas do domu, przeszłam się po włoskich sklepach na północ od Washington Square i wybrałam dzban przedniego czerwonego wina, elegancko zapakowany w koszyk z rafii. Czułam się bardzo światowo, niosąc go do domu. Szkoda, że nie widzą mnie teraz w Ballykillin – pomyślałam, z satysfakcją uśmiechając się sama do siebie. Kiedy dotarłam do domu przy Patchin Place 9, okazało się, że Sid i Gus wróciły do swoich dawnych zwyczajów i zamieniły mieszkanie w orientalny buduar. Pokryły ściany draperiami z aksamitu i tiulu, a na podłodze ułożyły wzorzyste dywany i miękkie poduszki. Gdzieś nawet znalazły fajkę wodną i upierały się, że koniecznie musimy ją później wypróbować.

Nell i Jacob przyszli o ósmej. Siedząc na podłodze, jedliśmy rękami. Nie był to może szczyt elegancji, ale ucza bardzo się wszystkim podobała.

– Brakuje nam tylko psów. Biegałyby wkoło i zjadały resztki – zauważyła Nell, wycierając serwetką podbródek. – W takim życiu jest jakaś pierwotna wolność, która mnie bardzo pociąga.

– Wolność jest najważniejsza – podsumowała Sid.

Spojrzałam na Jacoba i zauważyłam, że bacznie mi się przygląda. Wymieniliśmy uśmiechy.

Talerze wciąż były pełne. Sięgnęłam po winogrona i nagle poczułam się winna.

– Nie przejmujecie się tym, że kiedy my wracamy do domów i możemy jeść do woli, te dziewczęta ze szwalni prawie codziennie kładą się spać głodne? – zapytałam, spoglądając na Nell i Jacoba.

– Staram się o tym nie myśleć – odparła Nell. – Z całych sił pragnę poprawić ich los. Gdybym nie dojadła, prawdopodobnie nie miałabym energii, by robić to, co robię. Nie uważam, by udawanie

biednej miało jakikolwiek sens.

– A ja, panno Murphy, jadam tak jak teraz tylko wtedy, gdy ugoszczą mnie dobrzy przyjaciele – dodał Jacob. – Zwykle w swojej skromnej mansardzie przymieram głodem.

– Przed wszystkim dlatego, że postanowiłeś nie zarabiać na zdjęciach, które robisz – zauważyła ze śmiechem Nell i dotknęła ręki Jacoba. – Wiesz dobrze, że mógłbyś być bogaty i sławny, przyjmowany na salonach. Twoje prace są znakomite. Tyle że jest na nich głównie bieda i strajki.

– Masz rację. My, Rosjanie, nie potrafimy żyć bez cierpienia – odparł Jacob, również ze śmiechem, i znów jego wzrok powędrował w moją stronę. – Panna Murphy chyba to rozumie. W Irlandii też lubicie cierpieć.

– Niezupełnie – zauważyłam. – Owszem, Anglicy nas prześladują i klepiemy biedę, ale potrafimy się cieszyć życiem. Do szczęścia potrzebujemy dobrej muzyki i trochę alkoholu. To nam wystarcza.

– Naprawdę to wystarcza do szczęścia? – zapytał. – Muzyka i alkohol?

– Nie mówię o sobie – powiedziałam i poczułam, jak oblewam się rumieńcem. – W Irlandii cenimy również przyjaciół i dobre towarzystwo. Czego chcesz więcej?

– A kiedy pokaże nam pan swoje zdjęcia? – spytała Gus. – Zawsze marzyłam o tym, by kiedyś odwiedzić studio fotograficzne.

– W takim razie zapraszam wszystkich jutro do siebie – odparł. – Będę zaszczycony.

– Świetnie. Zaproszenie przyjęte – podsumowała Sid. – Spróbujemy wreszcie tych bąbelków? – zapytała, wskazując na fajkę wodną.

– Dokończmy najpierw pracę, póki potrafimy trzeźwo myśleć – odparła Nell. – W końcu po to tu jesteśmy.

Otworzyłam torebkę i wyjęłam fotografię.

– To jest Katherine, której szukam – powiedziałam.

Nell wzięła zdjęcie do ręki. Jacob wstał i zajrzał jej przez ramię. Spojrzeli na siebie i kiwnęli głowami.

– To ta sama dziewczyna – odparła Nell.

Podaliśmy jej zdjęcie Katherine z Michaeliem.

– A to jest mężczyzna, z którym uciekła. Nazywa się Michael Kelly. Dowiedziałam się, że coś go łączy z gangiem Eastmansów. On też zniknął i policja przypuszcza, że może być niezidentyfikowaną ofiarą ostatnich porachunków.

– To bardzo możliwe – zauważyła Nell. – Gangsterzy prowadzą niebezpieczne życie. Co jeszcze wiesz?

– Już prawie nic. Odnalazłam ich ślady w pensjonacie przy Division Street, ale wynieśli się stamtąd bez płacenia i od tego czasu ślad po nich zaginął.

Do rozmowy włączyła się Sid.

– Skoro ta Katherine nie żyje, jak twierdzi Molly, to dlaczego wciąż jej szukacie? Dlaczego po prostu

nie przekazać rodzicom smutnej wiadomości, a potem o wszystkim zapomnieć?

– Nell i ja, podobnie jak panna Murphy, nie wierzymy, że Katherine mogła odebrać sobie życie – powiedział Jacob, szukając wzrokiem poparcia u Nell.

Nell przytaknęła.

– Spotkałam ją zaledwie parę razy i byłam pod wrażeniem. To twarda dziewczyna. Nie dałaby się tak łatwo pokonać okolicznościom.

– Uważam, że mamy obowiązek sprawdzić, co się z nią stało – dodał Jacob. – Któż inny zrobi to lepiej od ciebie, Nell? Znasz to miasto jak własną kieszeń.

Gus położyła mi dłoń na ramieniu.

– Droga Molly. To straszne, że na swojej drodze spotkałaś tych ludzi. Będą cię teraz namawiać do złego.

– Bądź spokojna – odparłam. – Moim zdaniem nie da się ustalić więcej niż to, co już wiemy. Kobietę, która się utopiła w rzece, pochowano w bezimiennym grobie. Nigdy się nie dowiemy, czy rzuciła się do wody z premedytacją, czy ktoś jej w tym pomógł?

– Nie do końca się z tym zgadzam – powiedział Jacob i nachylił się w moją stronę. – Jeśli dowiemy się, skąd dokładnie wyciągnięto ciało i jak długo przebywało w wodzie, będziemy mogli ustalić, w którym miejscu wpadło do rzeki. A jeśli ktoś pomógł tej dziewczynie, może znajdziemy świadków zajścia.

Spojrzałam na niego z podziwem.

– A już myślałam, że to ja jestem detektywem. Pan wydaje się bardziej utalentowany, panie Singer.

– Dlaczego tak oficjalnie? – zapytała Gus. – Tu jest Greenwich Village. W tym domu zwracamy się do siebie po imieniu. Nie ma potrzeby ograniczać się konwenansami. Pozwólcie, że was sobie przedstawię: Molly, Jacob. Jasne?

Jacob spojrzał na mnie i znów się uśmiechnął.

– Czy mogę mówić ci po imieniu, Molly?

– Będzie mi bardzo miło, Jacobie. Nell, co o tym myślisz? – zapytałam ją o zdanie, bo nie chciałam, by pomyślała, że mam wobec Jacoba jakieś zamiary.

– Jestem za. Nie lubię konwenansów i pewnie dlatego moi rodzice tak bardzo się o mnie martwią. Dwadzieścia osiem lat i wciąż bez męża. Co gorsza, powiedziałam im ostatnio, że postrzegam małżeństwo jako legalizację niewolnictwa. Ale błagam, nie zaczynajmy tego tematu. Wracajmy do naszego śledztwa, bo to znacznie bardziej interesujące niż moje staropanieństwo. Co sądzisz, Molly, o propozycji Jacoba?

– Mogę zapytać na policji, gdzie wyłowiono ciało i w jakim było stanie. Prawdopodobnie w dokumentach odnotowano, w co ta dziewczyna była ubrana i czy miała przy sobie jakieś przedmioty, które pomogłyby nam w identyfikacji. Obawiam się jednak, że nawet jeśli znaleziono przy niej biżuterię, wszystko co wartościowe jest już dawno w kieszeni któregoś z policjantów.

Nell się roześmiała.

– Widzę, że miałaś już do czynienia z naszą policją.

– Z trzema pobytami w areszcie włącznie – odparłam. – Mam tam.. – już chciałam powiedzieć „przyjaciela”, ale poprawiłam się szybko – znajomego, który jest kapitanem policji.

– Wspaniale – powiedziała Nell. – W takim razie sprawdzisz, co policja wie na temat tej kobiety. Ja spróbuję dowiedzieć się czegoś o jej życiu w Ameryce: gdzie pracowała, czy nie zadarła przypadkiem ze swoim szefem..

Coś mi przyszło do głowy.

– Nie sądzisz... – zaczęłam – że mogła się narazić komuś w szwalni?

– Niektórzy właściciele trzymają z gangami – zauważył Jacob. – Zdarzało się, że kiedy próbowaliśmy zorganizować protest, zatrudniali ochroniarzy, dużych i silnych mężczyzn, którzy zastraszali pracownice. Jeśli Katherine sprawiała dużo kłopotu, mogli wynająć jakiegoś gangstera i się jej pozbyć.

– Matko święta! – Złapałam się za szyję. – To mi nigdy nie przyszło do głowy. Naprawdę są tak okrutni?

– Tak – odparł Jacob. – Dla nich najważniejszy jest zysk. Każdy, kto myśli inaczej, musi zostać wyeliminowany.

– W takim razie odnalezienie Katherine jest częścią naszej walki o prawa robotników – zauważyłam. Nie dodałam, że właśnie przejmuję rolę zaginionej. Za chwilę stanę się tą, którą należy wyeliminować.

Jacob patrzył teraz to na mnie, to na Nell.

– Z każdą chwilą coraz bardziej dochodzę do wniosku, że nie powinniśmy się w to wszystko mieszać. Dajmy sobie spokój – powiedział cicho. – W życiu napatrzyłem się na różne tragedie. Nie wrócimy życia Katherine. Nie ryzykujcie, proszę, w imię czegoś, co już się nie odstanie.

– A kto tu mówi o jakimś ryzyku? – spytała Nell. – Sprawdźmy tylko to i owo. Najpierw muszę się dowiedzieć, gdzie pracowała, a potem dyskretnie popytać o właściciela i jego zastępców.

– Nie będziesz w stanie niczego udowodnić – stwierdził Jacob. – I pamiętaj: im dalej w las, tym więcej drzew.

Nell dotknęła jego ramienia.

– Przejmujesz się drobiazgami, Jacob. Jesteśmy z Molly rozsądne i mamy swój rozum.

– Martwię się, bo wiem, że są na świecie ludzie, dla których uczciwość nic nie znaczy.

– Dość tych ponurych tematów – powiedziała stanowczo Sid. – Przygotuję teraz fajkę wodną, a wy przeniescie się do czarnego namiotu Beduinów. Jacob, jesteś jedynym mężczyzną, więc będziesz szejkiem.

Skupiliśmy całą energię na fajce wodnej, a rezultaty były dość zabawne.

Następnego dnia, po rytualnym śniadaniu u Fleishmana, gdzie zawsze w niedzielę zamawialiśmy kawę i ciastka, poszliśmy na Lower East Side. Jeśli o mnie chodzi, przyzwyczaiałam się do tamtejszej scenerii, ale dla Sid i Gus wszystko było nowe.

– Spójrzcie! Smaki Lewantu! Nie warto by tam w końcu pojechać, Gus? Mogłybyśmy też odwiedzić Ziemię Świętą i Egipt, a potem wybrać się do Maroka i zobaczyć prawdziwych Beduinów.

– A brud nie będzie ci przeszkadzał? – odparła Gus i uniosła sukienkę, by nie powalać jej zgniłymi owocami, końskim łajnem i innymi śmieciami, które leżały na ulicy. – Już tutaj strasznie cuchnie; nie jestem pewna, czy mój żołądek zniosłby większy smród.

Atelier Jacoba znajdowało się w kamienicy przy Rivington Street, w zamożniejszej części dzielnicy żydowskiej. Tutejsze domy wzniesiono z solidnej czerwonej cegły, a okna miały białe obramowanie. Na ulicach panował gwar, drzwi do sklepików stały otworem. Już miałam zapytać, dlaczego handluje się tutaj w niedziele, ale przypomniałam sobie, że dla Żydów sobota jest świętem, a niedziela normalnym dniem pracy. Zastanawiałam się, czy Jacob jest praktykującym Żydem i czy chodzi regularnie do synagogi.

Zszedł po nas na dół, a potem poprowadził schodami na samą górę. Zza drzwi na kolejnych piętrach dochodził zapach smażeniny i dźwięki pianina. Atelier było skromne, ale czyste. Z jednej strony znajdował się kuchenny zlew i stół z surowego sosnowego drewna, a za parawanem stało łóżko. Resztę pomieszczenia zajmowała pracownia fotograficzna – sprzęt i zdjęcia.

– Tak się cieszę, że i pani mogła przyjść, panno Murphy – powiedział, kiedy przywitał się już z Sid i Gus. Miał na sobie zapiętą wysoko pod szyją czarną tunikę, w której było mu bardzo do twarzy. Świeżo umyte ciemne włosy zaczesał do tyłu, próbując ujarzmić opadające na twarz loki.

– Słyszę, że nie jesteście już w Greenwich Village, skoro nazywasz mnie panną Murphy. A może coś zrobiłam nie tak? – zapytałam z uśmiechem, a on natychmiast oblał się rumieńcem.

– Przepraszam. Moi rodzice przykładali dużą wagę do dobrego wychowania, stosowali się do wszystkich zasad, jakie kiedykolwiek wymyślono.

– Czy twoi rodzice są ciągle w Rosji? – zapytałam, spodziewając się odpowiedzi, że już nie żyją.

– Nie, są tutaj. Udało mi się ich sprowadzić do Nowego Jorku. Wynajęli lokum ulicę stąd, na Delancey, i uważają, że jestem grzesznikiem i wyrodnym synem, bo nie mieszkam razem z nimi. Nie mieści im się w głowie, że niezonaty mężczyzna żyje po swojemu. Może nawet zadaje się z niezamężnymi kobietami. To by dopiero było! Kto mu zechce oddać swoją córkę za żonę?

Wszyscy śmialiśmy się z tych absurdalnych zasad. Spędzając tyle czasu z Sid i Gus, zdążyłam zapomnieć, że reguły dotyczące zachowania wciąż rządzą światem.

– Czy w takim razie jak każdy porządny Żyd pozwolisz, by swatka wybrała ci żonę? – zapytała Sid.

– Panno Goldfarb, mógłbym i pani zadać podobne pytanie.

– Brawo, punkt dla ciebie! Ale na mnie wystarczy tylko spojrzeć, by poznać odpowiedź. Ty mieszkasz w żydowskiej dzielnicy i na dodatek nosisz brodę.

– No dobrze, odpowiem. Przestrzegam podstawowych zasad swojej religii, ale tylko wtedy, gdy nie kłóca się one ze zdrowym rozsądkiem i osiągnięciami dwudziestego wieku. Jem z rodzicami kolację sederową, ale nie widzę powodu, by przestrzegać zaleceń związanych z postem, który wymyślono dawno temu na pustyni. Moi rodzice twierdzą, że już nie ma dla mnie nadziei. A pani, panno Murphy? Jest pani

przykładną katoliczką?

– Nigdy nią nie byłam. Jako dziecko wymykałam się w środku mszy, by zrywać jagody w kościelnym ogrodzie. Księża za często mówili o ogniu piekielnym, a to mi się wcale nie podobało. Bóg, w którego wierzę, jest znacznie łaskawszy i ma większe poczucie humoru.

– W takim razie wierzymy w tego samego Boga – odparł Jacob. – Przebaczącego i wesołego. Świat byłby przyjemniejszym miejscem, gdyby wszyscy myśleli podobnie.

Odkąd tu weszłyśmy, Gus z zainteresowaniem chodziła po pokoju.

– Te fotografie są świetne, Jacobie. Nell miała rację. Masz talent.

– Jestem nowicjuszem, panno Walcott. Wciąż się uczę.

– Ale doskonale czujesz rytm tego miasta – zauważyła Gus. – Podejdźcie tu, dziewczęta, i popatrzcie.

Pokazała nam duże zdjęcie grupki obdartych dzieci bawiących się na dachu pomiędzy sznurami z praniem. Inne fotografie przedstawiały scenki z zatłoczonych ulic i ponure obrazy z zaniedbanych dzielnic miasta.

– Patrzcie! – krzyknęłam. – To jest ta uliczka, na której często spotykają się Eastmansi. I jeśli się nie mylę, widać też członków gangu. Chowają się za drzwiami! Jakim cudem udało ci się zrobić takie zdjęcie?

– Jestem zaskoczony, że zna pani członków gangu, panno Murphy – powiedział Jacob. – Rzeczywiście prowadzi pani niebezpieczne życie.

– Ja byłam tam tylko raz, a ty, żeby zrobić takie zdjęcie, musiałeś chyba długo kręcić się w pobliżu.

– Byłam tam z Nell. Przygotowywała wtedy artykuł na temat najgorszych dzielnic w mieście. To było jedno z miejsc, które postanowiła opisać.

– Nie wie, co to strach – zauważyłam.

– Nazwałbym to raczej brakiem wyobraźni – odparł Jacob. – Martwię się o nią, często działa lekkomyślnie.

– Rozumiem, że dlatego towarzyszysz jej w wyprawach. Nie tylko jako fotograf, lecz także jako ochroniarz.

Zawiesił na mnie spojrzenie.

– Jest pani bardzo spostrzegawcza, panno Murphy.

– Molly.

Skłonił głowę.

– Molly – powtórzył.

Wypiliśmy kawę, a potem Sid wstała od stołu.

– Obawiam się, Jacobie, że zajęłyśmy ci już dużo czasu. Jestem zachwycona, że się poznaliśmy, i mam nadzieję, że będziesz gościem na naszych wieczorkach.

– Będę zaszczycony, panno Goldfarb. – Jacob zgiął się wpół w staromodnym ukłonie.

Odprowadził nas aż na sam dół.

– Gus, kochanie, zamachaj na dorożkę, jak tylko jakąś zobaczysz – poprosiła Sid. – Inaczej spóźnimy się na obiad z Wassermanami.

Jacob dotknął mojej ręki.

– Panno Murphy, czy pani też spieszy się na ten obiad?

– Nie, ja nie, ale kiedy wreszcie zapamiętasz, że mam na imię Molly?

– W takim razie może pozwolisz, bym odprowadził cię do domu?

– Dziękuję, nie ma potrzeby. Jest środek dnia, nic mi tutaj nie grozi – powiedziałam i od razu zobaczyłam, że posmutniał. – Ale jeśli masz ochotę przejść się ze mną, będzie mi niezmiernie miło – dodałam szybko.

– W takim razie lecę po kapelusz! – zawołał i pobiegł na górę.

– Mam wrażenie, że zawróciłaś mu w głowie, Molly najdroższa – zauważyła cicho Gus.

– Na pewno nie. On jest zakochany w pannie Blankenship. W stosunku do mnie zachowuje się po prostu jak dżentelmen – odparłam, czując, że oblewam się rumieńcem.

Poszliśmy z Jacobem Rivington Street aż do Bowery. W słoneczną niedzielę szeroka arteria tętniła życiem. Teatry kusiły swoim repertuarem, po części w jidysz. W kawiarniach było tłoczno. Jacob zatrzymał się przed małym budynkiem. Okazało się, że wyświetlają tutaj film. PRZYJDŹ I ZOBACZ CUD XX WIEKU. NIE UWIERZYSZ WŁASNYM OCZOM – widniało na plakacie.

– To jest coś, co bardzo mnie interesuje. Na zdjęciach można uchwycić moment, ale filmy... W filmach jest przyszłość. – Spojrzał na mnie wyczekująco i nagle zaproponował: – Pójdiesz ze mną obejrzeć ten film?

– Teraz? – zapytałam. – Czemu nie, Jacobie? Dziękuję. Oczywiście jeśli nie masz innych planów.

– To jest najlepszy plan. Widziałem go już dwa razy, ale pewne sceny nie przestają mnie zachwycać.

– Słyszałam już o filmach, ale żadnego jeszcze nie widziałam.

– W takim razie na co czekamy? – Wziął mnie za rękę i zaprowadził do kasy.

Potem weszliśmy do ciemnej sali. Przed czerwoną aksamitną kurtyną stały organy. Wyraźnie czułam obecność Jacoba tuż obok. Ale kiedy kurtyna się podniosła i naszym oczom ukazał się ekran, o wszystkim zapomniałam.

Najpierw pojawił się napis: SZANOWNI PAŃSTWO. PRZYGOTUJCIĘ SIĘ NA CIEKAWĄ I NIECODZIENNĄ PODRÓŻ. NIE BÓJCIE SIĘ NICZEGO, GDYŻ TO, CO WIDZICIE, TO TYLKO FILM. NIC ZŁEGO NIE MOŻE SIĘ WAM STAĆ.

Organy zagrały głośniej, a przed nami pojawił się obraz – wzburzone morze. Było takie prawdziwe! Niemal czułam zapach soli w powietrzu i słyszałam mewy. Fale były coraz bliżej, aż nagle jedna z nich rozbiła się o ekran. Ludzie krzyczeli, niektórzy poderwali się z miejsc. Dotknęłam twarzy, bo przyszło mi do głowy, że może być mokra od wody. Dostrzegłam w ciemności, jak Jacob się uśmiecha.

– Niezwykłe złudzenie, prawda? – szepnął.

Kolejny obraz przedstawiał grupkę niezdarnych policjantów, którzy gonią samochód. Ależ to było zabawne! Widownia trzęsa się ze śmiechu. Nagle auto skręciło i zaczęło pędzić wprost na nas. Niektórzy znów zerwali się na nogi, ale zaraz usiedli zawstydzeni. Po chwili zaczął się kolejny film. Tym razem najpierw ujrzeliśmy napis: *Pocałunek*. Znaleźliśmy się w kobiecym buduarze, do którego przez uchylone podwójne drzwi wszedł przystojny mężczyzna. Młoda dama wydawała się mile zaskoczona jego widokiem. Mężczyzna wziął ją w ramiona, spojrzał głęboko w oczy i przyciągnął do siebie. Kiedy ich usta spotkały się w pocałunku, widownia westchnęła. Scena trwała zaledwie parę sekund, a potem kurtyna opadła. Widzowie wstali z miejsc, wciąż pod wrażeniem tego, co przed chwilą zobaczyli.

– I co myślisz? – zapytał Jacob, kiedy szliśmy w stronę wyjścia.

– To było takie prawdziwe! Czułam się, jakbym tam była.

– Jeśli kiedykolwiek zarobię jakieś pieniądze, skonstruuję sobie kamerę – powiedział Jacob.

– I zrobisz film pod tytułem *Pocałunek*? – zażartowałam.

Pokręcił głową.

– Mam inne plany. Mógłbym zabrać kamerę do Rosji i przywieźć do Ameryki dowody na niesprawiedliwość, która ma tam miejsce. Albo zrobić film o wojnie burskiej w Afryce i pokazać światu, jak wygląda okrucieństwo. Jeśli zwykli ludzie się o tym wszystkim dowiedzą, może wspólnie zmienimy świat.

– Szczytny cel, ale niebezpieczeństwo ogromne.

– Ktoś musi zaryzykować. Inaczej nic się nie zmieni – zauważył.

Wyszliśmy z teatru i mrugając oczami, stanęliśmy w pełnym słońcu.

– Zapomniałam, że jeszcze jest dzień.

– Pojedziemy tramwajem czy pójdziemy pieszo? – zapytał Jacob.

– A czy wyglądam na delikatną dziewczynkę, która może zemdleć w każdej chwili? – zapytałam.

– Nie. Powiedziałbym raczej, że wyglądasz kwitnąco i zdrowo. – Znów popatrzył na mnie tak, że oblałam się rumieńcem.

Ledwie zdążył wypowiedzieć te słowa, a stanęła przed nami Nell Blankenship. Zupełnie nieoczekiwanie wyszła z pobliskiej kawiarni.

– Jacob, Molly! Cóż za niespodzianka! – powiedziała, nie spuszczając ze mnie wzroku. Najwyraźniej nie była zachwycona tym spotkaniem.

– Jak się miewasz, Nell? – zapytał Jacob. – Piękny dzień, prawda?

– Razem z Sid i Gus oglądałam zdjęcia Jacoba – zauważyłam pospiesznie. – Rzeczywiście jest utalentowany.

– Owszem, jest – odparła. – A gdzie Sid i Gus? Chciałam im podziękować za wczorajszy wieczór.

– Szły na proszony obiad. Bardzo się spieszyły – odparł Jacob. – A ja odprowadzam Molly do domu.

– Aha – powiedziała Nell, patrząc to na jedno z nas, to na drugie. – Chciałabym tu z wami jeszcze porozmawiać, ale też się spieszę. Podwieczorek u rodziców. Cotygodniowa pokuta i lekcja dobrych

manier. – Skrzywiła się i pobiegła, by w ostatniej chwili wsiąść do tramwaju. Zgrabnie wskakując na platformę, rzuciła jeszcze: – Dam ci znać, Molly, jak tylko się dowiem, gdzie pracowała twoja Angielka. Jutro zaczynam śledztwo.

– Tylko pamiętaj, żeby nie pakować się w nic głupiego! – zawołał za nią Jacob.

– Gadka szmatka! – krzyknęła wesoło, zanim tramwaj przyspieszył.

Spojrzałam na Jacoba.

– Czuję się winna. Mam nadzieję, że nie pomyśli o mnie źle.

– Dlaczego miałyby źle o tobie myśleć?

– Dlatego, że prowadzam się z jej ukochanym.

– Ukochanym? Ja i Nell jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– Ale... Myślałam... Bo ona traktuje cię w taki sposób...

– Być może pragnie bliższej relacji – powiedział Jacob. – Ale ja nie. Podziwiam ją. Uważam, że jest najodważniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem. Ale nie chciałbym ożenić się z kimś takim. Czasami przeraża mnie jej poświęcenie i zaangażowanie.

Dlaczego ucieszyłam się, słysząc te słowa?

– Widzę, że się uśmiechasz – zauważył Jacob. – Czy właśnie usłyszałaś jakieś dobre wieści?

– Nie wiem, o czym pan mówi, panie Singer. – Poprawiłam włosy i przyspieszyłam.

– Miałaś mi mówić po imieniu – odparł, próbując dotrzymać mi kroku.

Świadomość, że interesuje się mną młody mężczyzna, dodała mi skrzydeł. A do tego fascynujący mężczyzna! Przegadaliśmy całą drogę do domu, poruszając wszystkie możliwe tematy pod słońcem. Z Danielem też czułam się swobodnie, ale nigdy nie dotykaliśmy poważniejszych kwestii. Z Jacobem rozmawialiśmy zarówno o religii, monarchii, socjalizmie i komunizmie, jak i o kontroli urodzeń. Byłam zdumiona, że potrafię o takich sprawach dyskutować z mężczyzną. Dopóki nie musiałam wyjechać z Irlandii, na pewne rzeczy nie zwracałam uwagi. Zdawałam sobie sprawę, że warunki pracy w mojej ojczyźnie pozostawiają wiele do życzenia i że Irlandczycy są prześladowani we własnym kraju, ale protestujących traktowałam jak wichrzycieli i uważałam, że jedynie szukają guza. Za to Jacob jawił mi się jako ktoś, kto naprawdę walczy o sprawiedliwość i wierzy, że można zmienić świat. Byłam pod wrażeniem opowieści o jego dokonaniach w Rosji, gdzie działał w Bundzie. Jako siedemnastoletni zaledwie chłopak prawie każdego dnia narażał życie dla dobra sprawy.

Kiedy się rozstaliśmy, weszłam do swojego pokoju i stanęłam w oknie, patrząc, jak odchodzi.

– Tym razem to naprawdę porządny gość – powiedziałam na głos sama do siebie. Nie zataiłby przede mną, że jest już zaręczony, i nie okazałby się tchórzem, gdyby miał zerwać z dziewczyną, której już nie kocha.

Wspominając Daniela, uzmysłowiłam sobie, że muszę napisać do niego liścik. W sprawie czysto służbowej, oczywiście. Wzięłam pióro, atrament, suszkę i zaczęłam pisać. Poprosiłam o wszystkie szczegóły dotyczące śmierci Katherine, którymi może się ze mną podzielić. Zaznaczyłam, że chodzi mi przede wszystkim o miejsce, gdzie wyłowiono ciało, oraz o odpowiedź na pytanie, skąd mogła się rzucić do wody. Napisałam, że będę również wdzięczna za informacje na temat ubrań, które ofiara miała na sobie, napisów na metkach, co pomoże mi ustalić, skąd te ubrania pochodziły, oraz szczegółów dotyczących biżuterii i ewentualnych śladów walki, czyli zadrapań, ran i tym podobnych. Już miałam się podpisać: *Twoja Molly*, ale w ostatniej chwili przypomniałam sobie, że wcale nie jestem ani nigdy nie będę „jego”. Myśl ta nie sprawiła mi już bólu tak jak kiedyś. Czułam się wspaniale; tak jakby ktoś obudził mnie z długiego snu.

Posłałam Szelmę z listem na Mulberry Street i zaczęłam czekać na odpowiedź, zdając sobie sprawę, że – jeśli Daniel ma akurat wolne – może ona nadejść dopiero w poniedziałek. Kiedy pomyślałam o wolnych dniach Daniela, przed oczami przeleciały mi obrazy – Daniel i ja spacerujemy nad stawem w Central Parku, jemy lody przy fontannie, Daniel całuje mnie w zaciszu drzew w lasku Ramble. Uświadomiłam sobie, że tak łatwo nie pozbędę się go ze swojego serca, bez względu na to, jak bardzo będzie się starał ten fascynujący pan Singer.

Okazało się, że Daniel jednak nie miał wolnej niedzieli. Tego samego wieczoru umundurowany porucznik przyniósł mi odpowiedź.

Piszę ten list w biurze, więc wybacz, proszę, oficjalny charakter. Młoda kobieta, o którą pytasz, została wyłowiona tuż przy moście Brooklińskim. Jej ciało zauważyli marynarze na statku towarowym. Ponieważ płynęło głównym nurtem, trudno powiedzieć, gdzie mogła rzucić się do wody. Wśród samobójców popularnością cieszą się szczególnie mosty. W dokumentach napisano, że była ubrana we wzorzystą muślinową sukienkę. Nie znalazłem nic na temat metek, ani fabrycznych, ani z pralni. Nie ma też żadnej wzmianki o biżuterii ani nawet o obrączce. I nic o śladach walki.

Przykro mi, że nie mogę pomóc. Mam nadzieję, że potrzebujesz tych informacji tylko po to, by zaspokoić ciekawość rodziny, a nie dlatego, że chcesz zaangażować się w śledztwo dotyczące śmierci tej nieszczęsnej kobiety. Jeszcze raz Ci przypominam, że ostatnio kilka razy ledwo uszłaś z życiem, więc lepiej znów nie igrzaj z losem.

Daniel

Brak jakichkolwiek szczegółów uniemożliwia mi prowadzenie śledztwa – pomyślałam ze złością, czytając list po raz kolejny. Mówiąc szczerze, nie spodziewałam się żadnej biżuterii, ale brak obrączki bardzo mnie dziwił. Przecież była mężatką, chciała, by traktować ją jako kobietę zamężną. A może ktoś zabrał przedmioty pozwalające na identyfikację? Obrączka mogła również zsunąć się z palca do zimnej wody East River albo zniknąć w kieszeni jakiegoś policjanta. Wiedziałam, że nowojorska policja posunęłaby się nawet do tego. Miałam jednak nadzieję, że jakiś bystry porucznik zauważył nietypową metkę na ubraniu albo inny ciekawy szczegół. Nawet jeśli ubierała się zwyczajnie, musiała nosić dobrej jakości bieliznę, być może nawet sprowadzoną z Paryża. Cóż, za późno, żeby mogła cokolwiek z tym zrobić! Biedne dziewczę nie żyje, a jej ciało już dawno spoczywa w grobie. Szkoda tylko, że nie mam w garści żadnych dowodów na to, że jest to ciało Katherine Faversham. To okropne, kiedy rodzice nie wiedzą, co się stało z ich dzieckiem. Mimo ostrzeżeń Daniela miałam nadzieję, że Nell wpadnie na jakiś trop i będziemy mogli zacząć dopasowywać do siebie fragmenty tej układanki.

W poniedziałek znów padał deszcz, więc w porze obiadowej zmarznęte szwaczki grzały się w jadalni Samuela. Rose postanowiła wykorzystać okazję, że jesteśmy wszystkie razem, i zaczęła namawiać dziewczęta, by przystąpiły do związku i przyłączyły się do strajku.

– A kto nakarmi moje dzieci, kiedy ja będę protestować? – zapytała jedna ze starszych kobiet. – Kiedy coś mi się stanie, kto poinformuje o tym mojego Leona?

– Dobrze wiecie, że nie powinnyśmy być tak traktowane – powiedziałam, wtórując Rose. – Chyba nie podoba się wam praca w takich warunkach?

– Oczywiście, że nie, ale jaki mamy wybór? Przecież musimy wykarmić rodziny! – prychnęła tamta.

– Trzeba doprowadzić do tego, by zaczęli nas traktować poważnie; zrozumieli, że stanowimy pewną siłę – zauważyła Rose.

– Trele-morele – mruknęła szwaczka. – Kanarek mojej matki ma więcej siły niż my, a mieszka w klatce.

– Ale nie rozumiecie? – Rose nie dawała za wygraną. – Jeżeli wybierzemy odpowiedni moment,

wygramy. Przecież wiecie, że kolekcja Lowensteina musi być zawsze w sklepach pierwsza, przed innymi. Jeśli zaprotestujemy akurat wtedy, gdy zaczną się prace nad wiosennymi projektami, z pewnością nas posłucha, bo nie będzie miał innego wyjścia.

– Ona ma rację, Fanny – zauważyła inna kobieta. – Jeśli jego ubrania nie trafią do sklepów jako pierwsze, kto potem kupi takie byle co? Dobrze wiecie, jak skąpi na materiały, który i tak jest podłej jakości.

– Dobrze, Rose. Może warto spróbować. Powiedz nam, co mamy robić.

Nagle wszystkie otoczyły Rose.

– Tylko musisz nam powiedzieć kiedy. Dać jakiś znak. Pokażemy mu, że nie jesteśmy z gliny i nie da się nas ulepić.

To wszystko było takie ekscytujące! Czułam, że zaraziły mnie swoim entuzjazmem.

– I nie wolno wam pisnąć ani słowa, dopóki Lowenstein nie każe nam siadać do nowej kolekcji, dobrze? Nie chcemy, żeby zwęszył, co nam chodzi po głowie – ostrzegłam.

Rose podbiegła do mnie, kiedy wracałam przez ulicę do szwalni.

– I co, Molly? Prawda, że cudownie? Wszystkie się zgodziły. Może nawet uda się wyciągnąć jakieś pieniądze ze związku.

– Módlmy się tylko, żeby żadna z nich nie doniosła szefowi – szepnęłam.

– Nawet jeśli tak się stanie, nie mamy na to wpływu. – Rose zerknęła na pozostałe dziewczęta, które z szalami na głowach pospiesznie wracały w deszczu do pracy. – Nie będziemy przecież siedziały cicho tylko dlatego, że ktoś nas może wydać.

Kiedy byliśmy już blisko, minął nas piękny powóz ciągnięty przez dwa wspaniałe kare konie.

– To chyba stary Lowenstein – zauważyła Rose. – Woli tu zaglądać, kiedy nas nie ma. Pewnie czuje wyrzuty sumienia, gdy widzi, w jakich warunkach dla niego pracujemy. Ale pokażemy mu już niedługo, co nie, Molly?

Weszliśmy do sali, strząsając z ubrań krople deszczu.

– Żebyście mi tylko nie zamoczyły tego materiału! – wrzasnął na nasz widok Katz.

– No, tak. Rozpuści się, jeśli go zmoczymy – zażartowała Rose, co wywołało śmiech innych dziewcząt.

– Zapłacisz za to, Rose Levy – odparł Katz. – Zapomniałaś, gdzie jesteś i kto tu rządzi?

– Jakżebym mogła zapomnieć, gdzie jestem?! – powiedziała Rose. – Z pewnością nie w naszym pięknym salonie, w domu w Polsce, z pianinem i piecem kaflowym.

– To wracaj tam, skąd przyjechałaś – odciął się Katz. – A może chcesz być pierwszą z ochotniczek?

– A do czego miałabym się zgłosić?

– Przed chwilą odwiedził mnie pan Lowenstein. Niestety, nie przywiózł dobrych wieści.

– Pewnie zabrakło im kawioru na obiad – szepnęła mi na ucho Rose.

– Nowe wzory nie będą gotowe na czas, a wy, dziewczęta, pracowałyście bardzo szybko i wszystkie zamówienia skończyłyście w terminie. Na razie nie ma żadnej roboty. Może w przyszłym tygodniu wznowimy produkcję, ale kto to wie... Do tego czasu wszystkie pracujecie na pół etatu. Zaczynamy o siódmej, kończymy w południe. Stawka tygodniowa to dwa dolary. Zważywszy na to, że i tak nie ma co robić, to naprawdę dobra propozycja.

– Dobra propozycja! – krzyknęła jedna z dziewcząt. – A czy kiedykolwiek dostałyśmy za nadgodziny, gdy pracy jest więcej?

– Nie możecie wszystkich przenieść na pół etatu – zauważyła Rose. – Mamy rodziny, które czekają na naszą wypłatę.

– Przecież powiedziałem, Rose Levy. Możesz być ochotniczką – odparł Katz, obdarzając ją swoim obrzydliwym uśmiechem. – Połowa dziewcząt może zostać w domu i w ogóle nie przychodzić do pracy. Wrócą dopiero wtedy, gdy zaczniemy szyć nową kolekcję. Reszta mogłaby zarabiać tak jak teraz. Wszystko od was zależy, ustalcie to między sobą.

– Powiem ci, jak to ustalimy – odparła Rose, przybierając waleczną pozę, z rękami opartymi na biodrach i wysuniętym podbródkiem. – Nie przyjmujemy takiej nędznej oferty. W proteście opuszczamy stanowiska pracy! Zamykamy kram i otworzymy go dopiero wtedy, kiedy pan Lowenstein łaskawie z nami porozmawia i zacznie nas traktować jak ludzi. Chodźcie, dziewczęta. Zabierajcie swoje rzeczy! Wychodzimy!

To był naprawdę imponujący widok. Wszystkie ruszyłyśmy za Rose w stronę drzwi.

– Jeśli wyjdziecie, nie liczcie na to, że was z powrotem przyjmę! – zawołał za nami Katz. – Zatrudnimy nowe dziewczęta na wasze miejsca!

Rose szybko odwróciła się na pięcie.

– Nie pozwolimy im tak łatwo wejść do szwalni, a poza tym jak niby zdołasz je nauczyć wszystkiego w tak krótkim czasie? Za chwilę będą nowe projekty i najwięcej pracy w sezonie. Pokażemy ci, kto tu ma prawdziwą siłę. Będiesz żałował, że nie byłeś dla nas trochę miłszy.

Potem odwróciła się i szybko wbiegła po schodach na ulicę, a pozostałe dziewczyny ruszyły za nią.

– Chodźcie. Idziemy do Samuela, gdzie wszystko dokładnie omówimy – powiedziała.

Znów przeszłyśmy przez ulicę i skierowałyśmy się do baru.

– Myślałam, że nie zastrajkujemy, dopóki nie pojawią się nowe wzory – zauważyła Gołda. – Na pewno robimy dobrze?

– Wiem, że to ryzyko – odparła Rose. – Ale przecież i tak chciał nas przenieść na pół etatu. Nawet jeśli wyłamiesz się ze strajku, Lowenstein cię nie zatrudni, bo nie ma w tym tygodniu żadnej pracy. Nasza pikietka uniemożliwi nowym pracownikom wejście do szwalni. Jutro rano musimy wszystkie się tutaj stawić i chronić drzwi. Nie pozwolimy nikomu wejść do środka.

– Jak to zrobimy? – zapytała drobna, przestraszona dziewczyna. – Spójrzcie na nas. Katz, jeśli się uprze, poradzi sobie z nami bez problemu.

– Potrzebujemy wsparcia – odparła Rose. – Pójdziemy teraz do siedziby związków żydowskich i zapytamy, czy nie mogą nam jutro przydzielić kilku ochroniarzy.

– Świetny pomysł – odparłam. – Jestem pewna, że Jacob nam pomoże.

– Jacob? – zdziwiła się Rose. – Masz na myśli pana Singera?

Oblałam się rumieńcem.

– Tak, pana Singera – powiedziałam.

Spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

– Jakim cudem jesteś na ty z panem Singerem, skoro poznaliście się w zeszłym tygodniu?

– Okazał się przyjacielem moich znajomych – odparłam i miałam nadzieję, że nie będzie mnie pytać o nic więcej.

Wysłałyśmy do Jacoba posłańca z wiadomością i wkrótce wszyscy wiedzieli, co się stało. Jeszcze tego samego dnia w siedzibie związków na Essex Street powtarzano sobie radosną nowinę.

– Zrobiły to! Wyszły ze szwalni Lowensteina!

Niedługo potem pojawił się Jacob i kilku innych mężczyzn, których poznałam w zeszłą środę.

– A gdzie jest panna Blankenship? Pewnie chciałaby tu z nami być – ktoś zasugerował.

– Może wyślijmy po nią dorożkę? – zaproponowałam.

Wszyscy obrócili głowy w moją stronę.

– Dorożkę?! Kto to mówi? Panna Rockefeller? – zażartowała jedna z dziewcząt i przewróciła oczami.

– A skąd weźmiemy pieniądze na dorożkę? W tym tygodniu raczej na nią nie zarobimy.

– Tak tylko powiedziałam, bo przecież to ważny dzień i panna Blankenship powinna do nas dołączyć – zaznaczyłam szybko. – Poza tym ona może sobie pozwolić na dorożkę, prawda?

– Ma telefon w domu – powiedział Jacob. – Najbliższy aparat jest w akademiku uniwersyteckim; wiem, że pozwalają z niego korzystać. To tylko parę kroków stąd. Molly, wiesz, jak obsługuje się telefon?

– Nie, ale chyba mi pokażą.

Wyjął pudełko zapalek i zapisał na nim numer.

– Proszę. Zakręcisz korbką, a kiedy zgłosi się operator, podasz mu ten numer. Jasne?

– Chyba tak – odparłam i schowałam pudełko do kieszeni.

– Daję im zawsze dziesięć centów za użyczenie aparatu – dodał Jacob i wyciągnął z kieszeni monetę.

Wybiegłam po schodach na ulicę i czułam, że serce mi wali w piersi. Byłam strasznie zła na siebie za tę głupią uwagę. To jasne, że dziewczęta nigdy w życiu nie wsiadłyby do dorożki. Paddy Riley z pewnością nie powiedziałby przy nich nic tak idiotycznego.

Dobiegłam do surowego budynku akademika i weszłam do środka. Przypomniały mi się czasy, kiedy mieszkałam w pensjonacie prowadzonym przez panie z Towarzystwa Biblijnego. Za żadne skarby nie chciałabym tam wrócić.

Elegancka, dostojna kobieta zaprowadziła mnie do małego gabinetu i wskazała wiszący na ścianie aparat.

– Czy wie pani, jak używa się tego urządzenia?

– Dam sobie radę. Dziękuję.

Stała za mną z rękami na biodrach i obserwowała.

Z pewną obawą zakręciłam korbką, a potem usłyszałam w uchu jakiś głos:

– Numer, proszę.

Podaliśmy numer i prawie natychmiast w słuchawce odezwał się ktoś inny.

– Dom panny Blankenship.

– Czy zastałam pannę Blankenship?

– Nie ma jej. Mówi służąca.

– A kiedy wróci?

– Powinna już dawno być w domu. Czy zechce pani zostawić wiadomość?

Poprosiłam, by Nell dołączyła do nas jak najszybciej.

Kiedy wróciłam do siedziby związku, wyznaczono już pięćdziesiąt osób na jutrzejszą pikietę. Miały stawić się z samego rana przed szwalnią. Ustaliliśmy, że pozostali będą czekać w pogotowiu, w razie gdyby trzeba było na przykład zastąpić kogoś, kto zemdleje od długiego stania. Spotkanie zakończyło się w dobrym nastroju, ale Nell się na nim nie pojawiła.

Było już ciemno, kiedy w końcu wyszliśmy na dwór. Padało. Wracałam do domu w świetnym humorze, którego nawet deszcz nie zdołał popsuć. Wreszcie coś się wydarzy i nastąpią upragnione zmiany – rozmyślałam. Sprawy wielkiej wagi pochłonęły mnie całkowicie. Prawie uwierzyłam, że jestem zwykłą szwaczką, a nie panienką z artystycznego środowiska. Oprzytomniałam dopiero na Washington Square, gdzie w oddali, po północnej stronie, świeciły światła eleganckich domów, odbijając się w mokrym chodniku. Patchin Place była jak zwykle oazą spokoju.

Kiedy weszłam do salonu, okazało się, że Seamusowi i Bridie towarzyszy ich kuzyn Malachy.

– Co tu robisz? – zapytałam lodowato. – Czyżbym nie dość stanowczo powiedziała twojej matce, że nie jesteście tu mile widziani?

– Przyniosłem wiadomość – odparł, wycierając nos wierzchem dłoni. Potem podał mi kopertę. – Jakaś pani pytała, czy ktoś może zanieść list na Patchin Place do panny Molly Murphy. Powiedziałem, że mogę to zrobić, bo znam pannę Murphy, a moje cioteczne rodzeństwo mieszka u niej w domu. No to mnie wybrała. Chciała mi za to dać dziesięć centów, ale powiedziałem, że u Eastmansów dostaję zawsze dwadzieścia pięć. A ona na to: „Być może, ale ja w przeciwieństwie do nich oferuję ci uczciwe pieniądze”. Nadęta paniusia. Popatrzyła na mnie z góry i spytała: „To bierzesz to zlecenie czy mam zapytać innych chłopaków?”. No to wziąłem.

Koperta była brudna i pognieciona. Rozdarłam papier.

Od razu zauważyłam, że Nell pisała niestarannie i w pośpiechu, co znaczyło, że nie siedziała przy biurku. Zauważyłam również, nie bez ukłucia zazdrości, że używała pióra nowego typu, takiego, które nie zostawia wszędzie kleksów.

Molly,

dzisiaj wiele udało mi się ustalić. Kathy pracowała w szwalni Mostela przy Canal Street. Mam zadziwiające wieści, ale parę faktów muszę jeszcze sprawdzić. Proszę, spotkajmy się w kawiarni Ormonda na rogu Canal i Broadwayu. Będę czekała.

N.

Kiedy skończyłam lekturę, dostrzegłam, że przyglądają się mi trzy pary zaciekawionych oczu.

– Kiedy dokładnie przekazała ci ten list? – zapytałam Malachy’ego.

– Niedawno. Może z godzinę temu.

– W takim razie muszę natychmiast lecieć. Chodź, Malachy, wyjdziemy razem.

Spojrzał tęsknym wzrokiem w kierunku kuchni. Zaśmiałam się.

– W porządku. Zrobię nam po kanapce ze smalcem, żebyśmy nie zemdleli podczas marszu. A wy –

zwróciłam się do Seamusa i Bridie – może też coś zjecie? Kto wie, o której wrócę do domu.

Posilona, zgarnęłam parasolkę i udaliśmy się na Broadway. Tym razem tramwajem, a nie na piechotę. Malachy był uszczęśliwiony. Chyba nigdy wcześniej nie jechał takim pojazdem. Kiedy wysiedliśmy na przystanku przy Canal Street, od razu dojrzałam światła kawiarni Ormonda.

– Gdzie dokładnie ta pani wręczyła ci list? Gdzieś tutaj?

– Nie, trochę dalej – wskazał głową kierunek East River. – Na Canal Street, niedaleko Orchard i Walla Walla.

– Dziękuję – powiedziałam. – Teraz biegnij do domu, zanim zrobi się późno i rodzice zaczną się o ciebie martwić.

– Nie martwią się o mnie wcale. Sam potrafię o siebie zadbać – odparł zadziornie. Chwycił dziesięciocentówkę, którą mu zaoferowałam, i żwawym krokiem pomaszerował przed siebie.

Przeszłam przez ulicę, zgrabnie omijając dorożki, tramwaje oraz samochody, i stanęłam przed kawiarnią. W środku od razu zauważyłam, że to raczej wykwintne miejsce, coś jakby mniejsze Delmonico, wypełnione meblami obitymi czerwonym pluszem. Na podłodze stały palmy w doniczkach, a z sufitów zwieszały się ozdobne żyrandole. Ktoś grał walca na fortepianie. Weszłam do środka i rozejrzałam się dookoła. Kilka stolików było zajętych, ale przy żadnym z nich nie siedziała Nell.

– W czym mogę pani pomóc? – zapytał zniecierpliwiony kelner.

– Jestem tutaj umówiona. Z młodą kobietą. Wysoka, szczupła, ciemne włosy. Elegancko ubrana.

– Nie widziałem dzisiaj wieczorem samotnej kobiety – odparł. – Czy ma pani rezerwację?

– Jeśli tak, to pewnie na nazwisko panny Nell Blankenship.

Pokręcił głową.

– W takim razie zapraszam tutaj – wskazał mi sofę pomiędzy dwiema palmami w doniczkach. – Proszę poczekać.

– Dziękuję.

Zegar na ścianie pokazywał wpół do ósmej. Nell prawdopodobnie sądziła, że pracuję do siódmej. Nic dziwnego, że się nie spieszy – pomyślałam. Może wpadła na jakiś poważny trop? Zastanawiałam się, co takiego ważnego odkryła, że postanowiła się ze mną natychmiast spotkać. Nie mogłam się wprost doczekać. Zdziwiałam się, że Katherine była zatrudniona u Mostela. Trochę mnie to zdenerwowało. Pracowałam tam tyle czasu i nawet przez myśl mi to nie przeszło. Dlaczego nikogo nie zapytałam? Być może dowiedziałabym się szybciej, co się stało Katherine. Zaraz... Stwierdziłam, że muszę się nad tym wszystkim dobrze zastanowić. Nell założyła, że zniknięcie dziewczyny ma coś wspólnego z jej miejscem pracy. Czy pan Mostel albo Obleśny Sam mogą mieć coś na sumieniu? Z niedowierzaniem pokręciłam głową. Owszem, to chciwi i pozbawieni skrupułów ludzie, ale co innego źle traktować pracownice, a co innego wepchnąć jedną z nich do East River – pomyślałam. To dwie zupełnie różne sprawy.

Usłyszałam, jak zegar na pobliskim kościele wybija ósmą, a Nell wciąż nie przychodziła.

– Może pani znajoma pomyliła daty? – zapytał kelner. – Czy mogę coś podać?

Zamówiłam filiżankę kawy. Powoli sączyłam napój, a kolejne minuty mijały. Zaczynałam się niepokoić. Dlaczego się spóźnia? I co robiła w pobliżu Walhalla Hall? Kiedy wręczała Malachy'emu list, jeszcze nie było ciemno, ale teraz już zapadł zmrok. Na dodatek okropnie padało. Nikt w taką pogodę nie kręci się po mieście, a już z pewnością nie w tej okolicy.

W końcu zdecydowałam, że nie ma sensu dłużej czekać. Nerwy miałam napięte do granic możliwości. Coś zatrzymało Nell Blankenship i nie pozwoliło jej wysłać do mnie drugiej wiadomości z informacją, że nie może przyjść na spotkanie. Nie wiedziałam, co robić. Lało jak z cebra. Wielkie, ciężkie krople deszczu uderzały o chodnik, a na ulicach tworzyły się ogromne kałuże. Zrezygnowane konie ciągnęły powozy. Woźnice podnosili kołnierze swoich płaszczy i siedzieli skuleni w kapeluszach wciśniętych na głowę, tak jakby to mogło ich uchronić przed deszczem. Stałam przed kawiarnią i spoglądałam w stronę Canal Street. Nie byłam na tyle głupia, by samotnie wyruszyć na poszukiwania. Już raz po głowie dostałam. Czy powinnam wrócić do domu i spokojnie czekać na kontakt od Nell? Oczywiście niewykluczone, że zmoknięta i zmęczona po prostu wróciła do domu. Gdybym mogła skądś zadzwonić, sprawdziłabym, czy tak jest. W kieszeni ciągle miałam pudełko zapalek z jej numerem.

Telefon znalazłam w końcu w teatrze na Broadwayu. Był to teatr żydowski, ale właściciel na szczęście mówił dobrze po angielsku, a w dodatku, pewnie bojąc się, że nie potrafię obsługiwać aparatu, nalegał, że sam wykręci numer. W słuchawce odezwał się znajomy głos służącej.

– Czy pani już wróciła do domu? – zapytałam.

– Nie, panienko. Bardzo się o nią martwię. Nigdy nie wraca tak późno, nie uprzedziwszy mnie wcześniej. Naprawdę, zawsze o tym pamięta.

– Pewnie coś ją zatrzymało w mieście – odparłam, starając się, by zabrzmiało to przekonująco. – Proszę jej przekazać, że czekałam w kawiarni przez godzinę. Wie, gdzie mnie szukać.

– Oczywiście, panienko. Przekażę jej, jak tylko wróci do domu.

Biedacze strasznie trząsł się głos. Wiedziałam, co czuje. Powinnam spokojnie wrócić do domu i czekać na sygnał od Nell, ale nie byłam w stanie. W końcu podjęłam decyzję. Pójdę do Jacoba! On będzie wiedział, co robić. Pomaszerowałam Broadwayem aż do Rivington Street. Miałam tylko nadzieję, że zdążył ukończyć przygotowania do strajku w siedzibie związków żydowskich i wrócić do domu. Bez problemu otworzyłam drzwi do budynku. Weszłam na ostatnie piętro i zapukałam nieśmiało. Może Nell jest z nim? – pomyślałam.

Uchylił drzwi.

– Molly! – najwyraźniej się ucieszył, ale i zaniepokoił. – Czemu zawdzięczam tę miłą wizytę o tak późnej porze? Myślałem, że od dawna jesteś w domu. Jeśli zaproszę cię teraz do środka, mogę na zawsze zniszczyć twoją reputację. – Mrugnął do mnie na znak, że to tylko żart.

– Chodzi o Nell. Umówiła się ze mną, ale nie przyszła na spotkanie. Martwię się o nią, Jacob – powiedziałam pospiesznie. Szczegółowo opisałam mu całą sytuację i pokazałam liścik od Nell. – Czekałam w kawiarni ponad godzinę – zaznaczyłam. – A chłopiec, który przyniósł mi wiadomość, mówił, że Nell dała mu ją w pobliżu Walhalla Hall. To miejsce Eastmansów.

Westchnął.

– Obawiałem się, że kiedyś do tego dojdzie. Cały czas igra z ogniem. Wiesz, co robiła w takiej dzielnicy?

– Dowiedziała się, że Kathy pracowała dla Mostela. Jego szwalnia mieści się na Canal Street, a to ta sama okolica. Może tam czegoś szukała?

– Muszę ją znaleźć – powiedział Jacob. – Tobie starczy emocji na jeden wieczór. Wracaj do domu i odpocznij.

– Wykluczone – odparłam. – Idę z tobą. W grupie siła.

Uśmiechnął się.

– Dwoje to niezbyt duża grupa – stwierdził i dotknął mojego ramienia. – Ale będzie mi różnie w twoim towarzystwie.

Deszcz przestał już padać, wokół lamp i ogrodzeń zbierała się wilgotna mgła. Zdawało się, że wycisza wszystkie odgłosy niczym kołdra. Miałam wrażenie, że na całym świecie jesteśmy tylko my dwoje. Jedyne dalekie nawoływania statków na rzece przypominały mi, że nie zostaliśmy zupełnie sami.

Przecieliśmy Chrystie Street. Wypatrywałam budynku, który mógł być siedzibą Eastmansów, ale oczywiście trudno było się spodziewać, że ktoś umieści na drzwiach tabliczkę z taką informacją. Ulica była spokojna, porządna, tyle że bardzo ciemna. Następnie skierowaliśmy kroki na Canal Street, niedaleko od Orchard i Walhalla. Świeciły się tutaj tylko nieliczne gazowe latarnie, a od strony East River wiatr przywiewał mgłę, więc wyglądaliśmy jak dwa duchy spacerujące w środku nocy.

– To Walhalla Hall – powiedział Jacob. – Powinniśmy zapytać, czy ktoś ją widział.

Budynek był pogrążony w ciemności. Jacob zaczepił kilku mężczyzn, którzy akurat wychodzili z baru, ale został przez nich nieuprzejmie potraktowany.

– Szukasz jeszcze jednej dziewczyny? Patrzcie, co za gość! Ale ma apetyt!

Daliśmy za wygraną. Nie mieliśmy już kogo zapytać o Nell.

– Może pójdziemy jeszcze raz do kawiarni? Możliwe, że dotarła tam po moim wyjściu – zaproponowałam.

– Dobry pomysł.

Wróciliśmy Canal Street.

– Tu jest szwalnia – wskazałam na ponury budynek. – Na dole jest stolarnia, a trzy kolejne piętra zajmuje Mostel.

Jacob pchnął drzwi, ale nie dały się otworzyć. Żadne światło nie dobiegało z wewnątrz.

Poszliśmy na Broadway. Kawiarnia już była zamknięta, podobnie jak inne miejsca wkoło. Jedyne w teatrach wciąż się świeciło.

– Może zadzwonię do niej – zaproponował Jacob.

– Już dwa razy dzwoniłam. Służąca była bardzo zdenerwowana.

– W takim razie wracajmy na Canal Street i sprawdźmy każde przejście i każdą wąską alejkę – odparł Jacob.

– Ale co ona mogłaby tam robić o tej porze? – zapytałam, choć wcale nie chciałam poznać odpowiedzi. Bałam się usłyszeć wypowiedzaną na głos myśl, która zaczynała kiełkować w mojej głowie.

Wzruszył ramionami.

– Jest tylko jedna możliwość – zaczęłam ostrożnie. – Kiedyś wpadłam w łapska Eastmansów. Gdyby nie policja... Jeśli Nell naruszyła ich teren, mogli ją złapać i uwięzić.

Jacob patrzył na mnie przerażony.

– I wtedy nie damy rady jej pomóc – powiedziałam szybko, widząc, że jest gotowy na samotną konfrontację z gangiem. – Będziemy musieli zaalarmować policję. Mój znajomy jest kapitanem. Powinniśmy mu natychmiast o wszystkim powiedzieć.

– Może najpierw przeszukajmy teren – zasugerował Jacob. – Upewnijmy się, że jej tam nie ma. A jeśli spotkamy jakiegoś policjanta, powiemy mu, żeby i on, i jego koledzy zaczęli szukać Nell.

Znów poszliśmy w stronę Canal Street, mimo że dosłownie przed chwilą tam byliśmy.

– Oczywiście może się okazać, że niepotrzebnie się denerwujemy – zauważył Jacob, przybierając radosny i pewny ton. – Może Nell czeka na nas w twoim domu albo u mnie, albo gdziekolwiek indziej. Nie wiadomo, co jej przyszło do głowy. Byłem z nią parę razy na mieście i zawsze chciała iść we wszystkich możliwych kierunkach, jak pies, który goni zająca.

Miałam wrażenie, że bardziej stara się przekonać samego siebie niż mnie.

Nie miałam pojęcia, czego tak naprawdę szukamy w tej okolicy. Przecież Nell nie chodziłaby tutaj po zmroku. To nie Hester czy Essex Street, które tętnią życiem mimo późnej pory i gdzie sklepy są otwarte jeszcze nocą. Wszyscy tutejsi mieszkańcy już dawno zamknęli drzwi na klucz i spuścili rolety. Żeby dotrzymać kroku Jacobowi, musiałam bieć. Pędził do przodu jak obłąkany. Zerknęliśmy w głąb pierwszej alejki i wróciliśmy na Canal. Z barów na rogu dobiegał śpiew. Mijali nas mężczyźni na chwiejnych nogach. Psy szczekały. Koty przemykały wąskimi przejściami. Sprawdzaliśmy kolejne alejki.

– To beznadziejne, Jacob. Chcesz w ten sposób przeszukać cały Nowy Jork? A jeśli ktoś ją porwał? Może jest bardzo blisko, ale my o tym nie wiemy.

– Nawet tak nie mów – wzdrygnął się. – Muszę mieć pewność, że zrobiłem co w mojej mocy. A nuż spotkamy jakiegoś włóczęgę albo panienkę lekkich obyczajów, którzy coś widzieli.

– No dobrze. W takim razie prowadź – powiedziałam uprzejmie, choć miałam już sztywne nogi. KobiECE pantofle to nie obuwie, w którym można godzinami chodzić. Ostre czubki może są modne, ale nie zostały zaprojektowane z myślą o wygodzie. Spojrzałam z zazdrością na solidne buty Jacoba.

Znów przeszliśmy obok szwalni Mostela i przeszukaliśmy okolicę, ale nie trafiliśmy na nic niezwykłego. Potem skierowaliśmy się na Bowery i ruszyliśmy dalej. W drzwiach na rogu ulic mignęły nam dwie kobiety lekkich obyczajów. Postanowiliśmy z nimi porozmawiać.

– Nie interesują nas zagubione dziewczynki, skarbie – powiedziała jedna z nich. – Zwracamy uwagę

tylko na takich panów jak ty. A co zrobiła? Uciekła mężusiowi? – I zaczęły się śmiać.

Zniechęceni, poszliśmy dalej.

Powoli zbliżaliśmy się do miejsca, gdzie za skrzyżowaniem z Division Canal Street zmienia kierunek. Miałam nadzieję, że Jacob nie zamierza przeszukiwać całej ulicy aż do East River. Aż nagle usłyszeliśmy głośne tupanie; tuż obok przebiegło dwóch małych chłopców. Zdołałam złapać jednego z nich za kołnierz. Miałam nadzieję, że to któryś z synów Nuali.

– Puszczaj! Nic złego nie zrobiłem! – zawołał przerażony.

– Nie bój się – uspokoił go Jacob. – Szukamy jednej pani. Może widziałeś ją w okolicy? Wysoka, ubrana elegancko, w czarnym płaszczu.

– Nikogo takiego nie widzieliśmy – mruknął drugi chłopiec, a ja zauważyłam, że coś chowa za plecami.

– Co tam masz? – zapytałam i wyciągnęłam rękę.

Chciał się wywinąć, ale byłam szybsza. Po chwili trzymałam w ręku kapelusz ze strusim piórem.

– Gdzie to znalazłeś? – zapytałam. – Przecież mówiłeś, że nie widziałeś żadnej pani.

– Bo żadnej pani nie widzieliśmy – powiedział pierwszy chłopiec. – Ten kapelusz leżał na ziemi. Znaleźliśmy, więc jest nasz. Zabieramy go do domu, dla mamy.

– Możecie nam pokazać miejsce, w którym leżał kapelusz? – poprosił Jacob. – Zapłacę wam za niego pięćdziesiąt centów, zgoda?

– W porządku, psze pana. Znaleźliśmy ten kapelusz tam dalej.

Zaprowadzili nas Canal Street z powrotem w to samo miejsce, gdzie byliśmy przed chwilą, a potem pokazali wąskie przejście pomiędzy dwoma budynkami. Na ziemi leżała sterta węgla, przy ścianach poustawiane były jakieś budki i komórki. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach. Ostrożnie stawialiśmy kroki w zupełnej ciemności.

– O właśnie tutaj, psze pana – powiedział większy chłopak. – Tak po prostu sobie leżał. Brat go kopnął, bo myśleliśmy, że to zdechły ptak, nic więcej. Ale potem zobaczyliśmy też wstążkę i podnieśliśmy.

– Bardzo nam pomogliście – zauważył Jacob. – To kapelusz naszej znajomej. Macie tu pięćdziesiąt centów. A jeśli spotkacie tę panią, powiedzcie jej, gdzie jesteśmy.

– Oczywiście, psze pana. – Chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu i po chwili już ich nie było.

Patrzyliśmy z Jacobem na kapelusz.

– Po co miałyby go zdejmować w taką pogodę? – zauważył Jacob.

– Jeśli szła z kimś wbrew swojej woli, mogła upuścić kapelusz. Domyślała się, że będziemy jej szukać – odparłam.

Jacob kiwnął głową.

– Tak, to prawda – szepnął, bo w takim miejscu można mówić tylko szeptem. – Jednak... Może gdzieś tu być, może jest ranna...

Nie musiał kończyć zdania. Po prostu zaczęliśmy szukać. Żałowałam, że nie mamy ze sobą światła. Wokół było prawie czarno. Zajrzeliśmy za górę węgla i za budkę, cichutko wołając imię Nell.

– Może jest tam w środku? – powiedział w końcu Jacob podniesionym i zniecierpliwionym głosem. – Nell! To my! To ja, Jacob! – zawołał.

Nagle powiał wiatr, mgła się uniosła, chmury rozstały i na chwilę wyjrzał księżyc, oświetlając swoim blaskiem jakieś groteskowe kształty. Na ziemi, trochę dalej, coś błysnęło. Ledwie zdążyłam podbiec w tamtym kierunku, a już chmury znów naszły na siebie i ponownie znaleźliśmy się w całkowitej ciemności. Pochyliłam się przy wielkiej stercie węgla. Wyciągnęłam rękę i natychmiast ją cofnęłam, bo poczułam, że dotknęłam czyjejs nogi. To klamerka od buta mignęła mi w świetle księżyca! Buta, który wciąż tkwił na nodze Nell Blankenship...

– Jacob, tutaj. Pospiesz się!

Podbiegł do mnie i przyklęknął na ziemi.

– O Boże, o Boże, o Boże! – powtarzał w kółko. – Pomóż mi, Molly. Podnieśmy ją ostrożnie, może jeszcze żyje.

Nic nie powiedziałam, choć czułam, że kostka, której dotykam, jest zimna. Ktoś wepchnął ciało pomiędzy śmietnik a ścianę budynku i wcale nie było go łatwo stamtąd wyciągnąć. Kiedy nam się to w końcu udało, głowa opadła do tyłu jak u szmacianej lalki, a usta otworzyły się w niemym krzyku zdziwienia. Przeszył mnie dreszcz, musiałam odwrócić głowę. Jacob objął mnie ramieniem.

– Nie patrz. To okropne – powiedział. – Kto mógł zrobić coś tak strasznego?

Stałam nieruchomo, miętosząc kapelusz w dłoniach, aż nagle poczułam, że moje palce trafiły na coś lepkiego. Z zewnątrz kapelusz był mokry od deszczu, ale w środku – dziwnie lepki. Pochyliłam się, żeby spojrzeć na głowę Nell. Nagle ktoś skierował na nas snop światła.

– Co się tutaj dzieje? – zapytał gruby głos.

– W samą porę, oficerze. – Jacob podniósł się z kolan. – Ta młoda kobieta została brutalnie zamordowana.

Policjant podszedł bliżej i zaświecił nam prosto w twarz. Światło mnie oślepiło, nie widziałam nic oprócz zarysu jego czapki.

– Proszę odejść i podnieść ręce do góry.

– Nie zabiliśmy jej! – krzyknęłam. – Znaleźliśmy ciało. To nasza przyjaciółka. Długo jej szukałam.

– Proszę na bok, powiedziałem.

Kierował na nas światło z góry na dół, potem oświetlił ścianę i najbliższą okolicę, a na samym końcu moją dłoń.

– Co pani tutaj ma?

Spojrzałam.

– To chyba krew. Najpierw znaleźliśmy jej kapelusz. W środku się klei.

Usłyszeliśmy w alejce kroki następnej osoby.

– Tutaj, Charlie! – zawołał policjant. – Mam ich! Przyłapałem nad zwłokami. Dajcie kajdanki.

– Proszę się nie wygłupiać – powiedziałam do drugiego policjanta, który podszedł do mnie z kajdankami. – Właśnie wszystko tłumaczyłam. To nasza przyjaciółka. Szukaliśmy jej cały wieczór, bo nie przyszła na umówione spotkanie. Obawialiśmy się, że przytrafiło się jej coś złego.

– A czemuż to, panienko?

– To jest panna Nell Blankenship, z szanowanej rodziny – zaczął tłumaczyć cicho Jacob. – Pewnie

panowie o niej słyszeli. Pisze... to znaczy pisała artykuły do gazet. Ja się nazywam Jacob Singer. Pracowałem z nią, robiłem zdjęcia.

– A tak... Kobieta dziennikarz. Widziałem to nazwisko w gazetach. Charlie, leć szybko na posterunek i powiedz, że mamy morderstwo. Ale wy na razie nie ruszycie się stąd ani na krok.

– Nawet do głowy by nam nie przyszło, żeby tak ją zostawić – zauważyłam. – Też chcielibyśmy się dowiedzieć, kto ją zabił. A jeśli sądzicie, że mamy coś wspólnego ze śmiercią tej pani, po prostu jej dotknijcie. Nie żyje już od jakiegoś czasu.

Drugi policjant pobiegł na posterunek. Nagle zrobiło mi się bardzo zimno. Cała się trzęsłam, ale nie mogłam otulić się ramionami, bo przeszkadzały mi w tym lepkie palce; marzyłam, by umyć ręce. Nie byłam przygotowana na takie emocje, a dodatkowo przytłaczało mnie poczucie winy. Gdybym nie poprosiła Nell o pomoc, nigdy nie znalazłaby się w tym zakątku miasta. Nie wpadłaby na trop, który przypłaciła życiem. Pewnie nawet nie zdążyła zostawić mi żadnego znaku i nigdy się nie dowiem, co odkryła. Staralam się myśleć jak prawdziwy śledczy. Wstałam i zaczęłam przeszukiwać okolicę.

– Halo, dokąd to? – zapytał policjant.

– Szukam torebki. Nie ma jej przy sobie.

– Pewnie właśnie z powodu tej torebki oberwała w głowę. Nie ma się co dziwić. Po co szwendała się tu samotnie? – zauważył.

Miałam wrażenie, że chętnie uciąłby sobie ze mną pogawędkę, ale postanowiłam milczeć, bo nie chciałam zdradzić, że kradzież raczej nie była motywem tego zabójstwa i że Nell nie została zamordowana przypadkiem.

– Co, na litość boską, robiła w tej części miasta? – kontynuował porucznik. – Chyba musiała wiedzieć, że nie jest to bezpieczne miejsce dla kobiet.

– Nell nie zastanawiała się nad takimi drobiazgami – odparł Jacob. – Kiedy wpadła na trop jakiejś historii, potrafiła wiele ryzykować. Nigdy... Ale nie... – głos mu się załamał.

Podeszłam i dotknęłam jego ramienia.

Modliłam się, tym razem wyjątkowo żarliwie, żeby na miejsce zbrodni nie wezwano Daniela. Nie miałam ochoty ani się z nim spotkać, ani wysłuchiwać tych wszystkich jego pouczeń. Zamiast Daniela przybył na szczęście młody mężczyzna o nazwisku Macnamara. Towarzyszyło mu kolejnych dwóch policjantów. Uprzejmie wysłuchali naszej opowieści o tym, jak znaleźliśmy kapelusz Nell, a potem jej ciało. Kiedy próbowałam opisać wygląd chłopców, zdałam sobie sprawę, że to, co mówię, pasuje do każdego obdartusa z Lower East Side. Byłam zła na siebie, że nie zapytałam ich o imiona i że nie przeszukaliśmy im dokładnie kieszeni, bo przecież mogli mieć przy sobie również inne rzeczy należące do Nell. Może to oni zabrali torebkę i wzięli sobie wszystko, co przedstawiało jakąś wartość.

– Zastanawia mnie jedno – zauważyłam. – Chłopcy mieli kapelusz panny Blankenship, a ten był w środku umazany krwią. Czy to oznacza, że mogła mieć go na głowie, kiedy napastnik ją zaatakował?

Porucznik spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

– Nie sądziłem, by młoda dama mogła zauważyć coś takiego.

– To nie jest zwyczajna młoda dama – wtrącił Jacob. – Panna Murphy jest prywatnym detektywem.

Pochlebiało mi, że mówi o mnie z szacunkiem, ale wolałabym, żeby nie zdradzał, kim jestem.

Macnamara spojrział na mnie z jeszcze większym zainteresowaniem.

– Może w takim razie mi powie, co robiła w tej okolicy młoda, dobrze ubrana kobieta bez towarzystwa? Może prowadziła tutaj jakieś śledztwo?

– Nie wykluczam, niestety – odparłam. – Ale zupełnie nie mam pojęcia, co sprowadziło ją w ten zaułek.

– Jeśli o to chodzi – zaczął swój wywód Macnamara – równie dobrze ktoś mógł zaatakować ją w biały dzień, nie bacząc na innych przechodniów. To zupełnie normalne w tej okolicy; napastnicy zdają sobie sprawę, że ludzie chętnie przymkną oko i będą udawali, że nic nie widzą. Skoro zginęła torebka, musimy przyjąć, że motywem była kradzież.

– Ale to nie ma sensu – odparłam. – Jest w rękawiczkach i chyba widzę zarys pierścionka na palcu. Dlaczego nie zabrali biżuterii?

– Na przykład dlatego, że ktoś się zbliżał i musieli się spieszyć – zasugerował Macnamara. – Zaatakowali ją od tyłu; kapelusz spadł, kiedy wciągali ciało do tej szczeliny, i nie zauważyli, że został na ziemi.

– Trochę nierozważnie, nie sądzi pan? – zapytałam. – Gdyby chłopcy nie zabrali kapelusza, nigdy nie znaleźlibyśmy ciała.

Sierżant Macnamara pokręcił głową.

– Już mówiłem. Spieszyli się. Może w torebce był wypchany portfel i to im wystarczyło.

Na miejscu pojawił się kolejny policjant i poinformował sierżanta, że karawan już czeka.

– Musicie udać się na posterunek przy Mulberry Street i złożyć zeznania – stwierdził Macnamara. Nie zaproponował nam przejażdżki karawanem, za co byłam mu wdzięczna. – Porucznik Daly was zaprowadzi.

Porucznikiem Dalym okazał się pierwszy policjant, który przybył na miejsce zbrodni. Poprowadził nas do wyjścia z alejki, a potem gestem ręki kazał nam iść za sobą Canal Street. Kiedy mijaliśmy pierwsze skrzyżowanie, zerknęłam na nazwę ulicy i zobaczyłam, że to Chrystie. Gdzieś w głębi przecznicy musi być siedziba Eastmansów, a jej budynek chyba właśnie przylega do zaułka, w którym znaleźliśmy ciało – pomyślałam i obiecałam sobie, że muszę to zaznaczyć podczas przesłuchania.

Wędrówka na posterunek była bardzo męcząca. Kiedy już tam doszliśmy, podaliśmy imiona i nazwiska, a następnie złożyliśmy zeznania. Ktoś przyniósł nam po kubku gorącej herbaty, co było bardzo miłe. Potem siedzieliśmy w ciemnym pokoju bez okien na twardych, niewygodnych krzesłach, czekając nie wiadomo na co.

Jacob rozejrzał się dookoła.

– We wszystkich więzieniach jest tak samo – powiedział. – Zawsze każą ci czekać. Czasem z pokoju

obok dobiegają krzyki, a później dręczą mnie nocne koszmary.

Chciałam wziąć go za rękę, ale wciąż wydawało mi się to zbyt bezpośrednie.

– Przepraszam. To ja cię w to wszystko wciągnęłam. Nawet nie wiesz, jak mi źle z tego powodu.

– I ja się czuję winny – odparł ze złością. – Jak mogłem pozwolić, by samotnie poszła w takie miejsce? Powinienem bardziej się o nią troszczyć.

– Przecież nie byłeś jej ochroniarzem, Jacobie. A znając Nell, wiem, że i tak by cię nie posłuchała.

Miała własne zdanie na każdy temat.

Pokiwał głową.

– To i tak nie zmniejsza mojego poczucia winy – dodał.

– Wiem, że w tej chwili jest ci ciężko. Ja też czuję się koszmarnie. W końcu to ja ją tam posłałam.

Wziął mnie za rękę. Dobrze, że trafił na tę czystą, bez lepkich śladów krwi. Dłoń miał równie zimną jak moja. Siedzieliśmy tak razem, wspierając się na duchu.

– Przynajmniej już nas nie podejrzewają – powiedziałam. – Przez moment myślałam, że...

Przerwałam, bo drzwi nagle szeroko się otworzyły i do środka wparował Daniel z obłędem w oczach. Wyglądał, jakby nie spał od kilku dni, bez krawata, z rozpiętym kołnierzykiem koszuli.

– Mam nadzieję, że w końcu jesteś zadowolona! – wrzasnął. – Tyle razy ci mówiłem, a ty nic! Namówiłaś ją na coś bardzo głupiego, tak?

Jacob natychmiast wstał z krzesła.

– Wypraszam sobie, by w ten sposób odzywał się pan do tej młodej damy – powiedział cicho. – Nic złego nie zrobiła.

– Nic złego nie zrobiła? Ciągłe wsadza nos w nie swoje sprawy! Kim pan jest?

– Jacob Singer. Jestem przyjacielem panny Murphy.

Daniel spojrzał zdziwiony.

– Ach, tak?

– Panna Murphy przysłała do mnie zaniepokojona, kiedy Nell Blankenship nie pojawiła się na umówionym spotkaniu.

– A co takiego robiła panna Blankenship sama nocą w wąskim zaułku przy Canal Street? – wycedził Daniel.

– Nie mam pojęcia – odrzekłam, patrząc mu prosto w oczy. – Poprosiłam ją tylko, by sprawdziła dla mnie kilka szczegółów dotyczących zaginionej pary. Mówiłam ci o nich. Katherine i Michael Kelly.

– Michael Kelly? – powtórzył, wciąż łypiąc na mnie ze złością. – To człowiek, którego spotkał przykry koniec, bo zadarł z Eastmansami! Wysłałaś ją, żeby to sprawdziła?

– Wcale nie! Miała się tylko dowiedzieć, gdzie pracowała Katherine! – Teraz i ja krzyczałam. – Okazało się, że była szwaczką, a Nell wiedziała wszystko na temat szwalni w Nowym Jorku. Zaoferowała, że dowie się czegoś więcej. I dotrzymała słowa. Okazuje się, że Katherine pracowała

u Mostela przy Canal Street i pewnie dlatego znaleźliśmy ciało Nell właśnie w tej okolicy. Nie wiem, czemu została tam po zmroku. Napisała mi, że dowiedziała się czegoś interesującego i że zamierza się temu przyjrzeć. I tyle. To wszystko, co mogę ci powiedzieć.

Daniel trochę się uspokoił.

– I to coś przypłaciła życiem. Czy wiedza na jakiś temat może być więcej warta niż ludzkie życie?

– Oczywiście, że nie. I wcale nie chciałam, by podejmowała jakiekolwiek ryzyko. Nie miałam pojęcia...

– Wystarczy, Molly. Nie miałaś pojęcia! W kocim wcieleniu zostałoby ci tylko jedno życie. Osiem już wykorzystałaś. Może ta śmierć wreszcie czegoś cię nauczy! Jeśli jeszcze kiedyś przyjdzie ci do głowy głupi pomysł, przypomnij sobie Nell Blankenship z rozbitą głową.

– Naprawdę uważam, że panna Murphy dość już przeszła jak na jeden wieczór – wtrącił chłodno Jacob. – Jeśli pan pozwoli, zabiorę ją teraz do domu.

Daniel popatrzył na niego przeciągle, a potem kiwnął głową.

– Dobrze. Wiem, gdzie was szukać, jeśli będę miał jeszcze jakieś pytania – odparł. – Ale nie zakładałbym, że się dowiemy, kto zabił pannę Blankenship. Nie mamy swoich ludzi w piekle.

– Macie przecież informatorów w gangu, prawda? – zapytałam. – Możecie się dowiedzieć, czy zrobili to Eastmansi.

Daniel pokiwał głową.

– Za jakiś czas to rozważę, choć nie powiedzą mi przecież, co takiego odkryła albo kto zlecił morderstwo. Sprawę trzeba będzie dość szybko zamknąć z powodu braku dowodów. Nikogo nawet nie przesłuchamy. Wierzcie mi, już nieraz próbowałem walczyć z gangiem.

Znów spojrzał na mnie gniewnym wzrokiem.

– Ale może Eastmansi nie mają z tą śmiercią nic wspólnego? Może chodziło tylko o torebkę albo o buty. Właśnie się dowiedzieliście, że życie na Lower East Side jest nic niewarte. Katherine i Michael też już o tym wiedzą. Oni nie żyją, Molly! Zamknięta sprawa. Twoja przyjaciółka straciła życie na darmo.

Chciał chyba jeszcze coś dodać, ale po chwili gwałtownie wskazał głową w stronę drzwi.

– No, ruszajcie się. Jesteście wolni.

– Dziękuję – powiedziałam, a kiedy wstawałam z krzesła, świat zawirował mi przed oczami. Zachwiałam się i omal nie upadłam.

Daniel i Jacob chwycili mnie w tym samym momencie.

– Nic mi nie jest. Naprawdę – wyjaśniłam szybko. – Nie jadłam od południa. A potem ten szok...

– Dam pieniądze na dorożkę – zaoferował się Daniel.

– To nie jest konieczne. Zapłacę – zapewnił Jacob. – Zadbam o to, by bezpiecznie wróciła do domu.

– W takim razie proszę zawołać dorożkę. Za chwilę podprowadzę ją do drzwi.

Kiedy tylko Jacob wyszedł, Daniel znów zaczął krzyczeć.

– Kim jest ten człowiek?!

– Dobrym przyjacielem, Danielu.

– On uważa się za kogoś więcej. Widziałem, jak na ciebie patrzył.

– Może ma powody przypuszczać, że kiedyś będzie kimś więcej.

– On nie jest dla ciebie, Molly. Inny kraj, inna religia... Nie widzisz, że to bez sensu?

– Związki, które prowadzą donikąd, to najwyraźniej moja specjalność – odparłam. – Ty i panna Norton też chyba jesteście innego wyznania. Możliwe, że kiedy w grę wchodzi pieniądze i status społeczny, nie ma to aż tak wielkiego znaczenia.

Zmienił się na twarzy, jakbym wymierzyła mu policzek. Muszę przyznać, że wcale nie było mi przykro z tego powodu. Już od dawna chciałam utrzyć Danielowi nosa.

– To głupie, Molly – powiedział. – Przecież go nie kochasz. Nie możesz go kochać.

– Pójdę już, jeśli pozwolisz. Jacob pewnie na mnie czeka.

– Molly... – Daniel chwycił mnie za rękę.

– Do widzenia, Danielu.

Odwróciłam się na pięcie i wyszłam.

– Zachowanie tego mężczyzny w stosunku do ciebie było niedopuszczalne – stwierdził Jacob, kiedy znaleźliśmy się w dorożce. – Wystarczy odznaka, mundur i od razu woda sodowa uderza im do głowy.

Uznałam, iż nie jest to odpowiedni moment na dyskusję i nie ma co Jacobowi tłumaczyć, że Daniel nie miał ani odznaki, ani munduru i że cieszy się uznaniem innych, bo jest najmłodszym kapitanem w policji.

– Parę razy wyciągnął mnie z niezłych opałów, więc pewnie był zły, że ciągle zajmuję się tym śledztwem – powiedziałam, ale postanowiłam nie zagłębiać się w szczegóły. Miałam dreszcze. Tym chyba objawiał się opóźniony szok.

– Nie ma prawa na ciebie krzyczeć – upierał się Jacob. – Zwłaszcza dzisiaj, kiedy tak wiele przeszłaś.

– Oboje dzisiaj dużo przeszliśmy. Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co się stało. – Westchnęłam. – Biedna Nell. To wszystko nie mieści mi się w głowie.

– Ani mnie – odparł Jacob. – W Rosji napatrzyłem się na tyle strasznych rzeczy, ale tutaj, w Ameryce, nie chcę ich oglądać. Była wspaniałą kobietą. Tyle mogła osiągnąć. Powinienem był... – Odwrócił głowę.

– Przecież ją ostrzegałeś. Ostrzegałeś nas oboydwie – powiedziałam. – Nie rób sobie wyrzutów.

Bez zastanowienia wyciągnęłam rękę i pogłaskałam go po policzku. Wziął moją dłoń i przysunął do ust.

– Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, Molly, poczułem, jakby słońce oświetliło moje życie. Pomyślałem wtedy, że jesteś kimś, z kim mogę tańczyć, śmiać się i zapomnieć o wszystkim, co widziałem i przez co przeszedłem.

– Minie trochę czasu, zanim będziemy mogli się porządnie śmiać albo tańczyć, Jacobie – odparłam. – Ale wspólnie jakoś przez to przejdziemy.

Objął mnie mocno i przytulił. Nie broniłam się, choć wciąż nie byłam pewna swoich uczuć. Przed oczami nadal miałam twarz Daniela. Widziałam, że był strasznie zły, ale równocześnie bardzo zmartwiony.

Nagle Jacob poluźnił uścisk i popatrzył na mnie z troską w oczach.

– Musisz mi obiecać, że nie będziesz dociekała, co się tak naprawdę stało Nell. Nieważne, kto to zrobił, wiemy, że jest okrutny i bez serca. Przymknij, że nie będziesz go szukać.

– Obiecuję, że nie zrobię nic głupiego, Jacobie – powiedziałam. – A ty obiecaj mi to samo.

– Nie mogę cię teraz stracić; dopiero co cię odnalazłem – szepnął i znów przyciągnął mnie do siebie.

Trzymałam głowę na jego ramieniu aż do momentu, kiedy dorożka przystanęła u wylotu Patchin Place.

– Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? – zapytał Jacob. – Może chcesz, żebyśmy wszedł do środka i zrobił ci coś ciepłego do picia?

– Jest późno – zauważyłam. – Ty też musisz odpocząć. Wyglądasz strasznie.

– Dziękuję za komplement – zdobył się na słaby uśmiech.

Pogłaskałam go po policzku, czując pod dłonią dziwną szorstkość brody.

– Jesteśmy oboje przygnębieni i wyczerpani, Jacobie. Musimy się wyspać.

Skinął głową.

– Masz rację. Wracam do domu i do zobaczenia jutro. – Pocałował moją dłoń, a potem odjechał.

Kiedy otwierałam drzwi wejściowe, z naprzeciwka wychyliła się Gus w podomce w orientalne wzory i fioletowym turbanie na głowie.

– Molly, to ty? Maluję sobie spokojnie w pracowni na górze, aż tu widzę, że podjeżdżasz dorożką w towarzystwie tego przystojnego pana Singera. Gdzie byliście? Co ciekawego słysząc? Wchodź i wszystko opowiadaj.

Przez moment chciałam wymyślić jakąś błąhą historię, nieistotne wydarzenie, w którym ja i Jacob braliśmy udział, ale nie mogłam tak kłamać dobrej przyjaciółce.

– Miałam okropny, straszliwy wieczór – powiedziałam i poczułam, że głos mi się załamuje. – Znajoma moja i Jacoba została zamordowana.

Kiedy wypowiadałam te słowa, zdałam sobie sprawę, że przecież Nell była przede wszystkim znajomą Gus i Sid.

– Nell Blankenship – dodałam.

– Nell? Nell nie żyje?

– Co tu się dzieje? – Sid wyjrzała zza turbanu Gus.

Nie miałam wyboru. Musiałam wejść do środka i wszystko im opowiedzieć. Wspominanie całego dzisiejszego dnia było bardzo bolesne.

– To straszne, Molly. Jak to zniosłaś? – zapytała Sid.

– Ja? Tu nie chodzi o mnie! – krzyczałam. – Biedna Nell! Gdybym nie poprosiła jej o pomoc, może jeszcze by żyła. Czuję się podle. – Schowałam twarz w dłoniach. – Nawet mnie za bardzo nie lubiła. Uważała za rywalkę. Prowadziła to śledztwo wcale nie dla mnie, tylko dla Jacoba, bo była w nim zadurzona. Zdradziłam ją na wszystkich frontach.

– Potrzebujemy brandy, nie sądzisz, Gus? – zauważyła Sid i wstała, żeby pójść po karafkę.

– Brandy z ciepłym mlekiem. Powinna się przespać, ale po takich przejściach sen łatwo nie przychodzi. – Gus wyjęła rondelkę i nalała do niego mleka.

– Nie obwiniaj się, Molly – powiedziała Sid, odmierzając porządną porcję brandy. – Przecież do tanga trzeba dwojga.

Musiałam się uśmiechnąć.

– Faktycznie.

– A czy prosiłaś Nell, żeby zrobiła coś niebezpiecznego?

– Nie.

– Więc przestań się oskarżać. – Sid zdjęła gorące mleko z kuchenki i wlała je do szklanki z brandy. – Znam.. to znaczy znałam Nell Blankenship dość dobrze. Nie zrobiłaby nic wbrew sobie. Poszukiwania Katherine potraktowała jak wyzwanie. Była ciekawa, co się stało z dziewczyną. Odezwał się w niej dziennikarski instynkt. To był jej wybór, nie twój, Molly.

– Teraz wypij to duszkiem, a potem porządnie się wyśpij – dodała Gus. – I posłuchaj swoich dwóch dobrych przyjaciółek, które się bardzo o ciebie martwią. Potraktuj tę śmierć jako ostrzeżenie. Ktoś zabił Nell Blankenship, bo poznała prawdę. Morderca jest na wolności, pamiętaj. Żadnego bohaterstwa, Molly. Zostaw dochodzenie policji.

– Tak samo mówi Jacob.

– Wiedziałam, że go polubię – stwierdziła Gus z uśmiechem.

– Czy ktoś poinformował jej rodzinę? – zapytała przytomnie Sid.

– Trzeba przynajmniej przekazać wiadomość tej biednej służącej – odparłam. – Kiedy ostatni raz z nią rozmawiałam, umierała ze strachu. Myślisz, że powinnam do niej zadzwonić mimo tak późnej pory?

– Ja to zrobię – zaproponowała Sid, kładąc mi rękę na ramieniu. – Ty wracaj do domu i wyśpij się dobrze. Odprowadzić cię?

– Nie. Jesteście takie kochane! Jak zwykle – powiedziałam, wstając. – Kiedyś muszę znaleźć sposób, by się wam za wszystko odwdzińczyć.

– Jeśli chcesz się nam odwdzińczyć, trzymaj się z dala od kłopotów i ciemnych zaułków – odparła Gus, a potem lekko mnie popchnęła. – Dalej. Idź i spróbuj zasnąć, zanim brandy przestanie działać.

Brandy wprawdzie porządnie mnie rozgrzała, ale długo nie mogłam zasnąć i leżałam, słuchając gałęzi uderzających o szyby. Głowę miałam pełną myśli. Wprawdzie wszyscy powtarzali, że Nell była osobą zdecydowaną, impulsywną i chodziła własnymi drogami, ale i tak dręczyło mnie poczucie winy i wyrzuty sumienia. Już drugi raz się kimś wyręczyłam. Najpierw naraziłam małego Szelmę, a teraz Nell Blankenship straciła przeze mnie życie. Gdybym to ja dowiedziała się czegoś o Katherine, może teraz leżałabym martwa przy śmietniku za stertą węgla. Poprzysięgłam sobie, że już nigdy nikogo nie zaangażuję do pomocy i że tak czy siak dowiem się, kto zabił Nell. Nie mogłam znieść myśli, że jej śmierć może nowojorskiej policji w ogóle nie obchodzić.

Usiadłam na łóżku i sięgnęłam po notes i ołówek. W głowie słyszałam głos Paddy’ego – zacznij od tego, co już wiesz. Wiedziałam, że Nell odkryła, iż Katherine pracowała dla Mostela i Kleina. Odkryła coś jeszcze, coś tak istotnego, że natychmiast chciała mnie o tym poinformować. To coś tak naprawdę doprowadziło do jej śmierci.

Co jeszcze wiedziałam? Ciało Nell znaleźliśmy w pobliżu szwalni Mostela. Próbowałam wyobrazić sobie Maxa Mostela albo Obleśnego Sama, jak wrzucają Katherine do rzeki albo jak zaczepiają Nell i wciągają ją w ciemny zaułek. Trudno mi było w to uwierzyć. Już prędzej Katz od Lowensteina byłby zdolny do takiego okrucieństwa niż Obleśny Sam, który w gruncie rzeczy potrafił nas tylko straszyć.

Potem uświadomiłam sobie, jak bardzo ważne dla Mostela są pieniądze. Gdyby okazało się, że jego szwalnia jest zagrożona, może wynająłby mordercę, by pozbyć się Katherine? A kto zrobiłby to lepiej od Eastmansów?

Nawet jeśli miałam rację, i tak niczego nie udowodnię. Zmądrzałam. Nie będę szwendać się w okolicach Walhalla Hall czy Chrystie Street; przecież właśnie obiecałam Jacobowi, że nie zrobię niczego głupiego. Ale mogę wrócić do Mostela – pomyślałam. Strajk u Lowensteina daje mi wspaniałą pretekst, zwłaszcza teraz, gdy niektóre z nas i tak mają stracić pracę. Jednakże – rozważałam dalej – prawdopodobnie nie będę w stanie dokończyć pierwszego zlecenia i dowiedzieć się, kto z pracowników Mostela dostarczał projekty konkurencji. A to z kolei oznacza, że nie dostanę honorarium.

Mam nauczkę na przyszłość – pomyślałam. Nie należy nigdy brać dwóch zleceń naraz. I jeszcze coś. Nie wolno romansować z kimś, kto jest w jakikolwiek sposób powiązany ze sprawą. Przypomniałam sobie, jak Jacob mnie obejmował, jak dotykał ustami mojej dłoni, jak dziwna, choć też przyjemna, wydała mi się jego broda. Czy Nell domyślała się, że Jacob jest mną zainteresowany? A może Jacob, zawsze tak uczciwy i szczerzy, zwierzył się jej ze swoich uczuć do mnie? W takiej sytuacji być może obydwójce przyczyniliśmy się do śmierci Nell.

W końcu zasnęłam niespokojnym snem, ale prawie natychmiast – przynajmniej tak mi się wydawało – zadzwonił budzik. Wciąż było ciemno. Wiatr hulał, wprawiając gołe gałęzie w dziki taniec cieni. Stałam chwilę na zimnym linoleum, starając się przypomnieć, czemu wstaję tak wcześnie. W końcu dotarło do mnie, że przecież muszę przyłączyć się do koleżanek z pracy, które z samego rana urządzają pikietę przed szwalnią Lowensteina.

Włożyłam najcieplejsze ubrania, tęsknie spojrzałam w stronę wełnianej peleryny, by po chwili okryć się tylko szalem. Przygotowałam sobie herbatę i tosty, a na drugie śniadanie zapakowałam kromkę chleba z serem. Jedząc w pośpiechu, zauważyłam, że w kuchni stoi starszy Seamus i bacznie mi się przygląda.

– I co? Naprawdę idziesz pikietować? – zapytał.

Poprzedniego dnia rozmawiałam z nim o strajku i zwierzyłam się z naszego pomysłu.

– Niestety, tak. Te dziewczęta zasłużyły na wsparcie.

– Bądź ostrożna, Molly – odparł. – Właściciele firm nie grają uczciwie. Nie próbuj się porywać z motyką na słońce.

– Oczywiście, że nie będę. – Wzruszyła mnie jego troska.

– Masz dobre serce, Molly – powiedział. – Wyrzucam sobie, że mieszkamy kątem u ciebie i że nie potrafię zadbać o swoją rodzinę. Chcę dzisiaj poszukać jakiejś pracy. Nie mam jeszcze tyle sił, by wrócić na budowę kolejki, ale są przecież inne zajęcia, które nie wymagają wysiłku.

– Najpierw musisz całkowicie wyzdrowieć – zaprotestowałam. – Dopóki nie staniesz na nogi, zajmę się wszystkim.

– Nie wyręczaj mnie. Życie nie polega na tym, że cię ktoś wyręcza – oznajmił filozoficznie. – W walce się rodzimy, walcząc umieramy, a pomiędzy jednym i drugim też trwa walka.

Proszę, proszę! Co za poezja o piątej nad ranem. Typowe dla Irlandczyka.

– Zamierzam odwiedzić Tammany Hall – dodał jeszcze. – Jestem lojalnym wyborcą. Są mi coś winni.

Z pewnością znajdą pracę komuś takiemu jak ja.

– Wobec tego powodzenia – powiedziałam. – Ucałuj ode mnie dzieci i każ im przed wyjściem do szkoły umyć buzie.

Uśmiechnął się.

– Jesteś dla nich prawie jak matka. Posłuchaj, Molly... Kiedy Kathleen odejdzie, to znaczy...

– Nawet o tym nie myśl – przerwałam mu stanowczo. – Jeszcze nie umarła i może wcale nie umrze.

A nawet jeśli tak się stanie, ja nie nadaję się na twoją żonę, Seamusie.

A potem szybko wyszłam. Miałam już wystarczająco dużo zmartwień na głowie, żeby jeszcze przejmować się oświadczeniami Seamusa O'Connora!

Ulice ciągle były mokre po niedawnej ulewie, więc ostrożnie stawiałam kroki, omijając kałuże. Jeszcze wczoraj cieszyłam się na nasz strajk. Szczególnie pragnęłam zobaczyć minę Katza na widok kordonu wściekłych pracowników. Ale dzisiaj było inaczej. Nie mogłam uwolnić się od wspomnień ostatniego wieczoru. Kiedy tylko skończy się strajk, zajmę się tą sprawą – rozmyślałam. Sprawdzę przynajmniej, co Katherine robiła u Mostela. Teraz jednak najważniejsze są dziewczęta, które naprawdę potrzebują mojej pomocy. Nie mogę ich zawieść!

Pod szwalnią Lowensteina stał porządny tłumek podekscytowanych dziewcząt. Tłoczyły się w ciasnej grupce i naradzały po cichu. Wśród nich była Rose. Ujrzawszy mnie, zawołała:

– Molly, chodź tu do nas szybko. Jesteś nam potrzebna. Piszemy postulaty i nie chcemy zrobić żadnych błędów. Pomożesz?

Przygotowały kwadratowe tabliczki, puszkę czarnej farby i wielki pędzel.

– A co mam napisać?

– Wymyśl coś dobrego – powiedziała Rose. – My mogłybyśmy napisać w jidysz, po włosku albo po polsku, ale nie po angielsku.

– To może „Dość upokorzeń u Lowensteina. Chcemy lepszych warunków pracy” – zaproponowała jedna z dziewcząt.

– „Żądamy lepszych warunków” – poprawiłam ją.

– Tak będzie lepiej. I musimy jeszcze powiedzieć światu, że nie jesteśmy niewolnicami, że mamy swoją godność – dodała inna.

– I że warsztat, w którym pracujemy, powinien być dobrze ogrzany i oświetlony.

– I mieć normalną toaletę, w której woda nie zamarza.

– A kierownik powinien trzymać łapska przy sobie.

– I dlaczego każą nam pracować w szabat? Ojciec chce mnie wydziedziczyć, bo to wbrew naszej religii.

Ze wszystkich stron dobiegały jakieś propozycje i postulaty.

– Poczekajcie! – krzyknęłam w końcu. – Przecież mam tu tylko kilka tabliczek. Najważniejsze, żeby było wiadomo, dlaczego strajkujemy, a strajkujemy, bo jesteśmy źle traktowane.

Pokiwały głowami i przyglądały się, jak piszę postulaty, a potem Rose wręczyła tabliczki kilku dziewczętom.

W tym czasie do pracy przyszło trzech mężczyzn, którzy zajmowali się w szwalni krojeniem materiału i prasowaniem. Nie chcieli przystąpić do strajku, więc zaczęliśmy ich przekonywać. Ustąpili, kiedy zorientowali się, że nie wpuszczymy ich do środka i że mają przeciw sobie pięćdziesiąt rozwścieczonych kobiet. W końcu dwóch poszło do domu, a jeden zdecydował się przyłączyć.

– Widziałem, jak w Polsce policja katowała strajkujących – powiedział. – Zobaczymy, czy tutaj rzeczywiście jest demokracja.

Wkrótce pojawił się Jacob ze swoim aparatem fotograficznym. Towarzyszył mu młody chłopak ze związku pracowników przemysłu włókienniczego oraz kilku innych mężczyzn, których wcześniej nie spotkałam.

Rosjanie zaczęli instruować dziewczęta, jak mają się zachowywać niezależnie od tego, co usłyszą. Tłumaczyli im, na czym polega bierny opór. Jacob poprosił mnie na stronę.

– Całą noc się o ciebie martwiłem – powiedział.

– A ja o ciebie – odparłam. – Pewnie też nie spałeś zbyt dobrze.

– Prawie w ogóle. Nie potrafiłem się pozbyć tego okropnego poczucia winy.

– Jacobie, nie powinieneś mieć wyrzutów sumienia. Sam przyznałeś, że Nell była osobą zdecydowaną. Zawsze robiła to, co chciała.

– Nie chodzi tylko o to. Czuję się winny, bo ona liczyła na coś więcej z mojej strony. Mam wrażenie, że wszystko to robiła dla mnie. Chciała, bym zaczął ją podziwiać.

– Nie na tym polega miłość – wtrąciłam. – Nikogo nie można zmusić, by się w kimś zakochał. To się po prostu przytrafia.

– To prawda – przyznał Jacob i popatrzył na mnie przeciągle.

Uśmiechnęłam się zmieszana.

– Dzisiaj rano mamy chyba poważniejsze sprawy na głowie.

– Tak. I bardzo bym chciał, żebyś się w to nie angażowała, Molly. Nie pozwolę, byś narażała się na niebezpieczeństwo.

– Jakie niebezpieczeństwo? – spytałam. – Zobacz, ile nas tu jest! Masz aparat. Rób zdjęcia. Jak ludzie je zobaczą, będą po naszej stronie.

– Dobrze, zrobię, ale powiedz mi, proszę... nie mogłabyś wrócić do domu?

– Oczywiście, że nie. Teraz jestem jedną z tych dziewcząt. Wspólnie męczyłyśmy się u Lowensteina. Takie warunki pracy są nie do zniesienia, Jacobie. Te dziewczęta zasługują na lepsze traktowanie i być może będą potrzebowały kogoś, kto dobrze mówi po angielsku i kto wystąpi w ich imieniu.

– Ta Katherine, której szukasz, była ich rzeczniką. Świetnie mówiła po angielsku – zauważył. –

I zobacz, co się z nią stało... A Nell?

– W porządku, dziewczęta. Ustawiajcie się na swoich miejscach – zaordynowała Rose. – I pamiętajcie, niełatwo nas przestraszyć. Niech sobie mówią, co chcą, my się nie boimy. Tu jest Ameryka. Mamy prawo strajkować.

– Niech Bóg błogosławi Amerykę – powiedział ktoś z tłumu i wszyscy zaczęli powtarzać to zdanie.

Dołączyłam do dziewcząt formujących kordon i zajęłam miejsce za Rose. Jacob i jego koledzy odeszli na bok i z oddalenia obserwowali całą scenę. O wpół do siódmej nadszedł Katz. Zbliżał się powolnym krokiem, z przechylnym kapeluszem na głowie. Dopiero w ostatniej chwili nas zauważył.

– A to co? – zapytał.

Rose szturchnęła mnie łokciem w bok.

– To chyba jasne, panie Katz – powiedziałam. – Nie podoba nam się sposób, w jaki nas traktuje Lowenstein. Będziemy strajkować, dopóki nasze żądania nie zostaną spełnione.

Spojrzał na mnie.

– Powinienem był wiedzieć, że z tobą będą same kłopoty. Awanturnica, jak wszyscy Irlandczycy!

– Nie musiałam podzegać do strajku – odparłam. – Wszystkie myślimy tak samo. To miejsce jest gorsze niż chlew. Po pierwsze, marzniemy. Po drugie, okradacie nas, wymyślając jakieś kary i żądając opłat za łazienkę. Po trzecie, przestawia pan zegar. Wszystkie to widziałyśmy. Teraz chcecie nam obciążyć pensje o połowę tylko dlatego, że pracowałyśmy za szybko i skończyłyśmy zamówienia na czas? To przelało czarę goryczy. Dlatego wychodzimy na ulicę.

Katz rozejrzał się wkoło.

– Te z was, które są na tyle głupie, by słuchać, co mówi ta awanturnica, zostaną bez pracy. Tuż przed świętami, kiedy będziecie potrzebować pieniędzy! I nie myślcie sobie, że inna firma was zatrudni. Nie zatrudni. Decydujcie. Wchodźcie do środka, a nic więcej nie powiem. Jeśli zostanieie na zewnątrz, wszystkie was zwolnię.

– A kto w takim razie uszyje sukienki do nowej kolekcji, panie Katz? – zapytała słodko Rose. – Chyba już za chwilę projekty będą gotowe?

– Rose Levy, nie myśl sobie, że będziemy mieli problem ze znalezieniem szwaczki na twoje miejsce. Dzisiaj dam znać, komu trzeba, a już jutro będzie tu kolejka dziewcząt aż do Battery.

– Mogą sobie stać – odparła Rose. – Ale nie wejdą do budynku. Pan też nie.

– Myślicie, że dacie mi radę? Kilka drobnych dziewczynek? – zaśmiał się.

– Oprócz dziewczynek jesteśmy jeszcze my – powiedział Jacob, wychodząc z cienia. – Reprezentujemy związki żydowskie i związki pracowników przemysłu włókienniczego. Jeśli zajdzie konieczność, zwołamy tutaj więcej naszych członków. Otoczymy to miejsce ciasnym kordonem. Może więc pan próbować, panie Katz, ale, prawdę mówiąc, marnuje pan swój czas.

Katz spojrzał na nas z nienawiścią, a potem odszedł.

– Zwyciężyłyśmy! Idzie sobie! – ucieszyła się jedna z dziewcząt.

– Nie bądź głupia – ostudziła ją Rose. – To dopiero początek. Wróci tu z panem Lowensteinem i razem zrobią wszystko, żeby nas przestraszyć. Ale nie wolno się poddawać. Jeśli będziemy obstawać przy swoim, skorzysta na tym każda pracująca dziewczyna w Nowym Jorku.

– Niech żyje Rose! Rose jest naszą bohaterką! – zawołała któraś, a wszystkie pozostałe zaczęły klaskać.

Nadszedł świt. Wyjrzało słońce, a z chodników uniosła się para po wczorajszej ulewie.

– Wieczorem się modliłam, żeby dzisiaj nie padało – powiedziała Rose, poprawiając szal na ramionach. – Może powinnam była modlić się również o to, by nie świeciło słońce. W Nowym Jorku w listopadzie potrafi być tak gorąco jak w lecie.

Stałyśmy bez końca. Przechodnie rzucali w naszą stronę słowa otuchy. Pan Samuel przyniósł z jadalni każdej po kubku gorącej herbaty. Zegary na budynkach wybijały kolejne godziny. Utworzyło się zbiegowisko, niektórzy ludzie byli tylko ciekawi, inni nas wspierali, jeszcze inni stroili sobie żarty. A potem, koło południa, tłum rozstał się, by przepuścić długą elegancką limuzynę. Dach samochodu był opuszczony, a kierowca miał na sobie brązową liberię. Tylnymi drzwiami wysiadł pan Lowenstein i powoli do nas podszedł.

– Dziewczeta... – zaczął miękkim, delikatnym głosem. – Co to za głupoty? Ryzykujecie utratę pracy tylko dlatego, że jacyś socjaliści namawiają was do strajku? Ci panowie ze związku żydowskiego... Oni tak naprawdę mają was w nosie. To anarchiści. Chcą zniszczyć gospodarkę, zniszczyć rząd. Im jest wszystko jedno.

Spojrzał na kordon.

– Coś wam powiem. Będę bardzo hojny. Każda dziewczyna, która teraz usiądzie do maszyny, dostanie pełną wypłatę. Nawet nie zapiszę sobie jej nazwiska. A cała reszta? Wynocha. Koniec zabawy. Na ulicę! Czy tego chcecie?

Rose znów szturchnęła mnie w bok. Wyszłam niepewnie przed szereg.

– Żądamy lepszych warunków pracy, panie Lowenstein. Ludzkich warunków. Oczekujemy ogrzewania w zimie, a w ciepłe dni dopływu świeżego powietrza, bo w tej duchocie robi się nam niedobrze. Potrzebujemy też więcej światła i nie chcemy kierownika, który przestawia zegar, żeby nas oszukać. Nie prosimy o wiele. Ciężko dla pana pracujemy i oczekujemy, że będzie pan sprawiedliwy.

Lowenstein uniósł rękę.

– Dobrze, dobrze. Zainstaluję lepsze światło, jak tylko doprowadzą tutaj elektryczność.

Z tłumy dobiegły groźne pomrukiwania. Lowenstein gestem uciszył zebranych.

– Każdej, która wróci teraz na swoje stanowisko, damę przed świętami dodatkowego dolara.

Kilka dziewcząt zaczęło się wiercić. Rose szybko wyszła przed szereg.

– To nie wystarczy, panie Lowenstein. Chcemy sześciu dolarów tygodniowo, tak jak w innych szwalniach. I nie będziemy już płacić za mycie rąk i lustro ani nie będziemy karane, kiedy zechcemy rozprostować kości albo skorzystać z toalety.

Lowenstein jeszcze raz uważnie nam się przyjrzał.

– Jeśli chcecie sześciu dolarów, to idźcie do tych wspaniałych szwalni, które tyle płacą. Zaraz stracę cierpliwość. Moje drogie... Jeśli chcecie utrzymać pracę i dostać premię, którą obiecałem, wracajcie do maszyn.

Przed szereg wyszła drobna, przestraszona dziewczyna.

– Proszę pana, czy to oznacza, że wszystkie dostaniemy pełną wypłatę? Nie ma znaczenia, że projekty nowej kolekcji nie są jeszcze gotowe? Ja i siostra utrzymujemy całą rodzinę. Mama jest chora. Umrzemy z głodu, jeśli stracimy pracę.

Lowensteinowi najwyraźniej zaświtał w głowie nowy pomysł. Widać było, że nad czymś intensywnie się zastanawia. Wiedziała, o co mu chodzi. Przecież jeśli przetrzyma nas choćby parę dni, nie będzie musiał nam nic płacić.

– Pełna pensja tylko wtedy, jak będzie praca. Nie płacę za leniuchowanie – powiedział. – Widzę, że żadna z was nie chce być ani rozsądna, ani lojalna. W porządku. Znajdę kogoś innego na wasze miejsce.

Odwrócił się na pięcie i ruszył do samochodu. Szofer w ukłonach otworzył przed nim drzwi. Wtedy zobaczyłam, że na tylnym siedzeniu są jeszcze inni pasażerowie. Siedzieli blisko siebie, szepcząc coś i śmiejąc się radośnie. Natychmiast rozpoznałam córkę Lowensteina, Letycję. Na głowie miała obszyty futrem kapelusik. Drugą osobą był młody, przystojny mężczyzna. Nie od razu go poznałam. Dopiero kiedy samochód odjechał, bryzgając spod kół błotem z kałuży, przypomniałam sobie, kto to taki. Obok Letycji siedział Ben Mostel!

Syn Mostela i mała Lowensteinówna! Czy papa Mostel wiedział o ich związku? Przecież nie miał do Lowensteina za grosz zaufania! Ale ojcu Letycji ten romans najwyraźniej wcale nie przeszkadzał. Poszłam w swoich rozmyślaniach o krok dalej. Cóż za zbieg okoliczności! I jaki łatwy sposób na przekazywanie informacji! Mostel powiedział mi, że zabiera projekty na noc do domu. Czy syn mógł je kopiować i przekazywać Lowensteinowi? Jest to możliwe, ale zupełnie pozbawione sensu. Kto, jeśli nie tata, miałby opłacać młodemu Mostelowi modny kierunek studiów? W interesie synalka leży, by ojcu wiodło się w interesach. Poza tym czy to możliwe, żeby był aż tak nielojalny w stosunku do własnej rodziny?

Mimo wszystko to mój pierwszy podejrzany w całym dotychczasowym śledztwie – pomyślałam. W tych podniosłych i ważnych chwilach omal nie zapomniałam, że cała ta historia zaczęła się wtedy, gdy dostałam proste zlecenie dotyczące kradzionych projektów. Muszę doprowadzić je do końca!

Rozmyślałam tak, stojąc na chodniku i przytupując dla rozgrzewki. Znow zrobiło się zimno i zaczęło wiać, a nad nami zebrały się ciężkie chmury. Kiedy Lowenstein odjechał, niektóre dziewczęta poważnie się przestraszyły.

– Wyrzuci nas na bruk! Zostaniemy bez pracy – szlochały.

Rose przeszła się wzdłuż kordonu.

– Rusz głową, Gino – powiedziała do jednej z dziewcząt. – W ciągu tygodnia musi wznowić produkcję. Inaczej nie wygra wyścigu o pierwszeństwo w sklepach. Nie ma mowy, by w tak krótkim czasie zatrudnił i przeszkolił nowy zespół. Nie wolno nam odpuszczać, musimy się trzymać razem, rozumiesz?

– Masz rację, Rose. Dobrze mówisz – odezwały się głosy poparcia.

Po zmroku postanowiłyśmy się rozejść. Stwierdziłyśmy, że w nocy pan Lowenstein niewiele zdołał, poza tym byłyśmy wszystkie zziębnięte, głodne i zmęczone. Wtedy podszedł do mnie Jacob i zaproponował:

– Chodź. Pójdziemy coś zjeść i napić się wina. Pewnie padasz z nóg.

Uśmiechnęłam się.

– Ledwo stoję. Poza tym czuję się nie najgorzej.

Zabrał mnie do niewielkiej restauracji, w której zamówił dla nas po talerzu barszczu i kieliszku czerwonego wina. Powiedział, że barszcz to rosyjska zupa z buraków i kapusty, którą je się z kawałkiem ciemnego chleba. Poczułam natychmiast, jak wracają mi siły, być może również dlatego, że miałam przy sobie Jacoba, który przepięknie się uśmiechał i obdarzał mnie zza tych swoich sowich okularów spojrzeniem pełnym miłości. Siedzieliśmy zatopieni w rozmowie, dopóki właściciel nie zaczął zamiatać podłogi. Jacob chciał odprowadzić mnie do domu, ale widziałam, że jest równie zmęczony jak ja.

– Nie martw się. Nic mi nie będzie – powiedziałam.

– Ale ja się martwię – odparł. – W nocy nie mogłem spać. Zastanawiałem się, co będzie, jeśli gangsterzy wpadną na twój trop. Jeśli uznają, że Nell coś ci powiedziała, i zaczną cię szukać?

To akurat wcześniej nie przyszło mi do głowy i zaczęłam żałować, że Jacob w ogóle o tym wspomniał.

– Nonsens. Nie mogą wiedzieć, że Nell pytała o Katherine w moim imieniu. Jestem całkowicie bezpieczna – odparłam. – I nie zamierzam się bać. Idę prosto do domu, biorę kąpiel, a potem do łóżka.

Pomachałam mu, uśmiechnęłam się i rażnym krokiem poszłam w swoją stronę, choć w duchu nie czułam się wcale tak bez troski. Stał i patrzył, jak odchodzę, aż stracił mnie z oczu, gdy zniknęłam za rogiem kamienicy. Jacob, dodatkowa komplikacja w moim życiu – pomyślałam. Najwyraźniej się we mnie zakochał. A co czułam ja? Był miły, mądry i miał poczucie humoru. Gdybym tylko mogła pozbyć się wspomnień związanych z Danielem Sullivanem! Z przyjemnością pozwoliłabym sobie wtedy na zauroczenie mężczyzną takim jak Jacob Singer.

Następnego ranka bardzo wcześnie ustawiliśmy się znowu przed szwalnią. Zapowiadał się zimny dzień, powietrze było mroźne. Dziewczęta dla rozgrzewki tupają nogami i poklepywały się po plecach. Ciekawe, jak długo to jeszcze potrwa – pomyślałam. Pewnie dopóki Lowenstein nie skończy projektów albo nie zdobędzie wzorów Mostela. W takim razie trzeba choć trochę przyspieszyć bieg wydarzeń.

Nigdy nie byłam cierpliwa. Matka uważała, że brak cierpliwości to ciężki grzech i jedna z moich rozlicznych wad. Jako dziecko zawsze wsadzałam palec do surowego ciasta albo otwierałam piecyk, by sprawdzić, czy już się upiekło. Denerwowało to strasznie matkę, bo przeze mnie w cieście robił się zakalec. Trzeciego dnia strajku bardziej doskwierała mi nuda niż zimno, głód czy strach.

Owszem, obiecałam Jacobowi, że nie będę szukała zabójcy Nell, ale nie mogłam się wprost doczekać, kiedy wrócę do Mostela. Sama przed sobą udawałam, że chodzi mi tylko o to, by sprawdzić, kto przekazuje projekty konkurencji, a podczas strajku u Lowensteina nie było szans, by się tego dowiedzieć. Jednak w głębi duszy zadawałam sobie pytanie, co takiego mogła odkryć Nell. Szwalnia Mostela była miejscem, które w dziwny sposób łączyło Nell i Katherine.

Pod pretekstem skorzystania z toalety opuściłam na chwilę pikietę, pobiegłam do najbliższego sklepu papierniczego i kupiłam papier listowy i kopertę. Tęsknie spojrzałam na nowe wieczne pióra wystawione w gablotce, a potem poprosiłam sprzedawcę, by użyczył mi swojego atramentu. Postanowiłam, że jak tylko zarobię jakieś pieniądze, sprawię sobie wreszcie eleganckie pióro i będę mogła w dowolnym miejscu robić nim notatki. No i oczywiście kupię sobie wtedy również zegarek, bo to drugi przedmiot, który bardzo by mi się przydał. Ale wyszedłszy ze sklepu, uświadomiłam sobie, że jeśli zaraz nie zakończę jednego z dwóch śledztw, nie będę miała pieniędzy nawet na jedzenie, a co dopiero na takie luksusy jak pióro czy zegarek!

List zaadresowałam do pana Mostela. Poprosiłam go o spotkanie w kawiarni Steinera na Dolnym Broadwayu, z daleka od ciekawskich oczu. Pół godziny od doręczenia listu stał już w drzwiach kawiarni.

– Panno Murphy – zagaił, siadając obok mnie przy stoliku. – Ma pani dla mnie jakieś wieści?

– Jak mogę mieć, skoro pracownice u Lowensteina strajkują? – spytałam. – Nic nie ustalę, jeśli nie wrócą do pracy.

Zmarszczył szerokie czoło.

– Tak, słyszałem. Ciężka sprawa, panno Murphy. Nie żebym jakoś współczuł Lowensteinowi, ale pozostałe szwalnie też są zagrożone. Jak nasze dziewczęta usłyszą o strajku, mogą ruszyć głowami. Trzeba to stłamsić w zarodku, żeby strajki nie objęły całego przemysłu włókienniczego.

– Właśnie dlatego chciałam się z panem spotkać, panie Mostel. Nie mogę dokończyć zlecenia i dowiedzieć się, kto jest szpiegiem, skoro Lowenstein ma zamknięty warsztat.

– Może się okazać, że to dla mnie błogosławieństwo – odparł. – Ja dokończę swoje projekty i kolekcja trafi do sklepów, a ten drań wciąż będzie załamywał ręce z powodu nieczynnej szwalni.

Nie podobał mi się ten tok myślenia. Taki scenariusz był całkiem prawdopodobny, ale dla mnie oznaczał jedynie brak zapłaty. Pokręciłam głową.

– Powiedział swoim pracownikom, że je wszystkie zwolni i zatrudni nowe. Choćby się paliło i waliło, zdąży z nową kolekcją. Nawet jeśli wymieni wszystkie szwaczki, szpieg znajdzie sposób, by przekazać mu pańskie projekty.

– Racja – przyznał. Widziałam, że ze zdenerwowania chodzi mu szczęka. – To co robimy, panno Murphy?

– Długo się zastanawiałam, panie Mostel, i mam pewien pomysł.

Pochylił się w moją stronę nad marmurowym blatem stolika.

– Musi pan ogłosić wszem wobec, że nowe projekty będą gotowe, powiedzmy, do przyszłego wtorku. Proszę się upewnić, że ta informacja dotrze do wszystkich w szwalni. I jeszcze coś. Uważam, że warto przygotować zestaw fałszywych projektów, takich, których nigdy by pan nie chciał ani szyć, ani sprzedawać. Zobaczymy, czy szpieg złapie przynętę. Proszę dodać coś charakterystycznego; jakiś wielki kołnierz z falbankami, aksamitny kaptur albo muszkę. Sprawdzimy, czy Lowenstein da się nabrać.

Pan Mostel zatarł ręce z zadowolenia.

– Chytry plan, panno Murphy. Podoba mi się. Chciałbym utrzyć nosa temu Lowensteinowi.

– Kiedy będzie pan opuszczał biuro w ważnych sprawach, proszę zadbać o to, by projekty jak gdyby nigdy nic leżały sobie na stole. Niech szpieg bez problemu je podkradnie.

– Oczywiście, oczywiście. – Ciągłe zacierał ręce. – A jeśli ten Lowenstein okaże się na tyle głupi, żeby uszyć sukienkę z kapturem albo z muszką przy kołnierzu, dzięki pani będę najszcześniejszym człowiekiem w Nowym Jorku.

– Miejmy nadzieję, że da się nabrać – powiedziałam. – I że złapiemy tego złodzieja. Muszę powiedzieć, że na razie nikogo nie podejrzewam, ale czas pokaże.

Nie mówiłam całej prawdy. Przed oczami miałam jeszcze obraz Bena Mostela na tylnym siedzeniu limuzyny Lowensteinów, ale uznałam, że nie jest to dobry moment, by opowiadać ojcu o tym, co wyprawia jego pierworodny.

– Więc nie obawia się pan, że dziewczęta w pańskiej szwalni mogą pójść śladem koleżanek?

– Moje pracownice? Panno Murphy, przecież jestem dla nich jak rodzony ojciec. Dlaczego miałyby strajkować?

Ugryzłam się w język.

– Nie ma u pana żadnej buntowniczkii?

– Sama pani widziała. Są zadowolone i szczęśliwe, a jeśli któraś zechce wszczynać awantury, pokażę jej drzwi. Nie toleruję takich wybryków.

Pociągnęłam spory łyk kawy i postanowiłam zapytać prosto z mostu:

– Słyszałam, że pracowała u pana pewna Angielka, która sprawiała kłopoty. Powiedziała mi o niej jedna ze szwaczek u Lowensteina, bo myślała, że ja też pochodzę z Anglii.

Nie zauważyłam, by zmienił się na twarzy.

– Nie przypominam sobie żadnej Angielki. Nie mogła u nas długo zagrzać miejsca. Poza tym zwalnia i zatrudnia mój zastępca, ja dbam o przychody.

– W takim razie rozumiem, że interes się kręci, panie Mostel – zauważyłam z niewinną minką.

– Nie narzekam, panno Murphy. Wystarcza na życie.

– A pański syn... bo to chyba pańskiego syna widziałam kiedyś w szwalni, prawda?... pójdzie w ślady ojca?

Mostel wzniosł oczy do nieba.

– Mój syn? Ma pani na myśli mojego najstarszego syna, Bena? On mi chce złamać serce, panno Murphy, takie ma plany. Ot co. Popełniliśmy błąd. Miał, czego zapragnął. Wszystko to, czego my w dzieciństwie mieć nie mogliśmy. Czy nam za to podziękował? – Pan Mostel pokręcił głową. – Moja żona nie może spać przez tego nicponia, tak się denerwuje. Oszczędzamy, żeby mógł studiować na Harvardzie, najlepszym uniwersytecie w okolicy, i co się okazuje? Oblał wszystkie egzaminy. Interesuje go jedynie dobra zabawa i trwonienie mojej fortuny. On mnie zrujnuje, panno Murphy.

– Może ma jakąś ukochaną, która wywiera na niego zły wpływ?

– Ukochaną? On zmienia kobiety jak rękawiczki. Z moich pieniędzy kupuje im drogie prezenty, biżuterię i zabiera na kolacje do Delmonico. Nie chce słuchać o swatce. Powtarza nam, że jest Amerykaninem, że żyjemy w dwudziestym wieku i że sam wybierze sobie żonę, kiedy będzie gotów.

– Nic dziwnego, że się pan denerwuje – zauważyłam i popatrzyłam na Mostela ze współczuciem. – Mam nadzieję, że nabierze rozumu.

– Ja też. Ale ostatnio postawiłem ultimatum: jeszcze jeden niezaliczony egzamin, a już grosza ode mnie nie dostanie. Tak mu powiedziałem. I dodałem, że będzie musiał zakasać rękawy i pracować w pocie czoła jak ojciec. To mu dało do myślenia, proszę mi wierzyć.

– Z pewnością.

Wyciągnął z kieszeni zegarek na łańcuszku.

– Muszę wracać do pracy – powiedział. – Miło się z panią rozmawiało. Podoba mi się pani pomysł.

Popracuję nad jakimiś dziwacznymi projektami i może za tydzień o tej porze dorwiemy złodzieja.

Wyszliśmy razem z kawiarni. Mostel uklonił mi się szarmancko i każde z nas poszło w swoją stronę.

Przez całą drogę powrotną zastanawiałam się nad tym, co usłyszałam. Chyba rzeczywiście nie pamiętał Katherine. Zresztą Max Mostel nigdy nie pasował mi do roli mordercy. W takim razie zostaje tylko Obłeśny Sam – stwierdziłam.

Co się zaś tyczy kradzionych projektów, syn Mostela zajmował teraz pierwsze miejsce na mojej liście podejrzanych. Miał okazję i motyw. Może chce zrobić ojcu na złość, bo nie dostaje od niego dość pieniędzy na przyjemności? Najwyraźniej młodzian ma duże potrzeby, a Lowenstein mógł zaoferować przyzwoitą zapłatę. Zastanawiałam się też, czy Ben podkochuje się w Letycji, czy może tylko jej nadskakuje, by podlizać się starszemu panu. Jeśli to rzeczywiście syn Mostela jest zdrajcą, projekty będą spokojnie krążyć między szwalniami, a ja nigdy nie przyłapię nikogo na gorącym uczynku. W tej sytuacji mogę się pożegnać z wynagrodzeniem. Na dodatek wcale nie będzie łatwo oskarżyć młodego Mostela. Rodzice na ogół nie przyjmują do wiadomości, że ich pociechy są inne, niżby tego chcieli, nawet gdy widać to gołym okiem. Zdałam sobie sprawę, że muszę uważnie przyjrzeć się temu rozwydrzonemu chłopakowi i sprawdzić, czy nie skrywa on jeszcze jakichś tajemnic.

Dołączyłam do dziewcząt strajkujących przed szwalnią. Podczas mojej nieobecności nie wydarzyło się nic szczególnego poza tym, że drobna Fanny zemdlła i siedziała teraz u Samuela nad miską tłustego rosółu. Postałyśmy jeszcze trochę, tupiąc w miejscu, a kiedy zapadł zmrok i od strony East River powiało chłodem, zdecydowałyśmy się rozejść.

Jacob miał tego wieczoru zebranie żydowskich związków zawodowych, więc ciesząc się perspektywą porządnego odpoczynku w ciepłe i spokoju, udałam się od razu do domu. Kiedy weszłam, moim oczom ukazała się rodzinna scenka. Bridie w nocnej koszuli siedziała na kolanach ojca, a mały Szelma – na podłodze przy jego nogach. Oboje słuchali bajki. Po chwili zdałam sobie sprawę, że to bajka o matce dzieci, Kathleen, i jej losie w Irlandii. Ruszyłam po schodach do swojego pokoju na piętrze, rozmyślając nad własnym, już na wpół zapomnianym życiem w dawnej ojczyźnie. Czy naprawdę zaledwie jeszcze przed rokiem mieszkiałam w domku na wsi, chodziłam na poletko kopać w deszczu kartofle i spacerowałam po wietrznych klifach, zastanawiając się, co mnie czeka w przyszłości? Nigdy, nawet w najśmielszych marzeniach, nie wymyśliłabym tego, co mam teraz.

Na moim stoliku nocnym leżał list od majora Favershama i zdjęcia Michaela i Katherine. Powinnam wreszcie podzielić się z majorem smutną wiadomością. Nie wolno dłużej zwlekać! Wyciągnęłam papier, atrament i pióro, a potem usiadłam i jeszcze raz przyjrzałam się dokładnie zdjęciu Katherine. Patrzyła na mnie z niego osoba wyniosła, dumna, ubrana w piękne stroje. Taka strata! I jeszcze Nell... Dwie kobiety, które mogły tyle w życiu osiągnąć. Poczułam, jak do oczu napływają mi łzy.

Szybko je otarłam i ponownie spojrzałam na zdjęcie. Zapytałam Daniela, czy dziewczyna wyłowiona z East River miała na sobie jakąś biżuterię, ale odpowiedź była przecząca. Wzięłam zdjęcie do ręki i zbliżyłam do światła lampki gazowej, żałując, że nie mam szkła powiększającego. Medalion na szyi Katherine był bardzo charakterystyczny. Miał kształt serca i kwiatowy wzór, a wykonany został chyba

z jakiegoś szlachetnego kamienia. Po chwili zrozumiałam, czemu ogarnęło mnie dziwne uczucie, gdy po raz pierwszy ujrzałam Letycję Lowenstein. Miała na szyi identyczny medalion!

Natychmiast zapomniałam o gorącej kąpieli i odpoczynku. Z fotografią w ręku szybko zbiegłam po schodach. Minełam zdziwioną rodzinę O’Connorów, wyszłam z domu, w kilku susach znalazłam się po drugiej stronie ulicy i zapukałam do drzwi Sid i Gus.

– Dobry Boże, nie mów tylko, że znowu coś się stało! – przywitała mnie Sid. – Kolejnej tragedii nie zniesiemy.

– Nic się nie stało – odparłam. – Pomyślałam tylko, że może macie szkło powiększające.

– Ależ oczywiście – powiedziała Sid, jakby moje pytanie było najzwyklejsze pod słońcem. – Proszę, wejdź. Akurat parzymy kawę.

Kawa po turecku przed snem to niezbyt dobry pomysł, ale tęskniłam za towarzystwem przyjaciółek, więc przyjąłam zaproszenie i poszłam do kuchni, w której Gus właśnie stawiała na kuchence czajnik z wodą.

– Molly! – zawołała na mój widok. – Znaleźli już może zabójcę Nell? Próbowaliśmy się dowiedzieć, kiedy będzie pogrzeb, ale policja jeszcze nawet nie oddała ciała rodzinie. Co za tragedia! Jesteśmy tym głęboko poruszone, prawda, Sid?

– Niebawem zasmucone – zawtórowała jej przyjaciółka. – Biedna Gus. Odkąd się wyprowadziłaś, jest w kiepskiej formie, ale teraz... po śmierci Nell... Gdybyś zobaczyła jej obrazy! Czarne serpentyny, jakieś głębokie i ponure wiry...

– To nic nadzwyczajnego – powiedziała Gus. – Zawsze mam taki nastrój, gdy zbliża się zima.

– W takim razie powinniśmy cię wysłać na południe, tam, gdzie świeci słońce – odparła Sid. – Co powiesz na Florydę?

Zamarłam na samą myśl, że przyjaciółki mogłyby wyjechać, ale Gus od razu pokręciła głową.

– Nie możemy zostawić Molly ani Ryana. Będzie potrzebował naszego wsparcia, kiedy sztuka trafi wreszcie do teatrów w Nowym Jorku. Kupmy jutro na targu dużo kwiatów i pomarańczy. To powinno pomóc.

– Proszę, oto przedmiot, o który prosiłaś. – Sid wręczyła mi szkło powiększające. – Zamierzasz zostać Sherlockiem Holmesem?

Zaśmiałam się i położyłam zdjęcie na stole.

– Nie, chciałam tylko dokładniej obejrzeć fotografię.

– To jest ta dziewczyna, której szukałaś? Ta, co podobno utopiła się w East River? – Sid zaglądała mi przez ramię. – Molly, chyba już się tym nie zajmujesz, co? Czy przypadkiem Nell też jej nie szukała?

– Molly, myślałam, że nas posłuchasz! – dodała Gus.

– Obiecałam, że nic głupiego nie zrobię, i dotrzymam słowa – powiedziałam. – Chodzi o coś innego.

Muszę dokładnie obejrzeć medalion, który ma na szyi. Wydaje mi się, że już u kogoś taki widziałam.

– Mogła go zastawić.

O tym nie pomyślałam! Katherine rzeczywiście mogła zastawić biżuterię, bo przecież potrzebowali z Michaeliem pieniędzy na życie. Jeśli tak, Letycja Lowenstein legalnie kupiła ten wisiołek u lichwiarza. Nic nadzwyczajnego.

Przysunęłam szkło powiększające do twarzy i spojrzałam na kamień. Z bliska widać było, że ma wzór niezapominajki. Jakże to znamienne – pomyślałam. Nie zapomnę o tobie, Katherine! I dowiem się, jakim cudem Letycja Lowenstein nosi podobną ozdobę. Przypomniałam sobie narzekania pana Mostela, że jego syn obsypuje swoje ukochane prezentami. Może to Ben w jakiś sposób zdobył ten medalion? Nie uwierzę, że kupił go od lichwiarza. Za duży zbieg okoliczności. Młody panie Mostel, muszę się panu dokładnie przyjrzeć! – postanowiłam, wracając po kawie do domu.

Nazajutrz był piątek, czwarty już dzień naszego strajku. Miałam rację. Lowenstein był zadowolony, że stoimy na ulicy i nie trzeba nam płacić za pracę. Pewnie planował, że kiedy pojawią się nowe projekty, postawi ultimatum: albo przyjmujemy jego warunki, albo zatrudni na nasze miejsca inne dziewczęta. I wtedy zrobi się nieprzyjemnie. Miałam tylko nadzieję, że moja wczorajsza rozmowa z panem Mostelem przyspieszy nieco bieg wydarzeń. Jeśli rzeczywiście obwieści on wszem wobec, że projekty są gotowe, Lowenstein będzie chciał, byśmy szybko wróciły do maszyn. Oj, wtedy na pewno coś się wydarzy – pomyślałam.

Około dziesiątej przybiegł Jacob z najnowszym numerem „New York Herald”.

– Spójrzcie, wydrukowali moje zdjęcie! – zawołał, a wszystkie zbiegłyśmy się, by popatrzeć.

Nad zdjęciem przedstawiającym naszą pikietę widniał napis: SZWACZKI DOMAGAJĄ SIĘ POPRAWY WARUNKÓW PRACY. Jacob skierował swój obiektyw na najbardziej delikatne dziewczęta: drobna Fanny dosłownie opierała się o swoją tabliczkę, wszystkie wyglądałyśmy jak zamarznęte żebraczki, a cała scena robiła naprawdę ogromne wrażenie.

– Wspaniałe zdjęcie, Jacobie – powiedziałam. – Jeśli nie poruszy ludzkich serc, to znaczy, że te serca są z kamienia.

Jeszcze do południa odwiedziło nas kilku dziennikarzy oraz panie z wyższych sfer, członkinie Ligi Kobiet, która zajmuje się walką o równouprawnienie. Przyniosły nam słodkie bułki i kakao i obiecały, że w naszym imieniu porozmawiają z właścicielami dużych sklepów, prosząc ich, by nie kupowali ubrań od Lowensteina, jeśli nie spełni on naszych warunków. Ta wizyta niezwykle podniosła nas na duchu. W pewnym momencie zaczęłyśmy śpiewać wszystkie te popularne ostatnio piosenki – *Ona jest jak ptak zamknięty w złotej klatce* czy *Piękna jak róża*. Niektóre dziewczęta zawodziły w jidysz, inne śpiewały tęsknie po rosyjsku, a jeszcze inne skocznie po włosku. Cała reszta podrygiwała i klaskała do rytmu. Zgromadził się tłum, który wyraźnie okazywał nam sympatię.

Ale pod wieczór sytuacja się zmieniła. Otoczyła nas grupa dziwnie wyglądających mężczyzn w naciągniętych na oczy czapkach i kapeluszach, w przydużych marynarkach i ciężkich butach. Byli

agresywni i obrzucali nas wyzwiskami. Odepchnęli pozostałych gapiów i podeszli tam, gdzie stały najsłabsze dziewczęta.

– Patrzcie tylko. Słodziki, prawda? Bidulki, sierotki, same na ulicy, nie? Halo, dziewczyno, po co tutaj wystajesz dla kilku nędznych dolarów? Chodź lepiej ze mną, zarobisz przyzwoite pieniądze!

– Dla pana mam pracować? – zapytała jedna z dziewcząt. – Reprezentuje pan przemysł włókienniczy?

– Owszem, tyle że u mnie się nie szyje ubrań, ale je zdejmuję – zarechotał mężczyzna. – Co nie, Flossie?

Z tłumu wyszła postawna kobieta w obcisłym, bezwstydnym stroju, który od razu określał jej profesję, i stanęła tuż przed nami.

– Dostaniecie pieniądze za samo leżenie na plecach, dziewczynki. Ja zarabiam, nawet śpiąc. Czy może być coś łatwiejszego?

Po chwili dołączyła do niej inna, w czerwonej aksamitnej sukience i kapeluszu, z którego wystawało wielkie strusie pióro opadające dziwacznie na twarz.

– Ta raczej nie, Flossie – zwróciła się do koleżanki. – Mężczyźni nie lubią takich chuderlaków. Płaska jak deska.

Przeszła dalej wzdłuż naszej linii i stanęła przy Sophii, niskiej, ale pełnej Włoszce.

– Ty, kochanie, dałabyś sobie świetnie radę. U ciebie jest za co złapać.

– Niezła para baloników, co nie, Flossie? – dodała druga, chichocząc.

– Jestem porządną dziewczyną. Wypraszam sobie. – Sophia poprawiła szal i zrobiła minę, jakby chciała się rozpłakać.

– Jak będziesz tak tutaj stała na ulicy, policjanci mogą sobie pomyśleć, że jesteś jedną z nas – powiedziała Flossie i wyciągnęła rękę, żeby dotknąć włosów dziewczyny.

Jacob nie wytrzymał. Podeszedł szybkim krokiem i krzyknął:

– Dajcie im spokój! To porządne dziewczyny i nie chcą mieć z wami nic wspólnego.

– Nic wspólnego z nami? – zapytał go jeden z mężczyzn. – Do kogo pijesz? Kogo masz na myśli?

– Mówię, żebyście dali spokój albo zawołałam policję.

– Zawołałam policję! Ha, dobre sobie! – Nieznajomy rozejrzał się wkoło. – Widzę tam stróżów prawa, stoją, patrzą i jakoś nic nie robią.

– Panowie oficerowie, ci mężczyźni nas zaczepiają i ubliżają nam! – zawołałam do policjantów, którzy stali uśmiechnięci z założonymi rękami.

Zobaczyłam, że grupa rzezimieszków idzie w moją stronę. Twarz jednego z nich, który szedł na samym końcu, wydała mi się dziwnie znajoma. Byłam pewna, że już go gdzieś widziałam. Może to jeden z Eastmansów? – pomyślałam. Ale nie mogłam się dłużej zastanawiać, bo największy i najbardziej agresywny z grupki zwrócił się bezpośrednio do mnie.

– Jest dokładnie na odwrót, dziewczeczko! – wrzasnął. – Blokujecie porządnym ludziom przejście, a nie mamy wcale ochoty chodzić brudną ulicą. Moja Flossie nie może sobie przecież zniszczyć pięknych

bucików, prawda, Flossie? – Odwrócił się i uśmiechnął do rubasznej ulicznicy. – No, dalej jazda, bo inaczej...!

Przypomniałam sobie, dlaczego te łobuzy i ich zachowanie wydały mi się znajome. Jeśli się nie myliłam, ci sami ludzie zaczepiali przechodniów przed lokalem wyborczym jakiś czas temu. Z pewnością pracowali dla gangu, a ponieważ ta część miasta należała do Eastmansów, wszystko stało się jasne. Byłam jednak pewna, że nie odważą się nic zrobić, kiedy tyle ludzi na nas patrzy.

– Nie ruszymy się z miejsca – odparłam. – Mamy prawo tutaj stać. Proszę przejść drugą stroną ulicy.

– Odsuń się albo będę zmuszony się przepychać. – Brutal taksował mnie spojrzeniem. Czułam na twarzy jego oddech przesiąknięty alkoholem.

Spojrzałam mu prosto w oczy.

– Odsuń się ode mnie, łobuzie! Wcale się ciebie nie boję.

– Tylko potem nie płacz i nie mów, że nie ostrzegałem – powiedział z obrzydliwym uśmiechem.

– Spróbuj mnie pchnąć, a pożałujesz – odparłam.

– Molly! – krzyknął Jacob. – Nie zwracaj na nich uwagi!

Ale już było za późno. Łobuz zaatakował mnie z nienacka ramieniem. Wyciągnęłam nogę i mocno go kopnęłam. Poleciał wprost na latarnię. Oparł się o nią i tylko dzięki temu nie upadł.

– Widzieliście, co ona zrobiła?! Kopnęła mnie! – wrzasnął, wyprostował się przy latarni i spojrzał w moją stronę. – Doigrałaś się, skarbie!

Zamachnął się, a ja nie zdążyłam się uchylić. Trafił mnie pięścią w twarz, aż gwiazdy stanęły mi przed oczami. Popatrzył z satysfakcją; wyglądał jak wielka rozwścieczona małpa.

– Matko Przenajświętsza! – krzyknęłam, dotykając ręką opuchniętego policzka. – Teraz to ty pożałujesz.

Chwyciłam za tabliczkę Rose i zamachnęłam się na niego z całej siły. Tabliczka była zrobiona z grubego kartonu i cienkiego drewna, więc głośno trzeszczała, kiedy waliłam go w głowę, ale tak naprawdę nie mogła mu zrobić żadnej krzywdy. Poczułam jednak wielką ulgę.

– Zabieraj się stąd i zostaw nas w spokoju! – wrzeszczałam, okładając go raz po raz, aż karton się porwał i został mi w ręku jedynie cienki patyk.

Kiedy spojrzałam w górę, zobaczyłam, że wreszcie pojawili się policjanci.

– Aresztujcie ją, panowie. Napada na niewinnych obywateli! – zawołała jedna z ulicznic.

Poczułam mocny uścisk na ramieniu.

– Natychmiast mnie puśćcie! – Nie mogłam pohamować wściekłości. – To nie my zaczęłyśmy. Działałam w obronie własnej.

– Widziałem co innego, panienko – powiedział jeden z policjantów. – W ręku ma pani broń. Proszę z nami do furgonu.

Do furgonu wsadzono również Jacoba, Sopię i kilka innych dziewcząt.

– To nieporozumienie – zaczęłam, kiedy konie ruszyły z kopyta. – Jak dojedziemy na posterunek, zrobię porządną awanturę. Policjanci nie reagowali, kiedy nas atakowano.

– Oczywiście – powiedział spokojnie Jacob. – Cała ta sytuacja była zaaranżowana. Zawsze tak się dzieje. Kiedy właściciele chcą ukarać strajkujących, wynajmują łobuzów, silnych mężczyzn, którzy wykonają za nich brudną robotę: mają upokorzyć dziewczęta i zmusić je, by wróciły do pracy i nie robiły zamieszania.

Rzuciło nami podczas jazdy, więc musiałam mocno przytrzymać się Jacoba.

– No to dlaczego policjanci ich nie aresztowali, skoro wiedzieli, o co chodzi?

– Dlatego, że zostali przekupieni. Tylko czekali, żebyś zrobiła to, co zrobiłaś. Uderzyłaś jednego z tych osiłków.

– To, że niektórzy policjanci są skorumpowani, wcale nie oznacza, że na posterunku też zostaniemy źle potraktowani – odparłam. – Te łobuzy ubliżały Sophii, składając jej nieprzyzwoite propozycje. Słyszałaś, jak mnie straszili?

Jacob cały czas cierpliwie kręcił głową.

– Ciągłe jesteś bardzo naiwna – odparł. – Szczerze mówiąc, już na początku strajku spodziewałem się, że dojdzie do takiej sytuacji. Ostrzegałem cię, że właściciele nie grają czysto, prawda?

– Ale ty nic nie zrobiłaś – zauważyłam. – Nikogo nie zaatakowałaś. Dlaczego cię aresztowali?

– Dlatego, że mnie dobrze znają. Wiedzą, że lepiej mnie aresztować, bo łatwiej będzie zakończyć strajk. Ludzie tacy jak ja przypominają pracownikom o ich prawach.

– Uważasz, że dziewczęta poradzą sobie bez nas? – Wyjrzałam na ulicę przez okienko furgonu. Mam nadzieję, że Rose się nie podda.

– Wiem, że ktoś pobiegł do związków żydowskich po pomoc – powiedział Jacob. – Chcieli nas zastraszyć i myślą, że się im udało.

– To znaczy, że to Lowenstein zatrudnił tych rzezimieszków? Chyba rozpoznałam jednego z nich, tego, który stał na samym końcu grupki. Czy jest możliwe, że to byli Eastmansi?

– Bardzo możliwe. Do brudnej roboty często wynajmuje się gangsterów.

– Policja spokojnie się przygląda, jak członkowie gangu biją młode kobiety? – zapytałam, wciąż tak wściekła, że aż bliska wybuchu. – W jakim kraju my żyjemy?

Jacob wzruszył ramionami.

– Świat taki już jest, Molly. Biedni nie mają głosu. Bogaci rządzą. Wszystko jest na sprzedaż.

– W nosie mam taki świat – prychnęłam.

Spojrzałam na trzy dziewczyny, zupełnie niewinne, które aresztowano razem z nami. Siedziały przytulone do siebie i przerażone.

– Nie martwcie się, wszystko będzie dobrze – starałam się je pocieszyć. – Powiem na posterunku, że niczym nie zawiniłyście.

Jedna z nich szlochała, zakrywając dłonią usta.

– Rodzina umrze ze wstydu, jak się dowie, że jestem w więzieniu. Ojciec wyrzuci mnie z domu.

– Nie wyrzuci. Jeśli chcesz, pójdziemy z Jacobem do twoich rodziców i porozmawiamy z nimi.

Powiemy im, jak było naprawdę. Gdy tylko dojedziemy na posterunek, wytłumaczymy wszystko policjantom, a oni na pewno puszczą nas wolno. Zdążymy do domu na kolację, jestem pewna.

Dziewczęta patrzyły na mnie z nadzieją. Jedna z nich nawet się uśmiechnęła.

Furgon gwałtownie zahamował, tak że omal nie pospadaliśmy na podłogę, a potem drzwi się otworzyły.

– Wysiadać. I bez głupich zagrywek! – odezwał się jakiś głos.

Jacob wysiadł pierwszy, a potem spokojnie podał rękę kolejno każdej z nas i pomógł bezpiecznie wyjść na zewnątrz. Wyglądał jak dżentelmen, a my jak damy, które właśnie przyjechały na bal.

Rozejrzałam się po ciemnej ulicy.

– To nie jest posterunek – zauważyłam. – Dokąd nas przywieźli?

– Obawiam się, że prosto do sądu – odparł Jacob.

– Do sądu? Potraktują nas jak pospolitych przestępców? Bez żadnego dochodzenia?

– Na to wygląda – powiedział Jacob. – Pamiętaj, Molly, zachowaj spokój. Będą cię prowokować.

Popatrz na te dziewczęta. Bądź jak one: zdziwiona, nieśmiała, przestraszona. Takie zachowanie może przekonać sędziego. Tupetem i oburzeniem nic nie zdziałasz.

– Nigdy w życiu nie grałam bezradnej kobietki – przyznałam z uśmiechem. – Ale widzę, że czas spróbować.

– Dalej. Ruszajcie się. Po schodach na górę. – Policjant zaczął nas pospieszać i wymachiwać pałką.

– Nie jesteśmy bydłem, poruczniku – zauważyłam. – Nie trzeba nas tak traktować.

– Co ci przed chwilą mówiłem? – szepnął Jacob. – To nie są żarty, Molly. Jak zdenerwujesz sędziego, wsadzi cię do więzienia.

– Nonsens. Nie można nikogo wsadzić za kratki, póki się nie udowodni, że jest winny.

– Właśnie ci to próbuję wytłumaczyć. Dowody się zawsze znajdują. Proszę, siedź spokojnie i udawaj potulną, błagam.

– Cicho tam. Idziemy – rozległ się głos za nami.

Wprowadzono nas najpierw do długiego holu, a potem do małej poczekalni. Za wysokim, staromodnym biurkiem siedział urzędnik. Zapisał nasze nazwiska i adresy, a potem zostawił nas pod opieką policjanta.

Dziewczęta wzywano pojedynczo. Siedzieliśmy z Jacobem na ławce, czekając na swoją kolej. Minęła już pora kolacji i zaczęło mi burczeć w brzuchu. Byłam zmęczona i zmarznięta, i szczerze mówiąc, trochę przestraszona. Zawsze bezgranicznie wierzyłam, że dobro i prawda zwyciężą w każdej sytuacji. Tym razem wszystko wskazywało na to, że będzie inaczej. Czy powinnam wezwać Daniela na pomoc? Obiecałam sobie niedawno, że już nigdy tego nie zrobię. Poza tym może wcale nie będzie chciał podważać oficjalnej wersji policji.

Dochodziły mnie oczywiście słuchy, że nowojorscy policjanci są skorumpowani, ale nigdy wcześniej nie doświadczyłam tego na własnej skórze. W myślach wróciłam do wydarzeń ze strajku. Wyraźnie widziałam, jak policjanci stali z boku i przyglądali się nam z założonymi rękami. Znów niemal poczułam na sobie przesiąknięty alkoholem oddech tego łobuza. Zadrżałam. Przypomniałam sobie okropne twarze bandziorów. Czy ja któregoś z nich już wcześniej spotkałam? Czy policja naprawdę jest w zмовie z gangiem? A to znajome oblicze w tylnym rzędzie? Skąd ja je znam? A potem nagle z wrażenia zrobiło mi się jeszcze zimniej. Zanim zaczęła się bijatyka, stał daleko ode mnie, więc nie widziałam wyraźnie jego twarzy. Prawdę mówiąc, nigdy nie widziałam go z bliska. Rozpoznałam tego mężczyznę, bo miałam kiedyś w ręku jego fotografię. Tę samą, na której Katherine szykowała się do jazdy konnej! Jeśli oczy mnie dzisiaj nie myliły, człowiek, na którego zwróciłam uwagę, to Michael Kelly.

Skoro Michael Kelly rzeczywiście żyje i pracuje dla Eastmansów, wiele to zmienia. Prawdopodobnie wie, kto zabił Katherine. Czy chce się zemścić i czy to oznacza, że Eastmans nie mieli z jej śmiercią nic wspólnego? Muszę go jakoś odnaleźć i porozmawiać z nim – pomyślałam. Po chwili uświadomiłam sobie, że jest wielu Irlandczyków o podobnym wyglądzie. Mają ciemne włosy i śniadą cerę, a w ich żyłach płynie hiszpańska krew^[5]. Daniel wygląda podobnie. Twarz tego mężczyzny widziałam tylko przez moment, w cieniu, zbyt krótko, by mieć stuprocentową pewność.

– Panna Murphy!

Skoczyłam na równe nogi, kiedy wywołano mnie po nazwisku.

Jacob pochylił się i dotknął mojej ręki.

– Proszę, pamiętaj – wyszeptał. – Bezradna, niewinna, delikatna. Żadnych awantur.

Przytaknęłam, spuściłam głowę i zrobiłam niewinną minkę, co wywołało uśmiech na jego twarzy.

Zaprowadzono mnie do ponurej, słabo oświetlonej sali rozpraw. Oprócz paru policjantów i sędziego, który siedział przy stole na podwyższeniu, nie było w niej nikogo. Moje kroki dudniły echem na marmurowej podłodze.

– Panna Murphy, Wysoki Sądzie – powiedział strażnik. – Oskarżona o zakłócanie porządku publicznego.

Sędzia popatrzył na mnie spode łba bezdusznym wzrokiem. Przypominał orła na polowaniu i nie potrafiłam ocenić, czy przekona go moja młodość i niewinność. Wiedział, że mnie wrobiono? Też dostał łapówkę?

– Dzisiejszego wieczoru zakłócała pani porządek.

– Brałam udział w pikiecie. Ja i moje koleżanki z pracy strajkujemy przeciwko warunkom w szwalni Lowensteina, Wysoki Sądzie.

– Rozumiem, że zaatakowała pani przechodnia drewnianą tabliczką.

Zimny ton, chłodny wyraz twarzy.

– Ale najpierw to on zaatakował mnie, Wysoki Sądzie. Agresywny łobuz. Działalam w samoobronie.

Zerknął do dokumentów.

– W zeznaniach świadków mam tylko informacje na temat pani zachowania. W zażaleniu jest napisane, że tarasowała pani chodnik, zmuszając pieszych do przejścia na drugą stronę ulicy. Kiedy jedna z tych osób próbowała panią minąć, dostała tabliczką po głowie. Pytam więc, panno Murphy: zaatakowała pani przechodnia czy nie?

– Owszem, ale dopiero...

Podniósł rękę.

– Nie pytam o to, co się stało wcześniej. Tu jest Ameryka, panno Murphy, nie Irlandia. U nas nie wolno wszczynać bójek na ulicy. Mamy prawo, które chroni niewinnych obywateli.

– Niewinnych obywateli? – podniosłam głos. – Tych rzezimieszków nazywa pan niewinnymi obywatelami? Drażnili się z nami i dobrze pan wie, że dostali za to pieniądze. Tak samo jak policjanci, którzy stali z założonymi rękami. Jeśli tak wygląda prawo w Ameryce, nie mam o nim najlepszego zdania.

– Nie musiała pani tutaj przyjeżdżać, panno Murphy – odparł sędzia. Przez chwilę bałam się, że odeśle mnie z powrotem do Irlandii. – Mogę być pobłażliwy i ukarać panią tylko za zakłócanie porządku. To oznacza grzywnę w wysokości dziesięciu dolarów i noc w więzieniu. Ale mogę również dodać zarzut czynnej napaści na człowieka, co będzie oznaczało miesiąc w więzieniu dla kobiet i karę w wysokości stu dolarów. Proszę wybierać.

Zamilkł i patrzył na mnie groźnie jak ojciec, który upomina niegrzeczne dziecko.

– Jeśli obieca pani, że już więcej nie zakłóci porządku publicznego, zastosuję lżejszą karę. Ale jeśli jeszcze raz będzie pani protestować na ulicy i zaczepiać niewinnych przechodniów, nie będę już taki łaskawy. Dam pani miesiąc więzienia i szybko się pani przekonają, że nie jest ono przyjemnym miejscem, zwłaszcza o tej porze roku, panno Murphy.

Pochylił się do przodu.

– To jak? Czy mam pani słowo, że już nigdy więcej nie będzie pani zachowywać się w ten sposób?

Nikt się za mną nie ujmie – pomyślałam. W tym sądzie nie znajdę sprawiedliwości.

Schyliłam głowę, udając skruszone dziecko.

– Tak, Wysoki Sądzie – powiedziałam.

– W takim razie skazuję panią na noc w więzieniu i dziesięć dolarów grzywny – uderzył młotkiem. – Proszę wyjść. Następny!

Jakieś ręce wyprowadziły mnie z sali. Wciąż nie mogłam opanować wzburzenia. To jest Ameryka? Czy naprawdę chcę być obywatelką takiego kraju? Jak tylko wyjdę z więzienia, wsiądę na statek i popłynę przed siebie. Byle dalej. Do Ameryki Południowej, do Afryki albo do Australii...

Sprowadzono mnie w dół kamiennymi schodami. Strażnik ogromnym kluczem otworzył drzwi. W pomieszczeniu było zimno i wilgotno, ciemno i bardzo nieprzyjemnie.

– Kolejna, Bert – powiedział wesoło do bezzębnego mężczyzny, który wyszedł nam na spotkanie.

– Co zrobiła? Zabiła swojego starego?

– Zakłócała porządek. Ma spędzić tu jedną noc.

– W porządku. Zaraz przygotuję pierzyny w pokoju gościnnym – zachrypiał ten bez zębów i poprowadził mnie korytarzem. Zaskrzypiały żelazne drzwi. – Zapraszam, skarbie. Wszystkie wygody. Kubeł w kącie, śniadanie o siódmej.

Wepchnął mnie do środka i zatrzasnął kratę. Rozejrzałam się dookoła, by sprawdzić, z kim tym razem przyszło mi dzielić celę. Ale byłam sama. Wzdłuż jednej ze ścian zamontowano wąską prycę; w kącie stał kubeł. I tyle. Usiadłam na prycy i przyciągnęłam kolana do siebie. Było mi zimno, a z głodu prawie

mnie mdliło. Mdliło mnie również z bezsilności. Ciekawe, czy te trzy drobne dziewczęta też wsadzono do podobnych cel? Czy Jacob też odsiadyje teraz karę? Zaczęłam tęsknić za jego spokojem, ale nie życzyłam mu wcale, by tak jak ja znalazł się za kratkami. Po tym wszystkim, co przeszedł w Rosji, noc w więzieniu z pewnością musi przywoływać koszmary z przeszłości.

Siedziałam na pryczy, trzęsąc się z zimna. Nie ma mowy, bym na czymś takim zasnęła! Kiedy minęła wściekłość, poczułam się znużona i osamotniona. Praca, którą wybrałam, nie jest chyba tym, co sobie wymarzyłam. Z jakąś dziwną regularnością trafiam za kratki. A przy tym wcale nie jestem bliska rozwiązania zagadek, które mi zlecono. Jak stąd wyjdę – postanowiłam – dla własnej satysfakcji sprawdzę, czy rzeczywiście Michael Kelly żyje. Tylko jak to zrobić, żeby znowu nie narazić się na niebezpieczeństwo? Jeżeli moje podejrzenia okażą się prawdziwe, kto w takim razie zabił Katherine i jakim cudem Letycja Lowenstein nosi jej medalion? Sprawy komplikowały się coraz bardziej.

Zerwałam się na równe nogi, gdy coś przebiegło po podłodze. Było zbyt ciemno, by odróżnić kształty. Równie dobrze mógł to być szczur jak mysz albo duży karaluch. W żadnym wypadku nie zamierzałam pozwolić, żeby to stworzenie podeszło bliżej. Skuliłam się jeszcze bardziej i czuwałam.

Noc była długa i zimna. Kilka razy zapadałam w płytki sen, ale natychmiast budziłam się, gdy głowa dotykała lodowatego kamienia. Od czasu do czasu dobiegały mnie czyjeś podniesione głosy, a raz zdawało mi się, że widzę szczura, który dobiera się do moich palców u nóg. Chciałam skorzystać z toalety, ale nie zamierzałam siusiać do kubła ani chodzić po podłodze, na której roiło się od robaków i myszy.

– To tylko jedna noc – powtarzałam sobie. – Wszystko jest do zniesienia.

Moszcząc się na pryczy, dotknęłam ręką pajęczyny. Jest jedna rzecz na świecie, której nienawidzę. Pająki! Nagle zaczęłam płakać. To wszystko było takie niespodziewane i niesprawiedliwe. Zostałam ukarana za coś, czego nie zrobiłam, a przecież chciałam tylko pomagać innym... Przez chwilę siedziałam, pochlipując i użalając się nad sobą, aż w końcu wzięłam się w garść.

– Posłuchaj tylko sama siebie. Zachowujesz się jak prawdziwa ciamajda – powiedziałam na głos. – Biedny Jacob musiał znosić znacznie więcej. Kiedy był małym chłopcem, poddawano go torturom; o mały włos nie zginął, ale nigdy się nie poddał. Więc ty postaraj się wytrzymać chociaż tę jedną noc.

Trochę spokojniejsza i silniejsza, oparłam głowę o kolana i zasnęłam. Zbudziłam się o brzasku, kiedy usłyszałam hałas przy kratkach i ktoś wsunął do mojej celi kubek i kawałek ciemnego chleba. Wypiłam gorącą kawę i zjadłam całą kromkę. Potem poprawiłam ubranie i przygotowałam się do wyjścia. Nie chciałam, by ktokolwiek dostrzegł, że noc w więzieniu mnie przygnębiła i osłabiła ducha walki.

Godzinę później bezzębny strażnik przydreptał do mojej celi i otworzył drzwi.

– No, ruszaj się, słońce. Jesteś wolna.

Odprowadził mnie na górę, potem do drzwi wyjściowych, aż w końcu znalazłam się na dworze. Stałam chwilę, głęboko oddychając, i obserwowałam gołębice w małym parku naprzeciwko. Dziobały okruchy, głośno trzepocząc skrzydłami. Kiedy weszłam na chodnik, zobaczyłam, że na ławce ktoś siedzi. Na mój widok szybko wstał.

– Molly!

– Jacob! – Rzuciłam mu się na szyję.

– Wszystko dobrze? – zapytał.

– Wspaniale. Jedzenie prawie jak w Delmonico, a łóżko wygodniejsze niż w Waldorf-Astoria.

– Podziwiam cię. Widzę, że nic cię nie złamie.

Nie zamierzałam mu opowiadać o zwątpieniu, które ogarnęło mnie nad ranem.

– Jedna noc w więzieniu jest bez znaczenia – odparłam, starając się zachować beztroski uśmiech na twarzy. – Może nie było najwygodniej, ale dało się wytrzymać. Jestem gotowa wracać do dziewcząt i pokazać im, że tak łatwo się nie damy.

– Nigdzie nie pójdziesz – odparł stanowczo. – Jedynie do domu, do łóżka. Masz tam zostać.

– Ale... dziewczęta pomyślą, że je opuściłam!

Popatrzył na mnie surowo.

– Nie rozumiesz, co powiedział sędzia? Tylko pierwsza kara jest łagodna. Jeśli znów cię aresztują za to samo przewinienie, trafisz do więzienia na dłużej. Ludzie umierają w więzieniu, Molly. Tam szaleje tyfus i inne okropne choroby. A celę będziesz dzieliła z ludźmi z marginesu – brutalnymi i pozbawionymi skrupułów kryminalistami. Na to nie pozwolę. Jeśli to będzie konieczne, zamknę cię w pokoju i zabiorę klucz.

– Nie powstrzymasz mnie – odparłam.

Jacob zaczął krzyczeć:

– Molly, chyba o czymś zapominasz! To nawet nie jest twoja walka. Wykazałaś się odwagą, pomagając tym dziewczętom, ale nie jesteś przecież jedną z nich.

– No proszę! A ty co? Jesteś może szwaczką? – zapytałam. – Mnie nie nabierzesz.

– Pomagam im, bo mam wiedzę i doświadczenie. Poza tym reprezentuję związki zawodowe. Tak przy okazji, zapłaciłem za ciebie grzywnę.

– Niepotrzebnie. Nie chcę jałmużny. – Byłam naprawdę zła.

– Nie z własnych pieniędzy. Mamy specjalny fundusz na pomoc strajkującym, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji.

– W takim razie zostaw te pieniądze na pomoc prawdziwym robotnikom. Sam przecież twierdzisz, że do nich nie należę.

– Rozumiem, że w swojej pracy zarabiasz miliony.

Nie potrafiłam na to szybko odpowiedzieć.

– Molly – rzekł spokojnie. – Nie bądź uparta. Podziwiam cię za to, że traktujesz problemy tych dziewcząt jak swoje własne. Mówiłem już, że jestem pod wrażeniem. Najwyraźniej noc w więzieniu to dla ciebie pestka, a jedyną niewygodą jest złamany paznokieć. Ale jeśli chodzi o zdrowy rozsądek... – Pokręcił głową, a ja musiałam się roześmiać.

– Chodź. – Wziął mnie za rękę. – Są rzeczy ważne i ważniejsze. Zjesz teraz porządne śniadanie, a potem zaprowadzę cię do domu.

Uśmiechnęłam się speszona.

– Skoro o tym mowa, w pierwszej kolejności muszę znaleźć publiczną toaletę. Nie byłam w stanie skorzystać z tego kubła w celi.

Jacob zaśmiał się i poprowadził mnie przez ulicę do parku, gdzie z ulgą zobaczyłam ubikację w pawilonie z ozdobami z kutego żelaza. A potem dałam się powieść na Broadway, z dala od sądu i szwalni Lowensteina.

– A co z pozostałymi dziewczętami? Wiesz, co się z nimi stało? A ty? Wypuścili cię wczoraj wieczorem?

– Te trzy dziewczyny wyszły jedynie z upomnieniem. A ja, tak jak ty, przesiedziałam całą noc w więzieniu.

– To niesprawiedliwe, Jacobie. Przecież ty nic nie zrobiłeś. Ja przynajmniej rzeczywiście uderzyłam tamtego łobuza.

Wzruszył ramionami

– Do wszystkiego już się przyzwyczałem.

– Myślisz, że tym łajdakom udało się pod naszą nieobecność zastraszyć dziewczęta?

– Pewnie niedługo się dowiemy – powiedział. – Myślę, że wczoraj wieczorem po prostu nas ostrzegali. Chcieli nam pokazać, że jeśli nie przestaniemy, potrafią być brutalni.

– To jeszcze jeden powód, żeby tam wrócić i pomóc.

Stanęliśmy przy krawężniku, by przepuścić wóz z mlekiem. Bańki i końska uprząż dzwoniły wesoło.

– Drugi raz nie będziemy przez to wszystko przechodzić. – Wziął mnie pod ramię i poprowadził na prawo, do kawiarenki.

Posadził przy stole przykrytym ceratą i zamówił kawę oraz słodkie rogaliki. Byliśmy bardzo głodni i w ciszy zjedliśmy wszystko aż do ostatniego okruszka.

– Chcesz więcej? – zapytał.

Potrząsnęłam głową.

– Wystarczy na początek dnia, jak mawiała moja matka. Nabrałam sił i jestem w stanie znów wyruszyć na podbój świata.

– Dobrze. Proponuję układ – powiedział Jacob. – Odwiedzimy dziewczęta. Niech zobaczą, że spędziłaś noc w więzieniu, ale jesteś w dobrej formie. To powinno podnieść je na duchu. Potem odprowadzę cię do domu, z którego już się nie ruszysz. Zgoda?

– Sprawiasz delikatne wrażenie, ale potrafisz być stanowczy – odparłam.

Uśmiechnął się.

– Potrafię być stanowczy, jeśli zależy mi na kimś albo na czymś.

W pełnej zrozumienia ciszy maszerowaliśmy ramię w ramię.

– Jacob?

Podniósł głowę.

– Myślisz, że można jakoś sprawdzić, czy Michael Kelly związał się z Eastmansami?

– Prosto do domu – zaordynował. – Nie idziemy pod szwalnię.

Gdy tylko moja głowa dotknęła poduszki, zapadłam w głęboki sen. Straciłam rachubę czasu. Obudziło mnie energiczne walenie młotkiem w ścianę domu. Wynurzyłam się ze snu jak nurek z wody. Dobłą chwilę leżałam, przypominając sobie, gdzie jestem i dlaczego znajduję się w łóżku w środku dnia, a słońce czerwonymi promieniami oświetla mi twarz. Potem uprzytomniłam sobie, że to nie jest walenie młotkiem, ale pukanie do drzwi wejściowych.

– Już idę – usłyszałam głos Seamusa.

Otworzył drzwi. Z dołu doszły mnie teraz dwa męskie głosy, więc usiadłam na łóżku, przerażona, że to policja przyszła mnie aresztować albo, co gorsza, Eastmansi dowiedzieli się, gdzie mieszkam. Potem usłyszałam na schodach szybkie kroki. Wyskoczyłam z łóżka i chwyciłam szlafrok. Kiedy drzwi stanęły otworem, nie zdążyłam go jeszcze zawiązać.

– Jak pan śmie wchodzić do sypialni kobiety... – zaczęłam, ale po chwili otworzyłam oczy ze zdumienia. – Jacob! Co tu robisz? Tylko nie mów, że ci z gangu zastraszyli nasze dziewczęta.

Jacob uśmiechał się od ucha do ucha.

– Musiałem natychmiast przyjść i przynieść ci dobre wieści, Molly. Wygraliśmy!

Wziął mnie za ręce i zatańczył w koło.

– Przyszedł pan Lowenstein i powiedział dziewczętom, że zgadza się na ich warunki. Zapłaci sześć dolarów tygodniowo, tak jak w pozostałych fabrykach, a w piątki i soboty będą kończyć pracę o szóstej, żeby zdążyć na szabat. Obiecał też lepsze ogrzewanie i więcej światła. Dziewczęta wracają do pracy w poniedziałek rano. Stał się cud!

– Rzeczywiście – powiedziałam.

Byłam zadowolona, ale bardziej sceptyczna niż Jacob. On nie wiedział o moich konszachtach z Mostelem. Jeśli Lowenstein dostał informację, że we wtorek będzie miał projekty konkurencji, w poniedziałek jego szwaczki powinny już pracować na pełnych obrotach. Poza tym łatwo obiecać dodatkowego dolara tygodniowo, a potem odebrać go sobie w różnych opłatach i karach. A co do światła i ogrzewania – może to być jedynie wabik na tródkę, by szybciej wróciła do zagrody.

Ale i tak wiadomość bardzo mnie ucieszyła. Dziewczęta znów będą miały pracę. Lowenstein zacznie kopiować projekty Mostela, a ja złapię wreszcie szpiega, odbiorę wynagrodzenie i już nie będę musiała wstawiać bladym świtem.

– Ubieraj się – powiedział Jacob z zadyszka po tańcu. – Dzisiaj wieczorem będziemy świętować w siedzibie naszych związków. To nie jest tylko zwycięstwo szwaczek, ale nas wszystkich. W pewnym sensie pokazaliśmy światu, że potrafimy strajkować i zwyciężać. Następnym razem możemy działać w imieniu całego przemysłu.

– Skoro mam się przebrać, zejdź i poczekaj na dole – poprosiłam, wypychając go z pokoju. – Nie

wiem, czy znajdziesz dobrą partię, jeśli twoja swatka się dowie, że bywasz w kobiecych buduarach.

– Chyba już sam znalazłem sobie dobrą partię. I to bez pomocy swatki. – Obrzucił mnie szybkim spojrzeniem i zamknął za sobą drzwi.

Stałam, patrząc za nim, a serce łomotało mi w piersi. Co czuję do Jacoba Singera? Nie byłam pewna. Z pewnością go lubię, podziwiam i podoba mi się to, że o mnie dba. Ale wychodzić za niego za mąż? Nie brałam nigdy pod uwagę małżeństwa z kimś innym niż Daniel. Może wreszcie nadeszła pora, by zmienić zdanie i porzucić mrzonki o ślubie z przystojnym kapitanem?

W siedzibie związków żydowskich zebrał się już niezły tłum. Już na ulicy słychać było muzykę. W jednym rogu siedzieli skrzypek i akordeonista; wygrywali na swoich instrumentach radosną melodię, a cały parkiet zajmowały płaszące dziewczęta. Mężczyźni stali przy ścianach, przyglądając się i klaszcząc. Kiedy melodia wybrzmiała, dziewczęta, spocone i zarumienione, zgromadziły się przy misie z ponczem.

– Molly! – krzyknęła na mój widok Rose i zaczęła przedzierać się przez tłum. – Słyszałaś? Czy to nie cudowne? To wszystko dzięki tobie!

– Dzięki mnie? Przecież działałyśmy wspólnie.

– Ale to ty postawiłaś się tym łobuzom. Dzięki tobie ten wielki bandzior wyszedł na głupka, a pan Lowenstein jeszcze raz przemyślał sprawę.

– W takim razie cieszę się, że mogłam pomóc.

Wzięła mnie pod rękę.

– Chodź, spróbujesz gołąbków mojej mamy. To najlepsze gołąbki poza granicami Warszawy. Tak mówi mama. Czy w więzieniu było bardzo strasznie?

– Mogło być gorzej – odparłam. – Jakoś żyję, jak widzisz.

– Wszyscy jesteśmy z ciebie tacy dumni! – Wzięła talerz i zaczęła na niego nakładać faszerowaną kapustę.

– Wystarczy – powiedziałam. – Zostaw trochę dla innych.

– Popatrz tylko, ile mamy jedzenia! To prawdziwa uczta. Każdy coś przyniósł. Włoszki spaghetti, a Niemki kluski ziemniaczane i naleśniki. To jest jak podróż dookoła świata.

Jadłyśmy, piłyśmy i tańczyłyśmy.

– Ten młody człowiek w kaszkiecie bardzo ci się przygląda, Rose – szepnęłam w pewnym momencie. – Dlaczego nie zaprosisz go do tańca?

– Poprosić go do tańca? – Spojrzała na mnie z przerażeniem, ale też z radością. – Gdyby ojciec się dowiedział, że tańczyłam z mężczyzną, natychmiast wyrzuciłby mnie z domu. Wyparłby się takiej córki.

– Ale w Ameryce dziewczęta i chłopcy tańczą ze sobą. Co w tym złego?

Pokręciła głową.

– Żydówki nie – zaprotestowała. – Ani Żydzi.

– No to poczekaj. – Zaczęłam się przedzierać przez tłum do Jacoba. – Chciałabym cię prosić do tańca

– powiedziałam.

Minę miał trochę nietęgą.

– Co? Nie jestem dla ciebie dość atrakcyjna? A może boisz się, że swatka się dowie?

Zaśmiał się, a potem niezgrabnie objął mnie w talii i skinął głową w stronę muzyków, którzy zaczęli grać kolejną skoczną melodię.

– Umiesz tańczyć polkę? – zapytał.

– Nie, ale szybko się uczę – odparłam.

Zaczelismy pisać po parkiecie. Mimo że muzyka grała dość głośno, wyraźnie usłyszałam zbiorowe westchnienie żydowskich i chyba włoskich dziewcząt. Ale po chwili zauważyłam, że jeden z mężczyzn opuszcza swoje stanowisko przy ścianie i prosi którąś z nich do tańca. Wkrótce na parkiecie były już trzy lub cztery pary, ale widziałam również, że niektóre dziewczęta nieśmiało umykają, inne zaś odmawiają. Byli i tacy, co przyglądali się nam z jawną dezaprobatą.

– Widzę, że starsze kobiety patrzą na nas, jakbyśmy robili coś bardzo nieprzyzwoitego – szepnęłam.

– Bo w ich oczach to właśnie robimy – odparł także szeptem. – Młody mężczyzna nie może dotykać kobiety ani ona jego. A Żyd i chrześcijanka! To dopiero... Aj-waj.

– Jak długo jeszcze tak będzie? – zapytałam.

– Jedno pokolenie przynajmniej. A może nawet więcej – odparł. – Nie wszyscy myślą tak jak my. Mówi się, że żyjemy tutaj jak w tyglu, wielkim garnku, w którym mieszają się różne gatunki warzyw. Najwyraźniej smaki jeszcze się nie przegryzły.

– Czyli uważają nas za strasznych grzeszników?

– Obawiam się, że tak, ale co z tego? – Objął mnie mocniej i parę razy zakręcił piruet, coraz szybciej i szybciej.

W końcu wszyscy poczuliśmy zmęczenie. Dziewczęta strajkowały od wczesnego ranka i po prostu padały z nóg. Powoli zaczęły się rozchodzić. Zauważyłam, że Jacob ledwie patrzy na oczy, i uświadomiłam sobie, że on, w przeciwieństwie do mnie, nie zdrzemnął się w ciągu dnia.

– Musisz wracać do domu – powiedziałam.

Nie wypuszczał z uścisku mojej ręki.

– Molly, jutro niedziela, a ja tego dnia zawsze odwiedzam rodziców.

– W porządku, przecież nie musimy się widywać codziennie.

Przełknął ślinę.

– Zastanawiałem się, czy nie poszłabyś ze mną.

W odwiedziny do rodziców? Chyba rzeczywiście ma poważne zamiary. W jego oczach dostrzegłam błaganie.

– Oczywiście, Jacobie. Z przyjemnością z tobą pójdę – odparłam, a on szeroko się uśmiechnął.

Tak więc następnego dnia szłam pod ramię z Jacobem Delancey Street. W niedzielę tętniło tu życie – domokrażcy, uliczni grajkowie, grupki dzieci bawiące się w berka. Na końcu ulicy wyłaniał się nowy most nad East River. Swoimi metalowymi ramionami sięgał aż do Brooklynu. Liny były przeciągnięte na drugi brzeg, ale drogi jeszcze nie zbudowano, więc w porannym słońcu most wyglądał jak ogromna pajęczyna.

– Na tej ulicy już i tak jest wystarczający ruch – zauważył Jacob. – Nie wiem, co się stanie, jak dojdą powozy i piesi z Williamsburga. To miasto pęka w szwach. Powinniśmy zamknąć bramki i pilnować, by nikt więcej nie dostał się do środka.

Spojrzałam zdziwiona, ale Jacob się śmiał. Ucieszyłam się, że jest zrelaksowany i w dobrym humorze. Ja się denerwowałam. Byłam przejęta wizytą u jego rodziców.

– Nie wiedzą, że przyjdę, prawda?

– Nie wiedzą, ale nie martw się. Będą tobą zachwyceni.

– Obawiam się, że nie będą zachwyceni irlandzką katoliczką, która tak swobodnie zachowuje się w towarzystwie ich syna.

– Lubią poznawać nowych ludzi. Mama prawie nie wychodzi z domu, bo nie czuje się pewnie w nowym kraju. Zobaczysz, że będzie zadowolona. Ucieszą się, że ich syn jest szczęśliwy, że spotyka się z miłymi dziewczętami.

– Spotyka się z dziewczynami bez udziału swatki – przypomniałam mu.

– Mieszkamy w Ameryce, będą musieli to zaakceptować – odparł. – Chodź, nie denerwuj się. Wiesz, jak moja mama świetnie gotuje?

Mieszkanie państwa Singerów znajdowało się w porządnym budynku z cegły, na czwartym piętrze. Drzwi otworzył drobny, pochylony mężczyzna i zamarł, kiedy zobaczył mnie u boku Jacoba.

– Witaj, tato, przyprowadziłem przyjaciółkę – powiedział Jacob. – Pannę Molly Murphy. Molly, to mój tata, Itzik Singer.

Gospodarz stuknął obcasami i lekko się uklonił, w taki sam sposób, jak zrobił to Jacob, kiedy się poznaliśmy.

– Miło mi pana poznać – wydusiłam wreszcie.

– Proszę, wejdźcie.

Skłonił się elegancko i zaprosił mnie do środka. Pokój urządzone skromnie, w oknach nie było firanek, a zwykłą drewnianą podłogę przykrywał dywan. Pośrodku stał prosty stół, a przy nim zwyczajne krzesła. Ale na stole leżał biały obrus i eleganckie sztucce. Ojciec Jacoba powiedział coś w jidysz i z kuchni wyszła kobieta. Starannie wytarła ręce w fartuch. Przypuszczam, że była młodsza, niż można było pomyśleć. Na pomarszczonej twarzy miała wypisane wieczne zmartwienie. Nie widziałam koloru włosów, bo zasłaniała je starannie zawiązana pod brodą chustka. Na mój widok zatrzymała się i otworzyła usta. Trudno powiedzieć, czy zrobiła to z przerażenia, czy ze zdziwienia.

– Witaj, mamó. – Jacob podszedł do matki i pocałował ją w policzek. – Przyprowadziłem przyjaciółkę

na obiad.

Szybko przeszli na jidysz, a potem zauważyłam, że mama Jacoba popatruje w moją stronę, a nawet zdobywa się na lekki uśmiech.

– Proszę – powiedziała i wskazała ręką najlepsze krzesło. – Przepraszam, ale nie mówię dobrze po angielsku.

– Czy mogę pani jakoś pomóc w kuchni? – zaproponowałam.

– Nie, lepiej nie – odparł za matkę Jacob. – Po prostu usiądź i czuj się swobodnie. Tato, zostało trochę wina, które przyniosłem wam zeszłym razem?

– Wino? Teraz? Przed posiłkiem? Dobrze, przyniosę wino.

Po chwili wrócił z butelką i kieliszkami na srebrnej tacy.

– Cóż za piękna taca! – powiedziałam.

– Ze Starego Kraju. Wiele rzeczy musieliśmy tam zostawić.

– Rodzice są tu od niedawna – dodał Jacob.

– Syn przysłał nam pieniądze na podróż statkiem – zaznaczył z dumą pan Singer. – Żona jest bardzo nieśmiała. Jeszcze nie umie mówić po angielsku. Proszę wybaczyć.

– Nie ma za co przepraszać – zauważyłam. – Po prostu muszę się zacząć uczyć jidysz.

Znowu popatrzył na mnie ze zdziwieniem, po czym wybuchnął śmiechem.

– Nauczyć się jidysz! A to dobre!

Mama Jacoba wyjrzała z kuchni z ciekawioną, a mąż najwyraźniej powtórzył jej moją wypowiedź. Domyśliłam się tego z wyrazu twarzy pani Singer.

– Usiądź z nami, mamó – poprosił Jacob. – Napij się wina.

Zawahała się, ale po chwili przycupnęła na skraju najbliższego krzesła i wzięła kieliszek, który podał jej syn.

Podniosłam swój.

– Jak się wznosi toast w jidysz? – spytałam.

– Lechaim – odparł Jacob, a kiedy wymówiłam to słowo, z aprobatą pokiwał głową.

Pociągnęłam łyk. Wino było czerwone, słodkie i bardzo smaczne.

– Dobrze – pochwaliłam.

Mama Jacoba o coś zapytała.

– Mama pyta, skąd jesteś. Powiedziałem, że z Irlandii – przetłumaczył Jacob.

Wyraz jej twarzy wskazywał na to, że Irlandia musi być chyba na Księżycu. Potem powiedziała coś, co sprawiło, że Jacob się uśmiechnął.

– Pyta, czy w Irlandii są jacyś Żydzi – powtórzył.

– Są, ale ja do nich nie należę – odparłam, co Jacob natychmiast przetłumaczył.

Tak myślałam – mówiła mina jego matki.

Nagle pani Singer podskoczyła i zniknęła w kuchni. Parę minut później zasiedliśmy do stołu, na którym pojawił się talerz z rybą i misa kartofli. Nałożyłam sobie skromną porcję, żeby nie wyjść na osobę łapczywą, i na wszelki wypadek czekałam na modlitwę. Na szczęście miałam dobre przeczucie. Ojciec Jacoba powiedział parę słów po hebrajsku, a następnie wziął do ręki widelec.

– Mama robi najlepsze ziemniaki z kwaśną śmietaną na świecie. Dobre, prawda? – zapytał Jacob.

– Bardzo. A ryba to śledź, tak? W domu jadaliśmy dużo śledzi.

Jacob przetłumaczył moje słowa i po raz pierwszy zobaczyłam na twarzy pani Singer przyjazny uśmiech.

Po daniu głównym była słodka legumina z makaronu, herbata i miodownik, a potem mama Jacoba wstała i znów zniknęła w kuchni.

– Chętnie pomogę w zmywaniu – zaproponowałam. – Znam się dobrze na pracach domowych.

Uniosła ręce w geście odmowy.

– Proszę mi pozwolić – nalegałam, zbierając naczynia i wkładając je do najbliższego zlewu.

Krzyknęła przerażona i natychmiast do kuchni przybiegł Jacob.

– Co ja takiego zrobiłam? Nic nie zbiję, obiecuję – zapewniłam.

Jacob powiedział coś spokojnie do matki, a potem uśmiechnął się niewyraźnie.

– Włożyłaś naczynia po mleku do zlewu mięsnego.

Dopiero teraz zauważyłam, że w kuchni są dwa zlewy, a przy nich dwie sterty naczyń na półkach.

– Macie dwa zlewy?

Przytaknęła.

– Tak. Nigdy nie łączymy nabiału z mięsem. Mamy osobne ścierki i myjki do naczyń. To jedna z tych szalonych zasad dotyczących jedzenia. Niejedyna zresztą.

– Przepraszam. Nie miałam pojęcia.

– A skąd niby miałaś to wiedzieć? – odparł. – Nie przejmuj się.

– Ale twoja mama się przejmuje – zauważyłam, patrząc na zmartwioną twarz pani Singer.

Jacob wzruszył ramionami.

– Będą musieli odnowić koszerność kuchni. Na świecie zdarzają się gorsze rzeczy. Jest zbyt wiele zwyczajów religijnych, które przywieźliśmy ze Starego Kraju, a które tutaj się nie sprawdzają. Pewnego dnia wszyscy o nich zapomną.

Machnął lekceważąco ręką, ale ja bardzo się przejęłam. Może Jacob traktował niektóre zwyczaje z przymrużeniem oka, jednak widziałam wyraźnie, że jego rodzice tak łatwo o nich nie zapomną.

– Bardzo przepraszam – zwróciłam się do mamy Jacoba. – Chciałam pomóc. Nie wiedziałam.

Uśmiechnęła się z trudem.

– *Ist nichts.*

– Nie myśl już o tym. – Jacob wziął mnie pod ramię i wyprowadził z kuchni, zanim zdążyłam

ponownie zrobić coś niestosownego.

Atmosfera przy stole zdecydowanie się popsuła, więc wkrótce zaczęliśmy się żegnać.

– Pewnie nie mają teraz o mnie najlepszego zdania – powiedziałam, kiedy wyszliśmy.

– Nie przesadzaj. Zauważyli, że jesteś miła i masz dobre serce i że jesteś bardzo ładna. Myślą o tobie tak samo jak ja. Z czasem cię pokochają i uznają, że dokonałem dobrego wyboru.

– Halo, nie tak szybko. Nie sądzisz, że się trochę zagalopowaliśmy? – spytałam, śmiejąc się nerwowo.

– Przecież dopiero co mnie poznałeś.

– Niektóre rzeczy czuje się od razu.

– Ale zbyt wiele o sobie nie wiemy. Znasz mnie tylko z dobrej strony. Nie miałaś szansy zobaczyć, jak się wściekam ani jaka jestem uparta. Ja też nic o tobie nie wiem. Domyślam się tylko, że głośno chrapiesz i pewnie czasem popadasz w gorszy nastrój.

Popatrzył na mnie z uśmiechem, jakim na ogół ojcowie obdarzają dzieci.

– Obiecuję, że dla ciebie pozbędę się wszystkich swoich wad.

– Ale, Jacob...

– Molly, czy aż tak przeraża cię wizja małżeństwa? – Staął i przyjrzał mi się uważnie.

– Oczywiście, że nie. Kiedyś, w przyszłości... Mam nadzieję, że wyjdę za mąż.

– To znaczy, że małżeństwo ze mną nie spełnia twoich oczekiwań?

– Tego nie powiedziałam, Jacobie. Po prostu nie spieszy mi się tak bardzo do zamążpójścia.

– Nie chcę naciskać, Molly, ale odkąd cię ujrzałem, chcę, byś została moją żoną. Byłoby cudownie, gdybyś odwzajemniała te uczucia.

– Bardzo lubię twoje towarzystwo i uważam, że jesteś wspaniałym człowiekiem, ale nie spieszy mi się, proszę.

– Oczywiście. Zgoda. Mamy piękną niedzielę i cały dzień do dyspozycji. Nie będziemy myśleć o jutrze.

Wziął mnie pod ramię i poszliśmy przed siebie. Trudno mi było cieszyć się wolnym dniem i rozkoszować spacerem w promieniach słońca, kiedy miałam świadomość, że powinnam robić tyle innych rzeczy. Przede wszystkim muszę się dowiedzieć, czy Michael Kelly rzeczywiście żyje. Trzeba również trzymać rękę na pulsie, jeśli chodzi o Bena Mostela i jego rozrzutny styl życia. Ale potem odetchnęłam głęboko, rozluźniłam się i odsunęłam myśli o pracy na bok. Chociaż raz wszystko może poczekać do jutra.

W poniedziałek rano dołączyłam do grupki dziewcząt czekających przed szwalnią Lowensteina. Panował tu uroczysty nastrój. Niektóre prawdopodobnie święcie wierzyły, że gdy zejda na dół, zastaną jasne, piękne i dobrze ogrzane stanowiska pracy. Był wyjątkowo mroźny poranek, chodniki pokrywał szron, a od strony East River wiał przenikliwy wiatr. Całe szczęście – pomyślałam – że w zeszłym tygodniu nie było takiej pogody. Nie dałybyśmy rady wytrzymać aż czterech dni.

Katz pojawił się tuż przed siódmą i wymachując kluczem, poprowadził nas schodami na dół.

– Powinnyście być wdzięczne, że wasz szef jest taki łaskawy – powiedział. – To cud, że tu jeszcze pracujecie. Na jego miejscu większość z was natychmiast bym wyrzucił.

Potem stanął w drzwiach i uważnie przyglądał się każdej wchodzącej dziewczynie. Kiedy nadeszła moja kolej, wyciągnął rękę i nie pozwolił mi wejść do sali.

– Ty nie. Same z tobą problemy.

– To niesprawiedliwe. Musicie przyjąć Molly do pracy – zaczęły protestować dziewczęta.

Miło to było słyszeć, ale one nie wiedziały, jak bardzo się cieszę, że sprawy przybrały taki obrót.

– W porządku – oznajmiłam, a potem zwróciłam się do koleżanek. – Nie martwcie się o mnie. Poradzę sobie. Nie ma sensu robić zamieszania. Poszukam lepszego zajęcia.

Rose utorowała sobie drogę przez tłum i stanęła obok mnie.

– Nie, Molly, to nie jest w porządku. – Wspięła się na palce i popatrzyła Katzowi prosto w oczy. – Jeśli nie pozwolicie jej wrócić, znów zastrajkujemy.

– Rose, proszę. Dziewczęta mają ciebie, poradzicie sobie same. A o mnie nie musisz się martwić.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem, ale uśmiechnęłam się do niej i dodałam:

– Naprawdę. Mam tysiąc planów. Pilnuj tylko, żeby ten łobuz Katz dotrzymał słowa. Pamiętaj, do czego zobowiązał się Lowenstein, więc niech od razu zainstalują oświetlenie i ogrzewanie.

Pochyliłam się i ucałowałam ją w policzek.

– Będę z wami w kontakcie – powiedziałam. – Przyjdę kiedyś w porze lunchu do Samuela i opowiemie mi wszystkie nowiny.

Spojrzałam wyniośle na Katza i minęłam dziewczyny czekające na schodach przed wejściem do sali. Byłam wolna i czułam się wspaniale! Na dodatek mogłam teraz spokojnie wrócić do Mostela, powiedzieć mu, co się stało, i przystąpić do pracy. W ten sposób będę mieć na oku jego synalka i każdego, kto odważy się myszkować w biurze w poszukiwaniu nowych projektów. Postanowiłam jednocześnie popytać o Katherine. Idealnie się składa! Radosnym krokiem pomaszero wałam Essex Street.

Parę godzin później siedziałam już u Mostela. Tutejsze warunki pracy również pozostawiały wiele do życzenia. Było zimno i wilgotno, a wielkie pomieszczenie ogrzewały tylko dwa małe piecyki olejowe

umieszczone przy drzwiach.

– Nie wiem, czemu szef jest taki dobry i zgodził się przyjąć cię z powrotem – zauważył Obłeśny Sam, patrząc na mnie z obrzydzeniem. – Najpierw sobie idziesz, a potem wracasz jak gdyby nigdy nic.

– Nie twoja sprawa – odparłam, obrzucając go równie nieprzyjemnym spojrzeniem.

Szybko go minęłam i zajęłam swoje dawne miejsce obok Sadie. Była zdziwiona, ale wyraźnie ucieszyła się na mój widok.

– Jakim cudem przyjęli cię z powrotem? – szepnęła.

– Mój wujek oddał kiedyś szefowi przysługę. Staram się, by Mostel o tym nigdy nie zapomniał – powiedziałam.

Chwilę później pojawił się właściciel we własnej osobie.

– Całą sobotę i niedzielę pracowałem nad nową kolekcją, dziewczęta – zawołał, machając nam teczką przed nosem. – To będzie przebój. Stroje rozejdą się jak ciepłe bułeczki. Naniosę tylko parę poprawek, a potem zrobię wzory i praca ruszy pełną parą.

Podczas przerwy, kiedy schodziłyśmy na dół, dziewczęta zameczały mnie pytaniami.

– Jakim cudem cię przyjął? Nigdy tak nie robi – zauważyła Gołda.

– A gdzie w ogóle się podziewałaś? – zapytała Sadie.

– Miałam pewne sprawy do załatwienia – odparłam wymijająco. – Teraz już mam je za sobą i powinnam znowu zacząć zarabiać.

– Wiem, gdzie byłaś. – Mała Sara spojrzała na mnie konspiracyjnie. – Pracowałaś u Lowensteina. Nawet wiem dlaczego.

– Wiesz? – Chyba było widać, że się zdenerwowałam.

– Oczywiście. Nie jesteś tak naprawdę jedną z nas – ciągnęła dalej, stojąc już na chodniku i uśmiechając się do mnie, zadowolona, że choć przez chwilę jest w centrum uwagi.

Zupełnie odjęło mi mowę.

– Co masz na myśli? – zapytałam w końcu.

– Słyszałam o strajku – powiedziała triumfalnie. – Wszyscy o tym mówią. Słyszałam, że zostałaś oddelegowana do pomocy szwaczkom. Tak naprawdę pracujesz w Lidze Kobiet. Mam rację?

– Niezupełnie – odparłam z ulgą. – Ale rzeczywiście pomagałam zorganizować strajk. To prawda.

– Widzicie? A nie mówiłam? – Sara naprawdę była z siebie dumna.

Dziewczęta podeszły jeszcze bliżej.

– Pomagałaś organizować strajk? Czy szwaczki u Lowensteina postawiły na swoim?

– Tak. Wróciły dzisiaj do pracy w lepszych warunkach i z lepszym wynagrodzeniem.

– I dlatego jesteś tutaj? Chcesz to samo zrobić dla nas? – zapytała Sadie, wyraźnie zaintrygowana.

– Jestem tutaj, bo potrzebuję pieniędzy.

– Akurat... – Sadie mrugnęła do mnie porozumiewawczo.

– Powiedz nam, jak mogłybyśmy zastrajkować – poprosiła jedna z dziewcząt, ciągnąc mnie za rękaw. To była Gina, śliczna Włoszka, która kiedyś bardzo się martwiła, gdy Obłeśny Sam wyrzucił Paulę.

– My i strajk? A dlaczego miałybyśmy strajkować? – zapytała jedna ze starszych kobiet. – Mamy tu dobrze. Sześć dolarów tygodniowo i żadnych kłopotów.

– Dobrze? Ty to wszystko nazywasz „dobrze”? – zdenerwowała się Gina. – Traktują nas byle jak. Dobrze wiesz. Nadszedł czas, żeby pokazać Obłeśnemu Samowi i Mostelowi, że nie rządzą światem.

– To nie jest dobry moment, żeby strajkować – powiedziałam pospiesznie. – Pan Mostel jeszcze w tym tygodniu chce zacząć prace nad nowymi projektami.

– A kiedy będzie lepszy moment niż teraz? – zapytała Gina. – Ubrania muszą trafić do sklepów przed świętami. On zrobi wszystko, żebyśmy tylko nie przestały pracować.

– Równie dobrze może nas zwolnić i zatrudnić nowe dziewczęta – odparłam. – Lowenstein groził, że to zrobi. Nie wiem, czemu się poddał tak szybko.

Dziewczęta patrzyły na mnie rozczarowane.

– Uważasz, że nie powinniśmy strajkować? – zapytała któraś. – Myślisz, że jesteśmy tu szczęśliwe?

– Oczywiście, że nie – odparłam szybko. – I wcale nie uważam, że nie powinniście strajkować. Ale musicie być świadome zagrożeń. To nie takie proste, jak się wydaje. Trzeba mieć poparcie związków żydowskich i szwaczek z innych zakładów. Inaczej dadzą wam w kość.

– Dadzą nam w kość? To znaczy zabiją? – zapytała z przerażeniem jedna z Włosek.

Zaśmiałam się.

– Nie. Ale będą was straszyć. Na nas posłano bandę łobuzów z gangu i kiedy próbowałyśmy się bronić, kilka protestujących dziewcząt zostało zatrzymanych za zakłócanie porządku.

– Siedziałaś w więzieniu? Aj-waj!

Popatrzyłam na zgromadzone kobiety.

– W porządku. Jeśli rzeczywiście chcecie strajkować, musicie najpierw wstąpić do związku. Wybierzcie przedstawicielki, które będą w waszym imieniu chodziły na zebrania i dowiedzą się, jak bezpiecznie protestować.

– Już kiedyś jedna dziewczyna nas do tego namawiała, pamiętacie? – zapytała Gołda. – Miała na imię Kathy.

– A tak, Kathy – powtarzały sobie jej imię.

– Kathy? – zapytałam. – Amerykanka?

– Nie, Angielka. Też mówiła tak śmiesznie jak ty – odparła jedna z dziewczyn.

– Była odważna. Stawiała się Samowi. Nic nie mógł jej zrobić.

– Co się z nią stało? – zapytałam.

Dziewczęta popatrzyły po sobie.

– Nie wiemy – odezwała się w końcu Gołda. – Pewnego dnia została wywołana przez kogoś na

zewnątrz, niby tylko na chwilę, ale potem już nie wróciła.

– Pytałyśmy Sama, co się z nią stało, ale on też nie wiedział – dodała inna.

– Ktoś po nią przyszedł? Kto wywołał ją z sali?

Wzruszyły ramionami.

– Nie wolno nam się odrywać od pracy, więc nie patrzyłyśmy – wyjaśniła Sadie. – Wiesz przecież, że Sam potrafi karać za byle co.

– Ja siedziałam tuż przy drzwiach – odezwała się nagle rudowłosa Ida. – Słyszałam, że pyta się kogoś: „Co ty tutaj robisz?”.

– Nie widziałaś, do kogo to mówiła?

– Nie. Tylko po chwili wszedł do środka syn pana Mostela.

– Dobra, wystarczy – powiedziała głośno Sadie. – Kathy nie ma. Nie wróci do nas, choćbyśmy nie wiem ile gadały. Chodźmy coś zjeść. Jak się spóźnimy, Sam z przyjemnością znów nam potrafi z wypłaty.

Trudno się było z tym nie zgodzić, więc poszłyśmy do małej kawiarenki, gdzie część dziewcząt kupiła tylko gorącą kawę, by popić nią kanapkę przyniesioną z domu, a kilka wysupłało po pięć centów na zestaw dnia. Dołączyłam do tej drugiej grupki i zjadłam miskę gulaszu, który musiał być chyba przyrządzony ze strasznie starego bawołu. Żując chrząstki, starałam się również przetrawić wszystko, co przed chwilą usłyszałam. Czyli Katherine zniknęła tak po prostu w środku dnia. Ktoś poprosił, by na chwilę wyszła z sali. Ktoś, kogo znała. A co ciekawsze, Ben Mostel wszedł do szwalni zaraz potem, jak zniknęła Katherine.

Jeśli Michael Kelly żyje, pewnie potrafi opowiedzieć historię od tego momentu. Wyjaśnić, co się później stało z Katherine. Jeśli rzeczywiście należy do Eastmansów, będzie wszystko wiedział, bo członkowie gangu są zawsze najlepiej poinformowani. Tak więc priorytetem jest odnalezienie Michaela Kelly’ego. Niezbyt łatwe zadanie, zważywszy na to, że nie chciałam pójść w ślady Nell Blankenship. Może nadszedł wreszcie czas, by zapomnieć o dumie i poprosić o pomoc Daniela?

Tego wieczoru, kiedy wróciłam do domu, wzięłam papier i pióro i napisałam, co następuje:

Drogi Danielu!

Byłam świadkiem nieprzyjemnego zdarzenia podczas strajku szwaczek w zeszły piątek. Wydaje mi się, że wśród osób, które zakłócały przebieg pikiety, byli członkowie gangu Eastmansów. Jeden z mężczyzn wyglądem bardzo przypominał Michaela Kelly’ego. Ponieważ nie wolno mi angażować się w żadne nierozsądne poszukiwania na własną rękę, pomyślałam sobie, że może Ty mógłbyś sprawdzić, czy Michael Kelly rzeczywiście jest ciągle wśród żywych.

Pozdrawiam

M. Murphy

We wtorek z wielką niecierpliwością szłam do pracy. To właśnie dzisiaj Mostel miał przynieść

projekty. Ktoś może próbować je pożyczyć, ukraść albo skopiować. Gdyby tą osobą był Ben, wcale nie musiałby tego robić w biurze. Łatwiej byłoby mu zerknąć na rysunki w domu, w gabinecie ojca, chyba że papcio trzyma je tam pod kluczem.

Usiadłam przy maszynie, raz po raz zerkając na drzwi. Wreszcie Mostel się pojawił.

– Proszę bardzo, nowe projekty – powiedział, uderzając palcami w teczkę. – Gotowe i skończone, tak jak obiecałem. Muszę przyznać, że są wyjątkowe. Bardzo eleganckie. Powinnyście być dumne, że macie okazję nad nimi pracować.

Rozejrzał się po sali, napotykać wiele pustych spojrzeń. Część dziewcząt po prostu go nie rozumiała, a te, które znały angielski, nie okazywały wcale entuzjazmu.

Mostel uśmiechnął się zachęcająco.

– Jeśli będziecie ciężko pracować i pierwszą partię wypuścimy jeszcze w listopadzie, wszystkie dostaniecie premię. Przyda się na święta, prawda?

– Na jakie święta? Nie dostajemy ani jednego wolnego dnia podczas obchodów Chanuki – mruknęła do mnie Sadie. – Nie pracujemy w Boże Narodzenie, ale jakie to ma znaczenie dla żydowskiej rodziny?

Mostel poszedł do swojego gabinetu, ale już po chwili wrócił na dół.

– Sam, muszę na moment wyskoczyć – powiedział. – Trzeba zacząć szyć pierwsze wzory. Przekaż krawcowej, że projekty leżą w szufladzie na górze, po prawej stronie. Zrozumiałeś? Jak tylko przyjdzie, może od razu zaczynać pracę.

Pomyślałam, że trochę za bardzo udaje. Gdybym była szpiegiem, takie zachowanie dałoby mi do myślenia.

– Nowe projekty. A co one nas obchodzą? – zauważyła Sadie. – Kołnierzyk to kołnierzyk.

Nie upłynęło wiele czasu, kiedy drzwi się znów otworzyły i do środka wszedł Ben Mostel. W wysokim kapeluszu i z laseczką zakończoną srebrną kulką wyglądał jak paw w kurniku.

– Dzień dobry, dziewczęta. Ale z was ślicznotki... – powiedział, wpatrując się w kilka najładniejszych i najmłodszych i uśmiechając się do nich uwodzicielsko.

Niektóre zachichotały.

– Pana ojciec właśnie wyszedł – oznajmił Sam, widząc, że Ben kieruje się w stronę gabinetu.

– Trudno. Coś mu zostawię – odparł młody Mostel.

Natychmiast wstałam z miejsca.

– Muszę do toalety, Sam – poprosiłam. – Nie wytrzymam już dłużej.

– W porządku – odparł. – Zrobię raz wyjątek. Tylko żeby mi się to nie powtarzało.

– Dlaczego jej wolno, a mnie nie? – zapytała Sadie.

– Bo ona nie biega w tę i z powrotem, tak jak niektóre z was, z tobą na czele – odparł Sam i kiwnął głową w moją stronę. – No, idziesz czy nie?

Wybiegłam szybko z sali, jak ktoś, komu naprawdę spieszno w ustronne miejsce. Nawet otworzyłam

drzwi toalety i weszłam do środka, na wypadek gdyby Sam mnie obserwował. Po chwili uchyliłam je, spojrzałam przez szparę, czy nikogo nie ma w pobliżu, i popędziłam schodami na górę. Drzwi do gabinetu stały otworem, a Ben był tak zajęty szukaniem czegoś w jednej z szuflad, że nie usłyszał nawet moich kroków na schodach.

– Znalazł pan? – zapytałam.

Odwrócił się jak oparzony.

– Pański ojciec ciężko pracuje, by rodzina miała wszystko, czego jemu w młodości brakowało – kontynuowałam – a pan tak mu się odwdzięcza?

– Kim jesteś, u diabła, i skąd wiesz, czego szukam?

– Obserwuję pana od jakiegoś czasu – odparłam spokojnie. Nie bałam się wcale, bo byłam pewna, że jeśli zaatakuję, zdążę zbiec na dół do sali pełnej dziewcząt. – Co by powiedział pański ojciec, gdyby się dowiedział, że szpieguje pan na rzecz Lowensteina?

Bez ostrzeżenia obszedł biurko i zamknął drzwi. Zaczęłam się zastanawiać, czy w razie napaści dam radę się obronić.

– Czego chcesz? – wysyczał. – Chodzi o pieniądze? Dobrze, w takim razie ile? – Sięgnął do portfela.

Już nie czułam się tak odważna jak przed chwilą, ale pomyślałam, że jeśli zacznie być agresywny, dziewczęta na dole usłyszą mój krzyk.

– Dostaję pieniądze od pańskiego ojca. To on płaci mi za śledztwo w sprawie Lowensteina, więc nie wymagam podwójnej zapłaty – odparłam.

Na twarzy Bena malowało się zdziwienie i przerażenie.

– Ojciec płaci ci za to, że mnie szpiegujesz? To znaczy, że dowiedział się o mnie i o Letycji? Możesz mu przekazać, że nie musi się martwić. To nic poważnego. Zwykła rozrywka i tyle.

Mówił bardzo szybko i cały czas rozglądał się nerwowo dookoła, jak chłopiec przyłapany na podkradaniu słodyczy.

– Co ma pan na myśli? Szpiegowanie na rzecz konkurencji to nic poważnego?

– Szpiegowanie? – Roześmiał się niepewnie. – Bez przesady, to zbyt ciężkie oskarżenie. Zabrałem dziewczynę parę razy na kolację i to wszystko. Umawiam się z wieloma kobietami.

– Tyle że ta dziewczyna ma na nazwisko Lowenstein. Dobrze pan wie, że co innego miałam na myśli. Chodzi mi o projekty pańskiego ojca. Tak przy okazji... Szukał pan nie w tej szufladzie co trzeba.

– Projekty? Jakie projekty? Nie rozumiem..

– To po co pan tu przyszedł? Jak tylko ojciec opuścił biuro. W domu trzymał je pod kluczem?

Roześmiał się, tym razem trochę swobodniej.

– Obawiam się, że nie rozumiem, co projekty ojca mają wspólnego ze mną i z Letycją.

– Czyli nie miał pan zamiaru ich skopiować i przekazać Lowensteinowi?

– Dlaczego, do diaska, miałbym to robić? Owszem, mój ojciec potrafi być denerwujący, ale nie

zamierzam doprowadzić go do ruiny.

Zauważyłam, że zaczyna się denerwować.

– Uwierzył w te brednie? Sądzi, że go oszukuję? Wiem, że nie ma o mnie najlepszego zdania, bo trochę za bardzo szastam pieniędzmi, ale powinien się dowiedzieć... to znaczy proszę mu przekazać...

Wpatrywał się we mnie jak przerażony uczeń.

– Tak więc mówi pan, że nie przyszedł tu po to, by wyciągnąć od ojca nowe projekty?

– Nic nie wiem na temat nowych projektów. Ku jego zmartwieniu nie jestem zainteresowany sprawami firmy.

– To co pan robił przy biurku? – zapytałam.

Oblał się rumieńcem.

– Skoro musisz wiedzieć... W tej szufladzie trzyma swoją książeczkę czekową. Chciałem... no, chciałem... pożyczyć sobie jeden czek.

Pomyślałam, że jeśli udaje, mógłby z powodzeniem ubiegać się o główną rolę w kolejnej sztuce Ryana O'Hare.

– Nie powiesz mi, prawda? – Uśmiechnął się triumfalnie.

– Nie, jeśli odłoży pan tę książeczkę natychmiast na miejsce.

– Dobrze. Choć pewien restaurator nie będzie zadowolony, kiedy nie zapłacę mu za dzisiejszą kolację.

Uśmiechnął się zażenowany, uchylił szufladę, a potem spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

– Mówisz, że pracujesz dla ojca, ale widziałem cię wśród dziewcząt na dole.

Wcale nie jest taki nierozgarnięty – pomyślałam.

– W takim razie nie byłabyś szczęśliwa, gdybym wyjawiał innym pracownikom, że masz konszachty z moim ojcem, prawda?

– Słusznie pan zauważył. Czy to oznacza, że dobijemy targu? Ja nie powiem pańskiemu ojcu, że szukał pan w jego gabinecie książeczki czekowej, a pan nie powie nikomu, że w rzeczywistości nie jestem wcale szwaczką.

– Umowa stoi.

Przez chwilę w milczeniu przyglądaliśmy się sobie nawzajem.

– Świetnie – odezwałam się pierwsza. – Gdyby jednak pański ojciec skarżył się, że coś zginęło mu z biurka, będę zmuszona mu powiedzieć o tym, czego byłam świadkiem.

– A jeśli któraś z dziewcząt powie, że dziwnie się zachowujesz, będę musiał zdradzić, kim naprawdę jesteś.

– Ja nigdy się dziwnie nie zachowuję – oznajmiłam, lekko się uśmiechając.

– Węsenie w biurze szefa nie jest dziwnym zachowaniem?

– Teoretycznie jestem teraz w toalecie i zaraz udam się tam z powrotem, jeśli tylko będzie pan gotowy do wyjścia.

– Nie ufasz mi?

– Ojciec twierdzi, że przysparza mu pan sporo kłopotów.

– Ojciec jest skąpym staruchem, który w ogóle nie daje mi pieniędzy. Jak mam się cieszyć życiem, skoro mnie na nic nie stać?

– Z pewnością trudno jest obyć się bez szampana i nie chodzić na wszystkie premiery – powiedziałam niewinnie, ale zrozumiał ironię i znów oblał się rumieńcem.

– Proszę mi jeszcze powiedzieć, skąd Letycja Lowenstein ma ten piękny medalion, który widziałam na jej szyi?

Zdawałam sobie sprawę, że szarżuję. Jeśli to Ben podarował Letycji naszyjnik Katherine, mógł go zdobyć po jej śmierci. Nie powinnam wykluczać, że ten próżny wyrośnięty uczeń jest tak naprawdę przebiegłym mordercą.

Tym razem rumieniec na twarzy Bena przybrał kolor intensywnie buraczany.

– A więc do tego cały czas zmierzałaś? Pewnie znasz odpowiedź, prawda?

– Być może, ale chciałabym usłyszeć pańską wersję.

Skrzywił się.

– Czy ojciec już wie? Nasłał cię, żebym przyznał się do winy?

– Być może. Jak pan poznał Katherine?

– Kogo?

– Dziewczynę, do której należy medalion. – Podeszłam do drzwi i położyłam rękę na gałce. Tak czułam się bezpiecznie. – Przecież musi pan o tym wiedzieć. Poznaliście się tutaj, w szwalni?

– Nie mam pojęcia, o kim mówisz. Wiesz, gdzie znalazłem ten medalion? Na dnie szuflady. Tutaj, w gabinecie ojca. Szukałem pieniędzy, żeby kupić Letycji jakiś prezent, ale natrafiłem na ten drobiazg i pomyślałem sobie, że ojcu nie jest potrzebny, więc go zabrałem. Pewnie się domyślałaś, prawda?

– Oczywiście – wyjąkałam. – Tak właśnie przypuszczałam.

Nie pamiętam, jak zeszałam po schodach do łazienki. Siedziałam tam przez chwilę, mając nadzieję, że zimno przywróci mi zmysły. Czyli jednak pan Mostel, ten miły mężczyzna, który udaje troskliwego ojca i zdradzonego pracodawcę, zapłacił komuś za zlikwidowanie Katherine, a może zwabił ją tutaj, do biura, i uśmiercił na miejscu? Do tej pory nie podejrzewałam, że pracuję dla kogoś tak bezwzględnego.

– Długo cię nie było – powiedział Oblesny Sam, kiedy wróciłam na swoje miejsce.

– Przepraszam, ale nie czuję się dzisiaj dobrze. – Spojrzałam na niego tak wymownie, że nie zapytał o nic więcej.

Kiedy nadeszła przerwa, zdecydowałam, że moje złe samopoczucie jest wystarczającą wymówką, by zostać na miejscu i mieć oko na wszystko, co się tutaj dzieje.

– Nie pójdziesz coś zjeść? – zapytała Sadie.

– Nie, dzisiaj nie. Jeśli nagle poczuję głód, w co i tak wątpię, to w torbie mam kawałek chleba i ser – odparłam.

– Chcesz, żebym przyniosła ci coś z baru?

– To chyba właśnie tam się wczoraj strułam. Ten gulasz...

– Był straszny – przyznała. – Nawet go nie skończyłam. Na samo wspomnienie robi mi się niedobrze. Ale mogę przynieść bulion z makaronem i bułkę. To cię wzmocni.

– Dziękuję, Sadie. Miło z twojej strony, ale naprawdę dam radę. Lepiej idź już, bo się zrobi kolejka.

Kiedy wyszła, w sali zrobiło się zupełnie cicho. Nawet Oblesny Sam zniknął. Nerwowo skubałam chleb z serem. Wcale nie kłamałam, naprawdę zbierało mi się na mdłości. Naszyjnik w szufladzie Mostela! Pewnego dnia Katherine zniknęła i już nie wróciła. A jeśli Mostel dowie się, że weszłam w tę sprawę albo że pomagałam zorganizować strajk u Lowensteina, mogę podzielić jej los.

Uciekaj póki czas – radził mi wewnętrzny głos.

Nagle usłyszałam kroki na schodach. Przerwa miała się skończyć dopiero za kwadrans, a dziewczęta na ogół nie spieszyły się z powrotem do szwalni. Do sali weszła Sadie. Policzki miała zaróżowione od zimnego wiatru.

– Znowu okropne jedzenie. Masz szczęście, że nic nie zamówiłaś. Wróciłam wcześniej, bo nie mogłam znieść tego zapachu – powiedziała. – Teraz ja muszę biec do łazienki.

Przeszła przez salę, nawet się nie zatrzymując, by zdjąć szal. Najpierw usłyszałam, jak otwiera drzwi do łazienki, ale zaraz potem odgłos skrzypiących desek podłogowych postawił mnie na nogi. Sadie najwyraźniej wspinała się po schodach do gabinetu Mostela. Oczekałam chwilę i ruszyłam za nią. Ostrożnie uchylałam drzwi, lecz w biurze nie było nikogo. Na palcach poszłam do pokoju na tyłach, gdzie pracowały krawcowe, kiedy pan Mostel przygotowywał wzory. Tutaj też było pusto. Na podłodze leżały bele materiału i manekiny o twarzach bez wyrazu.

Czy to skrzywienie było jedynie wytworem mojej wybujałej wyobraźni? Mogłam przysiąc, że słyszałam, jak ktoś idzie po schodach. Przecież Sadie nie zniknęła ot tak, po prostu! Pewnie usłyszała, że za nią idę, i teraz gdzieś się chowa; czeka, aż zejdem na dół i będzie mogła spokojnie przejrzeć projekty. Zajrzałam do szuflady. Jeśli zabrała rysunki, siedzi pewnie teraz gdzieś w kąciку i w pośpiechu kopiuje nową kolekcję. Ale teczka leżała zamknięta w szufladzie pana Mostela.

Poczułam ciarki na całym ciele. Gdzie ona jest? Nadaremno przerzuciłam bele materiałów, podejrzewając, że może ukryła się między nimi. Już miałam wracać na dół, kiedy coś przykuło moją uwagę. Drzwi od biura Mostela zawsze były otwarte i tym samym zakrywały tajemnicze przejście po lewej stronie. Kiedy zajrzałam do środka, okazało się, że są tam kolejne krótkie schody. Weszłam na górę. Po obydwu stronach piętrzyły się zwoje różnych tkanin. Pachniało stęchlizną. Co tu robi Sadie? Może, tak jak podejrzewał Mostel, podkrada teraz kilka metrów tasiemki?

Potem dobiegł mnie dziewczęcy głos.

– Czekał. Chyba coś słyszę.

Drugi głos odparł spokojnie:

– Niemożliwe. Jeszcze nie wróciły z przerwy.

Stanęłam na ostatnim schodku i spojrzałam na dwie przestraszone twarze.

– Molly – wyjąkała Sadie. – Co tu robisz?

– To ja raczej powinnam zapytać, co ty tu robisz i kto to jest – odparłam.

Przyglądałam się drugiej dziewczynie. Wyglądała jakby znajomo. Patrzyła na mnie chłodno, gotowa do ucieczki.

– Molly, proszę, tylko nas nie zdradz – poprosiła Sadie. – Nie miała dokąd pójść. Jeśli ją znajdą, zginie.

Podeszłam bliżej i pomimo słabego oświetlenia próbowałam przyjrzeć się dokładnie nieznanym.

– W porządku, Sadie. I tak powinnam sobie pójść. To nie w porządku, że tak dla mnie ryzykujesz – powiedziała dziewczyna z wyraźnym angielskim akcentem klas wyższych.

– Katherine?

Spojrzała na mnie przerażona.

– Kim jesteś? Nigdy wcześniej cię nie widziałam. Skąd znasz moje imię?

– Długa historia – odparłam. – Nie denerwuj się, jestem przyjacielem i dobrze ci życzę.

– Mówiłaś jej o mnie, Sadie? – zapytała Katherine.

– Nie, Sadie nic mi nie mówiła. Nie bój się, możesz mi zaufać. Dlaczego się tutaj ukrywasz?

– Nie miałyśmy wyboru. Ten pokój jest bardzo rzadko używany, więc pomyślałyśmy, że będę tu bezpieczna.

– Tak blisko Mostela? Co by się stało, gdyby zaczął coś podejrzewać?

– Pewnie by się zdenerwował.

– Zdenerwował? Czy to nie on próbował cię zabić?

Spojrzały na mnie, jakbym mówiła po chińsku.

– Pan Mostel? Przecież on jest taki poczciwy – powiedziała Katherine.

– To kto w takim razie?

– Jej mąż i jego okropni kumple – odparła Sadie. – Pewnego dnia zjawiała się u mnie w strasznym stanie. Nie potrafiłam wymyślić innego miejsca. Tylko ten pokój przyszedł mi do głowy. Następnego dnia przyprowadziłam ją tutaj wczesnym rankiem i odtąd przynoszę jej codziennie jedzenie.

– To dlatego zawsze pierwsza wychodziłaś z baru i tak często biegałaś do toalety?

Kiwnęła głową.

– Bardzo ryzykowne zachowanie.

– Wiem – przyznała Katherine. – Dlatego teraz powinnam stąd wyjść. Dopóki jest okazja.

– Dokąd pójdziesz? – spytała Sadie.

– Nie mam pojęcia.

– Ja mam pomysł – powiedziałam. – Nazywam się Molly Murphy. Pewnie trudno ci w to uwierzyć, ale prawda jest taka, że od jakiegoś czasu cię szukam. Znam idealne miejsce, w którym mogłabyś się ukryć. Musisz pójść na Patchin Place. To mała uliczka na tyłach Jefferson Market, w Greenwich Village. Numer dziewięć. Mieszkają tam dwie kobiety. Nazywają się Sid i Gus, ale nie pytaj, proszę, dlaczego mają tak dziwne imiona. Powiedz im, że jesteś Katherine i że Molly prosi, by cię ukryły. Przyjdę wieczorem i wtedy wszystko ci wyjaśnię.

– Jesteś pewna? – Wciąż patrzyła na mnie podejrzliwie. – Czemu to dla mnie robisz?

– Już mówiłam. Wszystko ci później wytłumaczę. Ale teraz po prostu musisz mi zaufać, Katherine. Przecież nikt chyba nie będzie cię szukał aż w Greenwich Village, prawda?

– Raczej nie.

– Więc szybko okryj się szalem i uciekaj stąd, póki czas.

Już miałyśmy sprowadzić ją po schodach, kiedy z dołu zaczęły dochodzić głosy dziewcząt. Właśnie skończyła się przerwa.

– Musimy poczekać na koniec dnia – zdecydowałam. – Razem z Sadie odciągniemy jakoś uwagę Obleśnego Sama, a ty tymczasem przemkniesz niezauważona.

– Tylko nie ryzykujcie – poprosiła Katherine.

– Nie zamierzamy – odparłam pogodnie. – Chodź, Sadie, idziemy na dół, zanim Sam potrąci nam pół pensji.

Zbiegłyśmy szybko po schodach.

– Gdzie wy dwie byłyście? – zapytał od razu.

– W łazience – powiedziałam. – Zatruliśmy się tym śmierdzącym gulaszem, który był wczoraj na obiad. Nigdy więcej nie pójdziemy do baru.

Sam tylko coś burknął.

– Zimno tu jak w psiarni – stwierdziła jedna ze szwaczek, kiedy kolejna grupka weszła po przerwie do sali. – Nie możesz trochę podkreślić tych piecyków?

– Wybuchną, jeśli to zrobię – odrzekł Sam. – Pracujcie szybciej, to się rozgrzejecie.

– Bardzo śmieszne – skomentowały dziewczęta.

Maszyny znów zaczęły hałasować. Popołudnie okropnie się wlokło. Dziewczęta klaskały i tupąły dla rozgrzewki. Sam chodził w tę i z powrotem.

– A to co? – zapytał jedną z pracownic w tylnym rzędzie. – Ten szew ma być prosty, a ty robisz jakieś zygzaki. Tylko ślepiec kupi coś takiego.

– Szyłabym prosto, gdybym nie miała zgrabiących rąk – odparła dziewczyna. – Przez szpary w oknach wieje wiatr. Cała się trzęsę. Już dłużej tego nie wytrzymam.

– Jeśli o mnie chodzi, nie ma problemu. Nie musisz tu siedzieć. Zabieraj rzeczy i wynocha.

– Chwileczkę – powiedziała Gina, wstając z miejsca. Była prawie tego samego wzrostu co Sam. Popatrzyła mu prosto w oczy. – Nie możesz jej wyrzucić tylko dlatego, że nie ogrzewacie porządnie tej budy. Ciężko jest pracować w takich warunkach.

– Już mówiłem – zlekceważył ją Sam. – Chcesz do niej dołączyć? Droga wolna.

– Tu jest za zimno, żeby ktokolwiek mógł porządnie pracować – nie ustępowała Gina. – Wstyd. Popatrz tylko. Nikt nigdy nie zamiata podłogi. Nikt nie czyści toalety. Nie ma światła, nie ma ogrzewania. Jesteśmy traktowane gorzej niż zwierzęta.

Sam, z przyklejonym do twarzy uśmiechem, wciąż opierał się niedbale o parapet.

– Już mówiłem. Jeśli się wam nie podoba, droga wolna.

– W porządku – stwierdziła Gina. – Chętnie skorzystamy z okazji.

Rozejrzała się po sali.

– Mówiłyście, że to nie jest dobry moment na strajk? Co się musi jeszcze wydarzyć? Mamy szorstkie od mrozu ręce. Chodźcie, dziewczęta, na co jeszcze czekamy? Pokażemy im!

Większość pracownic wstała ze swoich miejsc.

– Przekaż panu Mostelowi, że powinien zacząć lepiej nas traktować, jeśli chce, by jego kolekcja znalazła się niedługo w sklepach – powiedziała głośno Gina. – My wychodzimy. Dalej, dziewczęta.

Niektóre podskoczyły zadowolone, inne marudziły, patrząc po sobie ze strachem. Nie miałam wyboru. Musiałam wstać od maszyny razem z resztą dziewcząt. Kiedy wszystkie sięgałyśmy po torebki i szaliki wiszące na kołkach w ścianie, Sam przecisnął się przez tłum i stanął w drzwiach.

– Nigdzie nie pójdziecie! – wrzasnął przeraźliwie.

– Nie możesz nas zatrzymać.

– Idziecie o zakład?

Wyślizgnął się na zewnątrz i zatrzasnął za sobą drzwi. Słyszałyśmy, jak je rygluje.

– Nigdzie nie pójdziecie, dopóki nie przyprowadzę szefa! – krzyknął na odhodnym. – Posiedzicie tutaj, aż wam się zrobi ciepło.

Potem dobiegł nas odgłos jego szybkich kroków na schodach.

Niektóre dziewczęta zaczęły panikować.

– *Mein Gott*, jesteśmy w tarapatach.

– Poszedł po szefa.

– Sprowadzi policję.

– Zostaniemy bez pracy.

– Ojciec mnie wyrzuci z domu, jeśli przestanę przynosić pieniądze.

Lamentowały w kilku językach; słów nie rozumiałam, ale ich znaczenie tak.

– Nie mogą nas tu przetrzymywać wbrew naszej woli – oznajmiła Sadie, przeciskając się do drzwi. – To niezgodne z prawem. Sprawdźmy, czy da się te drzwi jakoś otworzyć.

– Nie damy rady. Słyszałaś przecież, jak je ryglował – powiedziała któraś z tłumu.

Kilka dziewcząt zaczęło napierać na drzwi.

– Muszę wydostać się na zewnątrz. Nienawidzę być zamknięta – zapiszczała drobna blondynka gdzieś ze środka tłumu.

Podbiegła do drzwi i zaczęła walić w nie pięściami.

– Wypuście mnie stąd! Wypuście! – krzyczała.

– Jako dziecko siedziała w więzieniu w Rosji, straciła rodziców – wytłumaczyła jej koleżanka. – Nic dziwnego, że jest przerażona.

– Henny, uspokój się. – Gina chwyciła dziewczynę za łokieć, ale ta natychmiast się jej wyrwała.

– Zostawcie mnie! Muszę wyjść!

Potem usłyszałam huk i zobaczyłam, jak piecyk olejowy przewraca się na podłogę. Z głośnym syknięciem płomień wdarł się na płamę rozlanego oleju, pochłaniając po drodze paprochy i skrawki materiału. Ogarnięte paniką dziewczęta rozproszyły się na wszystkie strony. Zaczęły wrzeszczeć, kiedy ogień sięgnął dalej, w głąb sali; a gdy zaczęła się palić czyjaś spódnica, hałas jeszcze bardziej się wzmógł. Niektóre dziewczęta starały się gasić ogień szalami.

– Przynieście wodę! – krzyknęła któraś.

Wszystkie od razu popędziłyśmy do łazienki. Jednak oprócz starego metalowego kubka nie znalazłyśmy nic, do czego można by nabrać wody. Któraś z nas szybko go napełniła i popędziła na dół z płonąą nadzieją, że kilkoma kroplami zdoła ugasić pożar.

– Szybko, zamoczczone materiały! – zawołałam. – Przykryjemy nim ogień i może ugasimy.

Sięgnęłyśmy po najbliższą belę wełny i spróbowałyśmy oderwać z niej kawałek, ale była za gruba, więc włożyłyśmy ją całą pod wodę, ledwo utrzymując w rękach.

Niestety, było już za późno. Płomienie, podsyczone śmieciami na podłodze, zajęły pierwszy stolik. Smar

do konserwacji maszyn sprawił, że ogień zaczął się wznosić coraz wyżej i wyżej. Cała przestrzeń wokół drzwi była już zajęta. W powietrzu kłębił się czarny dym, a drażniące opary zmusiły nas do odwrotu. Dziewczęta wyglądały jak stado owiec uciekających przed niebezpieczeństwem do zagrody.

– Może spalą się drzwi i któraś z nas zdoła przez nie uciec i sprowadzić pomoc – zasugerowała jedna ze szwaczek, ale nie mogłam sobie wyobrazić, że znajdziemy ochotniczkę gotową przebiec przez płomień, które już lizały sufit. Po chwili zajęły się drewniane krokwie, wydając przy tym odgłosy jak podczas puszczenia fajerwerków.

– Pewnie zaraz przyjdą ci z piętra pod nami i nas uratują – powiedziała któraś.

– Mogą się nie zorientować aż do momentu, kiedy będzie za późno – zauważyłam. – Ogień nie zejdzie na dół. Zobaczmy, jak można się stąd wydostać.

Podbiegłyśmy do okien i próbowałyśmy je otworzyć, ale nawet nie drgnęły. Poza tym wychodziły na ciemne, wąskie podwórko między budynkami, a my znajdowałyśmy się aż na piątym piętrze.

– Za mną, do biura Mostela! – krzyknęłam.

Dziewczęta najbliżej mnie ruszyły do przodu, żeby jak najszybciej znaleźć się na schodach.

– Bez paniki! Nie pchajcie się! – starałam się je przekrzyczeć. – Nikogo nie zostawimy, obiecuję.

Gryzący, oślepiający dym towarzyszył nam w drodze na górę. Z piekącymi, załzawionymi oczami dotarłyśmy do biura. Otworzyłyśmy małe okienko, ale znów zobaczyłyśmy tylko to samo podwórko między budynkami.

Dziewczęta wrzeszczały jak opętane: „Pomocy!”, ale ich krzyk jedynie odbijał się od ścian.

Czułyśmy ciepło ognia i gryzący dym, który doganiał nas z dołu. Szwaczki przeciskały się do gabinetu, żadna nie chciała zostać na schodach. Starałam się wyprowadzić je z biura, ale bały się płomieni.

– Nie możemy tu zostać. Musimy spróbować wejść na strych – zaproponowałam. – A jeśli to nie pomoże, trzeba wybić okna i znaleźć długi kawał materiału, po którym zsuniemy się na dół.

– Zsunąć się na dół? Na ulicę? Zwariowałaś? – zawołała któraś z dziewczyn tuż obok mnie.

– Ruszać się! – wydawałam kolejne rozkazy, próbując zamknąć drzwi do gabinetu, by otworzyć te na strych, ale dziewczęta bały się zostać w zamkniętym pomieszczeniu.

– Pomóż mi, Sadie! – zawołałam i zanim otworzyłyśmy drugie drzwi, wspólnie dosłownie wepchnęłyśmy kobiety do środka.

Kiedy zobaczyły, że rzeczywiście są tam kolejne schody, a tym samym pojawia się być może droga ucieczki, przestały protestować. Weszłyśmy na górę. Przestraszona Katherine czekała na stopniach.

– Co się dzieje? Czuję dym.

– Pali się. Musimy uciekać – wydyszałam.

Wszystkim nam było coraz ciężiej oddychać. Dziewczęta już nie krzyczały, ale bardziej kaszlały, jęczały; niektóre się modliły. *Zdrowaś Mario* i modlitwy hebrajskie mieszały się z odgłosami, które wydawały płonące krokwie.

– To nie ma sensu – zauważyła jedna z dziewcząt. – Spójrzcie na te wszystkie bele materiałów. Na te

bawełny i muśliny. To się będzie doskonale paliło. Lepiej zejźmy na dół i jeszcze raz spróbujemy otworzyć okna.

– Poczekajcie! – zawołała Katherine. – Na końcu tego korytarza jest okno, które wychodzi na dach. Może uda nam się przez nie wydostać.

Pobiegła w kierunku światła widocznego gdzieś w głębi korytarza.

– Pomóż mi postawić ten stolik pod oknem – poprosiła Katherine, kiedy do niej dobiegłam.

Wspólnie przeniosłyśmy ciężki mebel. Potem stanęłyśmy na blacie i z całej siły pchnęłyśmy okno. Nie było łatwo. Otworzyło się dopiero wtedy, kiedy już straciłam nadzieję i myślałam, że trzeba je będzie wybić.

– Popchnij mnie – poprosiłam, uniosłam spódnice i przy pomocy Katherine wydostałam się na zewnątrz.

Pochyły dach kończył się płaską, szeroką platformą z papy.

– Chodźcie! – krzyknęłam. Dym łaskotał mnie w łydki. – Pomóż im, Katherine. Dziewczeta, podawajcie po kolei ręce.

– Nie wyjdę na dach – upierało się jakieś młode dziewczę, ale jej koleżanki po kolei zaczęły wspinać się na stół.

– A ja nie zamierzam upiec się jak kurczak – powiedziała któraś, wyciągając do mnie rękę.

Katherine pomagała w środku, a ja na zewnątrz, na dachu. Kiedy dołączyła do mnie pierwsza dziewczyna, poprosiłam, by usiadła na pupie i ostrożnie zjechała na platformę, a sama wyciągnęłam rękę, by pomóc kolejnej osobie.

Jedna po drugiej dziewczęta wychodziły przez okno, aż cała przestrzeń wypełniła się ciasno grupą zalęknionych, popłakujących postaci. Teraz należało się tylko modlić, by dach nie zawalił się pod ich ciężarem.

Nagle piętro niżej z głośnym hukiem pękła szyba i ogień wydostał się na zewnątrz, kierując płomienie w górę, w naszą stronę. Dym zaczął nam przesłaniać pole widzenia.

– I co teraz zrobimy? – zapytał ktoś.

Słuszne pytanie. Nie wiedziałam jeszcze, czy jest jakaś droga odwrotu.

– Poczekajcie! Katherine, dasz radę sama pomóc ostatnim dziewczętom?! – krzyknęłam i nie czekając na odpowiedź, zjechałam w dół na siedzeniu. Torując sobie drogę wśród koleżanek, doszłam do końca dachu i od razu skręciłam, by sprawdzić, co znajduje się za rogiem. Podreptały za mną jak za panią matką. Szłyśmy teraz po drugiej stronie budynku. Sądziłam, że ten dach w którymś miejscu połączy się z innym, ale nie miałam racji. Okazało się, że pomiędzy sąsiednim dachem a nami jest mniej więcej dwumetrowa szczelina. Ratunek był tak blisko!

W pewnym momencie dobiegł nas huk i płomienie buchnęły wysoko. Zawaliła się połącz dachu, z której przed chwilą uciekłyśmy. Znow podniósł się zbiorowy lament.

– Spalimy się żywcem!

Jedna z dziewcząt przełożyła nogę przez gzyms.

– Nie zamierzam zginąć w ogniu – powiedziała. – Wolę skoczyć.

Katherine w porę ją złapała.

– Nie bądź głupia. Jakoś się stąd wydostaniemy. Posłuchaj, to wozy strażackie.

Nie myliła się. W oddali słychać było dźwięk dzwonek i galopujące konie. Popatrzyłam na rozległe płomienie, które dosięgały nas teraz ze wszystkich stron, i pomyślałam, że strażacy raczej nie zdołają nam pomóc. Co z tego, że mają długie drabiny, skoro nie będzie ich jak przystawić do budynku, bo z każdej strony bucha ogień. Stałam przy gzymsie i popatrzyłam tęsknie na dach naprzeciwko. Odległość była chyba mniejsza niż dwa metry, wyraźnie widziałam jakieś deski i rupiecie... Gdybym tylko zdołała przedostać się na drugą stronę!

Nie wahając się dłużej, zdjęłam buty, spódnicę, a potem halkę. Zostałam w samej bieliźnie i skarpetkach. To wywołało poruszenie porównywalne z reakcją na widok pierwszych płomieni.

Wspięłam się na gzyms i usłyszałam za sobą krzyki:

– Molly, nie rób tego!

– Nic mi nie będzie! – odparłam, ale bez przekonania. W swoim życiu robiłam wiele głupich rzeczy, popisywałam się na przykład, skacząc z klifowych skał do morza, ale to było dawno temu i zupełnie wyszłam z wprawy.

Spojrzałam w dół. Oczy łzawiły mi od dymu, a wszystko, co widziałam, to zwrócone ku górze twarze ludzi stojących na ulicy. Jeśli nie dam rady, śmierć szybko mnie dopadnie – pomyślałam. Może ta dziewczyna miała rację? Może to lepsze niż spalenie się żywcem?

Zwykle nie jestem bardzo religijna – według mojej matki zupełnie bezbożna – ale tym razem przeżegnałam się szybko, tak na wszelki wypadek.

– Jezusie, Maryjo, Józefie święty i wszyscy święci, pomóżcie mi ten jeden jedyny raz! Nie dla siebie proszę, ale dla tych wszystkich kobiet – szepnęłam. – Obiecuję, że znów zacznę chodzić do kościoła.

Wzięłam głęboki wdech i skoczyłam. Poczułam powiew zimnego powietrza, a potem mur pod palcami. Chwyciłam się go kurczowo, nogami nerwowo szukając oparcia i przez chwilę balansując na krawędzi życia i śmierci. Słyszałam, jak dziewczęta krzyczą. W końcu przerzuciłam ciało przez gzyms i bezpiecznie stanęłam na dachu po drugiej stronie. Szybko podbiegłam do sterty śmieci i wróciłam z deską, która wydawała się dostatecznie długa.

– Łapcie za koniec! – rozkazałam, podnosząc ją do góry, a potem pochylając w stronę dachu, na którym jeszcze przed chwilą sama stałam.

Dziewczęta pochwyciły deskę. Ledwie dosięgała ich dachu. Pobiegnęłam po kolejną, tym razem nieco dłuższą, potem po trzecią. Z tych lichych desek udało nam się w końcu zbudować coś na kształt kładki.

– Przechodźcie! Pomogę wam! – zawołałam.

Żadna się nie ruszyła.

– No, dalej! Za chwilę dach się zawali i wszystkie wpadniecie w płomienie. Tego chcecie?! –

wrzeszczałam zachrypnięta od dymu. Przecierałam oczy, starając się nie stracić równowagi.

– Pospieszcie się! – huknęła Katherine, stając na końcu deski, by zapewnić jej stabilność.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, jedna z dziewcząt postawiła stopę na desce, spojrzała w dół, a potem szybko wróciła na poprzednie miejsce.

– Idźcie na klęczkach – zasugerowałam. – Albo się czołgajcie. Byleby szybko!

Ta sama dziewczyna spróbowała jeszcze raz. Tym razem podwinęła spódnice i przeszła po deskach na czworakach. Kiedy w końcu bezpiecznie do mnie dotarła, rozplakała się ze szczęścia. Potem przeszła kolejna, a wkrótce w moją stronę zmierzało już całe stadko przerażonych czworonogów. Ostrzegałam, by szły pojedynczo. Kiedy jednak zobaczyły, że można się przedostać na drugą stronę, chciały to zrobić jak najszybciej.

Wszystko szło dobrze aż do momentu, kiedy wypadła kolej Henny, najbardziej przerażonej ze wszystkich dziewcząt. Pośrodku drogi spojrzała w dół i zamarła ze strachu.

– Henny, dalej! – krzyczałam. – Podaj mi rękę! Już prawie tu jesteś. Pospiesz się. Inne czekają!

– Nie mogę – wyjąkała.

Nie miałam wyboru. Położyłam się na kładce, złapałam Henny za ręce i wciągnęłam ją na swój dach jak worek kartofli. Po drugiej stronie rozległy się krzyki zadowolenia i dziewczęta znów zaczęły przechodzić. Dzwonki wozów strażackich były coraz bliżej, a po chwili na dole mignęło mi coś czerwonego. Nie wierzyłam, że uda się im postawić drabinę. W stronę niższych pięter poleciała woda z sikawek. Spowił nas dym, zupełnie uniemożliwiając przejście po deskach.

– Idioci! – wrzasnęła Katherine.

Zaczęła pomagać każdej z dziewcząt po kolei, pokrzykując na nie co chwila, by przyspieszały. Wydawało się, że to wszystko trwa wieczność. Od czasu do czasu słyszałyśmy huki i trzaski, oznaczające, że kolejne części budynku się wałają. Serce waliło mi bardzo głośno. Jestem pewna, że słychać je było mimo hałasu. Bałam się, że nie zdążymy na czas. Działałam jak automat – wychylałam się, łapałam dziewczynę, ciągnęłam ją na swoją stronę i znów podawałam komuś rękę. Po drugiej stronie zostało już tylko kilka osób.

– Pospieszcie się! – wołałam. – Dach się zaraz zapadnie. – Biegiem! Katherine, trzymaj mocno deski!

Uklękłyśmy po dwóch stronach prowizorycznej kładki. Dziewczęta z ulgą witały drugi brzeg. Jedna, druga, potem jeszcze kolejna! Następna zamarła. Sara, drobna i nieśmiała, w ramionach mocno ścisnęła torbę, pewnie z kanapkami.

– Wyrzuć tę torbę, bo inaczej stracisz równowagę! – wrzasnęłam, ale nie posłuchała. Stała na deskach jak posąg.

Sadie delikatnie ją popchnęła. Sara, zataczając się, przeszła na moją stronę. Kiedy ją złapałam, zaczęła rozpaczliwie szlochać, a torba poleciała w przepaść pod nami. Ze środka wysypała się cała zawartość – kawałki papieru opadły na gzyms, a potem zniknęły w chmurach dymu. Zdążyłam dostrzec rysunek sukni z kapturem i muszkę przy damskiej bluzce. Odwróciłam się do Sary, ale już wtopiła się w tłum, a ja

miałam wciąż sporo pracy.

Jeszcze cztery dziewczyny i w końcu mogłam wyciągnąć rękę i pomóc dwóm ostatnim – Sadie i Katherine.

– Wspaniale. Świetnie się spisalaś – powiedziała do mnie Angielka.

– Ty też.

– Wyspiarze są opanowani! Nie tracimy nerwów tak łatwo jak Europejczycy. – Uśmiechnęła się do mnie z satysfakcją, kiedy dołączyliśmy do tłumu dziewcząt.

Nagle za naszymi plecami rozległ się głośny huk. Płomienie wystrzeliły w górę. Najpierw podskoczyliśmy ze strachu, a potem szybko zaczęliśmy strącać z ubrań iskry lecące z nieba. Okazało się, że zawalił się dach, ten, z którego zdążyliśmy przed chwilą uciec. Przez moment bałam się, że ogień przejdzie na drugi budynek, ale na szczęście otworzył się pod nami włącz i na dach wyszedł strażak.

– Wszystkie są tutaj, Barney! – krzyknął do kogoś. – Bezpieczne.

Ocierając oczy i podtrzymując jedna drugą, zeszyliśmy po schodach prosto w ramiona rodzin, krewnych i tych, którzy na dole trzymali za nas kciuki. Dziewczęta szybko odnajdywały swoich bliskich i szlochając ze szczęścia, padały im w ramiona. Poszukałam wzrokiem Sary. Biegła w kierunku dwóch kobiet, jednej drobnej i starszej, zapewne matki, i drugiej młodszej, którą natychmiast rozpoznałam. To Fanny, siostra Sary, ta, która pracowała u Lowensteina i wyglądała tak, jakby nie potrafiła skrzywdzić muchy. Postanowiłam do nich podejść i zaczęłam torować sobie drogę w tłumie, ale obejmowały się i całowały tak długo, że straciłam cierpliwość.

Jedna po drugiej dziewczęta odchodziły. Oczy nagle zaszły mi łzami, bo poczułam się samotna i bezbronna. Po chwili wydało mi się, że w tłumie widzę twarz Daniela, więc zaczęłam iść w jej kierunku.

W tym samym momencie usłyszałam, że ktoś mnie woła.

– Molly!

Odwróciłam się na pięcie i zobaczyłam, jak Jacob biegnie w moją stronę.

– Molly. Wszędzie cię szukam. Dzięki Bogu!

Myślałam, że łzy kapią mi z oczu z powodu dymu, ale okazało się, że nie tylko. Szlochając, padłam mu w ramiona. Położyłam głowę na jego ciepłym ramieniu i wreszcie poczułam się bezpiecznie.

– Już dobrze. – Pogłaskał mnie po włosach. – Dłużej tego nie zniosę. Proszę cię, natychmiast wyjdź za mnie. Będę mógł się tobą porządnie zaopiekować.

Kiedy indziej powiedziałabym mu po prostu, że sama potrafię doskonale o siebie zadbać, ale propozycja złożona właśnie w tej chwili była bardzo kusząca.

– Twoja mama nie będzie zadowolona.

Jedynie taka odpowiedź przyszła mi do głowy.

– Przyzwyczaj się. Jestem pewien, że po jakimś czasie cię pokocha.

Spojrzałam mu w oczy. Uśmiechał się do mnie z ogromną czułością. Każda kobieta potrzebuje miłości

i opieki. Czego można chcieć więcej? Poczułam, jak robi mi się ciepło na sercu.

– W takim razie lepiej natychmiast zabierz mnie do domu, zanim twoja matka się dowie, że stałam na ulicy w samej bieliźnie – zauważyłam.

Jacob obrzucił mnie spojrzeniem.

– Przynajmniej wiem, że nie kupuję kota w worku. Bardzo zgrabne nogi – powiedział z uśmiechem. – Żydówki na ogół nie mają tyle szczęścia.

– Skąd wiedziałeś, że tu będę? – zapytałam, czując, że głowa znów zaczyna mi pracować.

– Miałem na ciebie oko. Przeczuwałem, że możesz znowu zrobić coś głupiego.

– Było naprawdę niebezpiecznie – odparłam. – Zamknęli nas. Przewrócił się piecyk i szwalnia zamieniła się w pułapkę. To był wypadek, jaki może zdarzyć się wszędzie.

– Nikt nie przyłożył do tego ręki?

– Oczywiście, że nie.

– Ale... sądziłem, że to Mostel jest winien zaginięcia Katherine.

Katherine! Zupełnie o niej zapomniałam. Rozejrzałam się i spostrzegłam ją na schodach. Siedziała samotnie i wyglądała na zagubioną, jakby wciąż była w szoku. Jeszcze przed chwilą czułam się tak samo. Wzięłam Jacoba za rękę.

– Chodź – poprosiłam. – Muszę ci kogoś przedstawić.

Wstała, kiedy do niej podeszliśmy.

– Jacobie, poznaj Katherine – powiedziałam.

– Katherine? – Jacob patrzył to na mnie, to na nią. – Żyje? Jak ją znalazłaś? Nie utonęła?

– Jak widzisz, nie.

– Dlaczego myśleliście, że utonęłam?

W powietrzu nadal unosił się dym i smolisty popiół.

– Policja powiedziała nam, że z East River wyłowiono zwłoki młodej kobiety – odparłam. –

Wyglądała podobnie jak ty na zdjęciu.

– Na zdjęciu? Skąd mieliście moje zdjęcie? – spytała Katherine, zupełnie zdezorientowana.

– Twój ojciec mi je przysłał – odparłam. – Jestem prywatnym detektywem. Wynajął mnie, żebym cię odnalazła.

Najpierw była skonsternowana, teraz przerażona.

– To znaczy, że to nie ty... Nie ty byłaś tą kobietą?

– Kobieta, która cię szukała? – zapytałam, bo nagle wszystkie elementy układanki zaczęły do siebie pasować. – Nie, to nie ja. To była Nell Blankenship. Próbowала ustalić, dlaczego przestałaś przychodzić do pracy u Mostela. Podejrzewaliśmy, że to coś poważniejszego.

Teraz ja poczułam, że włosy stają mi dęba. Dotarło do mnie to, co przed chwilą powiedziała Katherine.

– Myślałaś, że to ona była detektywem? – spytałam.

Skinęła głową.

– Kuzyn Michaela, który kiedyś też pracował dla mojego ojca, przekazał nam, że jakaś kobieta detektyw nas szuka. Myśleliśmy...

– To znaczy, że to wy ją zabiliście?

– Nie ja. Skądże.

– Eastmansi?

Pokręciła głową. Na jej twarzy malowała się rozpacz.

– Nie Eastmansi. Człowiek, którego poślubiłam. Michael Kelly.

Jacob precyzyjnie się przez tłum, zszedł na ulicę i przywołał dorożkę. Woźnica spojrzał na nas ze zgrozą.

– Czy mam rozumieć, że te panie będą podróżowały na moich czystych siedzeniach? – zapytał.

– Cudem uratowały się z pożaru – odparł Jacob. – Uważa pan, że powinny w takim stanie wracać do domu na piechotę? A gdyby to były pańskie córki? – Sięgnął do kieszeni. – Dodam dolara na sprzątanie.

Woźnicy zajaśniały oczy.

– Ma pan rację. Nie mogą wracać na piechotę – odparł z uśmiechem.

Jacob otworzył drzwi i pomógł nam wsiąść. Kiedy odjeżdżaliśmy, wyjrzałam przez okno i znów zdawało mi się, że widzę w tłumie twarz Daniela.

Koń powoli ciągnął dorożkę. Jeszcze raz wyjrzałam, ale Daniel zniknął. Zwróciłam wzrok na Katherine. Siedziała zamyślona, patrząc przed siebie.

– Mówisz, że to Michael zabił Nell Blankenship? Nie mogłaś go powstrzymać? – zapytałam, kiedy pojazd przyspieszył i skręcił w Bowery.

– Nie miałam pojęcia – odparła, roztrzęsiona. – Gdybym tylko wiedziała, co zamierza zrobić... Sądziś, że nie chciałabym go powstrzymać? Ona dowiedziała się, gdzie jest nasza kryjówka. Michael pracował dla Eastmansów, więc pozwalali nam mieszkać w przybudówce na tyłach swojej siedziby. Ta kobieta zaczęła o mnie wypytywać. Michael myślał...

Katherine przygryzła wargę. Wyglądała teraz nawet młodziej i bardziej niewinnie niż na fotografii.

– Obiecał, że się nią zajmie. Nie przyszło mi nawet do głowy... A potem wrócił i powiedział, że niechący ją zabił i że musimy się ukrywać, aż będziemy mogli zbiec i pojechać na Zachód, gdzie nikt nas nie znajdzie.

– Jednego nie rozumiem – stwierdził Jacob. – Dlaczego tak bardzo się zdenerwowałaś, słysząc, że szuka cię detektyw? W końcu jesteś mężatką. Rodzice mogą być na ciebie źli, ale z prawnego punktu widzenia nic już nie mogą zrobić.

Katherine zakryła twarz dłońmi.

– Nie wiecie wszystkiego – szepnęła.

– Teraz niczym się nie zajmuj – poprosiłam. – Ukryję cię w miejscu, gdzie będziesz bezpieczna.

Woźnica przytrzymał konia i pochylił się w naszą stronę.

– Mówił pan Patchin Place? Nie chciałbym tam wjeżdżać. Bardzo trudno mi będzie wyprowadzić stamtąd konia.

– W porządku. Przejdziemy się – odparł Jacob.

Zeskoczył pierwszy i pomógł nam wsiąść z dorożki. Katherine rozejrzała się wokół.

– Ładnie tutaj. Trochę jak w Londynie. Nie przypuszczałam, że w Nowym Jorku są takie miejsca.

Poszliśmy w głąb ulicy i stanęliśmy przed numerem dziewięć. Zapukałam do drzwi wejściowych. Po chwili ukazała się w nich Sid, a kiedy mnie ujrzała, otworzyła usta ze zdziwienia.

– Molly, co ty, na Boga, robiłaś w takim stroju?

Zdażyłam zapomnieć, że nie mam na sobie spódnicy ani halki i że jestem brudna i umorusana. Katherine wyglądała niewiele lepiej.

– Wyszliśmy z pożaru – odparłam. – Zostałyśmy uwięzione w płonącej szwalni, musiałyśmy chodzić po dachach, żeby nie zginąć.

– Na litość boską! – Przynajmniej raz Sid wydawała się zbita z tropu. – Proszę, wejdźcie do środka. Poszukam brandy i poproszę Gus, żeby przygotowała ciepłą kąpiel. Co za straszna historia!

Dopiero teraz spojrzała na Jacoba i Katherine.

– Wy też byliście w pożarze?

– Tylko Katherine. Ja już po wszystkim podałem im tylko pomocną dłoń – odparł Jacob.

– Katherine? – Sid otworzyła szeroko oczy. – Ta Katherine?

– Owszem, ta Katherine.

– Ale myślałam, że ona się utopiła.

– Czy wiedzą o mnie wszyscy w Nowym Jorku? – zapytała cicho Katherine.

– Tylko moi najbliżsi przyjaciele. – Spojrzałam na Sid. – Chciałabym was o coś poprosić.

– O coś więcej niż ciepła kąpiel i porządna kolacja?

– Chciałabym, żebyście na parę dni ukryły Katherine u siebie. Szuka jej mąż i jeśli znajdzie, będzie bardzo źle.

– To, na Boga, nie stójcie w progu. Wejdźcie wreszcie. – Sid chwyciła Katherine za ramię i wciągnęła ją do środka. – Gus, najdroższa! Nie zgadniesz, kto nas właśnie odwiedza.

Gus zbiegła ze schodów w fartuchu i z pędzlem w dłoni. Na nosie miała pomarańczową plamę farby.

– Molly, jak ty wyglądasz! Czyżbyś podczas tego strajku walczyła o prawo do chodzenia bez spódnicy?

– Musiałam się rozebrać – odparłam.

– Skakała po dachach – dodała Katherine. – I wcale się nie bała.

Gus spojrzała teraz na nią.

– To Katherine – powiedziałam.

– Ta Katherine – uściśliła Sid.

– Zmartwychwstała? – zapytała Gus.

– Nigdy nie umarła. Ukrywała się. Przed okrutnym mężem – wyjaśniła Sid. – Molly prosi, żebyśmy dały jej schronienie.

Uśmiechnęłam się. Sid dobrze to streściła. Wszystko było jasne.

– Oczywiście, że ją ukryjemy. Ale może najpierw powinna się umyć?

– A możemy przedtem poprosić o brandy? – wtrącił się Jacob. – Jesteśmy w szoku.

– Ach, panie Singer! I pan tu jest! – zauważyła Gus. – Brał pan udział w tym niesłychanym wydarzeniu?

– Widział pożar; szukał mnie. Pewnie umierał ze strachu – wyjaśniłam.

– Nie zdajecie sobie sprawy, jak bezsilny się czułem, kiedy widziałem, że budynek stoi w ogniu i nie można nic zrobić. Strażacy nie pozwalali wejść do środka – powiedział Jacob. – Na dodatek Molly zeszła na dół na samym końcu. Nie chciałbym jeszcze raz przez coś takiego przechodzić.

Sid spojrzała na mnie pytająco.

– I dlatego zaproponował mi małżeństwo – wyjaśniłam.

– A ty się zgodziłaś? – zapytała wprost Sid. – Nie pytam dlatego, że mam coś przeciwko instytucji małżeństwa, ale...

– Chyba tak... – odparłam, uśmiechając się nieśmiało do Jacoba.

– Mogło być gorzej – stwierdziła Sid, mierząc Jacoba wzrokiem. – Przynajmniej nie będzie cię trzymał w złotej klatce.

– No, nie wiem... – zaśmiał się Jacob. – To może być jedyny sposób, żeby ją uchronić przed niebezpieczeństwem.

– Racja – przyznała Gus. – Ona przyciąga kłopoty. Molly, czy mogłabyś nam łaskawie opowiedzieć, skąd się wziął ten pożar i dlaczego byłaś w szwalni Mostela?

Usiedliśmy w kuchni przy stole. Popijając brandy, zrelacjonowałam wszystko od początku.

– Nie rozumiem, skąd się tam wzięła Katherine. Myślałam, że od tygodni nie pracuje u Mostela – stwierdziła Gus.

– Uciekłam od męża, a Sadie ukryła mnie na strychu nad szwalnią – wyjaśniła Katherine.

– Uciekłaś od męża, bo źle cię traktował?

– Nie, nie traktował mnie źle, ale nie mogłam być dłużej z pozbawionym skrupułów mordercą.

Katherine wyjaśniła im szczegóły całej historii, z tymi, które dotyczyły morderstwa Nell, włącznie. Nie było to dla niej łatwe. Sid i Gus ze współczuciem kiwały głowami.

– I jeszcze jedno – zauważyła Sid. – Skoro jesteś zamężna, twój ojciec niewiele już może zrobić, prawda? Nie może cię chyba zmusić, byś wróciła do domu?

– Zadałem to samo pytanie – zaznaczył Jacob.

Katherine westchnęła.

– Kłamałam, żeby poślubić Michaela. Skłamałam w kwestii swojego wieku i innych rzeczy. Okazało się, że małżeństwo nie było warte takich poświęceń. Nie ja byłam ważna, ale Michael. W Irlandii walczył po stronie rewolucjonistów i to zresztą bardzo mnie w nim pociągało. Uważałam, że warto zaangażować się w słuszej sprawie. Bo, chyba przyznacie, my, Anglicy, nie mamy prawa rządzić Irlandią...

Spojrzała na mnie, jakby oczekując, że udzielę jej rozgrzeszenia.

– To nie twoja wina – odparłam. – Urodziłaś się w angielskim domu w Irlandii. Nie miałaś wyboru.

– Opowiedz nam jeszcze o Michaelu – poprosiła Sid. – Był rewolucjonistą, tak?

– Wiedziałam, że lubi niebezpieczeństwo, ale sądziłam, że jest też szlachetny i dobry. Kiedy już zostałam jego żoną, okazało się, że czasem bywa bardzo agresywny. Raz zabił policjanta podczas demonstracji. I był z tego dumny. Dowiedziałam się czegoś jeszcze. Ożenił się ze mną przede wszystkim dla pieniędzy i po to, by jak najszybciej wydostać się z Irlandii.

Katherine zamilkła i przyłożyła dłoń do ust. Przez chwilę siedziała, walcząc z emocjami, aż wreszcie opanowała się i dodała:

– Byłam taka głupia!

– To znaczy, że Michael obawiał się deportacji do Irlandii, tak? – zapytałam.

– Tak. Ale potem popełnił kolejne morderstwo. Nie mogłam tego dłużej znosić.

– Więc od niego uciekłaś?

– Nie od razu. Zagroził, że mnie oczerni. Powie wszystkim, że to ja namawiałam go, by zabił Nell.

Bałam się, więc nie mogłam od niego odejść. Nie wiedziałam, co począć. Ale potem wydarzyło się coś jeszcze...

– Znów kogoś zabił?

– W pewnym sensie – odparła Katherine. – Wyszłam za Michaela i zdecydowałam się z nim uciec do Ameryki między innymi dlatego, że spodziewałam się jego dziecka. Wiedziałam, że dla moich rodziców będzie to hańba, i nie chciałam narażać ich na nieprzyjemności. Kiedy Michael zabił tę kobietę, poroniłam. To było straszne. Wiedziecie, co powiedział, kiedy było już po wszystkim? „Szczęście jeszcze nie całkiem nas opuściło. Nie będziemy uzależnieni od bękarta”. – Katherine wzdrygnęła się i westchnęła. – A ja straciłam dziecko.

Nagle zaczęła płakać, ukryła twarz w dłoniach, lecz po chwili znów się opanowała.

– Przrzekłam, że nie będę się nad sobą użalać – powiedziała.

Położyłam dłoń na jej ramieniu.

– Nie martw się, Katherine. Teraz będziesz bezpieczna.

– Odeślecie mnie do ojca? – zapytała.

– A nie chcesz do niego wrócić?

– Oczywiście, że nie. Nienawidziłam tego życia. Tej nudy. Same polowania i przyjęcia, czasem wypadki do Londynu, jakieś bale i rozmowy o niczym. Wierzcie mi, nie chciałabym znów tak żyć.

– Rodzice bardzo się o ciebie martwią. Rozumiem, że mama jest chora...

– Tylko wtedy, kiedy jej to na rękę – weszła mi w słowo Katherine. – Więc jak? Powiesz mojemu ojcu?

– Twój tata jest moim klientem – odpowiedziałam. – Muszę do niego napisać, że cię znalazłam. Całą i zdrową. Co potem zrobisz, to już twoja sprawa, choć bardzo bym prosiła, żebyś napisała do rodziców z prośbą o przebaczenie.

– Z tego, co mówisz, może wynikać, że małżeństwo jest nieważne – zauważył Jacob. – Jeśli wciąż jesteś niepełnoletnia, rodzice mogą się domagać twojego powrotu do domu.

– W takim razie pojedę gdzieś, gdzie mnie nie znajdą, i poczekam do dwudziestych pierwszych urodzin. Wtedy będę już mogła robić, co chcę.

– A jak poradzisz sobie do tego momentu?

– Nie wiem – odparła. – Nie mogę teraz o tym myśleć. Muszę przede wszystkim zadbać o to, by Michael mnie nie znalazł. Wiem, że będzie szukał.

– Wciąż cię kocha? – zapytała Gus.

– Wątpię, by kiedykolwiek mnie kochał. Chce mieć mnie u boku dla własnego bezpieczeństwa. Jestem tylko jego zakładniczką, nikim więcej.

– Musisz powiedzieć policji, co wiesz o Michaelu – zasugerował Jacob.

– Donieść na własnego męża? To ma pan na myśli? – Pokręciła głową. – Nie, tego nie zrobię. Nieważne, czy był dla mnie dobry. Wierzyłam, kiedy mówił, że mnie kocha. Nosiłam w łonie jego dziecko. Nie mogę go zdradzić.

– Nawet jeśli chce cię skrzywdzić? – zapytałam.

Potrząsnęła głową.

– Jestem pewna, że nie zrobiłby mi krzywdy. Wtedy po prostu wpadł w panikę. Beze mnie jest bezradny, nie wie, dokąd pójść, nie wie, komu zaufać.

Nagle chwyciła mnie za rękę.

– Obiecuj, że nie wydasz go policji. Przynajmniej dopóki nie podejmę decyzji, co robić dalej.

– Dobrze – zgodziłam się. – Dopóki nie podejmiesz decyzji, nikomu nic nie powiemy. Ale pamiętaj, Katherine. To morderca. Zabił kobietę. Nie możesz wymagać, byśmy tu tak siedzieli i nic z tym nie zrobili. W głębi serca pewnie się z nami zgadzasz. Trzeba to zgłosić.

Katherine westchnęła.

– Jestem taka dezorientowana i przerażona! Nie wiem, co czuję. Kiedyś go naprawdę kochałam...

– Przecież boisz się o swoje życie. To straszne! – Jacob był zdenerwowany. – Tego człowieka musi osiągnąć sprawiedliwość.

– Ten człowiek to potwór. Dobrze zrobiłaś, odchodząc od niego – zauważyła Sid.

– Nie martw się. Będziesz u nas bezpieczna. Tutaj cię nigdy nie znajdzie. Nikomu nie powiemy ani słówka – dodała Gus.

– Dzięki Bogu. Wreszcie możemy trochę odetchnąć – skwitował Jacob.

Jak bardzo się mylił!

Po upływie godziny z okładem, kiedy byliśmy już wykąpane i przebrane, Gus uparła się, by nas nakarmić. Zjadłyśmy ogromny posiłek złożony z wołowiny, kapusty i ziemniaków (najwyraźniej faza marokańska już przeminęła), a potem Jacob zaczął niechętnie zbierać się do wyjścia.

– Jesteś pewna, że mogę pójść? Będziesz bezpieczna?

– Pytałeś już o to milion razy. Co może mi tutaj grozić? Jestem wśród przyjaciół, a mój dom znajduje się zaledwie dwa kroki stąd. Na dodatek mam tam ochroniarza. Nikomu nie przyjdzie do głowy szukać tutaj Katherine. Tej nocy będziemy spać spokojnie, uwierz mi.

Kiedy w końcu wyszedł, pobiegłam na chwilę do domu i wróciłam z papeterią.

– Muszę wysłać list do twojego ojca, Katherine – powiedziałam. – Jeśli nakreślisz samodzielnie parę słów, nie będę się rozpisywać. Poinformuję go tylko, że jesteś cała i zdrowa.

Przygryzła wargę.

– Jak tylko dostanie ten list, pewnie zaraz po mnie przyjedzie.

– Napisz mu, żeby tego nie robił.

– Nie znasz mojego ojca. Przez całe swoje życie rozkazywał żołnierzom. Oczekuje od wszystkich posłuszeństwa; od żony i córki również.

– W takim razie napisz, że opuściłaś Michaela i że twoje małżeństwo jest nieważne. To go ucieszy. Napisz również, że na razie nie jesteś gotowa wrócić do domu, ale że będziesz regularnie pisać listy. To powinno go przekonać.

Katherine wciąż się wahała.

– Gdybyś miała córkę, o którą bardzo się martwisz, nie czekałabyś na wiadomość od niej? Nie chciałabyś się dowiedzieć, że jest bezpieczna?

Kiwnęła głową i usiadła przy stole. Zanim mogłam przeczytać list, schowała go do koperty.

– Gotowe – powiedziała.

Sięgnęła ręką do szyi, jakby chciała dotknąć niewidzialnego medalionu.

– Kiedyś nosiłaś medalion na aksamitnej wstążce – zauważyłam.

Skinęła głową.

– Należał do mojej babci.

– Co się z nim stało? Jakim cudem wpadł w ręce Mostela?

– Potrzebowaliśmy pieniędzy. Michael kazał mi go zastawić. Zapytałam Mostela, czy przypadkiem nie jest zainteresowany. Dał mi dwadzieścia dolarów. Niezbyt wiele, ale na trochę starczyło. Michael i tak sporo przepijał. Ciekawa jestem, czy medalion został w biurze i przepadł w płomieniach.

– Nie – odparłam. – Spróbuję go odzyskać.

Jej twarz się rozjaśniła.

– Naprawdę?

– Niczego nie obiecuję, ale postaram się.

Podskoczyła i objęła mnie rękami.

– Molly, jesteś wspaniała!

– Muszę wracać do domu – powiedziałam. – Nie podchodź do okna i pozwól moim przyjaciółkom, by się tobą zajęły. Zaufaj im, tutaj będziesz bezpieczna.

– Wiem. – Katherine rozejrzała się dookoła. – Mam wrażenie, że poczuję się tu tak dobrze, że nie będę chciała wyjeżdżać.

Uśmiechnęłam się, podchodząc do drzwi. I ja dobrze wspominałam Patchin Place 9. Też kiedyś nie chciałam się stąd wyprowadzać. Mój dom naprzeciwko wciąż wydawał się marnym odbiciem królestwa Sid i Gus, ale przynajmniej nie musiałam się denerwować, że dzieci mieszkają w slumsach.

Wyszłam na dwór. Było już ciemno. Przechodząc przez ulicę, okryłam się szalem. Kiedy pochylałam

się, by otworzyć drzwi, ktoś wyszedł zza węgła i poczułam, że kładzie mi dłoń na ramieniu.

Nie zdążyłam krzyknąć.

– To tylko ja – usłyszałam głos Daniela.

– Matko Przenajświętsza! Ale mnie przestraszyłeś!

Daniel wyszedł z cienia i stanął w świetle lampy.

– Musiałem cię zobaczyć. Przed chwilą pytałem o ciebie w twoim domu, ale powiedziano mi, że jeszcze nie wróciłaś.

– Byłam naprzeciwno, u Sid i Gus – odparłam. – Dlaczego tak mnie nastraszyłeś?

– Dowiedziałem się o pożarze. Dotarłem na miejsce akurat w chwili, gdy padłaś w ramiona temu Singerowi. Zanim zdążyłem do ciebie podejść, już siedziałaś z nim w dorożce.

– Ledwie uszłam cało z ognia. Jacob bardzo mi pomógł.

– Ach, więc o nic więcej nie chodzi. W takim razie wszystko w porządku. – Z jego twarzy zniknął wyraz z troskaniem, a we mnie wezbrała złość.

– Wyobraź sobie, że chodzi o coś więcej. Chyba powinieneś się dowiedzieć, że Jacob poprosił mnie o rękę.

Przez chwilę mi się przyglądał, a potem wybuchnął śmiechem.

– Przecież za niego nie wyjdiesz!

– A dlaczegoż by nie? Czy policja nowojorska ma coś przeciwko małżeństwom?

– Nie wyjdiesz za niego, bo go nie kochasz.

– Skąd wiesz, że go nie kocham?

– Bo kochasz mnie, a nie można kochać dwóch mężczyzn naraz.

– Kochałam cię – uściśliłam. – Ale zmęczyłam się czekaniem. Minął prawie rok, a ty wciąż nie wspomniłeś pannie Norton o moim istnieniu.

Chybotliwy płomień lampy oświetlił mu twarz. Daniel miał na sobie ciepły płaszcz z podniesionym kołnierzem. Wiatr mierzwił mu niesforne loki. Znów przyszło mi do głowy, że jest niezwykle przystojny, ale szybko przepędziłam te myśli.

– Nigdy nie było odpowiedniego momentu, Molly. Pracuję tak ciężko, że ledwo znajduję czas na drzemkę. Rzadko widuję się z panną Norton, a kiedy wreszcie się spotykamy, to zanim zbiorę się na odwagę, czas mija. Mówiłem, że musisz poczekać. Jeśli poczuje się zdradzona, nie spocznie, dopóki mnie nie zniszczy. Wygląda na niewinną i delikatną, ale jest przebiegła i złośliwa.

– Skoro zdecydowałaś się poślubić taką osobę, to znaczy, że kariera jest dla ciebie ważniejsza niż uczucia.

– Byłem bardzo młody, oświadczając się Arabelli. Wydawała się słodka i delikatna. Miała w sobie wszystko, czego oczekuje mężczyzna, szukając żony.

– Bogata. I wpływowa.

– To też brałem pod uwagę. Ale dopiero znacznie później dowiedziałem się o jej wadach.

– A teraz doszedłeś do wniosku, że łatwiej ci będzie żyć z tymi wadami niż znieść jej gniew. To dużo mówi o twoim charakterze.

– Zgadzam się. Jeśli o to chodzi, jestem beznadziejnym tchórzem. Błagam, nie rób nic pochopnie, tylko po to, żeby mnie ukarać.

– Jeśli wyjdę za Jacoba, to nie po to, by cię ukarać. Wyjdę za niego, bo jest dobry, miły i wspaniale się o mnie troszczy.

– A od kiedy to potrzebujesz, by ktoś się o ciebie troszczył? – uśmiechnął się nagle Daniel.

– Może mam już dość życia w pojedynkę? I mogę mu pomagać w pracy. On robi coś pożytecznego.

– A ja nie?

– Ty też, ale Jacob pracuje z miłości, a ty dla ambicji. Mógłby zbić fortunę na swoich zdjęciach, ale on je robi, by zwracać ludziom uwagę na problemy świata. Pomaga w ten sposób biednym, bo daje im prawo głosu, którego najczęściej nie mają. To szlachetne.

– Ale do ciebie nie pasuje. Nie jesteś z natury socjalistką – odparł Daniel. – Minie twój entuzjazm i co wtedy?

– Wzajemny szacunek i sympatia.

– Czy to wystarczy, Molly?

– Być może. Jeśli przyjdiesz do mnie jutro i powiesz, że zerwałeś zaręczyny i prosisz mnie o rękę, być może wezmę twoją propozycję pod uwagę, ale nie zamierzam zostać starą panną, która siedzi w domu i czeka.

– Zawsze możesz napisać do panny Norton. To przyspieszyłoby sprawę.

Pokręciłam głową.

– O nie, Danielu. To musi być twój wybór, twoja decyzja. Chcę, żebyś to ty przyszedł do mnie. Wolny i z otwartym sercem. A teraz już idź. Zimno tu na dworze.

– Możesz zaprosić mnie do środka.

– Nie wypada. Mój narzeczony mógłby się dowiedzieć.

Kiedy już miałam otworzyć drzwi, chwycił mnie raz jeszcze i odwrócił twarzą w swoją stronę.

– Nie rób mi tego, Molly. Nie traktuj mnie tak i nie odtrącaj.

– Zapewniam pana, kapitanie Sullivan, że sprawy sercowe traktuję bardzo uczciwie. Sądząc, że wyjdę za Jacoba tylko po to, by zrobić ci na złość, mylisz się. Jeśli złożę mu przysięgę, zrobię to z miłości, wiedząc dokładnie, z czego rezygnuję.

Chwycił mnie mocno za ramiona, wbijając palce w moje ciało.

– Nie rezygnuj ze mnie, Molly! Błagam!

– Puść mnie. – Uwolniłam się z uścisku. – Nie dam się już nabrać na te twoje słodkie gadki. Dają sobie świetnie radę bez ciebie i jest mi z tym dobrze.

– Oprócz tego, że dzisiaj o mały włos nie zginęłaś w płomieniach, jakiś czas temu dopadł cię gangster, a później aresztowano cię za prostytutkę.

– No tak, oprócz tego.

Kiedy podniosłam głowę, zobaczyłam, że się śmieje. Też musiałam się uśmiechnąć.

– Kocham cię, Molly – szepnął i wyciągnął rękę, żeby pogłaskać mnie po policzku.

– Dobranoc, Danielu – powiedziałam niepewnie i czym prędzej weszłam do środka. Nie chciałam okazać słabości.

Kiedy znalazłam się za drzwiami, przywarłam do nich całym ciałem i dotknęłam ręką policzka, na którym przed chwilą była jego dłoń.

Cóż to za cudowne uczucie obudzić się rano ze słońcem, bez pośpiechu się ubrać i spokojnie zjeść śniadanie, a potem dostać buziaka od dzieci wychodzących do szkoły!

– Cieszę się, że już nie będziesz pracowała w tym strasznym miejscu, Molly – powiedziała Bridie, obejmując mnie swoimi drobnymi rączkami za szyję. – Nudziliśmy się, kiedy nie było cię w domu. Jedliśmy ciągle grzanki, a Seamus mi dokuczał.

– Ja ci też teraz podokuczam. – Pogłaskałam ją po głowie. – Przede wszystkim przynieś mi szybko szczotkę do włosów. Z tyłu masz kołtun wielkości zatoki Galway. A ty, Szelmo, chyba cały tydzień nie myłeś szyi. Biegiem, zrób to teraz!

– Prawdziwi mężczyźni nie myją szyi – mruknął, kierując się w stronę komórki przy kuchni.

Pomachałam im, kiedy wychodzili do szkoły.

– Wyraźnie się poprawili, prawda? – powiedziałam do Seamusa, który akurat wszedł do kuchni.

– To twoja zasługa. Kto wie, co by się teraz z nimi działo, gdybyśmy zostali u Nuali. Bardzo chciałbym ci się jakoś odwdzięczyć, Molly. Robię wszystko, by znaleźć pracę. Naprawdę. Dzisiaj mam się widzieć z kierownikiem sklepu Macy's. Znasz taki sklep? Mówią, że ogromny. Potrzebują dodatkowej pomocy na święta. Trzeba nosić paczki do powozów, pomagać damom w zakupach...

– Widzisz, zaraz znów staniesz na nogi.

Bez przekonania kiwnął głową.

– Całe życie byłem robotnikiem, a teraz nie mam nawet siły, żeby podnieść kilof albo łopatę.

– Znajdziesz inne zajęcie. Nie martw się. Ja właśnie zakończyłam dwa zlecenia i niedługo dostanę za nie pieniądze.

Wypowiadając te słowa, uśmiechnęłam się szeroko. Dwa zlecenia! Stałam się prawdziwym detektywem. Dzisiaj odbiorę swoje wynagrodzenie. Postanowiłam, że dla porządku odwiedzę Sarę i dokładnie ją o wszystko przepytam, by potwierdzić swoją teorię i upewnić się, że to projekty Mostela wypadły wczoraj z jej torby. W końcu parę razy wcześniej się myliłam. Ale tylko parę razy.

Nie miałam pojęcia, gdzie mieszka Sara. Nie wiedziałam też, gdzie szukać pana Mostela. Udałam się więc w stronę szwalni, bo uznałam, że to jedyne sensowne miejsce, w którym mogę zacząć poszukiwania. Kiedy już dochodziłam do Canal Street, z daleka dojrzałam tłum kłębiący się przy zgliszczach. Mężczyźni wyciągali zniszczone meble z zakładu stolarskiego na parterze. Przy chodniku leżała sterta zmokniętych, spalonych beli materiału. To był bardzo smutny widok. Zauważyłam kilka znajomych twarzy. Dziewczeta wpatrywały się w budynek, tak jakby nie mogły uwierzyć w to, co się stało. W pewnym momencie z wypalonych drzwi wyszedł Obłeśny Sam, kręcąc z niedowierzaniem głową. Kiedy mnie zobaczył, wystawił oskarżycielsko palec.

– To ty i ta Sadie, prawda? To wy specjalnie wznieciłyście pożar, żeby się na mnie zemścić. Kiedy

tylko cię zobaczyłem po raz pierwszy, Murphy, wiedziałem, że będą z tobą same problemy.

Podeszłam do niego szybkim krokiem.

– To my wywołałyśmy pożar? – zapytałam. – Tak to sobie wydedukowałeś w tej pustej głowie?

O mało nie spłonęłyśmy żywcem w twojej pułapce. Miałyśmy wyjątkowe szczęście, że tak się nie stało.

– Może nie zamierzałyście spalić całego budynku, ale na pewno chciałyście zwrócić na siebie uwagę.

– Pożar wybuchł, bo jedna z dziewcząt wpadła w panikę. Przewróciła ten nędzny piecyk. Ciekawe, czy policja cię nie aresztuje, kiedy zeznamy, że zamknąłeś nas w szwalni na klucz.

– Ja? – Cofnął się i wystraszonym wzrokiem raz po raz zerkał na tłum. – Nie zrobiłem nic niezgodnego z prawem.

– Pozostawienie pracowników w zamkniętym pomieszczeniu wbrew ich woli może być podstawą do aresztowania – odparłam, patrząc wymownie na inne dziewczęta. – Co myślicie?

Z tłumu dobiegły złowróżbne pomrukiwania.

– Ja tylko wykonywałem swoje obowiązki, tak jak uzgodniłem to z panem Mostelem.

– To módl się, żeby podobnie zeznawał. Zresztą zaraz to sprawdzę, bo właśnie wybieram się do niego z wizytą. Zamierzam mu opowiedzieć, jak nas zamknąłeś. Prasa również dowie się o najdrobniejszych szczegółach.

Widać było wyraźnie, jak uchodzi z niego powietrze.

– Jestem tylko kierownikiem. Nie można wszystkiego na mnie zwałać – powiedział i szybko się oddalił.

Dziewczęta parsknęły śmiechem.

– Naprawdę powiesz to policjantom i dziennikarzom? – zapytała jedna z nich.

– Chyba tak. Raczej powinnam, prawda? Niech ludzie się dowiedzą, jak źle nas tutaj traktowano. Może coś się zmieni na lepsze.

Zdecydowałam, że jak tylko rozmówię się z Sarą, pójdę odwiedzić Jacoba.

– Czy któraś z was wie, gdzie mieszka Sara? Ta nieśmiała dziewczyna z Rosji, taka szara myszka.

– Aaa, ta – odezwała się jedna z dziewcząt. – Mieszka na Hester, parę kroków stąd.

Zanotowałam w zeszycie numer domu.

– A pan Mostel?

– Odwiedzisz go, naprawdę?

– Chyba tak. Chcę mu powiedzieć, co myślę o pułapce, którą nam zgotował – odparłam. – Znacie może jego adres?

– Oczywiście. W szabat zwykle chodzimy do niego na kolację – zażartowała jedna z dziewcząt.

– Mieszka na Upper East Side – usłyszałam w końcu. – Tuż przy parku. Spotkałam go kiedyś przypadkiem, jak szłam do zoo. Wyszedł z bocznej uliczki naprzeciwko głównego wejścia do ogrodu. Wsiadł do powozu z całą rodziną. Do bardzo wielkiego powozu.

– Dziękuję – odparłam.

– Chcesz mu złożyć wizytę, Molly? Ale masz tupet! Mogę się założyć, że wyrzuci cię za drzwi.

Kiedy kierowałam się w stronę Hester, wciąż słyszałam za sobą ich komentarze. Na Lower East Side nie było drugiej takiej ulicy jak Hester Street. Tyle się tutaj działo! Nie byłam w stanie wyminąć kupców z wózkami pełnymi towarów. Piesi z trudem się między nimi przeciskali. Sprzedawano tu wszystko, od ryb i pieczonej kukurydzy po używane ubrania i śpiewniki z tekstami popularnych piosenek żydowskich. Uniosłam spódnice i ostrożnie stawiałam kroki, by na coś niechcący nie nadepnąć. Mieszkanie Sary znajdowało się nad koszerną jatką. Na schodach towarzyszył mi fetor nieświeżego mięsa.

Zapukałam. Drzwi się uchyliły i ujrzałam drobną buzię Sary.

– Molly! Co tutaj robisz?

– Przyszłam z wizytą, Saro.

Otworzyła drzwi szerzej.

– Proszę, wejdz. Miło cię widzieć.

Wprowadziła mnie do małego pokoju, który najwyraźniej pełnił rolę kuchni i salonu. Z jednej strony była półka z garnkami i naczyniami; z drugiej – zwykła ławka i stół. W pomarańczowych skrzynkach przy ścianie leżały różne przedmioty, w rogu stały zwinięte w rulon dywany i koce. Na jedynym porządnym krześle siedziała blada kobieta z nogami przykrytymi pledem. W słabym świetle wyglądała jak posąg – szara twarz, skóra naciągnięta na kościach policzkowych. Siostra Sary, Fanny, przykucnęła na skrzynce u stóp kobiety. W pokoju było zimno i wilgotno, ze ścian odłaziła tapeta, ukazując czarne dziury w murze. To był jeden ze smutniejszych widoków, jakie oglądałam po przybyciu do Ameryki.

– Mamo, to jest Molly. Pracujemy razem – przedstawiła mnie Sara, a następnie powtórzyła to zdanie w jidysz, na wypadek gdyby matka nie zrozumiała. – Molly była cudowna. Skakała po dachach jak w cyrku.

Matka coś powiedziała, Sara kiwnęła głową.

– Mama mówi, żebyśmy napiły się herbaty. Przeprasza, że nie mamy cukru ani ciasta.

– Nie, proszę, nie róbcie herbaty...

– Musisz się napić. – Sara naląła wody do rondelka i postawiła go na małym palniku spirytusowym.

Usiadłam na ławce i rozejrzałam się dookoła. Tu i ówdzie wisiły rysunki robione węglem – widoczki z ulic miasta, portrety małych nowojorskich urwisów.

– Jesteś artystką, Saro? – zapytałam.

– Moja siostra Fanny też ładnie maluje – odparła. – W Rosji miałyśmy nauczyciela, który kiedyś studiował w Paryżu. Dobrze nas uczył, twierdził, że mamy talent.

– W takim razie przerysowywanie projektów Mostela nie było dla was niczym trudnym.

Obydwie dziewczyny podskoczyły jak oparzone.

– Co masz na myśli? – spytała Sara.

– Widziałam wczoraj te papiery, które wypadły ci z torebki. Szkice nowych projektów pana Mostela.

Miałaś je przekazać siostrze, by zniosła Lowensteinowi, prawda?

Sara rozejrzała się bezradnie po pokoju.

– Proszę, nie tutaj. Mama o niczym nie wie. Nie rozumie zbyt wiele po angielsku, ale wyjdźmy na chwilę, proszę...

Wyszliśmy za drzwi.

– Tak, przerysowywałam te projekty – powiedziała hardo, wysuwając podbródek. – I wcale nie żałuję. Stary skąpiec.

– Ale, Saro, był twoim pracodawcą!

– A ja jego niewolnicą – stwierdziła złośliwie.

Cóż za odmiana! – pomyślałam. Nie przypominała już tej szarej, cichej myszki.

– Zasłużył sobie. Nie pozwolił, by siostra razem ze mną pracowała. Powiedział: „Żadnego rodzeństwa, bo to źle dla firmy”. Fanny musiała poszukać pracy u Lowensteina. Kiedy dowiedział się, że ja pracuję u Mostela, zaproponował, że dobrze zapłaci, jeśli mu powiemy, jak wyglądają nowe projekty konkurencji.

– Chyba zdawałaś sobie sprawę, że tak nie można?

– Nie można? Powiem ci coś! Wcale nie chciałam tak robić. Przekonywałam siostrę, że jesteśmy z dobrej rodziny. Nie będziemy kraść jak byle kto. Ale następnego dnia mama źle się poczuła i musiałyśmy wezwać lekarza. A doktor nie leczy za darmo. Godzinę później przychodzę do pracy i co słyszę? Że jeśli jeszcze raz się spóźnię, mogę nie przychodzić w ogóle. Nawet nie słuchali moich wyjaśnień. I wtedy pomyślałam: a co tam.. Już raz tak zrobiłyśmy i Lowenstein dał nam pięćdziesiąt dolarów. Pięćdziesiąt dolarów, wyobrażasz sobie? Mogłyśmy kupić mamie porządne jedzenie, zapłacić czynsz i za doktora.

– Oszukiwałaś swojego pracodawcę.

– On nigdy nas nie oszukuje, co? Dziesięć centów za kichnięcie. Dziesięć centów za wyjście do toalety i za minutę spóźnienia po przerwie. A do tego przestawianie wskazówek zegara, żebyśmy popracowały dłużej. Każdego dnia nas oszukiwał, więc nie pouczaj mnie, proszę.

Nagle spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Dlaczego to cię tak interesuje, co? Z kościoła jesteś czy jak?

Zaprzeczyłam.

– Nie. Pan Mostel zatrudnił mnie, bym się zorientowała, kto wykrada projekty.

– Więc pójdziesz i powiesz mu, że już wiesz?

– Tak.

– I co? Aresztują nas i wsadzą do więzienia, a mama umrze z głodu? Wspaniała amerykańska sprawiedliwość! W Rosji zabili mi ojca i brata, wiesz? Przypłynęłyśmy tutaj bez niczego. Wszystko zostało w domu... ubrania, biżuteria, książki. Od tej pory mama jest cały czas chora.

– Bardzo mi przykro – odparłam. – Zrobię dla was, co tylko będę mogła. Poproszę Mostela, by nie

wnosił oskarżenia, pod warunkiem że obiecacie już nigdy więcej tego nie robić.

– Nigdy więcej? – Sara roześmiała się gorzko. – Chyba żartujesz? Nie będę już kradła projektów Mostela, bo nie ma szwalni. Jakoś przeżyjemy na tych sześciu dolarach Fanny. Będziemy głodować. Mama pewnie umrze.

– Naprawdę mi przykro. Pomogę wam, jeśli tylko będę mogła. Może inna szwalnia cię zatrudni?

– Oczywiście. Mnie i resztę dziewcząt od Mostela! – odparła kpiąco.

– Muszę już iść – powiedziałam. – Przekaż mamie wyrazy szacunku. Mam nadzieję, że jej zdrowie się poprawi.

Bez słowa wróciła do mieszkania. Zza zamkniętych drzwi usłyszałam tylko, jak mówi mamie i siostrze, że nie chciałam się napić herbaty.

Schodząc ze schodów, poczułam mdłości. Na dole ulica tętniła wesoło życiem – gospodynie targowały się o cenę śledzi i kurczaków, chłopcy obrzucali się kulkami błota, a na ramieniu kataryniarza tańczyła małpka. Czy powinnam po prostu zapomnieć o wszystkim i pozwolić Mostelowi myśleć, że nie znalazłam żadnego szpiega? Muszę pożegnać się z pracą detektywa, jeśli w ten sposób zacznę traktować zlecenia. Trzeba nauczyć się trzymać dystans. Przecież Mostel mnie wynajął; zakończyłam powierzone mi zadanie i teraz moim obowiązkiem jest poinformować go o wynikach śledztwa.

W drodze do domu Mostela czułam się fatalnie. Kontrast pomiędzy Upper i Lower East Side zawsze robił na mnie wrażenie. Wydawało mi się, że jestem Alicją, która wpadła do króliczej nory i znalazła się w innym świecie. Przy ulicach wyrastały eleganckie kamienice, czasem przed wejściem stał powóz i czekał na pasażerów. Jakaś służąca szorowała schody. Angielska niania pchała przed sobą wysoki wózek z niemowlęciem. Na ulicy naprzeciwko bramy ogrodu zoologicznego spotkałam listonosza. Znał wszystkich w okolicy i skierował mnie na Sześćdziesiątą Trzecią Wschodnią.

Bez problemu odnalazłam właściwy dom. Czteropiętrowy, z elegancką elewacją z ciemnej cegły. Proszę, do czego doszedł Mostel ciężką pracą swoich szwaczek! Trudno było mu współczuć, nawet w obliczu tej tragedii, która przed chwilą się wydarzyła.

Wyprostowałam się i z determinacją weszłam po schodach prowadzących do frontowych drzwi. Otworzyła służąca w wykrochmalonym fartuszku.

– Panna Murphy do pana Mostela.

– Do młodszego czy starszego? – zapytała i obrzuciła mnie ciekawskim spojrzeniem.

– Do starszego pana. Wykonywałam dla niego pewną pracę.

– Niestety, nie ma go w tej chwili w domu, ale lada chwila wróci. Czy zechce pani poczekać?

– Dziękuję – odparłam i weszłam do ciepłego korytarza. Wiedziałam, że niełatwo mi będzie siedzieć beczynnym i czekać, ale nie chciałam się teraz poddawać po tak długiej wędrówce.

Wskazano mi mały gabinet, najwyraźniej przeznaczony dla petentów, bo nie paliło się tutaj w kominku. Usiadłam na eleganckim krześle. Zegar głośno odliczał sekundy, lecz poza tym było cicho jak makiem zasiał. Żadnego znaku, że mieszka tu jakaś rodzina. Zastanawiałam się, jak wygląda pani Mostel i co

w tej chwili robi.

Wydawało się, że czekam tak już całą wieczność, kiedy na schodach usłyszałam kroki. Coraz bardziej zbliżały się do gabinetu, w którym siedziałam, aż do środka wszedł Ben Mostel.

– Co tu robisz?

– Przyszłam odwiedzić pańskiego ojca.

Popatrzył na mnie przerażony.

– Ale chyba nic mu nie powiesz, prawda? Chodzi mi o te czeki. Bo to była wyjątkowa sytuacja i...

– Nie przyszłam tu opowiadać mu o tym, co widziałam – odparłam, ale wypowiadając te słowa, wpadłam na genialny pomysł. – Oczywiście pod warunkiem, że wyświadczy mi pan pewną przysługę – dodałam.

– Przysługę? Chyba nie chcesz mnie prosić o pieniądze. Wiesz przecież, że ciągle brakuje mi gotówki.

– Nie oczekuję gotówki, lecz zwrotu medalionu jego prawowitej właścicielce. On bardzo wiele dla niej znaczy, bo należał do jej babci.

– Ale nie mogę powiedzieć Letycji, żeby mi go oddała.

– To może mógłby jej pan ofiarować jakąś inną błyskotkę i opowiedzieć historię tego medalionu. Jestem pewna, że zrozumie.

Ben przez zaciśnięte usta wciągnął głęboko powietrze.

– Inną błyskotkę? To oznacza wydatek, a ja nie mam w tej chwili żadnych pieniędzy.

– Proszę obiecać, że coś jej pan kupi. Dostała drogocenny przedmiot, który nie należał do pana. Był jedynie zastawiony, nie sprzedany.

– Nie wiem tylko jak...

– W takim razie jestem zmuszona powiedzieć pańskiemu ojcu, gdzie jest ten medalion. Być może będę musiała wspomnieć również o czekach.

Nerwowo chodził po gabinecie w tę i z powrotem.

– W porządku. Coś wymyślę. Gdzie mam cię szukać?

– Oto moja wizytówka – odparłam.

Przyjrzał się jej uważnie.

– Dyskretny detektyw? Zawodowy kapuś? To dlatego węszyłaś w szwalni! Czego dotyczyło to śledztwo, jeśli mogę spytać?

– Czegoś, czym podzielę się z pańskim ojcem, kiedy tylko przyjdzie.

Jak na zawołanie otworzyły się drzwi wejściowe.

– Milly! Zabierz mój kapelusz i rękawiczki – zagrział tubalny głos.

Pan Mostel zajrzał przez uchylone drzwi do gabinetu, a potem natychmiast wszedł do środka, wciąż z kapeluszem i rękawiczkami w ręku.

– Panna Murphy? – zdziwił się na mój widok.

– Panie Mostel.

– Przepraszam, że musiała pani czekać.

– Pański syn dotrzymywał mi towarzystwa. – Spojrzałam na Bena, który nie odrywał wzroku od mojej twarzy.

– Przynajmniej do czegoś się przydał – odparł Mostel. – No dalej, Ben. Ruszaj! Ojciec został bez pracy, teraz twoja kolej, by utrzymywać rodzinę.

Zaśmiał się na widok przerażonej miny syna.

– Kiepski żart, ojciec – zauważył Ben. – Proszę mi wybaczyć. Panno Murphy, miło się rozmawiało.

– Cała przyjemność po mojej stronie. I czekam na wieści.

Ben pospiesznie kiwnął głową i już go nie było.

– Gdybym rzeczywiście zaczął na nim polegać, cała rodzina umarłaby z głodu – powiedział Mostel, przysuwając sobie krzesło. – Proszę mi powiedzieć, czemu zawdzięczam tę miłą wizytę?

Wzięłam głęboki wdech. Już zamierzałam zacząć swoją opowieść, ale w ostatniej chwili zmieniłam zdanie.

– Przyszłam wyrazić ubolewanie z powodu pożaru w szwalni.

Pokiwał głową.

– Smutna historia, panno Murphy.

– W rzeczy samej. Mam nadzieję, że był pan ubezpieczony.

– Oczywiście. Ale na co mi te pieniądze? Zanim znów stanę na nogi, najlepszy sezon minie.

– Pańskie pracownice też straciły pracę, co oznacza, że w czasie świąt będą się musiały obyć bez jedzenia. Na dodatek nie będą miały za co ogrzać swoich domów.

– To rzeczywiście smutne. Miejmy nadzieję, że znajdą zatrudnienie u innych pracodawców.

– Czy zamierza pan odbudować swoją szwalnię?

– Wynajmowałem te pomieszczenia, więc to nie ja zdecyduję. Myślę, że raczej otworzę nowy warsztat na Brooklynie. Tam jest mnóstwo miejsca i masa chętnych do pracy.

– A co ze starą załogą?

– Mogą się zgłaszać, jeśli nie obawiają się dojazdu tramwajem przez most. Ale teraz mam inne plany; zabieram panią Mostel na Florydę. Żona jest delikatnego zdrowia, powietrze w Nowym Jorku jej nie służy.

Obserwowałam, jak siedzi i peroruje. Beztroski, uśmiechnięty. Ubrany w elegancki, szyty na miarę garnitur, na którym połyskiwał złoty łańcuszek od zegarka. Przed oczami miałam jednopokojowe mieszkanie Sary. Sumienie podpowiadało mi, by nic nie mówić o tym, czego dowiedziałam się podczas dochodzenia. Ale przecież nie mogłam dopuścić, by mi nie zapłacili za moją ciężką pracę.

Westchnęłam głęboko i wyznałam jednym tchem:

– Przyszłam dziś do pana, bo już wiem, która z pracownic przekazywała projekty Lowensteinowi.

Wzruszył ramionami.

– A jakie to ma teraz znaczenie, panno Murphy? W tym roku Lowenstein i tak wygra ze mną wyścig.

– Przyszłam również po swoją zapłatę.

To wytrąciło go z równowagi.

– Po zapłatę?! Spodziewa się pani, że jej zapłacę? Teraz? Właśnie zostałem na bruku bez żadnych dochodów!

– Musi pan mieć jakieś dochody, skoro wyjeżdża z małżonką na Florydę!

– Ależ, panno Murphy, z pewnością pani rozumie, że...

– Panie Mostel – przerwałam mu. – Czy dobrze pamiętam, że mnie pan zatrudnił? Chciał pan, żebym znalazła szpiega w pańskiej szwalni. Podaliśmy sobie ręce, pieczętując umowę. Tak czy nie?

– Owszem, panno Murphy, ale okoliczności się zmieniły.

– Z tego, co pamiętam, miałam namierzyć zdrajcę. I to zrobiłam.

– W takim razie proszę mi podać imię tej dziewczyny, przekażę je policji.

– Trudno będzie cokolwiek dowieść, panie Mostel. Dowody spaliły się w pożarze, który, nawiasem mówiąc, wybuchł z powodu przestarzałego i wadliwego systemu grzewczego w pańskiej szwalni.

Z zadowoloną miną rozłożył ręce.

– I chce pani, żebym bez dowodów zapłacił jej wynagrodzenie?

Kiwnęłam głową.

– Tak. Bo wiem, że taka sytuacja się więcej nie zdarzy.

– Oczywiście, że się nie zdarzy. Przenoszę szwalnię na Brooklyn.

– W takim razie powiem panu, w jaki sposób wykradano z firmy projekty. Taka wiedza może się przydać na przyszłość.

– Tak? – Popatrzył na mnie wyczekująco.

– Pewnie chciałby pan, by rodzina wciąż uważała pana za człowieka honoru – dodałam jeszcze.

Zamilkł na chwilę, a potem westchnął ciężko.

– W porządku, panno Murphy. Chce pani ze mnie wyciągnąć ostatnie pieniądze i sprawić, że cała moja rodzina umrze z głodu. Proszę bardzo. Proszę mnie zrujnować. Wyślę czek, jeśli przedstawi mi pani rachunek.

– Jeśli będzie pan łaskaw podać mi papier i pióro, chętnie od razu wypiszę rachunek, panie Mostel. Oszczędzę panu fatygi.

Opieszale podniósł się z krzesła.

– Dobrze, panno Murphy, proszę chwilę poczekać.

Poczekaliśmy, a kiedy wrócił z tacą, na której leżał papier i stał kałamarz z atramentem, napisałam: *Rachunek wystawiony przez firmę J.P. Riley i Partnerzy, zlecenie wykonane przez Molly Murphy. Kwota do zapłaty 100 dolarów za zdemaskowanie szpiega w pracowni włókienniczej pana Mostela.*

Mostel siedział zapatrzony w rachunek.

– Umówiliśmy się na sto dolarów, panno Murphy?

– Tak, panie Mostel, myślę, że świetnie pan pamięta.

– Ale mówi pani, że nie ma dowodów, a praca jest tylko w połowie zakończona, prawda? W takim razie powinniśmy zmienić kwotę na pięćdziesiąt dolarów.

– Umówiliśmy się na sto dolarów, panie Mostel.

– Zrzuja mnie pani.

Wyciągnął książeczkę czekową i zastygł z ręką w górze.

– W jaki sposób wykradano te projekty?

– Robiła to dziewczyna, której nikt by nie podejrzewał. Cicha, spokojna, taka szara myszka. Zachowywała się zawsze wzorowo, więc kiedy prosiła o możliwość wyjścia do toalety, pański zastępca nigdy nie oponował. Tam, skąd przyjechała, studiowała rysunek. A jej siostra pracowała u Lowensteina. Ta dziewczyna potrafiła w try miga skopiować pańskie projekty. Jest bardzo utalentowana. Właściwie mógłby ją pan zatrudnić do pomocy przy kreśleniu.

– Nigdy nie zatrudniłbym kogoś, kto zawiódł moje zaufanie – odparł. – Prawdę mówiąc, jestem szokowany, że jedna z moich pracownic tak strasznie mnie oszukała. Traktowałem je przecież wszystkie jak własne córki. Serce mnie boli, panno Murphy.

Powstrzymałam się od komentarza na temat traktowania pracownic i warunków pracy w szwalni. Bardzo chciałam otrzymać swoją zapłatę.

– Jeśli otworzy pan firmę na nowo, panie Mostel, proszę pamiętać o stworzeniu lepszych warunków swoim pracownikom. I proszę zrezygnować z zasady, która zabrania zatrudniać członków tej samej rodziny. Nie będzie ich korciło, by pana oszukiwać – powiedziałam, a kiedy jego ręka wciąż wisiała w powietrzu nad czekiem, dodałam: – Umawialiśmy się na sto dolarów, panie Mostel.

Obserwowałam, jak starannym, okrągłym pismem wypełnia czek. Osuszył go i po chwili mi wręczył.

– Proszę nie rozpowiadać, że Max Mostel nie dotrzymuje raz danego słowa.

– Dziękuję. – Włożyłam czek do torebki i wstałam z miejsca. – Do widzenia panu. – Wyciągnęłam dłoń. – Robienie z panem interesów to prawdziwa przyjemność.

– Do widzenia, panno Murphy – odparł i osobiście odprowadził mnie do drzwi.

Z lekkim sercem i czekiem na sto dolarów w torebce wskoczyłam do tramwaju jadącego na Lower East Side. Zamierzałam odwiedzić Jacoba w jego atelier przy Rivington Street.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał, ujrawszy mnie na progu.

– W jak najlepszym. Spójrz tylko, mam czek na sto dolarów. Możemy pójść razem do banku, w którym go zdeponuję, a potem zapraszam cię do restauracji. Ale mam jeszcze prośbę. – Zaśmiałam się na widok wyrazu jego twarzy i wślizgnęłam do środka. – Uważam, że jako naoczny świadek powinnam opowiedzieć gazetom całą historię pożaru. Dzięki temu wszyscy się dowiedzą, jak traktowani są robotnicy w przemyśle włókienniczym. Szkoda, że tego dnia nie miałeś przy sobie aparatu.

Uśmiechnął się zażenowany.

– Miałem w kieszeni małego kodaka, ale tak się o ciebie bałem, że zapomniałem z niego skorzystać.

– Ach, Jacob! Jesteś uroczy! – Rzuciłam mu się na szyję.

– To kiedy się pobierzemy? – zapytał, obejmując mnie w talii.

– Nie możemy się spieszyć. To zbyt ważna decyzja. Pobądźmy trochę ze sobą i lepiej się poznajmy.

– Dobrze, ale musisz wiedzieć, że ja jestem pewien swoich uczuć, odkąd cię ujrzałem.

– Chodzi o to, by swatka przestała ci proponować nudne, pobożne dziewczęta, co? – zażartowałam.

Potrząsnął głową.

– Nigdy wcześniej do żadnej dziewczyny niczego podobnego nie czułem. Nie wierzyłem, że może mnie spotkać takie szczęście. Czy to będzie bardzo niewłaściwe, jeśli spróbuję cię pocałować?

– Pocałunek zupełnie zrujnuje mi reputację, jak pewnie wiesz – odparłam. – Ale ponieważ przyszedłam do ciebie sama i moja reputacja już ucierpiała, pozwolę na szybkie cmoknięcie w policzek.

Jego usta dotknęły mojej twarzy. Broda dziwnie załaskotała w policzek. Odsunęłam się ze śmiechem.

– Twoja broda... Łaskocze...

– W takim razie specjalnie dla ciebie ją zgolę.

– Nie zrobisz tego. Uważam, że świetnie wygląda. Przyzwyczaję się do niej – obiecałam. – Ale już dość tych flirtów. Chcę, żebyś pomógł mi napisać artykuł. Będiesz wiedział, jak go wykorzystać, prawda?

Spędziliśmy wspólnie przyjemną godzinę, przygotowując tekst, a potem przekazaliśmy go na Herald Square jednemu ze znajomych Jacoba, który pracował w gazecie. Wydawał się bardzo zainteresowany tematem, zadał parę dodatkowych pytań, a na końcu poprosił, żeby Jacob zrobił mi zdjęcie.

– Chciałabym pozostać anonimowa, jeśli to nie problem – zaznaczyłam. – Chcę, by świat dowiedział się o warunkach, w jakich pracują szwaczki, a nie o moim istnieniu.

Poszliśmy do banku zdeponować czek, a potem na zasłużony obiad do restauracji. zaproponowałam

Delmonico, ale Jacob rozsądnie skierował mnie w stronę francuskiego bistro tuż przy Union Square. Ku przerażeniu swojego towarzysza uparłam się, żeby zapłacić. W drodze powrotnej przeszliśmy obok sklepu Wanamakera, zachwycając się wystawą z delikatesami spożywczymi – puszkami i butelkami z całego świata, przysmakami, o jakich nie miałam pojęcia. Podobnie zresztą jak o francuskich jedwabnych pończochach i najrozmaitszych akcesoriach do makijażu. W końcu, około piątej po południu, zmęczona, ale szczęśliwa dotarłam do domu. Jacob pobiegł na jakieś spotkanie związkowców.

– Jak się macie? – zapytałam, wieszając pelerynę na kołku.

Żadnej odpowiedzi. Szelma pewnie bawi się na dworze z chłopakami albo w zamian za parę groszy pomaga sąsiadom załatwiać różne sprawy – pomyślałam. Jednak Bridie i Seamus na ogół byli na miejscu. Zapaliłam światło w kuchni i rozejrzałam się po domu. Ani żywej duszy.

Potem zauważyłam, że na podłodze przy drzwiach leży kartka, którą ktoś wrzucił przez otwór na listy. Podniosłam ją i podeszłam do lampy. Krzywe litery układały się w następującą wiadomość:

Jeśli chcesz jeszcze kiedyś zobaczyć dziewczynkę, Katherine musi stawić się dzisiaj o ósmej wieczorem na Delancey Street. Oddam dziecko pod warunkiem, że moja żona przyjdzie sama.

Przez chwilę spoglądałam w zadumie na list, mając nadzieję, że słowa ułożą się w inne zdania. Skup się, Molly – upomniałam samą siebie, starając się powstrzymać galopujące myśli. Najprościej byłoby wysłać Katherine w wyznaczone miejsce i kazać Michaelowi oddać Bridie. Przecież chyba nie skrzywdzi żony? Tylko że ona nie będzie chciała do niego pójść! Jeśli powiem wszystko policji, życie Bridie znajdzie się w niebezpieczeństwie. Michael pewnie ją zabije, jak tylko zauważy policyjną czapkę. A może raczej powinnam zakryć głowę szalem i liczyć na to, że w ciemności weźmie mnie za Katherine. Mogłabym wtedy wyrwać mu Bridie i spróbować jakoś odwołać się do jego uczuć. Pozwoliłabym mu uciec i obiecała, że nikomu nie powiem o całym zdarzeniu. Może nawet kupiłabym mu bilet na pociąg.

Chodziłam nerwowo po kuchni, wyglądając raz po raz obrus na stole, odkładając rzeczy na miejsce i starając się pozbierać myśli. Ale nie mogłam. Jak uratować Bridie? Tylko to się liczy! Ten mężczyzna jest przecież mordercą. Z zimną krwią zabije dziewczynkę albo z nią ucieknie. Jednak nie chciałam, by zakładniczką stała się Katherine, ja czy ktokolwiek inny.

Co może mi grozić? Delancey Street, z tego, co pamiętałam, to ruchliwa ulica. Jeśli krzyknę, ktoś z pewnością pospieszy mi na pomoc. O ósmej wieczorem sklepy są jeszcze otwarte; robotnicy wracają do domów, w barach jest tłoczno. W gruncie rzeczy dziwne, że akurat takie miejsce wybrał na spotkanie – pomyślałam. Może liczy na to, że łatwo wtopi się w tłum i nikt go nie znajdzie w drodze powrotnej na Lower East Side?

Zdjęłam szal z wieszaka i owinęłam nim głowę, starannie przykrywając wszystkie rude kosmyki. Na szczęście miałyśmy podobny wzrost i figurę. Postanowiłam, że jeśli uda mi się podejść blisko Michaela, zacznę głośno krzyczeć. Przechodnie pomogą mi odebrać mu dziecko. Pewna, że postępuję właściwie, napisałam szybko liścik do Seamusa i Szelmy: *Jestem z Bridie. Nie martwcie się. Zaraz wracamy. Całuję. Molly.* Nie ma sensu ich niepokoić – uznałam.

Potem wyszłam i zamknęłam za sobą drzwi. Noc była wilgotna, zimna i wietrzna. Znad East River nadciągała mgła, która mogła się okazać moim sprzymierzeńcem. Kiedy szłam Patchin Place, usłyszałam nagle za sobą przyspieszone kroki. Odwróciłam się i ujrzałam Katherine.

– Poczekaj, Molly! – zawołała. – Dokąd idziesz?

– Nigdzie. Na spacer tylko.

Dobiegła i spojrzała mi prosto w oczy. Na twarzy miała wymalowaną trwozę.

– Czekałam na ciebie. Był tu dzisiaj. Widziałam go. Wrzucił ci coś przez drzwi. O co mu chodzi?

Błagam, powiedz mi całą prawdę!

– Nie chciałam ci mówić – odparłam, wręczając jej kartkę z wiadomością. – Ale skoro pytasz, nie będę kłamać.

Podniosła kartkę pod światło lampy, przeczytała i westchnęła.

– Zabrał małą?

– Tak, tę dziewczynkę, która ze mną mieszka.

– Rzeczywiście, miał worek na plecach, ale nie sądziłam.. Co zamierzasz zrobić? Chyba nie pójdziemy na policję. Wtedy ją zabije.

– Idę zamiast ciebie na spotkanie. Wyrwę mu dziecko i wtopię się jakoś w tłum na Delancey Street. O tej porze będzie tam dużo ludzi.

– Nie zrobisz tego – powiedziała Katherine tonem nieznoszącym sprzeciwu. Wyglądała teraz zupełnie jak na zdjęciu, które przesłał mi jej ojciec. – Zrobimy wymianę. Jeśli Michael chce mnie ze sobą zabrać, nie będziemy stawiały oporu. To moja wina. To ja zdecydowałam się z nim uciec. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.

– Ale wtedy nie wiedziałas jeszcze, jaki jest naprawdę.

Uśmiechnęła się smutno.

– Kiedy chce, potrafi być bardzo czarujący. Nie znam nikogo podobnego.

– Ale nie chcesz do niego wrócić, prawda?

– Oczywiście, że nie. Przecież z zimną krwią zabił twoją znajomą, a do tego w ogóle nie przejął się śmiercią naszego dziecka. Nie potrafię go już kochać.

– W takim razie pozwól, że pójdę za ciebie.

– W żadnym wypadku. Mnie nie skrzywdzi. Nic mi się nie stanie, jestem tego pewna.

– No to chodźmy razem, trudno. Poczekam w tłumie; jeśli mi się uda, wyrwę mu Bridie. A jeśli będzie chciał cię chwycić, krzycz i rób rwetes.

Kiwnęła głową.

– Dobrze. W porządku. Szczerze mówiąc, cieszę się, że pójdziemy razem. Przez ostatnie tygodnie nie miałam się do kogo zwrócić o pomoc. Przy sobie miałam tylko Michaela i tych jego koleśki, bandziorów od Eastmana. Czuję się jak w piekle.

– Wiele przeszłaś. – Objęłam ją ramieniem. – Ale pamiętasz? Uciekłyśmy z pożaru. I teraz damy radę. Zobacz, że wcale się go nie boimy.

– Prawdziwe z nas wojowniczkę. Nie warto z nami zadzierać. – Katherine dumnie odrzuciła głowę.

Równym krokiem pomaszerowałyśmy w kierunku Delancey Street. Tak jak przypuszczałam, już na skrzyżowaniu z Bowery było tłoczno i gwarno.

– Jesteśmy na końcu tej ulicy – zauważyłam.

– Albo na początku – odparła Katherine.

Stanęłyśmy z boku, wypatrując w tłumie Michaela. Ludzie spieszyli się po pracy do domu albo uciekali przed zimnem. Mgła unosiła się nad chodnikiem, otulając lampy i zadaszenia nad sklepami. Zegar w pobliżu wybił trzeci kwadrans. Może Michael jeszcze nie przyszedł?

– Powinnyśmy przenieść się na drugi koniec ulicy – zasugerowała Katherine. – Mam wrażenie, że chodziło mu o tamtą okolicę. To logiczne. Pewnie planuje ucieczkę przez port. Tam jest pusto; nie ma przechodniów, więc nikt niczego nie zauważy.

Byłam tak przejęta, że wcześniej o tym nie pomyślałam. Przecież Delancey kończy się w porcie! Łatwo ukryć dziecko pomiędzy skrzyniami, które czekają na załadunek. Łatwo wrzucić małą dziewczynkę do rzeki, kiedy nikt nie patrzy!

– No to się pospieszmy – powiedziałam. – Może złapiemy go po drodze, zanim dojdzie do portu.

Puściliśmy się biegiem po zatłoczonej ulicy, mijając wózki, konie, płaczące się pod nogami maluchy i góry śmieci. Ulica była dwa razy dłuższa, niż sądziłam. Żałowałam, że nie wiem, gdzie w tej chwili jest Jacob. Żałowałam, że nie poprosiłam Daniela o pomoc. Żałowałam, że jesteśmy tu we dwie zupełnie same. Kiedy zbliżyłyśmy się do rzeki, tłum rzeczywiście zmalął. Nie było już otwartych sklepów, świateł ani przechodniów. Mgła zgęstniała. Słysząc tylko sygnały wysyłane przez statki na rzece. Potem mgła nagle się uniosła i odsłoniła przede mną coś strasznego, a po chwili znów opadła. To, co zobaczyłam, zaparło mi dech w piersi. Potwór z najgorszych dziecięcych snów wyciągał w moją stronę swoje wielkie łapska. Po chwili, z żołądkiem wciąż ściśniętym ze strachu, przypominałam sobie, co to takiego. Zrozumiałam, dlaczego Michael wybrał Delancey spośród wszystkich innych ulic! Przed nami wyłaniała się wieża, którą stawiano przy nowym moście nad East River.

Katherine chyba myślała o tym samym.

– Jeszcze nie zbudowali całego mostu, prawda? – zapytała.

– Tylko wieże i szkielet. Drogi wciąż nie ma.

– W takim razie nie można przedostać się na drugi brzeg. To dobrze. Michael pewnie myślał, że zdoła uciec z Nowego Jorku, bo most jest już skończony.

– Jeśli jest linoskoczkiem..

Kiedy podeszłyśmy bliżej, przykrył nas cień gigantycznej wieży. Nad nami sterczały stalowe belki rusztowania, pnące się w górę, ku niebu.

– Poczekajmy tutaj – zaproponowała Katherine. – Stanę na środku ulicy, tak by od razu mnie zauważył.

Ty odejdz dalej.

Skinęłam głową i znalazłam schronienie pod jakimś dachem. Katherine przechadzała się tam i z powrotem. Poprawiłam płaszcz, ale i tak trzęsłam się z zimna. Mgła szczelnie otulała port, a odgłosy ulicy dobiegały jakby z zaświatów. Zdziwiłam się, że jest tu tak cicho i spokojnie, podczas gdy zaledwie parę kroków dalej miasto tętni życiem.

Katherine wciąż chodziła w tę i we w tę, starając się rozruszać zziębnięte nogi. Nagle zatrzymała się i nadsłuchując, przechyliła głowę.

Wyszłam ze swojego ukrycia i wtedy usłyszałam coś dziwnego.

– Pomocy! Błagam, pomocy! – wołał cienki głosik, unoszony przez mgłę nad naszymi głowami.

Stanęłam obok Katherine, zastanawiając się, skąd on może dochodzić.

– To Bridie – szepnęłam. – Gdzie ona jest?

– Gdzieś tam na górze – odparła cicho Katherine. – Czyżby siedziała na wieży?

– Ale jak się tam znalazła?

Podeszłam bliżej, wpatrując się w rusztowania. Czyżby Michael ją tam zaniósł? Już po chwili znałam odpowiedź, bo wśród desek dostrzegłyśmy prowizoryczne drewniane schody. Wejścia na nie strzegła furtka, lecz najwyraźniej ktoś wyłamał zamek i teraz stała otworem.

– Wejść na górę – powiedziała Katherine. – Pewnie Michael tam na mnie czeka.

– Skoro zostawił dziecko, raczej po ciebie nie przyjdzie – zauważyłam. – Idziemy razem.

Wzięłyśmy się za ręce i ostrożnie wspięłyśmy po schodach. Już na pierwszym piętrze ogarnęła nas całkowita ciemność. Nie dochodziły tu żadne światła, jedynie delikatna pomarańczowa poświata z ulicy na dole. Po omacku wchodziłyśmy dalej. Osiem stopni w jednym kierunku, potem drugie osiem w przeciwnym; zygakiem wspinałyśmy się coraz wyżej. Nogi zaczęły mi się trząść ze zmęczenia. Czy ta wędrówka nigdy się nie skończy?

W pewnej chwili domyśliłam się, że schody przechodzą w jakąś platformę. Poczułam powiew ostrego wiatru i już nie wyczuwałam żadnej ściany czy poręczy. Chwyciłam dłonią za zimny pręt rusztowania.

Głos Bridie słyszeć było coraz wyraźniej. Przerazone dziecko prosiło o pomoc!

– Niech ktoś mi pomoże!

– Jest tutaj – szepnęłam do Katherine.

Ale jakim cudem? Widziałam przecież w świetle dnia, że mostu jeszcze nie ma, z rusztowania zwisały tylko jakieś liny i sznurki. Kiedy na moment przewiało mgłę, zobaczyłam przed sobą wąskie przejście z desek, nie szersze niż na długość stopy, ułożone pod linką, prowadzące od wieży w kierunku drugiego brzegu. Ścieżka dla robotników – pomyślałam. Przed sobą widziałam zaledwie na parę metrów, ale dostrzegłam na tej ścieżce drobną postać.

Nie zastanawiając się dłużej, zawołałam:

– Już dobrze, skarbie! To ja, Molly. Idę po ciebie.

Zwróciłam się do Katherine:

– Zostań na czatach. Daj mi sygnał, jeśli usłyszysz, że Michael się zbliża.

Potem wzięłam głęboki wdech i stanęłam na kładce. Poruszyła się gwałtownie pod moim ciężarem, zachybotała, więc mocno przytrzymałam się sznurków na wysokości talii, dających złudzenie asekuracji. Były cienkie i delikatne, zupełnie jak nitki babiego lata. Od strony niewidocznej rzeki napływał wilgotny zimny wiatr. Wpatrywałam się w ciemność przed sobą, próbując dostrzec zarys sylwetki mężczyzny, ale wydawało się, że Bridie jest zupełnie sama. Czyżby zmienił zdanie i zostawił ją tutaj?

– Molly – chlipała dziewczynka. – Boję się. Nie mogę się ruszać. Ten człowiek powiedział, że po mnie wróci, ale już się nie pojawił.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – uspokoiłam ją, starając się zachować beztroski ton. – Zejdziemy razem na dół i wrócimy do domu.

Krok za krokiem przysuwałam się coraz bliżej Bridie. Stała bokiem, obydwoma rękami mocno trzymając się sznurka. Ostrożnie podeszłam bliżej, objęłam ją mocno i ucałowałam.

– Widzisz, to naprawdę ja. Jesteś już teraz bezpieczna – szepnęłam. – Musimy tylko powolutku dotrzeć do wieży i zejść na dół.

– Ale ja nie mogę – odparła. – Nie mogę się ruszyć.

Przez moment pomyślałam przerażona, że ją związał, ale po chwili Bridie dodała:

– Boję się, że spadnę.

– Nie spadniesz. Zobacz, pójdziemy powolutku. Jeden krok, potem drugi. Rób tak jak ja.

Zaczęłam wolno przesuwać się do przodu. Czułam, jak kładka buja się pod moimi stopami. Byłam tak skupiona na marszu, że patrzyłam tylko pod nogi. Nagle Bridie krzyknęła.

Podniosłam głowę. Parę kroków od nas stał Michael Kelly. Przed sobą trzymał Katherine. Jedną rękę zaciskał na jej szyi, drugą zakrywał usta.

– Mam cię, Katherine – powiedział. – Pamiętasz, co ci mówiłem? Potrafię zastawiać pułapki, prawda? Na farmie twojego ojca złapałem w ten sposób wiele szcurków, pamiętasz?

Pchał ją przed sobą w naszym kierunku, a Katherine próbowała się oswobodzić.

– Nie mogłem uwierzyć, że mnie wydałaś. Ty, moja żona? Obiecałaś mi szacunek, miłość i posłuszeństwo.

Katherine najwyraźniej uwolniła się z uścisku, bo usłyszałam, jak mówi:

– Nasze małżeństwo to fikcja, Michaelu. Jesteś oszustem; wykorzystałeś mnie.

– Wyraźnie prosiłem, żebyś przyszła tu sama, Katherine. Wtedy mała byłaby bezpieczna. A my, zanim ktokolwiek by się zorientował, ucieklibyśmy na Brooklyn. Teraz mamy pewien problem, bo trzeba najpierw zająć się tą dwójką.

Nie byłam aż tak głupia, by nie zrozumieć, co ma na myśli. Czy można przeżyć upadek z mostu do wody? W dodatku nie wiedziałam, jak wysoko się znajdujemy ani czy pod nami jest już woda, czy jeszcze ląd.

– Dlaczego mam z tobą uciekać? – zapytała Katherine. – Nie kochasz mnie. Poza tym sam uciekniesz

szybciej.

– Jesteś zakładniczką, kwiatuszku.

Popchnął ją w moją stronę. Kładka gwałtownie się zakołysała. Bridie jęknęła. A potem po raz pierwszy w życiu stanęłam twarzą w twarz z Michaelem Kellym. Patrzył na mnie bezczelnie, z aroganckim uśmiechem. Przystojny i pewny siebie – pomyślałam. Najwyraźniej był zadowolony, że dałam się nabrać. Próbowałam pozbierać myśli. Jak mam ochronić przed upadkiem siebie i dziecko, przytrzymując się tylko poręczy z babiego lata?

– Jakim cudem znalazłeś nas w Greenwich Village? – zapytałam, grając na zwłokę.

– Bułka z masłem. – Uśmiechnął się pyszałkowato. Najwyraźniej bawiła go ta sytuacja. – Przecież to Eastmansi rządzą w mieście. Wszystko o tobie wiedzą.

Poczułam, jak Bridie przywiera do mnie swoim drobnym ciałkiem, i przestraszyłam się, że jeśli ja zginę, zginie również ona.

– Bridie – nakazałam jej szeptem – cały czas trzymaj się mocno liny i nie ruszaj się, dopóki nie dam ci jakiegoś znaku.

Michael puścił Katherine, żeby podejść do mnie jeszcze bliżej.

– Czekać tu na mnie! – krzyknął, odwracając się w jej stronę. – Nie musisz mi pomagać, tylko zostań na miejscu. Nie chcę cię skrzywdzić, ale jeśli nie będę miał wyboru...

– Proszę nas puścić – powiedziałam najbardziej błagalnym tonem, na jaki było mnie stać. – Przecież nic złego nie zrobiliśmy. Przynajmniej pozwól mi odprowadzić małą do wieży.

– Nic złego? Narobiłaś mi masę kłopotów – odparł i znieacka zaatakował.

Na szczęście byłam na to przygotowana. Podczas wymiany zdań z Michaelem podniosłam spódnicę i związałam ją na takiej wysokości, by móc swobodnie ruszać nogami. Kiedy się do mnie zbliżył, mocno chwyciłam się liny i jak muł wyrzuciłam jedną nogę do tyłu, posyłając mu mocnego kopniaka. Usłyszałam głośny świst powietrza i domyśliłam się, że moja noga pofrunęła wystarczająco wysoko, by wyrządzić napastnikowi krzywdę. Kiedyś w podobny sposób powaliłam brata na kolana. Michael przez moment łapał równowagę, a potem sięgnął po stopę, która wymierzyła mu kopniaka. Zacisnął palce na mojej kostce tak mocno, że omal nie straciłam równowagi. Przytrzymałam się linki, kiedy z całej siły zaczął mnie ciągnąć w swoją stronę. Bridie krzyczała, mostek kołysał się niemiłosiernie, a potem stało się najgorsze. Michael spadł w przepaść, wciąż trzymając mnie mocno za nogę.

– Pomóżcie mi wejść z powrotem! – wrzasnął. – Jeśli spadnę, polecicie w dół razem ze mną. Już o to zadbam.

W głowie kotłowały mi się różne myśli. Nie miałam pojęcia, jak uwolnić nogę z jego uścisku, nie tracąc tym samym równowagi. Michael wykorzystał te kilka sekund mojego niezdecydowania, drugą ręką złapał się mocno desek i wciągnął na mostek.

– Same z tobą problemy – wycharczał, wstając. – Dlaczego po prostu nie zostawiłaś nas w spokoju? Byłem skłonny oddać ci tę małą, ale teraz już tego nie zrobię. – Zwrócił się do stojącej nieco dalej

Katherine: – Kiedy dam sygnał, wspólnie ją zrzucimy.

– Nie – odparła. – Nie, Michaelu. Nie będę ci już więcej pomagać.

– Nie bądź głupia! Nie myśl sobie, że uda ci się wyłgać. Powiem policji, że to ty mnie błagałaś, bym zabił tę kobietę. Powiem, że zrobiłem to na twoje życzenie.

– Dobrze, że mi o tym przypominasz – odparła Katherine. – Kiedyś wszystko bym dla ciebie zrobiła, Michaelu, ale teraz już nie. Naprawdę cię kochałam. Bez wzajemności, wiem dobrze. Masz jeszcze czas, uciekaj, proszę. Zrób to dla mnie.

– Dla ciebie? Nie będę nic robił dla ciebie. Jeśli nie chcesz mi pomóc, w porządku. Sam dam sobie radę. Dwie wrzeszczące dziewczynki... Myślisz, że ich nie załatwię? Ale wierz mi, pożałujesz.

Katherine popatrzyła na niego zadziornie.

– W takim razie dwie na jednego. Pomogę jej, nie tobie. Prawdopodobnie spadniemy wszyscy razem.

W tym samym momencie na wieży błysnął płomień światła. Ktoś torował sobie drogę we mgle.

– Policja! Wiemy, że tam jesteś, Kelly!

– Zrobicie jeden krok w moją stronę, a zrzucę je wszystkie na dół. Obiecuję! – wrzasnął Michael.

– Jesteś na naszym celowniku. Wcale nie musimy się do ciebie zbliżyć! – odkrzyknął ktoś z wieży. – Podejdź do nas spokojnie albo już nie żyjesz.

Michael chwycił Katherine za rękę.

– Chodź ze mną – poprosił. – Damy radę, uciekniemy stąd. Jeśli cię złapią, pójdiesz do więzienia. Odeślą cię do domu.

– Lepiej szybko uciekaj – odparła spokojnie.

– Katherine, błagam. – Wyciągnął dłoń.

Odrzuciła ją.

– Uciekaj, Michael.

Zerknął w kierunku światła, potem szybko wyminął mnie i Bridie. Trzymałam mocno dziewczynkę, bojąc się, że może zechce nas zrzucić, uciekając, albo znów zabierze Bridie jako zakładniczkę. Ale niepotrzebnie się martwiłam. Strasznie się spieszył i prawie w ogóle nie zwracał na nas uwagi.

– Stój, Kelly! Nie ruszaj się! – zabrzmiał głos za nami.

Michael gwałtownie ruszył przed siebie, chwiejąc się i potykając na kładce. Po chwili zniknął we mgle.

– Proszę się pochylić, moje panie! – usłyszałyśmy.

Nad naszymi głowami zaświstała najpierw jedna kula, a zaraz po niej druga. Michael zachwiał się, a potem, jakby na zwolnionych obrotach, przewrócił i zniknął w ciemności. Nawet nie usłyszałyśmy, jak ciało uderza o powierzchnię wody.

Mocne ramiona pomogły nam dojść bezpiecznie do schodów. Nawet stojąc na pewnym gruncie, wciąż czułam chybotanie.

– Już dobrze – powiedział jeden z policjantów. – Macie szczęście, że dotarliśmy na czas i że Higgins jest takim wytrawnym strzelcem.

Drugi mężczyzna wyciągnął ręce, by podnieść Bridie. Krzyknęła przerażona.

– Nie bój się, skarbie. Panowie chcą nam pomóc – uspokoiłam ją. – Zaniosą cię na dół. Będziemy szły tuż za tobą.

– Chwileczkę – odezwała się Katherine. – Kręci mi się w głowie. Muszę na chwilę usiąść.

– Tak się kończy noszenie gorsetów – skomentowałam i podprowadziłam ją do schodów.

Usiadłyśmy na stopniu.

– To znaczy, że ty ich nie nosisz?

– I nigdy nie nosiłam.

– A nie trzęsie ci się wszystko w środku? Mama mówiła, że to okropne uczucie, kiedy nie założy się gorsetu.

– Nigdy mi się to nie przydarzyło – odparłam. – Głowa do dołu, dopóki nie zrobi ci się lepiej.

– Dziękuję, Molly.

Przykucnęłam obok i położyłam jej dłoń na ramieniu.

– To było straszne, prawda? – szepnęła.

– Okropne – przyznała. – Zwłaszcza dla ciebie.

– Dla mnie? To ciebie chciał zabić!

– Ale to ty go kiedyś kochałaś – zauważyłam. – Ja po prostu ratowałam swoje życie.

– Trudno mi uwierzyć, że... – Nie dokończywszy zdania, zakryła dłonią usta. – Myślałam, że już jestem silna i odważna, ale...

– Byłaś niezwykle dzielna. Tam, na górze, musiałaś dokonywać wyborów. Rodzice byliby z ciebie bardzo dumni.

– Ale nie zamierzam do nich wracać – odparła i nagle podniosła głowę, a potem wstała. – Już mi lepiej. Zejdźmy, proszę.

Kiedy powoli schodziłyśmy, zobaczyłam, że w naszą stronę pędzi po schodach mężczyzna, biorąc po dwa stopnie naraz. W lichym świetle dostrzegłam ciemne kręcone włosy i przeszło mi przez myśl, że to Michael Kelly jakimś cudem przeżył strzelaninę i upadek. Kiedy mężczyzna podszedł bliżej, rozpoznałam go.

– Daniel!

– Dzięki Bogu, że jesteś bezpieczna – powiedział na mój widok. Wziął mnie w ramiona, próbując złapać oddech.

– Przybiegłem, jak tylko mi powiedzieli, co się dzieje – dodał i spojrzał na Katherine. – Panna Faversham? Jestem Daniel Sullivan, kapitan nowojorskiej policji. Cieszę się, że nic się pani nie stało. A co z Kellym?

– Higgins go zastrzelił, proszę pana. Ciało spadło do wody – poinformował Daniela jeden z policjantów.

– Dobra robota, chłopcy. Mała jest już bezpieczna na dole. Przekazałem ją bratu.

– Bratu? A co on tutaj robi? – zapytałam.

– To on przybiegł do mnie z informacją – odparł Daniel. – Sprytny dzieciak. Wrócił do domu jeszcze przed tobą, zauważył list od Kelly’ego i natychmiast popędził na posterunek. Niestety, byłem w mieście, ale wysłano po mnie policjanta i przydzielono strzelców na most.

– Dałybyśmy radę bez twoich ludzi – zapewniłam go. – Ja i Katherine miałyśmy wszystko pod kontrolą.

– Aby na pewno? – Daniel popatrzył na mnie kąpiąco.

– Oczywiście – odparłam. Uniosłam spódnicę i energicznie zesłam z ostatniego stopnia na ziemię.

Kiedy znaleźliśmy się pod wieżą, okazało się, że zebrał się tam tłum gapiów. Przez chwilę szukałam Bridie wzrokiem. Stała obok brata, mocno trzymając go za rękę.

– Molly! – zawołali na mój widok i biegiem rzucili się w moją stronę.

Uklękałam i przytuliłam ich mocno do siebie, bez powodzenia hamując łzy, które spływały mi po policzkach.

– Widzisz? – zwróciłam się, szlochając, do Szelmy. – Widzisz, jak dobrze jest chodzić do szkoły? Potrafiłeś przeczytać wiadomość!

Śmialiśmy się i płakaliśmy jednocześnie. Daniel stał z boku i bacznie się nam przyglądał. Wstałam.

– Musimy szybko dostać się do domu. Jest strasznie późno.

– Dorożka już czeka. – Wziął mnie pod ramię i przeprowadził bezpiecznie przez tłum gapiów.

– Proszę pana, a zeznania? – zapytał jeden z policjantów.

– Nie teraz, Higgins. Rano. Wracaj na posterunek i napisz sprawozdanie. Przyjadę, jak tylko będę mógł.

Pomógł nam wsiąść do dorożki. Ja wzięłam Bridie na kolana, a Katherine Szelmę. Daniel usiadł obok mnie. Wyraźnie czułam jego obecność. Czy te głupie myśli, które pojawiają się zawsze wtedy, gdy jest tak blisko, kiedykolwiek dadzą mi spokój? Gładziłam Bridie po włosach i udawałam, że Daniel ani trochę mnie nie obchodzi.

– Czy powiesz mi łaskawie, dlaczego w ogóle postanowiłaś wspiąć się na tę wieżę, wiedząc, że jest na niej człowiek pokroju Kelly’ego? – zapytał w końcu.

– Prosta odpowiedź – odparłam. – Miał Bridie.

– Mogłaś przyjść do mnie po pomoc, tak jak zrobił to Seamus.

– Bałam się, że Kelly ją skrzywdzi, jak tylko zobaczy policjanta – wyjaśniłam. – Poza tym nie miałam pojęcia, że ukryje ją w takim miejscu. W wiadomości napisał „koniec ulicy Delancey”. Nie sądziłam, że ma na myśli ten most w budowie.

– Kolejna przestroga, Molly – zauważył Daniel. – Mam nadzieję, że najadłaś się tam na górze strachu. Może wreszcie poszukasz sobie bardziej odpowiedniego zajęcia.

– Chodzi ci o posadę damy do towarzystwa? – zapytałam, odwracając się od niego. – Ta praca złamała mi serce.

– Świetnie się spisałeś, Seamus. – Daniel zmienił wątek i pochylił się w moją stronę, by zmierzić chłopcu włosy. – Ojciec będzie z ciebie dumny. Tak trzymaj, a jak podrośniesz, będę mógł cię zatrudnić w roli gońca.

– Naprawdę? – Seamus spojrział na niego z niedowierzaniem. – A ile muszę mieć lat?

– Musisz jeszcze pochodzić do szkoły, żebyś mógł czytać dłuższe listy, w których są czasem trudne słowa – powiedziałam i zobaczyłam, że Daniel się uśmiecha.

– Panno Faversham, gdzie mamy panią zawieźć? – zapytał Daniel.

– Mieszka naprzeciwko, z moimi przyjaciółkami – wyjaśniłam.

– Ach, tak. Wspaniale – odparł. – Jeśli pani pozwoli, dodam tylko, panno Faversham, a raczej pani Kelly, że jest pani bardzo odważną kobietą. To, co się dzisiaj wydarzyło, można nazwać cudem. Mężczyzna, którego pani poślubiła, był groźnym przestępcą ściganym przez policję, zarówno tutaj, jak i w Irlandii. Gdyby pani z nim została, wkrótce wciągnąłby panią do jednego z groźnych gangów, a stamtąd już nie byłoby ucieczki.

– Zdaję sobie z tego sprawę – westchnęła Katherine. – I wiem, że powinnam okazać panu wdzięczność, ale wciąż jestem w szoku. Kochałam go. Rozumie pan? Nie można tak po prostu przestać kogoś kochać.

Czułam, że Daniel na mnie patrzy.

– To prawda – odparł. – Nie można.

Katherine westchnęła.

– Z czasem pewnie dojdę do siebie. W mojej rodzinie nie ma mięczaków. Ojciec walczył na Przełęczy Chajberskiej^[6] – roześmiała się smutno. – Dam sobie radę.

Dorożka zwolniła, a potem się zatrzymała.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Daniel i postawił dzieci na ziemi, potem pomógł mnie i Katherine. Moją dłoń przytrzymał dłużej. Kiedy starałam się ją wyrwać, zapytał: – Nie zaprosisz mnie dzisiaj do środka?

– Nie sądzę. Dzieci są zmęczone. Ale dziękuję, że tu z nami przyjechałeś.

Na pożegnanie kiwnęłam mu delikatnie głową, zupełnie tak, jak by to prawdopodobnie zrobiła panna Arabella Norton.

Maluchy pobiegły do wejścia. Seamus otworzył drzwi i na nasz widok twarz mu się rozjaśniła.

– Jesteście wreszcie. Zastanawiałem się, co się z wami stało. Zaczynałem się denerwować.

– Już jesteśmy, Seamusie. Dzieci muszą teraz dostać kolację, a potem marsz do łóżek.

Seamus zauważył na ulicy Daniela, Katherine i dorożkę.

– Mieliśmy małą przygodę – wyjaśniłam. – W wolnej chwili Seamus i Bridie z pewnością wszystko ci opowiedzą.

– Ja też miałem dzisiaj przygodę – odparł Seamus. – Wreszcie dostałem pracę. W sklepie Macy's. Będę przed świętami nosił zakupy i paczki do powozów i aut. A jeśli się sprawdzę, zatrudnią mnie w magazynie.

– Bardzo się cieszę, Seamusie – powiedziałam. – Dzieci, do środka! Pożegnajcie się z panną Faversham i kapitanem Sullivanem.

– Dobranoc, panno Faversham. Dziękujemy, kapitanie – wyrecytowały jednocześnie maluchy. – Tato, nawet nie uwierzysz, co się dzisiaj... – usłyszałam, jak w drodze do kuchni podniesionymi głosami zaczynają swoją opowieść.

– Wracam do domu – oznajmiła Katherine. – Jeszcze raz dziękuję, Molly.

– Chcesz, żebym poszła z tobą? – zapytałam.

Popatrzyła na Daniela, potem na mnie.

– Nie, pójdę sama – odparła.

Zostaliśmy z Danielem sami na ciemnej ulicy.

– Muszę iść i pomóc przy kolacji. Miło z twojej strony, że odwiozłeś nas do domu. Podziękuj swoim ludziom, że zdążyli na czas.

– Molly, obiecuję, że powiem jej o nas. Nie rób nic pochopnie, błagam.

– Jeśli chodzi ci o ślub z kimś innym, wcale się nie spieszę. To będzie głęboko przemyślana decyzja. Ja nie rzucam słów na wiatr.

– Obiecuję, że nie złożysz żadnej przysięgi innemu mężczyźnie, dopóki ja nie będę wolny i nie zaproponuję ci małżeństwa. Kiedy wreszcie uklękne przed tobą, a ty stwierdzisz, że wybierasz innego, wtedy obiecuję, że sobie pójdę i więcej nie będę ci się naprzykrzać.

Spojrzałam na jego poważną minę i nagle zachciało mi się śmiać.

– Danielu, mam wrażenie, że to tylko czcze obietnice. Nigdy jej o nas nie powiesz. Oczywiście teraz wszystko wydaje ci się realne, ale kiedy ją znów zobaczysz i pomyślisz o tym, z czego będziesz musiał zrezygnować, jak zwykle odejmie ci mowę.

– Nie, Molly. Nie tym razem. Przysięgam. Kocham cię i żyć bez ciebie nie mogę. Błagam, nie angażuj się w coś, czego będziesz żałować. Życie jest zbyt krótkie, by spędzić je u boku człowieka, którego nie kochamy.

– A także zbyt krótkie, by czekać na coś, co w ogóle może się nie zdarzyć – odparłam.

– To powiedz mi tylko, że mnie jeszcze kochasz i że kiedy będę wolny i poproszę cię o rękę, nie odeślesz mnie z kwitkiem.

Spojrzałam na niego i znów musiałam się uśmiechnąć.

– Danielu. Katherine słusznie zauważyła, że nie można tak po prostu się odkochać. Pewnie do końca życia będziesz zajmował w moim sercu szczególne miejsce. Ale to nie znaczy, że nie mogę znaleźć szczęścia u boku innego mężczyzny.

– To nie będzie to samo szczęście, którego możemy doświadczać razem.

– Nie, z pewnością nie to samo. Zwłaszcza jeśli chodzi o namiętność. Ale namiętność zwykle umiera. A przywiązanie i przyjaźń zostają na zawsze.

– Przywiązanie i przyjaźń da ci nawet pies – zauważył Daniel.

– Powinieneś zrozumieć jedną rzecz – powiedziałam. – Jeśli poślubię Jacoba, to nie dlatego, że nie mogłam wyjść za ciebie. Zostanę jego żoną, bo będę przekonana, że da mi szczęście.

– Nie, Molly. Nie pozwolę, żebyś za niego wyszła. Zaprotestuję podczas ceremonii, a jeśli to będzie konieczne, wyniosę cię na rękach z kościoła.

– Danielu... – Znów musiałam się uśmiechnąć. – Jeśli kiedyś uklęknie przedemną, pewnie wysłucham, co będziesz mi miał do powiedzenia. Ale nic nie obiecuję. A teraz, dobranoc.

Ruszyłam do drzwi, jednak Daniel był szybszy. Chwycił mnie mocno i pocałował w usta. Starłam się nie poddawać emocjom, ale nie byłam w stanie. Przez jedną cudowną chwilę trwałam z nim w tym uścisku, przytulając się mocno i czując ciepło jego ciała. Potem ocknęłam się i wyrwałam z objęć.

– To nie było uczciwe, Danielu. Idź już lepiej.

– Czy reagujesz tak samo, kiedy on cię całuje? Czy wtedy też czujesz ten żar? – zapytał.

– W życiu nie chodzi o pocałunki.

Zostawiwszy go samego na chodniku, dobiegłam do drzwi, wpadłam do środka i zatrzasnęłam je za sobą. Oparłam rozpalone czoło o ich zimne drewno. Po raz kolejny przyszło mi do głowy, że los niepotrzebnie postawił na mojej drodze Daniela Sullivana.

Z kuchni dochodziły roześmiane głosy dzieci.

– No i nie zgadniesz, co zrobił ten policjant... – usłyszałam.

Zazdrościłam im, że tak szybko potrafią zapomnieć o tragedii i strachu.

Następnego dnia obudziło mnie mocne walenie do drzwi. Zarzuciłam szlafrok i zbiegłam po schodach. Na zewnątrz stał Jacob.

– Zobacz, co mam – powiedział, wymachując mi przed nosem gazetą i wchodząc do środka.

Nagłówek na pierwszej stronie „New York Timesa” brzmiał: NIEBEZPIECZNE ZDARZENIE NA NOWYM MOŚCIE NAD EAST RIVER. Szybko przeczytałam tekst. Dwie młode kobiety usiłowały ratować dziecko porwane przez szaleńca. Sytuację opanowali nieustraszeni policjanci z bronią palną. W artykule wymieniono mnie z imienia i nazwiska.

– Co to za pomysły?! – zapytał Jacob.

– Michael Kelly wziął Bridie jako zakładniczkę. Chciał ją wymienić na Katherine. Poszłam tam, bo musiałam mieć pewność, że Bridie bezpiecznie wróci do domu.

– To cud, że żyjesz. Dzisiaj rano poszedłem tam na chwilę na rekonesans. Chcesz mi powiedzieć, że stałaś na tej liczej kładce z kilku desek?

Przytaknęłam.

– I wierz mi, wcale nie było tam przyjemnie.

Podszedł do mnie bliżej.

– Molly, proszę, posłuchaj mnie uważnie. Już dłużej nie wytrzymam. Kiedy nie jesteśmy razem, cały czas się denerwuję, że może ci się stać coś złego. Przeczytałem gazetę i pomyślałem, że powinienem tam przy tobie być. Powinienem być ci przyjść na ratunek!

– Nie zamierzam żyć tak niebezpiecznie, zapewniam cię. Co więcej, obiecuję, że już więcej nie wejdem na żaden most w budowie. – Spróbowałam się zaśmiać. – Nie musisz się o mnie martwić, Jacobie.

– Nie muszę się martwić? Odkąd cię spotkałem, tyle się wydarzyło! Najpierw zamiast ciebie zginęła kobieta, potem omal żywcem nie spłonęłaś w pożarze, a na koniec prawie spadłaś z mostu do rzeki. W jaki sposób chcesz mnie przekonać, że nie muszę się denerwować?

– Mam nadzieję, że kolejne zlecenia będą bardziej przyziemne.

– A ja mam nadzieję, że nie będzie żadnych kolejnych zleceń – odparł zdecydowanie Jacob. – Molly, proszę, obiecaj mi to teraz. Jeśli koniecznie chcesz pracować, pomogę ci znaleźć interesujące zajęcie. Związki kobiece będą szczęśliwe, mając w swoich szeregach kobietę tak nieustraszoną i inteligentną jak ty. I na dodatek to jest prawdziwa praca. Będziesz miała wpływ na zmiany zachodzące w naszym świecie. Co ty na to?

– To bardzo interesujące, Jacobie. Pomyślę.

– Obiecuj mi, proszę, że już nie będziesz próbowała być detektywem.

– Ale ja nie próbuję być detektywem – powiedziałam spokojnie. – Ja jestem detektywem. Właśnie zakończyłam pracę przy dwóch zleceniach. Zarobiłam dwieście dolarów. Nieźle jak na dwa miesiące pracy, nie sądzisz?

Jacob potrząsnął głową, ale się uśmiechnął.

– Molly, i co ja mam z tobą zrobić? Nie chcę cię stracić.

Odwróciłam się od niego.

– Jacobie, ja...

– Przepraszam. Głupio gadam – powiedział. – Nie zamierzam zamknąć cię w klatce. Mówię tak, bo bardzo mi na tobie zależy i...

– Jacobie – przerwałam i spojrzałam mu w oczy. – Ta rozmowa o małżeństwie jest dla mnie niezręczna. Muszę ci o czymś powiedzieć. Bardzo cię lubię, podziwiam i szanuję, ale nie jestem pewna, czy potrafię cię kochać.

Spuścił głowę.

– Rozumiem – odparł cicho. – A czy miłość nie przychodzi z czasem? Chyba można się jej nauczyć. Jeśli zostalibyśmy zeswatani, nawet nie poznałabyś mnie przed ślubem. A przecież wiele takich par jest ze sobą szczęśliwych.

– Pewnie masz rację, ale nie chciałabym podejmować takiego ryzyka. Ja wyjdę za mąż z miłości.

Zapadła długa cisza.

– Czy jest ktoś inny?

– I tak, i nie.

– Ten policjant? – zapytał ostro Jacob. – Ten, który tak na ciebie krzyczał? – dodał, czekając na potwierdzenie.

Kiwnęłam głową.

– Krzyczał tak jak ja, bo zależy mu na tobie. Kochasz go jeszcze?

– Nie jestem pewna, ale dzięki niemu doświadczyłam, czym jest miłość, i wiem, że nie chcę bez niej żyć.

– To dlaczego za niego nie wyszłaś?

– Bo nie był wolny.

– Ach, tak – powiedział cicho. – Próbujesz mi powiedzieć, że nigdy nie zostaniesz moją żoną?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem, czego pragnę. W tym cały szkopuł. Ale nie zamierzam nikogo oszukiwać. Zgodzę się wyjść za ciebie, bo będę tego chciała, a nie dlatego, że nie będę mogła poślubić kogoś innego. Chyba to rozumiesz, prawda?

– Rozumiem – odparł i popatrzył w okno gdzieś ponad moją głowę. – I doceniam, że mi to powiedziałaś. Czy w takim razie pozwolisz, bym nadal cię odwiedzał, prawił ci komplementy i zamiatał podłogę, po której stąpasz?

Roześmiałam się.

– Nie musisz zabiegać o moje względy. Nie musisz mi niczego udowadniać. To ja powinnam zdecydować, czego oczekuję od życia. Ale oczywiście cieszę się, że będziemy się dalej przyjaźnić, i ciekawa jestem, dokąd nas ta przyjaźń zaprowadzi.

Rozpromienił się.

– W takim razie jestem zadowolony.

– Dziękuję.

Pogładziłam dłonią jego policzek, a potem pochyliłam się i lekko pocałowałam go w usta.

– Muszę się wreszcie przyzwyczaić do tej brody – zauważyłam.

Tydzień później przyszedł list od majora Favershama z Irlandii.

Trudno opisać, jaką ulgę sprawił mnie i mojej żonie list od Pani i od Katherine. Niezmiernie podniosła nas na duchu wiadomość, że nasza córka żyje i dobrze się czuje, a na dodatek nie jest już żoną tego łobuza. Oczywiście mieliśmy nadzieję, że wróci do nas pierwszym statkiem, ale – choć tak się nie stanie – obiecała, że będzie regularnie pisać listy i może wkrótce nas odwiedzi. Dziękuję za wspaniałą pracę. Załączam czek na dwadzieścia pięć gwinei.

To nawet więcej niż sto dolarów! Jestem na dobrej drodze do prawdziwej kariery – pomyślałam. Przebiegłam na drugą stronę ulicy i wymachując kopertą, wparowałam do domu Sid i Gus. Zostałam wszystkich w kuchni przy śniadaniowym rytuale: kawie i bułkach prosto z piekarni.

– Katherine, dostałam list od twoich rodziców. Tak się ucieszyli z wieści od ciebie!

Nagle przerwałam, bo zauważyłam, że przy kuchennym stole, plecami do mnie, siedzi jakiś mężczyzna.

– Przepraszam. Nie zauważyłam, że nie jesteście same.

Gość wstał od stołu i odwrócił się w moją stronę.

– Za co przepraszasz, kochana Molly? To tylko ja. Wróciłem wreszcie na stare śmieci.

Przede mną stał kochany, wyjątkowy, nieodpowiedzialny i denerwujący Ryan O'Hare, ubrany jak zwykle ekstrawagancko w czarną aksamitną marynarkę. Zamiast krawata miał pod szyją aksamitny fioletowy fular spięty broszką z diamentem.

– Ryan! – Rzuciłam mu się w ramiona. – Jak cudownie cię widzieć! Tak bardzo za tobą tęskniłam! Wystawiasz wreszcie sztukę w Nowym Jorku?

– W przyszłym tygodniu odbędzie się długo wyczekiwana premiera w teatrze Victoria. Nie mów, proszę, że to imię przynosi mi pecha. Tylko ten teatr był akurat wolny i zainteresowany współpracą.

– Dlaczego imię Wiktorii przynosi pecha? – spytała Katherine.

Ryan zrobił śmieszny minę.

– Musiałem w pośpiechu opuścić Anglię, bo królowej nie spodobała się moja sztuka na temat jej wysokości i Alberta.

Po chwili uśmiechnął się radośnie.

– Ależ to było przewrotne! Zrobiłem z nich taką napuszoną pareczkę. Nawet pościel mieli w kratkę.

– Wszyscy wiemy, że jesteś bardzo złośliwy, Ryane – zauważyła Sid. – Mam nadzieję, że zbytnio nie zdenerwowałeś prowincji satyrą na współczesny styl życia w Ameryce?

– Moja droga, oni to puszczają mimo uszu. Śmieją się do rozpuku, zupełnie nie rozumiejąc, że w gruncie rzeczy śmieją się z samych siebie. Ale trudno to opisać słowami. Zobaczycie na premierze, na którą niniejszym was zapraszam. A potem urządzimy przyjęcie. Wszyscy muszą się stawić.

– Takiej przyjemności chyba sobie nie odmówimy, co? – zapytała Gus, spoglądając na zebranych.

Uświadomiłam sobie z ogromną ulgą, że wracam właśnie do normalnego życia. Mogę znowu późno

wstawać, bez pośpiechu jeść smaczne śniadania, rozkoszować się ciepłą kąpielą, a wieczorami chodzić do teatru. Już nie pracuję jako szwaczka. Jestem Molly, dziewczyna znana w artystycznych kręgach Greenwich Village.

– Poproszę bułkę i trochę kawy – powiedziałam. – Umieram z głodu.

– Muszę pędzić do teatru i dopilnować dekoracji – oznajmił Ryan. – Mam nadzieję, że moja ekipa nie zdążyła jeszcze doprowadzić sceny do ruiny.

Przesłał nam w powietrzu parę całusów i już go nie było.

Katherine dziwnie mi się przyglądała.

– Chyba się pomyliłam – zauważyła. – Najpierw myślałam, że to Jacob jest twoim ukochanym, potem, że ten policjant, a teraz już zupełnie nie wiem...

– Chodzi ci o Ryana? – zaśmiałam się.

– Katherine, kochanie – odparła Sid. – Wszyscy kochają Ryana. Nawet Ryan kocha Ryana.

– W szczególności Ryan kocha Ryana – dodała Gus. – Ja uważam, że Jacob jest najlepszym kandydatem dla Molly.

– Właśnie mu powiedziałam, że nie jestem jeszcze gotowa na małżeństwo. Nie wiem, czy w ogóle chcę go poślubić.

– Dobrze, że jesteś wobec niego uczciwa – zauważyła Sid, stawiając przede mną filiżankę mocnej kawy po turecku. – I pomyśl, jakim utrudnieniem dla twojej kariery byłoby małżeństwo. Najpierw musisz nacieszyć się życiem, droga Molly.

– Masz rację – przyznałam. – Po co ten pośpiech? Zgadzam się z tobą. Mąż mi na razie w ogóle nie jest potrzebny.

Zerknęłam na Katherine, która siedziała zamyślona przy stole, bawiąc się medalionem, oddanym posłusznie przez skruszonego Bena Mostela.

– Przepraszam. – Zarumieniłam się. – Tak wiele przeszłaś, a my tu sobie swobodnie rozmawiamy o małżeństwie. Jesteśmy bardzo niedelikatne! Domyślałam się, że nie chcesz, by w jakikolwiek sposób poruszać ten temat.

– Owszem, na razie nie chcę – odparła Katherine. – Ale zapewniam was, że nie zamienię się teraz w smutną, ubraną na czarno wdowę. Prawdę mówiąc, cieszę się na to, co mnie czeka, choć zupełnie nie wiem, czym powinnam się zająć.

– Już ci mówiłyśmy, że możesz u nas zostać, jak długo będziesz chciała – powiedziała Sid. – Możesz zapełnić puste gniazdo po Molly.

Katherine uśmiechnęła się.

– Jesteście bardzo miłe, ale muszę wyjechać z Nowego Jorku. Obawiam się, że ojciec przyjedzie mnie szukać. Potrafi postawić na swoim, już wam mówiłam. Będę z nim w kontakcie, lecz nie chcę wracać do domu.

– W takim razie powinnaś jechać do Bostonu – zaproponowała Gus. – Jestem pewna, że coś dla ciebie

znajdziemy. Moja rodzina ma tam pół miasta. Napiszę kilka listów w twojej sprawie.

– Ale ja nie chcę znów żyć jak panienka z wyższych sfer – odparła Katherine. – Zwłaszcza teraz, kiedy wiem, jak wiele trzeba zrobić w obronie praw kobiet pracujących. Chciałabym działać w ich imieniu.

– Ale chyba nie wrócisz do szwalni, co? – zapytałam.

– Raczej nie – zgodziła się Katherine. – Ale muszę robić coś pożytecznego, by nadać swojemu życiu głębszy sens.

Jej słowa wywarły na mnie wrażenie. Czy będę egoistką, jeśli nie zdecyduję się na pracę dla związków? Jacob twierdził, że znajdzie dla mnie jakieś pożyteczne zajęcie. Ale po chwili usiadła między nami Sid i bawiąc się srebrnym dzbankiem do kawy, powiedziała:

– To bardzo szlachetne, co mówisz, Katherine. Ja muszę wam wyznać coś innego. Kawa i śniadanie z przyjaciółmi to jest to, co nadaje sens mojemu życiu. Bez tego bym umarła.

– Amen – dodała Gus i w goście toastu uniosła filiżankę z kawą.

Zrobiłam to samo.

Tuż przed Bożym Narodzeniem przyszedł list od Katherine.

Mieszkam teraz w Bostonie. Rozwija się tutaj przemysł włókienniczy. Spotkałam też wielu Irlandczyków, więc czuję się prawie jak w domu. Dzięki znajomościom Gus dzielę mieszkanie z kilkoma dziewczętami z dobrych rodzin, które założyły Ligę Kobiet i pragną poprawiać los robotnic. Już założyłyśmy w kilku szwalniach związki zawodowe. W najbiedniejszej dzielnicy otworzyłyśmy właśnie szpital, w którym pracują ochotnicy – lekarze i pielęgniarki. Mam niełatwe, ale niezwykle satysfakcjonujące zajęcie.

Bardzo dziękuję Ci za wszystko. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś się spotkamy. Życzę Ci szczęścia.

Katherine

Przypisy

- [1] Samuel Clemens (1835–1910) to prawdziwe imię i nazwisko Marka Twaina, autora między innymi *Przygód Tomka Sawyera* (wszystkie przypisy tłumaczki).
- [2] Mowa o wielkim głodzie w Irlandii (1845–1849), kiedy to wielu Irlandczyków wyjechało ze swojego kraju, między innymi do Stanów Zjednoczonych.
- [3] Na Ellis Island docierali najbiedniejsi pasażerowie statków, podróżujący najtańszą klasą czwartą, i przechodzili tam szczegółową kontrolę.
- [4] Edward M. Shepherd – mianowany z ramienia Tammany Hall kandydat Partii Demokratycznej na stanowisko burmistrza Nowego Jorku w roku 1901.
- [5] Za panowania królowej Elżbiety I, w 1588 roku, flota brytyjska pod wodzą Francisa Drake’a pokonała na kanale La Manche hiszpańską Wielką Armadę. „Ciemni Irlandczycy” to potomkowie żołnierzy hiszpańskich.
- [6] Przełęcz łącząca Afganistan i Pakistan. W latach 1878–1880 toczyła się tam druga wojna brytyjsko-afgańska.